

**RICHARD
MASON**

**Podwójne
gry**

Z angielskiego przełożyła *Anna
Zielińska*

ŚWIAT KSIĄŻKI

Tytuł oryginału THE DROWNING PEOPLE

Zdjęcie na okładce *Michael Trevillion*

Redakcja *Jadwiga Fafara*

Redakcja techniczna *Lidia Lamparska*

Korekta *Agata Boldok Jolanta Spodar*

Copyright © *Richard Mason* 1999 © Copyright for the

Polish edition by Bertelsmann Media Sp. z o.o., Warszawa
2000

Bertelsmann Media Sp. z o.o.

Świat Książki Warszawa 2000 Skład *Joanna Duchnowska*

Druk i oprawa GGP Media, Pöüneck

ISBN 83-7227-435-5

„I bez wahania wskoczyłem do morza; w ten sposób miałem lepszą okazję zapoznać się z mieliznami, zdradliwym dnem i skałami, niż gdybym, siedząc na zielonym brzegu i sennie ćmiąc fajkę, słuchał przy herbacie wygodnych rad”.

John Keats

z listu do J. A. Hesscya z 8 października 1818 roku

PROLOG

Po czterdziestu pięciu latach małżeństwa moja żona zastrzeliła się wczoraj po południu.

Tak przynajmniej uważa policja, a ja z wielką gorliwością, przekonująco gram rolę pogrążonego w smutku wdowca. Wiedzicie, życie z Sarą nauczyło mnie sztuki oszukiwania samego siebie i podobnie jałc ona, uważam tę umiejętność za doskonały trening w oszukiwaniu innych. Oczywiście ja wiem, że Sara nic takiego by nie zrobiła. Moja żona była osobą zbyt trzeźwo myślącą, zbyt mocno osadzoną w rzeczywistości, żeby przyszło jej do głowy targnąć się na własne życie. Nie sądzę, by poświęciła chociaż jedną myśl temu, co swego czasu uczyniła. Nie poczuwała się do winy.

To ja ją zabiłem.

I to nie z powodów, które mogłyby się wam nasunąć. Bo,

widzicie, wcale nie byliśmy złym małżeństwem, o nie. Sara - aż do wczoraj - była idealną i kochającą żoną, pod pewnymi względami aż przesadnie obowiązkową. Zabawne, co? Jakże całkowicie sprzeczne zasady może, bez najmniejszych zahamowań, wyznawać ten sam człowiek. Moja żona, przynajmniej na pokaz, była osobą sumienną, opanowaną i o nienagannych manierach. „Niestrudzenie i szczerze służyła tej wyspie i jej mieszkańcom” - powie jutro o niej pastor. I będzie to prawda. Sara miała wiele zalet, a wśród nich na pierwsze miejsce wysuwało się silne poczucie obowiązku, które nie było denerwujące dzięki jej taktowi. Za to właśnie ludzie będą ją pamiętać. Ten spokój Sary nie służył wyłącznie jej samej; potrafiła sprawić, by życie otaczających ją osób było równie spokojne; spokojne, uporządkowane i bezpieczne. Oczywiście bezpieczne na jej warunkach, ale kiedy się z nią żeniłem, byłem gotowy zgodzić się na poczucie bezpieczeństwa na każdych warunkach, i tak już pozostało przez te czterdzieści pięć lat.

Gdybyście mnie znali, nigdy nie przeszłoby wam przez myśl, że mógłbym kogoś pozbawić życia. Naprawdę nie uważam się za człowieka gwałtownego i nie przypuszczam, iż to, że zabiłem Sarę, miałyby zmienić moją opinię na własny temat. Żyjąc na tej ziemi siedemdziesiąt lat, poznałem swoje wady, i przemoc - przynajmniej fizyczna przemoc - do nich nie należy. Zabiłem moją żonę, bo wymagało tego poczucie sprawiedliwości. Zabijając ją, uznałem, że wreszcie dokonana się sprawiedliwość. Ale czy na pewno? Targają mną wątpliwości, otwierają się stare rany. Powraca moja obsesja dotycząca winy i kary, którą dawno temu uspiłem w sobie, jak widać jednak, nieskutecznie. Zastanawiam się, jakie miałem prawo osądzać Sarę i o ile bardziej surowo sam zostanę osądzony za wydanie wyroku na nią - za osądzenie jej i ukaranie w sposób, w jaki ja sam nigdy nie zostałem osądzony ani ukarany.

Mogło do tego nie dojść, mogłem się nigdy nie dowiedzieć. Niestety, Sarę zgubiło jej niezachwiane poczucie obowiązku żony wobec męża. Gdyby tylko była mniej skrupulatna, trochę mniej obowiązkowa, może nie leżałaby teraz martwa. Szykowała dla mnie przyjęcie niespodziankę na moje siedemdziesiąte urodziny, ale widzicie, na naszej wyspie takie przygotowania nie mogą się zbyt długo utrzymać w tajemnicy. No i nie utrzymały się. Wiedziałem, że na coś się zanoszą już jakiś miesiąc wcześniej. I

wzruszyłem się. Tyle tylko, że ja mam szczególne wymagania, jeśli chodzi o przyjęcia. Nie lubię, gdy zaprasza się ludzi z wyspy, nie przepadam za niektórymi nadmiernie układnymi przyjaciółmi Sary. Zrozumiałe więc, że przynajmniej poprzez delikatne sugestie chciałem mieć wpływ na listę gości.

Na przeszukanie jej biurka wybrałem popołudnie w ubiegły poniedziałek, kiedy wyszła z domu, aby nadzorować rozbudowę pomieszczenia do sprzedaży biletów wstępu. I całkiem przypadkiem natrafiłem na szufladę, w której przez te wszystkie lata trzymała tę rzecz.

Nawet teraz, gdy leży martwa i czeka na pochówek, jej arogancja przypomina mi o dreszczu.

1

Siedzę w małym saloniku (kiedyś garderobie), łączącym moją sypialnię z sypialnią Sary. Ten najmniejszy pokój jest najcieplejszym pomieszczeniem w naszym lodowatym domu. Gdy jedno i drugie drzwi są zamknięte, w kominku płonie ogień, a pod gotyckimi oknami o ostrych łukach grzeją kaloryfery, robi się tu niemal przytulnie. Nie mam biurka; całe umeblowanie stanowi sofa, dwa fotele i mały stolik założony książkami. To stare książki, moje ulubione - dedykacje w nich wyblakły, a ludzie, od których je dostałem, już nie żyją. Myślę, że te książki leżą tak na tym stole od ponad czterdziestu lat; oprawiona w cielęcą skórę Biblia mojej matki, słownik Fowlera po pradziadku, tomik poezji miłosnej Johna Donne'a - stare wydanie pożyczone od Elli dawno temu. W kącie pokoju stoi również pulpit do nut, rzadko obecnie używany - dostałem go od rodziców z okazji ukończenia studiów. Z miejsca, gdzie siedzę, widzę moje inicjały wygrawerowane na jego podstawie. „Dla J.H.F. Czerwiec 1994”. Czerwiec 1994. To prawie pięćdziesiąt lat temu. Miałem ten pulpit, zanim ją poznałem.

Nagle staje się dla mnie szalenie ważne, bym wytłumaczył się przed sobą samym, zanim wszyscy się tu zjawią. Potrzebna mi klarowność myśli. Przesłuchanie u sędziego śledczego wyznaczono na jutro, potem odbędzie się pogrzeb. Zarówno w komisariacie, jak i w domu będzie się kręcić mnóstwo ludzi. Od jutra przez wiele tygodni nie znajdę chwili spokoju, odrobiny czasu na myślenie. Jeżeli mam zamiar uporządkować wydarzenia z mego życia, muszę się tym zająć teraz. Wiem, że muszę postarać się zrozumieć, co zrobiłem; jak doszło do tego, że w wieku

siedemdziesięciu lat zabiłem żonę i prawie nie odczuwam wyrzutów sumienia.

Zaskakujący jest ten niemal całkowity brak poczucia winy. Teraz, kiedy nie ma już Sary, a ja znam prawdę, niewiele czuję. Prawie żadnego żalu. Jedyne dziwne, pusty, dość niesamowity spokój - odętnienie, co zdaje się potwierdzać, jak wiele się od niej nauczyłem. Zobojętniały, siedzę tu zupełnie sam i nachodzi mnie myśl, że w pewnym sensie powinienem być zadowolony. A jednak nie jestem - i ten brak zadowolenia dziwi mnie, bo wiele lat temu, wiedząc to, co wiem teraz, poczułbym się wyzwolony. Gdybym mógł cofnąć czas, ta wiedza dałaby mi to, co niektórzy ludzie nazywają nowym życiem. Dziwne więc, że nic nie czuję, no, może prawie nic. Wydarzenia z tamtych odległych tygodni i miesięcy, kiedy to wszystko się zaczęło, przypominają sztukę teatralną. Znam intrygę, potrafię wczuć się w losy bohaterów, ale tamten dwudziestodwuletni młodzieniec, który gra taką znaczącą rolę, jest mi obcy. Kiedy patrzę na te książki, pulpity, na fale na wodzie i ołowiane niebo, czuję, że niewiele mnie z nim łączy (poza nikłym podobieństwem fizycznym, które dostrzegam w swoim odbiciu, gdy mijam lustro wiszące obok kominka).

Wydaje mi się, że moje życie zwolniło tempo. Teraźniejszość zajmuje w nim tak wiele miejsca. Widzę siebie w wieku dwudziestu dwóch lat. Jestem młody, bardzo młody, moje ruchy cechuje pewna niezdarność (byłem wysoki i długonogi). Po matce odziedziczyłem jej mały nos. Mam wąskie usta i jasnobrązowe oczy, owalną twarz o regularnych rysach, nieco ostry podbródek oraz małe uszy. Przypuszczam, że w wieku, gdy zmarszczki nie dodawały mi jeszcze powagi, nie byłem zbyt przystojny. Obecnie moja twarz ma więcej wyrazu, czas pokrył jej młodzieńczą naiwność bruzdami i siecią zmarszczek. Ale tak powinno być.

Myślę, że atmosfera rodzinnego domu i wychowanie tłumaczą w pewnym stopniu moje dorosłe życie i to, że stałem się tym, kim jestem. Ramiona Elli, podobnie zresztą jak moje, były zbyt węższe, aby złożyć na nich całe brzemię odpowiedzialności. Być może nadszedł czas, by przywołać duchy - zobaczyć rodziców takimi, jakimi byli w wieku czterdziestu, pięćdziesięciu lat. Przyjrzeć się matce z jej ciemnymi, przetykanymi siwizną włosami oraz przenikliwymi niebieskimi oczami o czujnym spojrzeniu i ojcu, którego szerokie plecy przygarbiły się nieco, a duże dłonie pokryła siateczka żył. Znamienna była jego oszczędna gestykulacja i

niezachwiana wiara w siebie. Nie sędzę, bym odziedziczył po nim te cechy. Tym, co udało się rodzicom przekazać mnie i za co jestem im najbardziej wdzięczny, okazał się upór. To on właśnie ratował mnie, gdy wszystko inne zawodziło, gdy opuszczała mnie pewność siebie i wiara we własne możliwości.

Czego rodzice pragnęli dla mnie? Jacy byli? Trudno powiedzieć, nie sposób dać pełną odpowiedź na takie pytania. Nie byliśmy bogaci - to wiem na pewno - lecz znaliśmy zamożnych ludzi (moja matka uważała, że to wystarczy, i raz czy dwa prawie wyraźnie to podkreśliła). Przypuszczam też, że matka i ojciec, podobnie jak wszyscy rodzice, mieli nadzieję, że ich syn daleko zajdzie. W ich świecie - powinienem tu dodać, bo moi rodzice, jak wielu ludzi z tego środowiska i pokolenia, żyli wygodnie i spokojnie w świecie, którym nie wstrząsały zmiany dokonujące się poza jego granicami. I nie czuli potrzeby wychodzenia poza ten świat. Nie wychylali się, żyjąc w błogim przekonaniu o swym miejscu w szeregu, co lak często doprowadzało mnie do szału. Ich świętości stanowiły: tradycja, własność prywatna i utrzymanie hierarchii społecznej. Ludzi postawionych wyżej od siebie darzyli szacunkiem, tych, którzy znaleźli się niżej, traktowali uprzejmie. Czytywali „Timesa”, głosowali na konserwatystów i mieli stałe, w pełni przewidywalne poglądy. Rewolucja lat sześćdziesiątych nie zachwiała ich systemem wartości ani nie zburzyła cichych nadziei, a ponieważ byli dobrzy, uparcie i z konsekwencją godną ludzi trzymających się zasad planowali moją przyszłość według własnych kanonów.

Mój pomysł, żeby zostać zawodowym skrzypkiem, o czym nieśmiało napomknąłem na drugim roku studiów w Oxfor- dzie, nie mógł zyskać uznania w ich oczach i oczywiście nie zyskał. Moje dorastanie znaczyły niezbyt częste, lecz zawsze dramatyczne okresy powolnego wzrostu napięcia między nami, kończące się wybuchem, po którym następował wielodniowy etap lodowatej grzeczności.

Jak na ironię, przyszło mi spędzić życie w tym domu, u boku żony z utytułowanej rodziny o takich tradycjach, że lepszych jej teściowie nie mogliby sobie wymarzyć. W efekcie wylądowałem zgodnie z pragnieniem moich rodziców, mimo że bardzo się starałem, by pójść własną drogą. Moja kariera muzyka dogorywała powoli w trakcie trwania małżeństwa, Sara bowiem, w przeciwieństwie do Elli, nie potrafiła, a nawet nie próbowała jej

wspierać, z czasem więc moja pasja zanikła. Dla mnie istota muzykowania polegała na przekładaniu własnych emocji na język muzyki granej przed publicznością. Ponieważ pasja osłabła, wypaliła się i zmieniła w popiół, nie zostało już nic do przekładania. Technicznie nadal byłem bardzo dobry, bo pilnie ćwiczyłem, ale zarzuciłem granie w chwili, gdy nie mogłem liczyć na nic więcej prócz technicznej biegłości.

Ale odchodzę od tematu, gubię wątek. To zapewne typowe dla człowieka w podeszłym wieku.

Moja kariera szkolna nie wyróżniała się ni czym szczególnym. Byłem dostatecznie zdolny, by jak większość uczniów ze szkół prywatnych dostać się do Oxfordu, co moi rodzice przyjęli z wielką ulgą. Do chwili więc, kiedy skończyłem dziewiętnaście lat, z nawiązką zwróciłem im to, co we mnie zainwestowali. Ale studiując trzy lata poza domem, dzięki środowisku, w którym się obracałem, i książkom, jakie czytałem, wykształciłem w sobie pewną niezależność i obojętność na aspiracje rodziców związane z moją osobą. Ta niezależność czyniła mnie krytycznym w trakcie roku akademickiego i dawała poczucie wyższości podczas wakacji. Wtedy właśnie z ogromną determinacją poświęciłem się mojej cichej miłości, czyli grze na skrzypcach. Wtedy również - co prawda stosunkowo późno, lecz jeszcze w porę - odkryłem, ucząc się i czerpiąc z nauki przyjemność, że mogę być naprawdę dobry, tak dobry, żeby to miało znaczenie. Użyłem moich muzycznych uzdolnień jako argumentu w pierwszej poważnej konfrontacji z rodzicami, która zrujnowała mi całe lato po uzyskaniu dyplomu, a dotyczyła mego stanowczego postanowienia, że zostanę muzykiem.

Ta dygresja to próba uczynienia tamtego dwudziestodwulatka bardziej rzeczywistym dla siebie samego; wysiłek zaledwie w części uwieńczony sukcesem. To prawda, że przypominam sobie, jak on wyglądał - widzę jego półuśmiech, zarumienione policzki i burzę włosów opadających na oczy. Ale już nie rozpoznaję w nim siebie, nie potrafię Wczuć się w jego zamiłowania i ledwo rozumiem tamten entuzjazm, bo tak niewiele z tego wszystkiego zostało. Z trudem przywołuję w pamięci twarze ludzi, którzy wypełniali jego życie, i wielkie przyjaźnie, jakie zawierał, bo ten młody człowiek miał skłonność do przesady - to rzucał się w wir życia towarzyskiego, to dla odmiany popadał w głębokie przygnębienie. Oczywiście parę twarzy widzę wyraźnie

na owym *tableau*. Na przykład dobrze zapamiętałem Camillę Boardman, dziewczynę, co do której moja matka żywiła nadzieję, że zostanie moją żoną - ładna, kipiąca życiem, z dobrymi koneksjami i lepiej sytuowana, niż się wydawało. Lecz ja w wieku dwudziestu dwu lat miałem charakter wyspiarza. Byłem miły dla wszystkich, za to przed nielicznymi tylko osobami odsłaniałem duszę. Do dzisiaj zresztą tak jest. Być może niewiele miałem do odsłaniania; moje życie w owym czasie nie odznaczało się niczym szczególnym. Przez szkołę podstawową, prywatne liceum i Oxford przeszedłem bez większych wstrząsów; nie zmuszałem się do myślenia ani nie byłem ciekawy świata. Brałem życie takim, jakie było. Poniekąd podobnie podszedłem do małżeństwa z Sarą - zaakceptowałem je z czymś w rodzaju rezygnacji, do której nie przyznałem się nawet przed samym sobą.

Dryfowałem, nie myśląc, nie widząc i nie wiedząc aż do chwili, kiedy poznałem Ellę. To dzięki niej przeszedłem chrzest, to ona wrzuciła mnie do morza życia. A zrobiła to mimochodem, ani dbając, ani wiedząc, ile dobrego lub złego może z tego wyniknąć. W jej naturze leżała szalona żywiołowość, niespożyta potrzeba przeżywania nowych doświadczeń i szukania wyjaśnień. To ona zmusiła mnie, żebym popłynął; ona zepchnęła mnie z bezpiecznej płycizny, z nią wynurzyłem się na powierzchnię. Właśnie dla niej i moich wspomnień o niej muszę spojrzeć wstecz w poszukiwaniu wytłumaczenia dla tego, co zrobiłem.

Zapamiętałem ją jako drobną, kruchą dziewczynę, moją rówieśnicę, o niesfornych jasnych włosach i zielonych oczach, których żywy blask widzę nawet teraz.

Ella siedzi w parku, w Hyde Parku; jest wczesny czerwcowy poranek, ptaki śpiewają, dozorczy w zielonych kombinezonach roztawiają ławki, powietrze słodko pachnie świeżo skoszoną trawą. Słyszę własny ciężki oddech.

Biegałem w parku. Wstałem wcześniej i wyszedłem z domu, by uniknąć kolejnej, utrzymanej w lodowatym tonie rozmowy, jednej z tych, jakie przeważały między nami, odkąd przyjęto mnie do Guildhall. Mój ojciec uważał, że powinienem się zająć bankowością, a matka, zazwyczaj mój sprzymierzeniec (bardziej w swych planach uwzględniająca moje szczęście niż ojciec), tym razem stanęła po jego stronie, mówiąc, że żaden z jej wnuków nie będzie dorastać w Hounslow tylko dlatego, iż ojciec ich został biednym muzykiem. Z początku na próżno tłumaczyłem im, że

muzycy niekoniecznie muszą być biedni, później otwarcie nazwałem ich snobami i poprzysiąłem w duszy, że żadne ich argumenty nie zawrócą mnie z obranej drogi. Atmosfera w domu nie poprawiła się jeszcze po ostatniej wymianie zdań sprzed dwóch dni (wszyscy byliśmy niezwykle jadowici) i nie miałem ochoty na kolejny posiłek w pełnej wyrzutu ciszy.

Poszedłem więc pobiegać do parku. Słyszę mój głośny oddech, czuję pulsowanie krwi w skroniach, widzę mój strój - mam na sobie biały podkoszulek, spodenki do gry w rugby i skarpetki w barwach klubu jachtowego mojego college'u. Widzę również, jak ubrana wtedy była Ella, bo zauważyłem ją znacznie wcześniej niż ona mnie. Siedziała na ławce w czarnej sukience, przylegającej do jej smukłych bioder. Oczy miała zamglone z niewyspania, a obok na ławce stał styropianowy kubek z parującą kawą. W lekko drżącej dłoni zaciskała sznur pereł (który później często miałem okazję oglądać na innej szyi). Było coś dramatycznego w jej postaci, gdy tak prawie bez ruchu siedziała na ławce w mdłym świetle poranka. Dwukrotnie przebiegłem przed nią nie zauważony. Za każdym okrążeniem biegałem bliżej ławki, znikalem i znowu przebiegałem przed nią. Gdy pojawiłem się po raz trzeci, podniosła wzrok i nasze spojrzenia spotkały się. Ella uśmiechnęła się.

Zatrzymałem się w pewnej odległości od ławki i zadyszany, żałowałem, że zdecydowałem się na ostatnie okrążenie wzdłuż drogi. Gdy odwróciłem się i spojrzałem na nią, nadal się uśmiechała.

- Ciężki bieg! - zawołała.

- Można tak powiedzieć.

Skinęliśmy uprzejmię głowami.

- Ciężka noc? - zapytałem, spoglądając na jej strój. Za- u ważyła a, że mój wzrok zawisł na jej dłoni, i opanowała jej drżenie.

- Raczej długa noc - poprawiła mnie.

Miała amerykański akcent, lecz intonacja i wymowa samogłosek były angielskie. Mówiła cichym głosem. Cały czas uśmiechaliśmy się do siebie, gdy stałem, dumając, co by tu powiedzieć.

- Widziałam już takie skarpety. - Ella pierwsza przerwała milczenie.

- Tak?

- Nosi się je w college'u, prawda? - Zawahała się. - Ale znając

moje szczęście, zaraz okaże się, że to część szkolnego mundurka albo jeszcze innego uniformu - tyle ich tu macie w Anglii - i wyjdę na skończoną idiotkę.

Zadowolony, że znaleźliśmy neutralny temat, powiedziałem jej, iż rzeczywiście takie skarpety nosi się w college'u.

- To skarpety klubu wioślarskiego w moim college'u - wyjaśniłem z młodzieńczą dumą.

Kiedy myślę o tym z perspektywy czasu, dziwne mi się wydaje, że na całe moje późniejsze życie miał wpływ wybór skarpetek tamtego poranka. Gdybym ich nie włożył, Ella nie zrobiłaby owej uwagi i prawdopodobnie nigdy bym jej nie poznał. I wtedy nie byłbym tym, kim jestem. Nie zabiłbym mojej żony wczoraj po południu, nie siedziałbym w tym pokoju pełnym dymu z kominka, bo usiłuję utrzymać w nim przyzwoitą temperaturę. Nie słuchałbym, jak fale Atlantyku rozbijają się o skały pod moim oknem. Dziwne, że zdawałoby się zupełnie nieistotne szczegóły, jak tamten wybór skarpetek, potrafią dać początek wydarzeniom, które wprawione w ruch, staną się siłą napędową życia. Ta myśl intryguje mnie, a zarazem niepokoi. A jednak tak się stało - mam na to niepodważalne dowody

Widzę siebie, jak z niemym pytaniem na ustach podchodzę powoli do ławki, na której siedzi Ella. Ona pozostaje nieruchoma, delikatne kości obojczyków i ramion wyraźnie rysują się pod jej bladą skórą. Siedzi nieco zgarbiona, przez co wydaje się jeszcze bardziej krucho. Wyglądałaby zupełnie niewinnie, gdyby nie fason sukienki i modnie uczesane z przedziałkiem, krótko przycięte włosy, które co jakiś czas bezskutecznie odgarnia z czoła. Podchodząc bliżej, zauważam, że wydatne kości policzkowe i bladoniebieskie sińce pod oczami nadają jej twarzy niemal mizerny wygląd. Ale oczy patrzą z ożywieniem; zielone i bystre, lustrują mnie od góry do dołu, kiedy się zbliżam, i zdają się wskazywać mi miejsce obok na ławce. Siadam.

- To skarpety klubu wioślarskiego mojego college'u - powtarzam.

- Wiem - odpowiada. - Oriol, Oxford, zgadza się?

Kiwam głową. Jestem pod wrażeniem trafności tego spostrzeżenia.

- Skąd wiesz? - pytam, uśmiechając się.

Następuje cisza, uśmiech znika z jej ust i znowu jest poważna. Jak gdyby nagle uświadamiając sobie, że nadal w lewej ręce zaciska perły, szybko chowa je do -małej, kwadratowej torebki leżącej u

jej stóp.

- To skomplikowane pytanie. Bardziej skomplikowane, niż może się wydawać - odpowiada i widząc moje zakłopotanie, dodaje: - Najprościej będzie powiedzieć, że znam kogoś, kto też takie nosi.

Wypija ostatni łyk ze styropianowego kubka; wydaje się zaskoczona i lekko poirytowana odkryciem, że nie ma już kawy.

- Kogo?

Bardzo mi zależy, żeby chociaż trochę dowiedzieć się o niej na podstawie znajomości z kimś, o kim może coś słyszałem.

- Nie możesz go znać, chyba że jesteś starszy, niż wyglądasz. Ponieważ nie ma zamiaru nic więcej ujawnić, naciskam dalej, mówiąc, że nigdy nic nie wiadomo.

- Nazywa się Charles Stanhope - rzuca nazwisko, z którym rzeczywiście nie kojarzę nikogo znajomego.

Mówię jej o tym, a ona spogląda na mnie i uśmiecha się.

- Przepraszam, że przeze mnie przerwałś trening - mówi. -

Ale tak długo siedziałam na tej ławce, że jeszcze trochę, a zostałabym tu na wieki, gdyby mi ktoś nie przeszkodził i nie zdjął ze mnie uroku.

- Jakiego uroku? - zdobywam się na odwagę.

- Uroku bezsennych godzin. - Podnosi na mnie błyszczące oczy. - Gdy w głowie bez przerwy tłuką się te same pytania i odpowiedzi, bo wydarzenia przybierają taki obrót, jakiego się nie spodziewałeś.

Przyglądam się, jak zamyślona, po omacku wyławia papierosa z torebki, patrzę, jak go zapala, i odprowadzam wzrokiem srebrnoszare kółka dymu, unoszące się ku bladoniebie- skiemu niebu. W parku robi się zdecydowanie ciepłej; zaczynają się kręcić ludzie, którzy mijając nas, nie mogą się oprzeć, by nie rzucić okiem na tę dziwną parę pod drzewami. Czuję lekkie zapach słodkich perfum, mydła i nikotyny, słyszę pstryknięcie zapalniczki, a kiedy trzyma papierosa między palcami, zauważam mocno obgryziony paznokieć.

- Siedziałaś tu całą noc? - pytam.

- Tak - odpowiada i kiwa głową, zaciskając nieco blade usta. - Ja i ta ławka jesteśmy starymi przyjacielkami. Podejrzewam, że ona zna wszystkie moje sekrety.

- Czy dała ci jakąś dobrą radę?

- Cóż, na tym właśnie polega wyższość ławek nad ludźmi. Nie dają rad, nie współczują. Po prostu stoją sobie, słuchają i poprzez swój bezruch uprzytamniają ci, że w życiu nie ma nic takiego, co mogłoby przewrócić świat do góry nogami. Uważam, że ławki chronią nas przed popadaniem w egzaltację. - Ella spogląda na mnie. - Pewnie uważasz mnie za osobę egzaltowaną - mówi cicho, bardziej do siebie niż do mnie. - Siedzę w parku w tym stroju. Palę papierosa. Piję kawę i wchodzę w dziwaczne układy z ławkami.

Nieśmiało podnosi na mnie wzrok i oboje wybuchamy śmiechem.

- Wcale nie - zaprzeczam.

Kusi mnie, żeby zacząć ją wypytywać, ale coś mnie powstrzymuje. Może to, iż przez dwadzieścia dwa lata ciągle mi powtarzano, że nie należy wścibiać nosa w nie swoje sprawy, a może moja powściągliwość, której do dziś się nie wyzbyłem. Być może hamuje mnie strach, że ona cierpi z miłości do kogoś, kogo już instynktownie nienawidzę, a czyjego istnienia postaram się nie przyjąć do wiadomości tak długo, jak to możliwe.

- Jesteś bardzo uprzejmy - mówi w końcu tonem, który każe mi wątpić w szczerość tego komplementu.

Dziękuję skinieniem głową, a jej słowa brzmią w moich uszach jak oskarżenie. Czuję, że oczekuje czegoś ode mnie, ale nie wiem czego, a ponieważ nie mam wprawy w rozmowach z ładnymi kobietami, wolę milczeć.

- Zastanawiam się, czy to wpływ twojego charakteru, czy wychowania - ciągnie dalej Ella - ten godny podziwu szacunek dla mojej prywatności. Gdybym była na twoim miejscu, zaciekawiloby mnie, dlaczego młoda kobieta siedzi całą noc w pustym parku i ma ochotę na rozmowy o bładym świecie.

Ostrożnie biorę jej słowa za zachętę.

- Powiedziałaabyś mi, gdybym cię zapytał? - mówię cicho.

- Pięć minut temu, być może tak - odpowiada, zatraskując zamek torebki. - Bo twoja obecność zanadto nastroiła mnie do zwierzeń. A ta stara ławka nadal stoi w tym samym miejscu co wczoraj - doskonały przykład dla nas wszystkich. - Ella milknie na chwilę. - Stały punkt w. zmieniającym się świecie. - Uśmiecha się i poklepuje zniszczoną deskę. - Poczulałam się lepiej i nie mam już takiej ochoty zanudzać cię moimi kłopotami, które, muszę uczciwie przyznać, sama na siebie ściągnęłam.

- Wcale byś mnie nie zanudziła - zapewniam ją, bo teraz

jeszcze bardziej pragnę dowiedzieć się, co trapi tę piękną, kruchą dziewczynę z poobgryzanymi paznokciami i ledwo zauważalnym obcym akcentem.

- No to się cieszę, bo widzę, że masz ludzkie cechy - odpowiada Ella i znów wybuchamy śmiechem.

- Czy mógłbym przynajmniej wiedzieć, jak się nazywasz? - pytam już odważniej, bo przeczuwam, że ona ma zamiar odejść.

- Mógłbyś. Nazwisko jest najmniej prywatną ze spraw dotyczących człowieka.

Wstaje z ławki i pochyla się, by zdusić papierosa o ziemię. Wkłada niedopałek do pustego kartonika w torebce. Słyszę, jak dwukrotnie trzaska zamek - przy otwieraniu i zamykaniu. Widzę, że Ella jest bosa. Przyglądam się, jak wyjmuje spod ławki wilgotne od rosy czarne satynowe szpilki. Ciągle nie odpowiada na moje pytanie.

- W takim razie jak się nazywasz?

- Ella Harcourt - mówi i podaje mi rękę. Ściskam jej wyciągniętą dłoń. - A ty?

- James Farrell - przedstawiam się.

- Hmm, James...

Dopiero co nawiązana, a już utracona nić porozumienia między nami prowadzi do pewnej niezręczności.

- Miło mi było - dopowiada w końcu.

I komu to wychowanie dyktuje, co należy powiedzieć? - myślę, irracjonalnie poirytowany tym, że odchodzi.

Ella widzi moje rozdrażnienie i śmieje się.

- Do widzenia! - mówię i również podnoszę się z ławki.

- Przyjemnego biegania! - odpowiada, odchodząc boso z butami w jednej ręce i styropianowym kubkiem w drugiej.

Widzę czerwone ślady na jej piętach, w miejscu gdzie obtarły je pantofle. Stawia ostrożnie stopy, ale idzie szybkim, zdecydowanym krokiem. Nie ogląda się. Wyczuwam, że wie, iż ją obserwuję. Dużo czasu mija, zanim tracę ją z oczu - ścieżka jest prosta i nie ma na niej ludzi. Wpatruję się w jej malejącą sylwetkę i znowu czuję pulsowanie w skroniach, a do mych uszu dochodzą odgłosy, których zazwyczaj się nie zauważa: drapanie pazurków wiewiórki o korę, szum dębowych liści poruszanych lekkim wiatrem i oburzone skrzeczenie sroki.

2

Jak powiedziałem, usiłuję w miarę rzetelnie odtworzyć własny wizerunek z tamtych czasów. Dwudziestodwuletni człowiek żyje w złudzeniu, że wie wszystko. W wieku lat siedemdziesięciu odkrywam z zalem, że co do wielu spraw nie mam pewności. Nie ufam sobie, wspomnieniom, uczuciom. I szczerze przyznaję się, że zawodzi mnie długo nie używana pamięć. Odkrywam jednak, iż pewne obrazy pozostają niezmienione. Do nich należy obraz Elli siedzącej na ławce w parku tamtego pierwszego ranka. Przywołałem go bez wysiłku; jest wyraźny i kompletny, jakbym widział go wczoraj. Pociągnął za sobą następne obrazy i sceny, dźwięki oraz zapachy, które towarzyszyły naszemu drugiemu spotkaniu; widzę ludzi tłoczących się ze wszystkich stron, słyszę ich głośny, sztuczny śmiech, czuję słodki smak szampana wymieszanego z brandy. Ponad tym wszystkim góruje głos Camilli - słyszę kadencje mowy dzielone dobitnymi akcentami i manierycznie przedłużanymi samogłoskami. „Koc- chaanie!” Ta scena, która teraz staje mi przed oczami, to prywatka z okazji dwudziestych pierwszych urodzin Camilli Boardman. Widzę ją wyraźnie; z misternie ułożonymi kasztanowymi lokami nachyla się nad stolikiem z prezentami i uśmiechając się w przestrzeń, przesuwa palcami po jedwabnej kokardzie na dużej paczce, zawiniętej w papier w paski. Skończyła się już kameralna kolacja wydana wyłącznie dla najbliższych przyjaciół, na którą nie zostałem zaproszony, więc, podobnie jak cała gromada innych ludzi, zjawiam się dopiero na balangę.

Jestem zmęczony. Spędziłem siedem bitych godzin w ciasnym, dusznym pokoiku na poddaszu domu moich rodziców; w uszach wibruje mi sonata skrzypcowa Beelhovena, czuję mrowienie w opuszkach palców. W dodatku przy pierwszych powitaniach zaczyna mi brzmieć w głowie trudny pasaż pizzicato, który wielokrotnie powtarzałem, i doskwiera mi ból w palcach prawej ręki. Pragnąłem jedynie położyć się do łóżka i w spokoju marzyć o mojej muzyce. Niestety, los oraz moja matka zdecydowali inaczej. Wysłali mnie, wykapanego, uczesanego i nieco otepiałego, na przyjęcie urodzinowe do tej dziewczyny z dobrego domu, którą osobiście lubię, chociaż mnie trochę przeraża, a którą moi rodzice uważają za kogoś, kogo „należy znać, jeżeli ma się możliwość”.

Jesteśmy w salonie o wysokim suficie w domu Boardma- nów

na Cadogan Square, a z portretów na ścianach wyzierają namalowane w ciemnych kolorach twarze dżentelmenów w perukach. Usunięto meble z centralnej części długiego salonu, dlatego większość z nas stoi. Czyjeś tam młodsze siostry oraz ich koleżanki poubierane w czarne spódniczki i białe bluzki krążą między nami z tacami z szampanem i liczą godziny do końca imprezy, kiedy o drugiej w nocy dostaną zapłatę za sw'oją mordęgę.

Wśród znajomych z czasów, gdy miałem około dwudziestu lat, najlepiej pamiętam Camillę Boardman. Nie dlatego, że byliśmy sobie szczególnie bliscy (choć później rozwinęła się między nami czysto platoniczna sympatia), lecz z powodu przesady, jaką ją cechowała. Camilla wzorowała się na stereotypach, nie przekraczając przy tym cienkiej granicy parodii. Jej loki były mocniej skręcone niż u innych kobiet, które znałem, sukienki bardziej dopasowane, a piersi okrągłejsze. Bardziej niż inni przeciągała samogłoski i przesadnie modulowała głos. Moja matka była zachwycona, że ją znam, i jestem przekonany, iż po cichu marzyła o takiej synowej. Nie muszę mówić, że nabożnym podziwem darzyłem tę piękność o złotobrązowych włosach, która przy najmniejszej okazji zarzucała mi ramiona na szyję (tym gestem miała zwyczaj obdarzać wszystkich znanych jej mężczyzn), a która tamtego wieczoru przyjęła ode mnie prezent z okrzykami zachwyty, po czym wyciągnęła mnie na środek salonu, żebym wmieszał się w tłum gości.

- Koochaany, wyglądasz fantastycznie! - zaszczębiotała, chwytając mnie za kłapy smokingu, czym, z charakterystycznym dla siebie taktem, dała mi do zrozumienia, że jeszcze nie powiedziałem żadnego komplementu na temat jej sukienki.

- Ty również wyglądasz świetnie - odpowiedziałem z przekonaniem, patrząc z nieklamana przyjemnością na jej białą obcisłą sukienkę, która przylegając do ciała jak druga skóra, zakrywała niezbędne minimum i wspaniale podkreślała opaleniznę.

- Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczynom - szepnęła mi do ucha filuternie, rezygnując z dodania zwyczajowego „ty nieznośny chłopcze”, bo właśnie znaleźliśmy się w grupce zupełnie nie znanych mi osób, które zdawały się być ze sobą w bardzo zażyłych stosunkach.

Ponieważ cały czas napływali nowi goście, Camilla pośpiesznie dokonała prezentacji.

Twarze tamtych ludzi, którym mnie przedstawiała, zatarły się w mej pamięci. Ich nazwiska pomieszały się, uciekły gdzieś w zapomnienie i myślą mi się z wieloma nazwiskami innych osób poznanych na najróżniejszych przyjęciach; osób, z którymi miałem okazję chwilę rozmawiać, a potem już nigdy ich nie spotkałem. Pamiętam czarne sukienki i olśniewająco białe gorsy koszul, loczki, przedziałki, tu i ówdzie starannie upozowany artystyczny nieład, a także spinki do mankietów z monogramami. Zgodnie z zaleceniami rodziców obracałem się wśród takich właśnie ludzi, a jednocześnie z cichą satysfakcją pogardzałem nimi. Jak już wspominałem, w tamtym okresie stawiałem pierwsze nieśmiałe kroki na drodze do niezależnego myślenia, nic więc dziwnego, że odchodziłem od poglądów narzuconych mi przez wychowanie, od bezdyskusyjnego przestrzegania obowiązujących norm społecznych, które wpojono jeszcze moim rodzicom w latach pięćdziesiątych. Obecnie patrzę na to wszystko z ogromnym niesmakiem człowieka, jak mi się zdaje, o szerokich horyzontach.

Ale nie zawsze tak było; nawet wtedy (mimo mego poczucia wyższości) byłem świadomy, że wyglądem przypominam pozostałych gości, tudzież prowadzę takie same rozmowy, identycznie jak oni akcentując słowa. Dlatego zastanawiałem się, gdy głosy z tych rozmów bębniły mi pod czaszką, czy oni oceniali mnie w podobny sposób jak ja ich. Niewykluczone, że był to rodzaj szarady dla nas wszystkich; może każde z nas indywidualnie dostrzegało absurdalność rytuału, w jakim zbiorowo tak skwapliwie uczestniczyliśmy. Moje poczucie wyższości było zapewne nieco na wyrost.

Nachodzą człowieka takie myśli, gdy się ma dwadzieścia parę lat. Nie poznałem jeszcze korzyści, jakie wynikają z postępowania w pełnej zgodności, najlepiej nieświadomie, z obowiązującym wzorem zachowań, ani nie nauczyłem się wykorzystywać możliwości, jakie niesie ze sobą poddanie się systemowi społecznemu, zaprojektowanemu tak, by trzymać ludzi w szachu, a uczucia na wodzy i żyć bez zakłóceń dzięki hipokryzji. Nie zabija się za dobre maniere. Gdybym w pewnym momencie nie przyjął innego systemu wartości niż ten obowiązujący w salonie, z pewnością nigdy nie zabiłbym Sary. A Sara zasłużyła na śmierć.

Gdybym nigdy nie wyszedł poza gładką moralność, której granice wytyczają kazania wygłaszane w szkolnej kaplicy do słuchaczy w tweedowych ubraniach, nigdy nie potrafiłbym ukarać jej tak, jak na to zasłużyła. „Kara” - co za wstrętne słowo!

Kiedy tamtego wieczoru stałem w salonie Camilli, nie przypuszczałem, że już niedługo zetknę się z tą nie zawoalowaną rzeczywistością i o wiele bardziej zróżnicowanym, a co za tym idzie, znacznie niebezpieczniejszym wachlarzem wyborów moralnych niż te, jakich dotychczas dokonywałem. Zbyt byłem zajęty ciągłym ponurym roztrząsaniem, czy ludzie widzą mnie tak jak ja ich, by móc wyjść poza granicę buntu dotyczącego norm towarzyskich. Trudno natomiast uznać za bunt to, co jest wyrażane jedynie w myślach lub od czasu do czasu w ostrych klótniach z rodzicami.

Jak już wspomniałem, tamtego wieczoru prześladowała mnie myśl, że ktoś z uczestników przyjęcia może pogardzać mną z tych samych powodów, z jakich ja pogardzałem nimi; że może uznać, iż ja również rozmawiam wyłącznie o wakacjach na południu Francji, weekendach na wsi czy przyjęciach w Londynie, na których byłem lub tylko udaję, że byłem. Przez cały czas, gdy brałem udział w ożywionej rozmowie o czyjejs tam willi w Biarritz, brakowało mi odwagi i chęci, by głośno wyrazić dezaprobatę.

Och, tak! Teraz bardzo dobrze przypominam sobie ten natłok sprzecznych myśli, które kłębiły mi się w głowie: to pragnienie, by wyrwać się z tego środowiska, a jednocześnie chęć, by udowodnić sobie samemu, jak doskonale się w nim komponuję, jeśli mam na to ochotę; te teorie społeczne, których nie miałem odwagi wypowiedzieć głośno i wykorzystywałem jedynie w przeciągających się klótniach z rodzicami na temat mojej przyszłości; tę mieszaninę arogancji i pokory, które na zmianę wywoływały mój zachwyty lub obrzydzenie z powodu własnej hipokryzji. W tamtych czasach potrafiłem myśleć i nie myśleć; umiałem przekonać siebie, że żyję, choć nie żyłem; że czuję, gdy właściwie nie wiedziałem, co to znaczy czuć. Wydawało mi się, iż wszystko już zgłębiłem: że znam mój umysł, moje poglądy, mój system wartości. Byłem tak zadowolony z siebie, że aż się prosiło, by los wystawił mnie na próbę. A ponieważ do niej nie dojrzałem, więc kiedy nadeszła, stała się dla mnie całkowitym zaskoczeniem i

pociągnęła za sobą fatalne skutki.

Ale to już dalszy ciąg tej historii.

Tamtego wieczoru stałem w salonie i rozmawiałem o czyjejs willi w Biarritz. Uśmiechałem się, piłem drinki z szampanem, odkryłem, że chodziłem do szkoły razem z czyimś tam bratem, i opowiedziałem o nim zabawną, aczkolwiek niezbyt sympatyczną anegdotkę z tamtych czasów. Co rusz dochodziły do mnie wysokie tony głosu Camilli - radosne okrzyki, jakimi witała kolejnych gości i ich prezenty, pośpieszne prezentacje, entuzjastyczne komplementy na temat sukienek. Właśnie wyczerpywał się mój repertuar inteligentnych spostrzeżeń (prawdziwych i wymyślonych) na temat willi w Biarritz, gdy poczułem, jak Camilla trąca mnie lekko w ramię i popycha na środek naszego kręgu smukłego, raczej bladego młodzieńca o jasnych, wiotkich włosach i nieproporcjonalnie małych w stosunku do wzrostu dłoniach.

- James, kochanie - mówi Camilla, zwracając się do całej naszej grupki - oto twój stary znajomy.

Nigdy przedtem nie widziałem człowieka, ale pewność, z jaką Camilla wygłosiła swoją kwestię, kazała mi przypuszczać, że musiałem go poznać, zacząłem więc gorączkowo szukać w myślach jego nazwiska.

- Cześć! - powiedziałem, ściskając serdecznie jego dłoń.

Była wilgotna.

- Cześć! - rzucił z wyrazem intensywnego skupienia w oczach.

Wiedziałem na pewno, że nigdy się nie spotkaliliśmy. Powiedziałem to Camilli.

- Ależ, kochanie, musicie się znać. Byliście razem w Oxfordzie. W tym samym college'u. Charlie również studiował w Oriel.

- Nie sądzę, byśmy byli tam w tym samym czasie - zauważyłem.

- Na pewno nie - poparł mnie niezwykle skępowany Charlie.

- Cóż, w takim razie będę musiała was sobie przedstawić - jęknęła nasza gospodyni, jakby cały ciężar kuli ziemskiej spoczął na jej ramionach, zrzucony przez Atlasa, który właśnie poszedł po drinka z szampanem.

- James Farrell, Charlie Stanhope. Charlie Stanhope, James Farrell. - Camilla błyskawicznie dokonała prezentacji, machając przy tym dłońmi o starannie wymanikiurowanych paznokciach.

Reszta naszej grupki zdawała się dobrze znać Charliego, miałem więc sporo czasu, by mu się przyjrzeć, gdy podstawał policzek do pocałunków pań i ścisnął dłonie mężczyzn.

Upłynął właśnie tydzień od mego spotkania w parku z Ellą Harcourt i zrezygnowany, pogodziłem się z tym, że więcej jej nie zobaczę. Lecz oto zupełnie niespodziewanie pojawił się ktoś, kto mógł mnie do niej doprowadzić. Ella rozpoznała moje skarpety, bo takie same nosił Charlie Stanhope; w takim razie musiała go znać, a jeżeli ona znała jego, to on również znał ją i mógł, o ile go przekonam, powiedzieć mi, jak się z nią skontaktować. Przeszło mi przez myśl, że to może być jakiś zupełnie inny Charlie Stanhope, ale czym prędzej odsunąłem taką możliwość, bo nie wierzyłem, by los mógł okazać się aż tak okrutny. Z trudem ukrywałem falę ogarniającego mnie podniecenia, gdy obserwowałem, jak Charlie, nachylając się, całuje kobiety i kładzie im na ramionach swoje drobne dłonie.

Kiedy wreszcie wyprostował się, zobaczyłem, jaki jest wysoki. Był wyższy ode mnie i o ile to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej niż ja przypominał tyczkę. Miał jasne, podobne do siana włosy, wodniste niebieskie oczy i delikatną twarz, w której dominował wydatny orli nos. Ze sposobu, w jaki poruszała się jego grdyka, odgadłem, że poddusza go za ciasny kołnierzyk. Zachwycony niespodziewaną okazją, a jednocześnie czujny, by jej nie stracić, z rozważą i metodycznie kombinowałem, jak podejść Charliego. Postanowiłem nawiązać z nim dobry kontakt, a potem dopiero wypytać o znajomych. W związku z tym zrezygnowałem z dalszej rozmowy o willach we Francji i zwracając się do Charliego, rozpocząłem z nim konwersację, jaką Camilla niewątpliwie dla nas przewidziała.

- Jak ci się podobało w Oxfordzie? - zapytałem uprzejmie.

Charlie równie grzecznym tonem udzielił sztamkowej odpowiedzi na moje wyświechtane pytanie, bez wątpienia będąc myślami gdzie indziej. Jego odpowiedzi na moje kolejne pytania świadczyły o wprawie wynikającej z częstych powtórek, więc zrozumiałe, że od college'u przeszliśmy do szeroko pojętego życia na uczelni. Od czasu do czasu wtrącałem taktowne uwagi w jego wyszukany monolog. Zauważyłem z pewną ulgą, że jego anegdotom brakuje polotu i oryginalności. Charlie Stanhope skrupulatnie wykonywał w Oxfordzie wszystko, co powinien zrobić student przeżywający swe najlepsze lata, czyli wskoczył do rzeki

w pierwszy dzień wiosny, sfotografował się z kolegami z roku na balu absolwentów Oriela i osiągnął średnią ze studiów znacznie powyżej przeciętnej. Bardzo dokładnie, nieco znudzonym głosem kogoś, kto nadto często prowadzi takie rozmowy, opisał mi każde z tych zdarzeń. Potem wyjaśnił, że obecnie pracuje w rodzinnym banku i mieszka w Fulham. Grywa w tenisa w Hurling-ham Club, towarzyszy babce na wyścigach w Ascot w „la- dies’ day” i niedawno się zaręczył. Moje gratulacje skwitował lekkim skinieniem głowy.

- Wspaniała dziewczyna - rzekł bezbarwnym głosem. - Ale nie mów nikomu. To jeszcze nieoficjalne.

Nabrałem sympatii do Charliego w trakcie tej rozmowy. Moja życzliwość narodziła się z rozwianej wrogości, bo jeżeli, jak podejrzewałem, Ella Harcourt przeżywała dramat z powodu mężczyzny, to nie mógł nim być Charlie. Chociaż nie wiedziałem o Elli nic więcej prócz tego, co powiedziała mi w parku, i nie miałem pewności, czy ją kiedykolwiek jeszcze zobaczę, poznałem ją na tyle, by wiedzieć, że ktoś tak mdły jak Charlie Stanhope nie mógłby zawrócić jej w głowie. Kiedy nabrałem przekonania, że nie jest potencjalnym rywalem, polubiłem tego nieszkodliwego, najwyraźniej znudzonego młodego człowieka, który z wyćwiczoną swadą snuł swoją opowieść.

Gdy wyczerpały się tematy związane z uczelnią i karierą, zapytałem go obojętnym tonem, czy przypadkiem nie zna dziewczyny, która nazywa się Ella Harcourt.

- Znam ją dobrze - odparł, rzucając mi spojrzenie spod białych, prawie niewidocznych rzęs.

Ponieważ nie rozwinął tematu, zapytałem go po chwili, jak długo ją zna.

- Och, całe wieki.

- Naprawdę? - powiedziałem, zastanawiając się jednocześnie, jak sformułować następne pytanie.

- Tak - potwierdził i wyciągnął swoją małą dłoń po następny koktajl z szampanem, bo akurat przechodziła obok dziewczyna z tacą.

- A nie wiesz przypadkiem, jak mógłbym się z nią skontaktować? - Zdecydowałem, że bezpośrednie pytanie będzie najmniej niezręczne.

Charlie pytająco uniósł brwi.

- Bo widzisz - brnąłem dalej, nie wiadomo czemu czując, że powinienem wymyślić jakieś kłamstwo - mam coś, co należy do niej. Jej torebkę. Zostawiła ją na przyjęciu, na którym byliśmy razem w zeszłym tygodniu. Chciałbym ją oddać.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony - odparł. - Ale czemu teraz z nią o tym nie porozmawiasz?

Podążyłem za wzrokiem Charliego ku drzwiom i ujrzałem w nich Ellę.

Widzę ją całkiem wyraźnie; stoi pod taksującym spojrzeniem patrycjuszowskich przodków Boardmanów i uśmiecha się do Camilli, nie patrząc prosto na nią. Ma na sobie tę samą sukienkę, w której ją poznałem. Nie, nie... to nie ta sama sukienka, bo tym razem widać kolana. Tamta była długa. W każdym razie sukienka jest czarna, na wąskich ramiączkach. Na plecach spływają końce zawiązanego na karku, delikatnego jak mgielka szala. Jego kremowy kolor sprawia, że twarz Elli, mimo zaróżowionych policzków, wydaje się blada. Ella jest niższa od Camilli, a jej uroda mniej rzuca się w oczy. Ni stąd, ni zowąd zastanawiam się, jaka w dotyku jest jej skóra we wgłębieniu nad obojczykiem. Widzę, jak Camilla odbiera prezent od Elli i dumą przez chwilę, gdzie go położyć na stole zarzuconym paczkami. Wreszcie umieszcza go na samym szczycie sterty - pakunek chwieje się, bo jest bardzo mały. Pudełko jest owinięte w brązowy papier i przewiązane złotą wstążką z materiału przypominającego szal Elli. Ciekawe, co znajduje się w środku.

- Powiem jej, jeśli chcesz.

Mój cudowny dreszczyk emocji zniknął pod wpływem głosu Charliego, który po raz pierwszy zabrzmiał mi nieco natarczywie.

On już ruszał między gości, naprzeciw Elli.

- Mam na myśli torebkę! - wykrzyknął, wchodząc w tłum.

- Dobrze - odmruknąłem z nadzieją, że moje kłamstwo, to niepotrzebne kłamstwo, nie wyjdzie na jaw. Tysiące myśli przeleciało mi przez głowę, zanim zdołałem dodać coś jeszcze, ale Charlie już zniknął mi z oczu.

Gdy, zawadzając o ramiona i łokcie, z przepaszającym uśmiechem przeciskałem się w ciżbie w kierunku Elli, zobaczyłem, jak Charlie poklepał ją po ramieniu, a ona odwróciła się i pocałowała go z uśmiechem. Zauważyłem, że oboje usuwają się ze strumienia napływających gości, więc też odpowiednio zmieniłem kierunek.

- Cześć, Ełlo! - powiedziałem, gdy wreszcie znalazłem się za nią. Obejrzała się na dźwięk swego imienia i uśmiechnęła się na mój widok. W tym uśmiechu wyraźnie czytałem umiejętnie zamaskowane zmieszanie; musiała być zaskoczona.

- Cześć, James! Co za niespodzianka!
- Prawda?
- Niesamowite.
- Dla mnie też.

Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie; ona usiłowała odtworzyć w myślach, co dokładnie mówiła tamtemu nieznanemu chłopakowi, którego nie spodziewała się więcej spotkać, a ja napawałem się widokiem jej delikatnych rysów, obciętych „na chłopaka” jasnych włosów, nadal podkrążonych oczu

o zielonej głębi i zaróżowionych policzków. To Ella pierwsza przypomniała sobie o dobrych manierach.

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o Charliem Stanhopie?

Przytaknąłem skinieniem głowy, czując cichą satysfakcję z jego nieco zaskoczonej miny. Charlie stał tuż za nią, kiedy odwróciła się przodem do mnie.

- To właśnie on. - Ella wykonała półobrót, tak że teraz znalazła się między nami. - Charlie, przedstawiam ci mojego znajomego, Jamesa Farrela. On także był w Oriel, chociaż chyba nieco później niż ty.

Śpiewny głos Elli był jak muzyka dla moich uszu.

- Zdążyliśmy się już poznać. - Charlie uśmiechnął się do mnie, nieco zbity z tropu. - Przegadaliśmy chyba z godzinę, gdy szanowna pani robiła sobie fryzurę, by spóźniając się, zrobić wrażenie. - Ścisnął ją czule za ramiona. - Nasz James chce ci coś oddać. - Ella przeniosła wzrok na mnie, a Charles mówił dalej: - Torebkę, o której twoja śliczna, mała główka zapomniała po jakimś przyjęciu w zeszłym tygodniu.

Wytrzymałem jej spojrzenie, pilnując, by się nie zaczerwienić.

Widziałem, jak wyraz zdziwienia na jej twarzy zmienia się w zrozumienie, a potem chyba w rodzaj przekornego rozbawienia.

- No tak - odezwała się wreszcie z błyskiem w oczach. - Co za bezmyślność z mojej strony! Ale przecież wiesz, jaka ze mnie zapominalska.

- Wiem doskonale - odparł z uśmiechem Charles.

- Byłbyś tak kochany i przyniósł mi kieliszek szampana? -

zwróciła się do niego Ella. - Ale bez brandy. Nie znoszę tego paskudztwa.

Charlie skinął głową i posłusznie wmieszał się w tłum. Oboje odprowadziliśmy wzrokiem jego jasne włosy, unoszące się w rytm kroków, gdy kluczył pośród gości, górując nad nimi wzrostem o dobre piętnaście centymetrów.

- A więc, Jamesie, znowu się spotykamy.

Pokiwałem głową.

- Dzięki, że pośpieszyłaś mi na ratunek.

- Nie ma za co. Szczerze mówiąc, pochlebia mi to. Cieszę się, że jesteś zuchwalszy niż wtedy, kiedy się poznaliśmy.

- Czy kłamstwo jest czymś zuchwałym?

- Nakłamałeś Charlesowi, by wyciągnąć od niego informacje na mój temat. Gratuluję.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Co słyszeć? - zapytałem.

- Mniej więcej to samo. Nic się nie zmieniło. Inna sukienka, świeży makijaż, nowe buty. Niestety, problemy rozwiązuje się znacznie trudniej niż kwestię wyboru garderoby czy szminki.

- Więc problem pozostał, tak? Ten sam, o którym nie chciałaś mi opowiedzieć?

- Nie ustąpisz dzisiaj, prawda?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, powrócił Charles z szampanem dla Elli i sokiem pomarańczowym dla siebie.

- Prowadzę - wyjaśnił, unosząc szklankę do góry.

Gdy Charlie z promiennym uśmiechem rozglądał się po pokoju, ktoś zaintonował *Happy Birthday*. Wkrótce wszyscy goście śpiewali gromkim chórem i przygaszono światła, bo do salonu wjechał na wózku ogromny, obłany białym lukrem tort urodzinowy z dwudziestoma świeczkami.

Camilla stanęła na środku pokoju, rumieniąc się stosownie do okazji.

- Czy ona nie jest zjawiskowa? - szepnęła mi do ucha Ella.

Pojawienie się tortu i jego podział zajęły mniej więcej pół godziny. W tym czasie straciłem Ellę z oczu. Goście rozdzielili się na dwie grupy - tych, co mieli ochotę zostać do rana, i tych (w zdecydowanej mniejszości), którzy zamierzali wykorzystać zamieszanie, by niepostrzeżenie wyjść. Ella oddaliła się ode mnie, zanim skończyliśmy śpiewać. Obserwowałem z końca sali, jak Charles przeciska się po kawałek gąbczastego ciasta pokrytego

kremem. Znowu znalazłem się w towarzystwie dziewczyny z willą w Biarritz, która, jak podejrzewałem, kokietowała mnie w nadziei, iż zacznę starać się o zaproszenie. Z perwersyjną satysfakcją nie ułatwiałem jej zadania.

Spostrzegłem Ellę, dopiero gdy z kawałkiem tortu na talerzyku prawilem Camilli komplementy na temat jej świetnego przyjęcia. Stała samotnie, rozglądając się. Na kogo patrzyła? Kogo wyglądała? Może mnie? Chociaż nadzieja była niewielka, zakończyłem rozmowę z Camillą i ruszyłem do małej wnęki z regałami pełnymi książek, gdzie stała Ella. Czerwone grzbiety tych nigdy nie czytanych książek sprawiały, że w półmroku alkowy twarz Elli wydawała się jeszcze bledsza.

- Hej, James! - zawołała, kiedy się zbliżyłem.

- Hej!

W pokoju obok zaczęła grać głośna, monotonna muzyka. Staliśmy, patrząc, jak ludzie wychodzą z salonu zwabieni jej dźwiękiem. Dziewczyna z willą w Biarritz rozmawiała z kimś przez telefon komórkowy.

- Wiele bym dała, żeby się dowiedzieć, co dzieje się w ich umysłach - odezwała się niespodziewanie Ella, wciąż nie odrywając wzroku od salonu pełnego smokingów i kusych sukienek. - Oczywiście, jeżeli w ogóle je mają, bo sądząc po zachowaniu, szczerze w to wątpię.

Zaskoczyła mnie ta wypowiedź, tak bardzo odzwierciedlająca mój stan ducha. Ella potwierdziła to, co nurtowało mnie w trakcie dzisiejszego przyjęcia i podczas innych podobnych wieczorów - że nie ja jeden jestem nastawiony krytycznie do świata pozorów oraz towarzyskich rytuałów

i że ja, który tak chętnie krytykuję innych, sam również podlegam cenzurze.

- Sądzę, że każdy człowiek ma rozum - odparłem. - Problem polega jedynie na tym, czy zdecyduje się go używać.

- Dobrze powiedziane. - Ella obdarzyła mnie uśmiechem i wzięła do list kawałek tortu. Przez chwilę staliśmy w milczeniu. - Chyba powinnam ci się wytłumaczyć z mojej arogancji - dodała cicho.

- Jeśli masz ochotę.

Stać mnie było na wielkoduszność, bo z ulgą stwierdziłem, że mnie wyłączyła ze swojej krytyki.

- Z radością się przed tobą wytłumaczę. Bóg mi świadkiem, że ćwicząc od lat, mam w tym niezłą wprawę. - Uśmiechnęła się. - Widzisz, James, mój problem nie polega na tym, że jestem bezmyślna, chociaż czasami wołałabym, żeby tak było. Mój problem... - urwała.

Czekałem na dalszy ciąg.

- Mój problem...

- Tak?

Ella wyraźnie się wahała. Odniosłem wrażenie, iż uznała, że jeszcze chwila, a będzie zbyt szczerą.

- Mój problem polega na tym, że za dużo mówię - dookończyła wreszcie, uśmiechając się, - Nie powinnam ci tego wszystkiego opowiadać. Prawie się nie znamy. Nie musisz wysłuchiwać moich dywagacji. Lepiej pójde poszukać Charlesa. Pochyliła się po torebkę.

- Nie - zaprotestowałem cicho.

Zatrzymała się pod wpływem nie zamierzonej stanowczości w tonie mego głosu.

- Nie odchodź. Powiedz mi.

Nie zareagowała.

- Ciekawi mnie to.

- Naprawdę?

Pokiwałem głową, wzruszony niespodziewaną bezradnością jej pytania.

- Nie mogą interesować cię bezładne refleksje dziewczyny, której prawie nie znasz.

- Interesują mnie. Mów.

- No cóż - zaczęła po dłuższym milczeniu, zapatrzona na morze ludzi poza wnetką. - Chodzi o to, że chociaż mam rozum, cholernie rzadko go używam. Mobilizuję się dopiero wtedy, gdy wydarzenia są już poza moją kontrolą. I w tym cały kłopot.

Wyraziłam się niegrzecznie o ludziach tutaj, bo jak przypuszczam, różniej mi, kiedy czuję, że nie jestem sama w tym światku głupców.

- Tak, masz we mnie pokrewną duszę, jeżeli to dla ciebie jakaś pociecha.

- Jesteś bardzo miły.

Zaczęła przewracać w torebce, w tej samej, którą miała w zeszłym tygodniu. Tak jak wtedy usłyszałem pstryknięcie zamka i zobaczyłem, jak wyjmuje paczkę papierosów. Tak jak za tamtym razem odprowadziłem wzrokiem pierwsze sine kółka dymu, które teraz unosiły się pod sufit, a nie ku błękitnemu, rozświetlonemu różowym brzaskiem niebu.

- Jedyna nadzieja w tym - podjęła przerwany wątek - że ten ocean, o tam, ponosi za to większą winę niż ja. - Zamyśliła się na chwilę. - Nie sądzisz, iż społeczeństwo przypomina ocean? - Zamachała ręką z papierosem w kierunku gromady gości kręcącej się przed wnęką. - Ciągle beznadziejnie wierzę, że to nie moja wina, iż pozwoliłam się ponieść tam, gdzie się teraz znalazłam. Prąd oczekiwań innych ludzi jest bardzo silny. Kim jestem, żeby z nim walczyć?

- Zapominasz, że ja nie wiem, jak wygląda twoja wyspa - powiedziałem.

- Nie, nie wiesz.

Pomyślałem, że ton jej głosu był teraz niemal serdeczny. Zaciągnęła się głęboko papierosem.

- I nie mam zamiaru zanudzać cię jej topografią. Nie jest zbyt interesująca.

Czekałem na dalszy ciąg, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Ale zgodzisz się ze mną, że społeczeństwo jest jak ocean? - Niemal z niepokojem wróciła do poprzedniego tematu.

- Nie jestem pewien.

- Na przykład popatrz na ludzi uczestniczących w tym przyjęciu. Wszyscy pływają posłusznie, unoszeni przez prąd. Pływają potulnie i bez wysiłku w swoim morzu. Nie muszą wybierać kierunku ani zastanawiać się, dokąd płyną. Ciekawe, ilu z nich to robi. To znaczy, zastanawia się, dokąd poniesie ich prąd. Chciałabym wiedzieć, ilu z nich próbuje popłynąć o własnych siłach. - Znowu zaciągnęła się papierosem. - Ludzie poruszają się ławicami jak ryby. Tak jest najbezpieczniej.

Słuchałem zafascynowany łatwością, z jaką Ella potrafiła wyrazić myśli, których ja nie umiałem ubrać w słowa.

- A czy to ich uszczęśliwia? - spytałem.

- Co?

- No, to pływanie w ławicach.

- Przypuszczam, że tak. Jeżeli nie poznali niczego innego, nie mogą chcieć o wiele więcej, niż mają. Czasami ignorancja bywa

błogosławieństwem. Przynajmniej w przypadku niektórych ludzi.

- A w twoim przypadku? - Kameralność wnętrza dodawała mi odwagi i tylko po części byłem zdziwiony własną śmiałością.

- Niestety, brak mi odpowiedniej wiedzy. Mam jej dostatecznie dużo, by orientować się, jak ograniczona jest moja wolność, lecz za mało, by wiedzieć, co w związku z tym zrobić. Wydaje mi się, że być może, ale tylko być może, powinnam była włożyć więcej wysiłku w to moje samotne pływanie, bo w przeszłości zamierzałam próbować pływać poza ławicą. Tylko że to takie okropnie trudne. Takie męczące.

Energicznie zdusiła papierosa.

- Przecież cokolwiek się stało, jeszcze nie jest za późno. Ile masz lat? Dwadzieścia dwa, trzy?

- Dwadzieścia trzy.

- No widzisz. Całe życie przed tobą.

- Nie mów tak. To niezbyt pociągająca perspektywa. A w moim przypadku...

Jej wywód przerwało pojawienie się Charliego Stanhope'a. Otoczył Ellę w talii ramieniem i przeprosił mnie grzecznie za to, że ją porywa.

- Chodźmy tańczyć - powiedział do niej, a potem bąknął w moją stronę: - Wybacz.

Ku memu zdziwieniu Ella poszła z nim bez słowa protestu. A ja zostałem, zadowolony, ze wspomnieniem szczerego spojrzenia jej zielonych oczu. Oparty o regał z książkami, patrzyłem, jak odchodzi z Charliem, który niezdarnie przewiesił jej ramię przez plecy. Mimo że oddalającą się sylwetkę Elli zasłaniali mi ludzie, nie odrywałem oczu od jej jasnej głowy, bo wierzyłem, że da mi jakiś znak. I rzeczywiście, gdy dotarła do końca sali, nagrodziła mój wysiłek jednym krótkim spojrzeniem. Ale nie uśmiechnęła się. Wygląd jej bladej, ściągniętej twarzy kazał mi otrząsnąć się z marzeń i przywołał wspomnienie jej szklanych oczu i drżenia rąk, gdy tamtego poranka siedziała w parku ze styropianowym kubkiem w dłoni.

Zanim wykonałem jakikolwiek ruch, wyszła z pokoju i zniknęła mi z oczu w pasażu pełnym gości. Ponownie do mych uszu dotarły dudniące dźwięki muzyki. Wyobraziłem sobie, jak Ella porusza się z gracją w mrocznej sali, poczułem nawet zapach jej cytrynowego mydła, dymu z papierosa i drogich perfum.

Pamiętam, co wtedy czułem; pamiętam to pomieszanie fru-

stracji i zadowolenia, które kazało mi z taką niecierpliwością oczekiwać na jej powrót. Nawet teraz, po pięćdziesięciu latach reaguję na to wspomnienie; nawet tu, w tym fotelu przy oknie mój oddech staje się szybszy z podniecenia, gdy przywołuję w pamięci płynność, wdzięk i nieskończoną lekkość jej ruchów. To wszystko przypominało pierwsze odurzenie zbyt małą dawką narkotyku - otrząsnąłem się z błogostanu i byłem zdecydowany wziąć następną.

Oczywiście, wiedziony impulsem, miałem ochotę pójść za nią i wyrwać ją z ramion Charlesa. Ale w obawie, by jej nie rozgniewać, czekałem, dumając, jak odsunąć ją od niego w delikatniejszy sposób. Skąd mogłem mieć pewność, że byłaby zadowolona z mojej ingerencji? Zastanawiałem się, czy ona czuje, że przekroczyła granicę konwenansu, i myślałem z zachwytem, że choć nie znaleźmy się, nasza rozmowa nie była zwykłą konwersacją dwojga obcych ludzi. Chciałem jej o tym powiedzieć, podzielić się z nią moją ekscytacją, ale brakowało mi pretekstu, by ją odszukać. Wiedziałem, że muszę czekać, aż ona mnie znajdzie.

I wtedy właśnie spostrzegłem jej torebkę - małą, aksamitną kopertówkę, leżącą na podłodze u mych stóp, zapomnianą w roztargnieniu przez właścicielkę. Schyliłem się po nią, czepiając się nadziei, że Ella celowo ją zostawiła, a mój umysł podsuwał najbardziej szalone pomysły co do rozwoju sytuacji. Wyprostowałem się z torebką w dłoni i szybko, niemal ukradkiem położyłem ją na półce obok, by przypadkiem ktoś inny nie znalazł jej i nie oddał Elli. Z rozmysłem przez pięć, dziesięć, może piętnaście minut nie ruszałem się z miejsca, delektując się posmakiem intrygi. W końcu sięgnąłem po moją zdobycz i ruszyłem przez rzadniejący tłum, by odszukać Ellę.

Obszedłem szybko salon, ale jej nie było. Nie znalazłem jej również w pasażu ani w pokoju tanecznym, gdzie DJ za konoletą ustawioną przy stylowym kominku wyglądał dziwnie nie na miejscu. Zatrzymałem się na chwilę przed okupowaną przez dziewczyny łazienką, w nadziei, że może za chwilę się z niej wynurzy, ale zamiast tego natknąłem się na Camillę. Stała w drzwiach uśmiechnięta i z wyraźnym zakłopotaniem energicznie pocierała nos. Nasze spojrzenia spotkały się.

- O Boże, kochanie, ja naprawdę nie biorę - wyszeptała mi do ucha, zręcznym ruchem ujmując mnie pod ramię. - Ale takie czasy, że trzeba przynajmniej udawać.

Rozbawiło mnie, że stosunek Camilli do kokainy, jak i do wszystkich innych spraw podyktowany jest rygorystycznym przestrzeganiem obowiązujących trendów.

Moja gospodyni powiodła mnie z powrotem do pokoju, z którego dopiero co wyszedłem, i wtedy zobaczyłem w kącie Charlesa Stanhope'a, podrygującego samotnie w rytm muzyki. Przyspieszyłem kroku, bo nie miałem ochoty, by dołączyć do mnie w poszukiwaniach. I właśnie wtedy usłyszałem, jak Camilla rozmawia z kimś o jakimś histerycznym zachowaniu. Przyszła mi do głowy myśl, że może Ella opuściła przyjęcie, nie pożegnawszy się z nikim, i w tej samej chwili poczułem ucisk w krtani. Uspokoilem się zaraz, powtarzając sobie w duchu, że na pewno nie wyszła, że musi gdzieś być. Wróciłem do pustoszejącego już pasażu i sprawdziłem jeszcze raz, płacząc się wśród wymieniających ostatnie grzeczności. Nigdzie jej nie zauważyłem. Ze łzami w oczach zacząłem wspinać się po schodach na piętro. Bo jeżeli ona wyszła bez pożegnania, jeżeli całą moją nadzieję zbudowałem na niczym, jeżeli ona w takim stylu rozmawiała ze wszystkimi mężczyznami, to potrzebna mi była odrobina samotności w jakimś ciasnym, ciemnym miejscu. Camilla Boardman nie należała do osób, którym można pokazać się w płacziwym nastroju. Wspiąłem się więc szerokimi schodami Boardmanów na ciemne półpiętro i nie zatrzymując się, szedłem zwiężając się klatką schodową wyżej i wyżej, mijając kolejne kondygnacje. Pokonywałem je teraz powoli, ostrożnie, w zupełnych ciemnościach i nagle prawie nastąpiłem Elli na dłoń. Siedziała na stopniu, oparta plecami o poręcz. Najwyraźniej nie spostrzegła mnie i nie usłyszała kroków, bo w jej okrzyku zabrzmiało zaskoczenie i strach.

- Kto tu jest? - zapytała ostrym głosem, zapewne dopiero teraz zastanawiając się, co pomyśli sobie któryś z gości Boardmanów, gdy odkryje jej obecność parę pięter nad salą balową.

- To ja - wyszeptalem.

- Ty? James? Co ty tu robisz?

- O to samo mógłbym ciebie zapytać.

- Mógłbyś, lecz nie zapytasz. Krępowany przez tę swoją angielską powściągliwość, poczekaasz, aż sama ci powiem. Ale ja tego nie zrobię. - Ella była teraz wręcz opryskliwa. - Nie rozumiem, dlaczego depczesz mi po piętach na tym za- kichanym przyjęciu. Nie dość, że muszę znosić Charliego...

- Szukałem cię, żeby ci to oddać. Zostawiłaś przy regale z książkami - przerwałem, wciskając jej torebkę w dłoń.

Ciszę zakłóciło jedynie pstryknięcie zamka i lekki grzechot drobiazgów przewracanych w torebce. Potem błysnął płomyk, rzucając na nas pomarańczowe światło, i Ella zapaliła papierosa. W krótkim życiu płomienia z zapalniczki zobaczyłem, że Ella płakała, a ona poznała po mojej minie, iż to zauważyłem.

- Nie przejmuj się mną - zaczęła się tłumaczyć, gdy zgasł płomień. - My, dziewczyny, lubimy sobie czasem popłakać. A ja częściej niż inne.

Bez słowa przysiadłem dwa stopnie niżej i oparłem się plecami o ścianę. Gdy nasze oczy nawykły do ciemności, odwróciłem się do niej.

- Przepraszam, że naskoczyłam na ciebie - odezwała się ponownie. - Widocznie mam zły dzień. Dzięki, że mi ją przyniosłeś. - Potrząsnęła torebką. - Nie przejmuj się mną.

- Już drugi raz mi to powtarzasz - powiedziałem cicho.

- Tym bardziej powinienesz mnie posłuchać. - Zaciągnęła się głęboko, uważając przy tym, by nie wydmuchnąć mi dymu w twarz. - Mówię poważnie.

- No jasne.

- Dlaczego to robisz? - zapytała po chwili.

- Co takiego robisz?

- Dlaczego jeszcze tu jesteś? Czemu nie zszedłeś na dół? Czy nie widzisz, że chcę być sama? - Znowu zamilkła. - Dziękuję za torebkę. W chwilach słabości wolę papierosa od rozmowy.

- Więc chcesz, bym dołączył do ryb? - Gdy zawłaszczyłem jej metaforę, przebiegł mnie dreszczyk podniecenia, jakby dotknęła mnie jakaś niewidzialna ręka.

Nachyliła się ku mnie. Widziałem w ciemnościach zarys jej nosa.

- Nie - odparła, zmieniając ton. - Nie chciałabym, żebyś do nich dołączył. Nie przypuszczam, by pływanie z prądem ci służyło. Poczulem przyptył dumy.

- Tak się składa, że zgadzam się z tobą - zaryzykowałem, przerywając kolejne milczenie.

- Z czym się zgadzasz? Z moim małym wykładem o oceanach i falach?

- Tak.

- Czasami zdarza mi się używać metafor. Zwłaszcza gdy usiłuję wytłumaczyć sobie własne postępowanie. To ładnie z

twojej strony, że mnie wysłuchałeś.

- Mamy wiele wspólnych poglądów.

- Tak sądzisz?

- Tak. - Zawiesiłem głos, czując, że oczekuje ode mnie czegoś więcej. - Cały wieczór gardzę sobą za to, że jestem jak inne ryby - wyjaśniłem po chwili.

- O nie, nie sądzę, że jesteś.

- Mam nadzieję, że tak nie jest. Ale ubieram się jak one, rozmawiam jak one, być może, nawet myślę podobnie jak one. W porównaniu z tobą moje przekonania nie są takie silne ani takie przemyślane.

- Ale też mam teraz wielki pożytek z moich przekonań - powiedziała z goryczą.

Mimo ciemności wydało mi się, że się uśmiechnęła.

- Chodzi o to, Jamesie, że do pewnego stopnia trzeba godzić się z presją środowiska. Myślę, że to część tego, co wiąże się z człowieczeństwem. W końcu jesteśmy istotami społecznymi. Niebezpieczeństwo pojawia się wtedy, gdy czujesz, że poddajesz się presji, że ona tobą rządzi. Powinno kontrolować się własne życie, ale w praktyce tak nie jest. Pozwalamy, by nasze poglądy na religię, płęć, klasy społeczne, seks, politykę oraz inne istotne sprawy były dyktowane przez innych, a konkretnie przez tę ławicę ryb, w której akurat przyszło nam pływać. Myślisz podobnie jak twoi znajomi, twoja rodzina, jak każe ci twoje otoczenie i środowisko, z jakiego się wywodzisz. Ilu znasz ludzi, którzy wyrwali się poza granice własnego kręgu? Sądzę, że bardzo niewielu. A w ławicy, w której akurat myśmy się znaleźli, zapewne jeszcze mniej.

- A jaka to ławica? - spytałem zafascynowany, bojąc się, by nie przerwać potoku jej słów.

- Ty mnie pytasz? Po spędzeniu całego wieczoru z tymi ludźmi tam, na dole, trąkoczącymi o Biarritz i Berkeley Dress Show? - Ella była wyraźnie wzburzona. - Pieniądze powinny dawać wolność, a wykształcenie swobodę. A jednak tak nie jest. Jesteśmy przykuci łańcuchem przywilejów do świata naszych pradziadów, w podobny sposób, jak inne ryby są uwięzione w swoich ławicach. Nie wyobrażasz sobie nawet, jakie oczekiwania żywi w stosunku do ciebie rodzina, dlatego że twoja antenatka miała szczęście uwieść Karola Drugiego, za co jej wielce niezadowolony mąż uzyskał arystokratyczny tytuł.

- Tak było u ciebie w rodzinie?

- Och, tak. Może ci się wydawać, że jestem Amerykanką, bo mówię z amerykańskim akcentem. To naleciałości wynikające z wykształcenia. Jestem Angielką z krwi i kości. Tradycja rodzinna tak bardzo ma wpływ na to, kim jestem, że aż czasami zastanawiam się, do jakiego stopnia jestem sobą. Jaka część mojej osobowości naprawdę do mnie należy? - Po raz ostatni zaciągnęła się papierosem. - Bywa, że wydaje mi się, iż znaczna część mojej psychiki jest własnością przeszłych pokoleń. I że to one sprawują kontrolę nad moim życiem.

Zakończyła swoją tyradę i zgasiła papierosa. Usłyszałem szelest papieru, kiedy wkładała niedopałek do pustego pudełka po papierosach.

- Okropny nawyk - zauważyłem.

- Prawda? - Po chwili zapytała: - James, czy uważasz mnie za dziwaczkę?

- Myślę, że jesteś niesamowita.

- Dziękuję.

Miałem ochotę poszukać w ciemnościach jej ręki, ale zbyt długo się wahałem i odpowiednia chwila minęła.

- Jak wygląda twoja wyspa? - spytałem.

- Moja wyspa?

- Ta, na którą rzuciły cię fale.

- Och, znowu jedna z moich metafor. Już rozumiem, o czym mówisz.

- Opowiedz mi, jak wygląda. Jak dotąd, wiem jedynie, że nie jest zbyt ciekawa, chociaż trudno mi w to uwierzyć.

Nie odpowiedziała od razu. W ciemnościach miałem przed sobą zarys nosa i brody Elli. Kiedy zaczęła mówić, dostrzegłem błysk jej zębów.

- Mniejsza z wyspami - westchnęła. - Zrobiłam coś, czego nie powinnam była zrobić, a z czego już na pewno nie powinnam zwierzać się tobie.

- Powiedz mi.

- Uważam, że bezwolnie poddałam się wydarzeniom. A teraz nie wiem, co z tym zrobić. - Siedziała chwilę, ukołysana panującą wokół ciemnością. - Muszę już iść - powiedziała cicho, zrywając się, a ja usłyszałem szelest jej sukienki, gdy wstawała ze stopnia.

- Powiesz mi, co zrobiłaś?

- Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, nie będziesz musiał długo czekać.

Uchwyciła się skrzypiącej poręczy i powoli schodziła wąską klatką schodową.

Nie zatrzymywałem jej. Uznałem, że nie powinienem. Siedziałem bez ruchu na ciemnych schodach, wsłuchany w jej oddalające się, ostrożne kroki, wdychając zapach dymu z papierosów. Chciałem dać jej czas. Usłyszałem, jak dwa piętra niżej skrzypnęły drzwi do łazienki. Po paru minutach te same drzwi zaskrzypiały jeszcze raz. Wyobraziłem sobie, jak na

nowo promienna, spokojnie schodzi szerokimi schodami do holu Boardmanów, prosto w zgiełek tańców i pożegnań.

Ja natomiast nie byłem spokojny. Paliła mnie nie do końca zaspokojona ciekawość. Ale czekałem, podobnie jak wcześniej w tamtej wnęce. Czekałem, aż nabrałem pewności, że Ella zdążyła wmieszać się między gości. Wtedy wstałem i bardzo powoli zszedłem na dół. Ella powiedziała, że nie będę musiał długo czekać, że wkrótce się dowiem. To mi wystarczało. Byłem zadowolony i ciekawy, w jaki sposób mi to powie.

Kiedy teraz odtwarzam tamtą sytuację, widzę siebie, jak stoję na czymś w rodzaju punktu widokowego. Chyba to były schody. Mam przed sobą wąski hol, wyłożony wypolerowanym do połysku białym i czarnym marmurem.. Przez szeroko otwarte dwuskrzydłowe drzwi widzę salon, a w nim grupki znużonych, śmiejących się ludzi, którzy, siedząc w fotelach, sączą resztki koktajlu z szampanem. Jest już po drugiej. Młodsze siostry zniknęły wraz z koleżankami w pomieszczeniach w suterenie, gdzie zapewne „dogorywają” na swojej własnej prywatce. Drzwi do sali tanecznej są zamknięte, ale nadal dochodzą stamtąd głośne, szybkie i natarczywe rytmy. Nagle muzyka milknie i słyszę podniesiony, znajomy mi głos. Ów pobrzmiwający radością i podnieceniem głos prosi gości, by przenieśli się do bawialni, bo chce zakomunikować coś bardzo ważnego. Otwierają się zamknięte dotąd drzwi i widzę, jak strumień ludzi o zarumienionych ze zmęczenia policzkach wylewa się do holu i zmierza ku bawialni. Spostrzegam wśród nich Ellę znowu z Charliem Stanhope'em u boku. Camilla co chwila wykrzykuje coś z ożywieniem

i gestem współwinowajcy nakrywa dłonią usta. Camilla promienieje - przyjęcie udało się fantastycznie; minęła druga, a prawie

nikt z liczących się gości jak dotąd nie wyszedł. Rozsadza ją radość z powodu tego, co usłyszymy; jest zachwycona, że ją wcześniej dopuszczono do tajemnicy, która dopiero teraz zostanie wyjawiona. Nie może doczekać się ranka, by móc wszystkim opowiadać, jak to ledwo się powstrzymywała, ale cóż, jak sekret, to sekret. Czytam te wszystkie myśli w jej brązowych błyszczących zwycięsko oczach. Widzę dziewczynę z willą w Biarritz. Podchmielona, stoi z kieliszkiem koktajlu i z roztargnionym uśmiechem, niespokojnie dotyka dłonią włosów, by sprawdzić, czy nie wysunęła się kłamra podtrzymująca uczesanie. Nagle spostrzega obok siebie znajomego chłopaka i już nie zainteresowana fryzurą, obejmuje go w pasie ramieniem. Dopiero kiedy słyszę, jak ten sam donośny, podekscytowany głos prosi o chwilę uwagi, poznaję, że to mówi Charlie Stanhope. Dziwię się przez chwilę, co takiego Charlie chce nam powiedzieć, ale zaraz przypominam sobie, że nie ogłoszono jeszcze jego zaręczyn. Nie schodzę więc do bawialni, tylko zostaję na schodach, by dobrze widzieć rozwój wydarzeń. Charlie mówi skupionym wokół niego ludziom, że jako najbliżsi przyjaciele pierwsi usłyszą szczęśliwą nowinę, a ja tymczasem lustruję kobiety stojące w jego pobliżu.

I wtedy spostrzegam, że Charlie trzyma Ellę za rękę. I chociaż wiem, że stało się to najgorsze, odpycham od siebie tę myśl. Mam jednak niepodważalny dowód, bo widzę, jak Charlie pochyła się i przy wszystkich składa na jej ustach długi pocałunek, a ona go odwzajemnia. Wszyscy unoszą kieliszki, ktoś zaczyna śpiewać *For Theyre Two Jolly Good Fellows*. Narzeczeni odrywają się od siebie, zarumienieni ze szczęścia, Ella podnosi głowę, dziękuje wszystkim uśmiechem i natrafia wzrokiem na mnie, na schodach.

Teraz po latach myślę, że nasze spojrzenia się skrzyżowały.

4

Nie pamiętam już, jak opuszczałem tamten przepastny dom, jak w czasie pożegnania poddawałem się egzaltowanym uściskom Camilli ani też jak manewrowałem między gośćmi podającymi sobie nawzajem płaszcze i całującymi się na do widzenia, by uniknąć Elli i Charlesa. Po tych wszystkich latach z tamtej nocy zapamiętałem jedynie przypływ energii, jaki wywołało poznanie prawdy - pełne zrozumienie sytuacji, którą jak sądziłem, tylko ja mogłem zmienić.

Wiedziałem już, jak wygląda wyspa Elli: było nią społecznie

akceptowane, lecz pozbawione miłości małżeństwo — uładzony, bezgraniczny obszar bezpłodnej ziemi. Potrafiłem wyobrazić sobie prąd, który ją tam zniósł; oczyma duszy widziałem te wszystkie subtelne działania, które doprowadziły do tego, że poddała się falom usuwającym jej grunt spod nóg. Wyobrażałem sobie, jak stopniowo słabł jej opór. Jej dylemat wydał mi się nie z tego stulecia, ale przecież ona sama, pod pewnymi względami, też była jakby z dziewiętnastego wieku. Przypomniałem sobie, jak z fascynacją godną debiutantki mówiła o przodkach i tradycji. Moi rodzice zapewne znają rodziny o podobnej proveniencji, ale sami się do takich nie zaliczają, chociaż nieraz mogłoby się tak wydawać.

Snułem domysły co do dyskretnych rozmów, jakie odbywała z Ellą jej matka. Zapewne wielokrotnie wypytywała ją, którego ze znajomych młodych ludzi lubi najbardziej, i dawała do zrozumienia, że rodzina z otwartymi ramionami przyjęłaby na swe łono takiego układnego i dobrze urodzonego młodzieńca jak Charles Stanhope. Aby ich zadowolić, Ella zaczęła częściej się z nim spotykać, co być może kazało Charlesowi przypuszczać, że czuje do niego znacznie więcej, niż naprawdę czuła.

A potem, jak sama mi zresztą wyznała, wydarzenia nabrały rozpędu i zanim zorientowała się, rozanielony Charles już ogłosił ich zaręczyny, czemu towarzyszyły gratulacje znajomych i zachwyty rodziny. W tej sytuacji widziałem siebie jako romantycznego wybawcę Elli. Pielęgnowałem moją wizję przez wiele tygodni po przyjęciu u Camilli i snułem plany uratowania Elli, jak uczniak, którym w istocie byłem.

Gdybym przypuszczał, jak dalece się myliłem, moje uczucia niewątpliwie byłyby zupełnie inne. Ponieważ tego nie wiedziałem, poddałem się snom na jawie z taką gorliwością, że wszystko inne stało się nieważne, przez co zaskoczyłem moich rodziców', bo przestałem się dąsać podczas wspólnych śniadań. Miałem teraz inny cel niż waśnie rodzinne i byłem wręcz sympatyczny. Zamiast toczyć boje z rodzicami, skoncentrowałem się na ważniejszej sprawie - na wyzwoleniu Elli z pęt konwenansu. I wyznam, że gdybym miał okazję przystąpić do wykonania mego długo przemyślanego planu, zapewne naraziłbym się na śmieszność. Jeszcze dziś, gdy

o tym pomyślę, czerwienię się ze wstydu. Również mocno śmieszy mnie moja naiwność. Nie do końca mi żal tamtego

poważnego chłopaka o nasrożonych brwiach i niedbałym chodzie, jakim wtedy byłem. Zazdroszczę mu jednak intensywności uczuć; był przecież zakochany, co więcej, beznadziejnie zakochany. A to nie jest nieprzyjemny stan.

W dodatku ten stan nie trwał zbyt długo; przynajmniej nie w swym pierwotnym kształcie. Sześć tygodni mój umysł wypełniały śmiałe plany, lecz nie towarzyszyły im zbyt wiele działań. Moim jedynym konkretnym sukcesem było wydobycie od Camilli Boardman numeru telefonu Elli, pod pretekstem chęci złożenia jej gratulacji z okazji zaręczyn.

- Jamie, kochanie - szebiotała w słuchawkę Camilla. - To cały ty, słodki jak zawsze. Jak ty się potrafisz znaleźć!

Niestety, gdy raz w tygodniu zdobywałem się na odwagę, by zadzwonić do rezydencji Harcourtów na Chester Square, ponury głos w słuchawce zawsze z przykrością informował mnie, że Elli nie ma w domu. Zniechęcony, postanowiłem do niej napisać, ale zaraz z tego zrezygnowałem; później planowałem spotkać ją niby przypadkiem, zaczaiwszy się pod jej domem, lecz ten pomysł także odrzuciłem jako niezbyt fortunny. Brałem również pod uwagę przesłanie kwiatów, telegramu o dramatycznej treści czy prezentu z okazji zaręczyn z odpowiednim liścikiem, ale te koncepcje również upadły. Całe dni pławiłem się w najśłodszej z czarnych rozpaczy, oczyma duszy widząc siebie, jak czekam bezradnie na zbliżającą się datę ślubu.

Zostałem gwałtownie ściągnięty na ziemię, kiedy pewnego popołudnia zobaczyłem, jak obiekt moich westchnień w słomkowym kapeluszu o szerokim rondzie na głowie siedzi sobie na leżaku z nosem utkwionym w książce, oddzielony ode mnie niewielką szerokością jeziora. Znowu znalazłem się w Hyde Parku. Wracałem do domu, nadkładając drogi, żeby przejść przez Chester Square w nadziei, że ją spotkam, chociaż wiedziałem, że to płonna nadzieja. Przysiadłem nad Serpentine, by wygrzewając się w słońcu, pomarzyć leniwie o tym, co by było, gdyby... Niespodziewane ucieleśnienie się podmiotu moich rojeń potężnie mną wstrząsnęło. W pierwszej chwili pomyślałem, że się mylę, więc z przyspieszonym tętnem spojrzałem jeszcze raz na drugą stronę jeziora. Na brzegu siedziała dziewczyna, która od miesiąca miała wyłączność na moje myśli. A miesiąc w wieku dwudziestu dwu lat trwa całą wieczność. Nie było mowy o pomyłce - ten sam delikatny owal twarzy i lekko

zadarty mały nos. Jak na pannę w tarapatach, wyglądała irytująco zdrowo.

Powoli podniosłem się z ziemi, doszedłem do mostka i lawirując między spacerowiczami, przeszedłem na drugą stronę. Zbliżałem się do niej zdecydowanym krokiem, ciekawy, co powie na mój widok. Kiedy znalazłem się obok, schylała się akurat do wielkiego kosza u swych stóp po paczkę papierosów i małą srebrną zapalniczkę. Przystanąłem, koncentrując wzrok na jej palcach, kiedy zapalała długi, cienki rulonik z tytoniem. Zauważyłem, że powinna napełnić zapalniczkę i że pali inny gatunek papierosów niż ostatnim razem. Kiedy byłem tuż za jej plecami, zatrzymałem się, chrząknąłem i zawołałem ją po imieniu. Moją pomyłkę uzmysłowiły mi jasnoniebieskie oczy, które zobaczyłem, kiedy odwróciła głowę. Cała reszta się zgadzała. Te obce wtedy oczy poznałem później bardzo dobrze.

- Nie jestem Ella, tylko Sara Harcourt - powiedziała, odwracając się do mnie, przy czym zdjęła kapelusz i wstrząsając głową, rozrzuciła ciemnobrązowe włosy. - Nie musisz się czuć zakłopotany - uśmiechnęła się, widząc moje zażenowanie. - Kiedy byliśmy dziećmi, często nas ze sobą mylono. Właściwie dopóki nie ściemniały mi włosy.

Zapanowało między nami niezręczne milczenie.

- Wiesz, obie wyglądamy jak nasza prababka - odezwała się, aby zapełnić próżnię, zanim ta stanie się nie do zniesienia.

Pokiwałem głową, ciągle jeszcze pod wrażeniem. Przeszło mi przez myśl, że to, co powiedziała, jest raczej dziwne, ale po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że Ella zapewne zareagowałaby podobnie.

- Z daleka jesteście identyczne, oprócz włosów oczywiście - odparłem, myśląc przy tym, że w bardzo poprawnej angielskiej wymowie Sary nie ma żadnego podobieństwa do amerykańskiej melodyjności mowy jej kuzynki.

Zauważyłem, że na jej bladej twarzy pojawił się wyraz irytacji. Prędko jednak wygięła wąskie wargi w grzecznym, aczkolwiek nieco chłodnym uśmiechu.

- Ludzie mówią, że to niezwykle, by kuzynki były tak do siebie podobne - oświadczyła.

Znowu zapanowała cisza, którą, przypuszczalnie, tym razem ja miałem zapełnić. Bąknąłem więc coś o sile genów jej prababki.

- Była niezwykle osobą - przytaknęła skwapliwie. - Wywarła

wpływ na życie wielu ludzi. Nie znałam jej, ale czytałam niektóre z jej listów. Miała śmieszny stosunek do Anglików.

- Nie była Angielką? - Uznałem, że utrzymane w grzecznym tonie pytania będą najlepszym wyjściem w tej dość niesamowitej sytuacji.

- Och, nie. Była Amerykanką. W mojej rodzinie od wielu pokoleń mamy amerykańskich krewnych. Ale pewnie o tym wiesz, skoro znasz Ellę. Ona w pewnym sensie też jest Amerykanką.

- Sądziłem, że jest Angielką.

- Z urodzenia, owszem - odparła jej kuzynka. - Ale nie pod względem mentalności. Zgodzisz się chyba, że w takich sprawach to właśnie się liczy najbardziej?

Sara mówiła o amerykańskości Elli jak o niezłośliwej narośli, która choć niemiała dla oka, nie przeszkadza w życiu. Oczywiście przykre, że wyrosła, ale nie stanowi zagrożenia. Z jej tonu jasno wynikało, że trzeba się po prostu pogodzić z faktem posiadania prawie Amerykanki w rodzinie.

Kiedy mówiła, przyjrzałem się jej dokładniej. Wcale nie była aż tak podobna do Elli, jak mi się z początku wydawało. Tym, co je różniło najbardziej, były proste, lśniąco włosy Sary, opadające do połowy pleców. Także jej rysy były inne. Miała bardziej pociągłą twarz, węższe, zaciśnięte wargi i ostrzej zarysowany nos. Pomyślałem, że chociaż Sara wygląda na moją rówieśniczkę, psychicznie należy do innego pokolenia. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale intuicyjnie wyczuwałem jej odmienność. Odniosłem wrażenie (i wcale się nie pomyliłem), że była osobą, wobec której nie należy pozwalać sobie na poufałość.

- Czy mogę ci w czymś pomóc, czy to musi koniecznie być Ella? - zapytała uprzejmie, podnosząc na mnie wzrok.

Zawahałem się.

- Powiem ci, jak ją znaleźć, jeśli postawisz mi lody.

Sara najwyraźniej miała ochotę na pogawędkę.

- Nie mam drobnych - dodała, nadal mi się przyglądając ze swego pasiastego leżaka.

Ledwo wyczuwalna, lecz jednoznacznie władczą nutka w jej głosie sprawiła, że przystałem na jej propozycję. By podtrzymać rozmowę, zapytałem ją, gdy szliśmy do barku na moście, jak to się stało, że jej prababka była Amerykanką.

- To długa historia - odparła.

Pokiwałem głową.

- Ale opowiem ci, jeśli chcesz.

- Bardzo chcę.

Przyjrzała mi się uważnie, najwyraźniej sprawdzając moją prawdomówność. Test musiał wypaść pozytywnie, bo kiedy wróciliśmy z lodami nad Serpentine, Sara zaczęła swą opowieść. Chyba nic bardziej nie przekonało mnie, że Ella Harcourt jest inna od wszystkich dziewczyn, jakie znałem, niż obserwowanie Sary, kiedy mówiła. Jeżeli mogło mi się wydawać, że upiększałem Ellę w moich snach na jawie, to twarz Sary rozwiła te obawy. A w dodatku Ella miała w sobie coś urokliwego. Pewne podobieństwo w gestykulacji i sposobie bycia pomiędzy kuzynkami, według mnie, jeszcze bardziej podkreślało trudną do zdefiniowania wyższość tamtej nad tą, której właśnie słuchałem. Dumne, nieco sztywne unoszenie ramion przez Sarę kazało mi myśleć o pełnych naturalnej gracji ruchach Elli, chłodne i obojętne niebieskie oczy Sary wywoływały w mojej pamięci obraz zielonych, roziskrzonych oczu jej kuzynki. Brak gestykulacji cechującej Sarę przywołał wspomnienie oszczędnych, a przy tym pełnych ekspresji ruchów rąk Elli. Trzeba jednak przyznać, że chociaż Sara w przeciwieństwie do kuzynki zachowywała się nieco wyniośle, na swój sposób była pociągająca.

- Mój pradziad - zaczęła - był bardzo ubogim człowiekiem o świetnym nazwisku. A moja prababka, osoba bardzo zamożna, szczerze mówiąc, w ogóle nie miała nazwiska. W dodatku była Amerykanką.

- Nie widzę związku.

- Ależ to proste. Ojciec mojej prababki uznał, że tytuł arystokratyczny córki nobilitowałby jego pieniądze; a przyszły zięć miał stary, chylący się ku ruinie dom, w którym nie było elektryczności i przeciekał dach.

Sara spojrzała na mnie, by sprawdzić, jak przyjąłem tę opowieść. Uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

- Więc zaaranżowano małżeństwo i ubito interes - podjęła przerwany wątek. - Każda ze stron dostała to, na czym jej zależało; mój prapradziad utytułowane prawnuki, a pradziadek centralne ogrzewanie. Jediną osobą, której nie zapytano o zdanie, była moja prababka, Blanche. Kiedy przyjechała do Anglii, miała osiemnaście lat, za mąż wyszła jako dziewiętnastolatka, a przed ukończeniem dwudziestki już czuła niechęć do swego męża, zresztą po części uzasadnioną.

Pokiwałem głową.

- Co nie przeszkadzało, by urodziła mu czwórkę zdrowych dzieci - opowiadała dalej Sara. - Spadkobiercę i mówiąc obrazowo, trójkę rezerwowych. Wtedy Blanche uznała, że wypełniła obowiązki wynikające z umowy. - Kuzynka Elli zamilkła na chwilę. - Blanche należała do władczych kobiet, które potrzebują towarzystwa i lubią, jak coś się wokół nich dzieje. Ów podupadający dom, a właściwie zamek, znajdował się w Kornwalii. Ojciec Blanche nie sfinansował odpowiedniego do statusu młodej pary domu w Londynie, więc Blanche wegetowała na prowincji. Co prawda pewnego razu jej portret namalował sam Sargent, lecz poza tym nie było o niej słyhać w wielkim świecie.

- Jak w takim razie spędzała czas? - zapytałem.

Zaskoczony, stwierdziłem, że ta antypatyczna młoda Angielka, siedząca obok z lodami w ręce, rozbudziła moją ciekawość. Do tego jeszcze większe zdziwienie budził fakt, że moje zainteresowanie wcale nie było związane z jej podobieństwem do kuzynki.

- No cóż. Pisała listy, na nowo zaprojektowała ogród, czuwała nad wychowaniem i edukacją swych dzieci. Sprawnie prowadziła dom, dowodząc całą armią służących, jaka niezbędna jest w takich miejscach, a także, do jakiego stopnia było to możliwe, przeszkadzała mężowi w jego przygodach.

- Ach, tak?

- Ale te zajęcia nie mogły zaspokajać jej potrzeb intelektualnych. - Sara uśmiechnęła się do mnie. - Widzisz, chodzi o to, że Blanche nie była kurą domową. W dodatku miała wiele talentów, co jeszcze bardziej pogarszało sprawę.

- Więc jak dalej potoczyły się jej losy? Znalazła coś dla siebie?

- Szczerze mówiąc, nie. Na tym polegała jej tragedia.

Kobieta tego pokroju źle znosi samotność, przez którą rozumiem izolację od podobnych sobie ludzi.

- Co się z nią stało?

Prawnuczka Blanche zapatrzyła się w milczeniu na jezioro, po którym beztrąsko pływały łódki.

- W końcu zabiła się. Skoczyła z okna na taras. - Sara zamilkła. - Wyobrażasz sobie, jaki to w tamtych czasach wywołało skandal? - dodała po chwili.

Wyobrażałem sobie.

- Okropne - powiedziałem cicho.

- Prawda? Myślę, że to w znacznym stopniu odbiło się na dzieciach.

- Na pewno.

Siedzieliśmy jakiś czas, nic nie mówiąc. .

- I tak oto poznałeś historię mojej amerykańskiej prababki - odezwała się lekkim tonem Sara. - Mam nadzieję, że nie powiedziałam ci więcej, niż chciałbyś wiedzieć.

- Nie, oczywiście, że nie. To fascynujące. A zarazem tragiczne.

- Tak - zgodziła się, zamyślona. - Ta historia nosi obie te cechy. Wiesz, mam taki pomysł, żeby kiedyś napisać biografię Blanche - zwierzyła się niespodziewanie. - To była kobieta, która do czegokolwiek się wzięła, robiła to z polotem. Tak zdarza się tylko w powieściach. Myślę, że jej historia warta jest opowiedzenia. I sądzę też, że ona chciałaby, żeby ją opowiedziano.

- Niewątpliwie zdecydowała się zakończyć życie z rozgłosem.

- Tak. Poza tym - dodała Sara po namyśle - postać Blanche jest ciekawa z historycznego punktu widzenia.

Pokiwałem głową.

- Była jedną z tych wyemancypowanych młodych Amerykanek, które przysyłano tu, aby wsparły system feudalny swym demokratycznym złotem - uśmiechnęła się Sara. - To poniekąd zabawne - mówiła dalej, podniecona tematem - że kobiety takie jak Blanche pomogły podtrzymać to, od czego tak daleko uciekli pierwsi purytańscy osadnicy w Ameryce.

- Bardzo zabawne.

Tym razem milczenie, które zapadło między nami, nie było niezręczne.

- Cóż - przerwałem je po jakimś czasie - jestem pewien, że byłyby to interesująca książka.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Tak - potwierdziłem, wstając. - Ale ja już zbyt długo odrywam cię od twojej lektury. - Wskazałem ruchem głowy książkę leżącą na leżaku. - Co czytasz?

- *Korsarzy* Edith Wharton. Tak się składa, że Wharton była znajomą mojej prababki.

- I Henry'ego Jamesa.

- Owszem.

- Do widzenia!

- Do widzenia. - Sara podała mi rękę.
 - Czy mogłabyś przy okazji przekazać Elli wiadomość?
- Na twarzy Sary znowu pojawił się wyraz poirytowania i tak samo jak przedtem pokryła go uprzejmym uśmiechem.
- Oczywiście, że mogłabym. Tylko nie wiem, kiedy ją zobaczę. Nie widzujemy się zbyt często.
 - Dlaczego?
 - Szczerze mówiąc, nic przepadamy za sobą - wyjaśniła i widząc, że poczułem się niezręcznie, szybko dodała: - Nie krępuj się. To żadna tajemnica. Uważam ją za osobę, powiedzmy, grubo ciosaną, a jej nie odpowiada moja angielska rezerwa. Założę się, że Ella wygłosi parę krytycznych uwag na mój temat, kiedy się spotkacie.
 - Raczej nie sądzę - odpowiedziałem, pełen wątpliwości, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę Ellę. Przecież poznanie Sary nie przybliżyło mnie do celu nawet o krok.
 - Na pewno to zrobi. Jestem przekonana. To będzie jakaś słodka, a zarazem cięta uwaga. Taką ma metodę. Więc chcesz, żebym przekazała jej wiadomość, zanim gdzieś na nią wpadniesz?
 - Powiedz jej, że widziałas się z Jamesem Farrellem - odparłem, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że nie przedstawiłem się Sarze, a ona nie zapytała mnie o nazwisko. - Powiedz jej, że spotkałaś Jamesa Farrella, który pytał, czy służy jej życie na wyspie.
 - To wszystko? - Sara przyglądała mi się badawczo.
 - Tak. Ona będzie wiedzieć, o co chodzi.
 - Mam nadzieję.
 - Cóż, w takim razie do widzenia!
 - Do widzenia.

Odwróciłem się i kolejny raz przeszedłem przez mostek, kierując się w stronę drogi. Czulem na plecach spojrzenie zimnych niebieskich oczu Sary. Przystanąłem na końcu mostka, by pomachać jej na pożegnanie. Siedziała na leżaku z nosem w książce. Jeżeli widziała mój gest, nie dała tego po sobie poznać.

5

Od spotkania z Sarą mijały kolejne dni, a żadna z panien Harcourt nie dawała znaku życia. Tamte dni wypełniała mi gra na skrzypcach i rozmyślania o Elli. Ku memu ogromnemu zadowoleniu odkryłem, że potrafię przetworzyć słodko-gorzka frustrację, jaką niesie ze sobą niespełniona miłość, w energię

niezbędną do ciężkiej pracy. Nawet moi rodzice byli pod wrażeniem pasji, z jaką oddałem się muzykowaniu. Przez cały upalny sierpień prawie nie opuszczałem dusznego pokoju na poddaszu naszego domu, gdzie trzymałem skrzypce. Kiedy ćwiczyłem, wyobrażałem sobie, że gram przed jednoosobową publicznością, z nadzieją, iż zadziwię ją techniką lub skalą dźwięków albo że ta czy tamta sonata wywoła uśmiech na jej twarzy. Pamiętam, grałem wtedy dużo utworów Brahmsa, bo dramaturgia tej muzyki stanowiła doskonałe tło dla moich rojeń o roli dzielnego wybawcy.

Młodość jest niemądra, a młodość w połączeniu z szaloną miłością jest jeszcze gorsza. Nawet teraz uśmiecham się na wspomnienie tamtych przyprawiających o zawrót głowy dni w dusznym pokoju. Uśmiecham się, a jednocześnie jestem zadowolony, że dane mi było je przeżyć, bo chociaż spędziłem je w kurzu i w duchocie, byłem wtedy taki młody i naiwny.

Niestety, Ella, ów niczego nieświadomy obiekt mych marzeń, zaszyła się gdzieś i w żaden sposób nie mogłem się z nią skontaktować. Kiedy dzwoniłem do niej, nigdy nie było jej w domu, nie dała mi też znać, czy dotarła do niej moja wiadomość. Ani razu jej smukła sylwetka nie pojawiła się w niedostępnych dla mnie drzwiach domu w stylu z epoki króla Jerzego na Chester Square, choć przechodziłem tamtędy dość często.

Łatwość, z jaką Ella zawładnęła moimi myślami, dziwne, nie zaplanowane spotkanie z jej kuzynką, zdjęcia Elli z Char- lesem, na które przypadkiem natrafiałem, przerzucając czasopisma w zakładzie fryzjerskim - wszystko to podsycalo moje zainteresowanie jej osobą. Tak więc, rozczarowany, trwałem przy muzyce i marzeniach.

Lecz nawet w przypadku najbardziej uduchowionych młodzieńców zainteresowanie musi powoli słabnąć. Z braku nawet najmniejszej zachęty ze strony nic nie podejrzewającego obiektu mych westchnień, takiej jak liścik czy uśmiech, z których to każdy z osobna mógłby zawładnąć moim sercem na zawsze, czułem, że entuzjazmu nie da się utrzymać na tym samym poziomie bez końca. I być może osłabłby i wreszcie zniknął, przechodząc do historii jako ostatnie wspomnienie płomiennej młodości, gdyby los, o ile taka siła sprawcza w ogóle istnieje, nie zdecydował inaczej.

Los wybrał sobie niezwykle wyrafinowany sposób, by po raz

kolejny zetknąć mnie z Ellą. Otóż posłużył się Camillą Boardman. Camilla zadzwoniła, gdy akurat uznałem, że nic więcej nie mogę zrobić i że jeżeli Ella ma życzenie zmarnować życie z Charlesem Stanhopem, to proszę bardzo, jej wybór.

- Koochaanie! - zaszczębiotał w słuchawce głos, którego nie słyszałem od dnia, kiedy, wiele tygodni temu, poprosiłem o numer telefonu Elli.

- Camilla! Jak się masz?

- Mniejsza o mnie, o wiele ważniejsze, jak ty się masz.

- Ja? Doskonale, dzięki.

- To dlaczego nigdzie cię nie widać? Najwyraźniej unikasz przyjaciół.

Znałem Camillę dostatecznie dobrze, by podejrzewać, że coś się kryje pod jej niby to urażonym tonem. Ostrożnie odpowiedziałem, że nigdzie się nie chowam, tylko dużo ćwiczę, bo przygotowuję się do Guildhall.

- Och, zapomniałam, że masz zamiar zostać sławnym muzykiem - odparła. - Będziesz o mnie pamiętać, gdy już staniesz się wielki, prawda, kochanie? Nawet jeżeli wszystkie najpiękniejsze kobiety będą ci się rzucać na szyję.

Wyczułem, że w tym miejscu przydałby się jakiś komplement.

- Camillo... kochanie, żadna z nich nie mogłaby być bardziej atrakcyjna od ciebie - spróbowałem.

- Och, Jamie, jesteś słodki. Taki uroczy. Zawsze taki jesteś. - Po wzrastającej liczbie słów wypowiedzianych z emfazą poznałem, że Camilla zbliża się do sedna. - I właśnie dlatego do ciebie dzwonię. Ed Saunders postawił mnie w bardzo niezręcznej sytuacji; zresztą zawsze tak jest.

Domyśliłem się, że Ed Saunders musi być aktualnym chłopakiem Camilli.

- Och, Ed - udałem, że go znam.

- Tak, ta ofiara! - Rozsierdzona Camilla wprawiała mnie w popłoch jeszcze bardziej niż zazwyczaj. -• Czy wiesz, że za godzinę zaczyna się przyjęcie zaręczynowe Elli Harcourt?

- Powiedziałaś: Elli Harcourt? - Wstrzymałem oddech, czepiając się resztek nadziei.

- Tak. Jej rodzice wydają obiad dla niej i Charliego. Wszyscy tam będą. Pamela (macocha Elli) jest duszą towarzystwa. A ta ofiara, Ed, właśnie zadzwonił i oznajmił mi, że ma zapalenie krtani. Zapalenie krtani! Wyobraź sobie! - Camilla wymówiła

nazwę przypadłości Eda w taki sposób, jakby to była jakaś rzadko spotykana choroba tropikalna. - W sieipniu! W związku z tym - zmieniała ton - pomyślałam, że może ty jesteś wolny. Nie wyobrażam sobie, że miałabym tam pójść sama. Poza tym... nie widziałam cię całe wieki, a pamiętam, że ty i Ella tak sympatycznie ze sobą rozmawialiście na moich urodzinach - dodała, prawdopodobnie czując, że poprzedni argument zabrzmiał egoistycznie.

Zastanawiałem się po cichu, do ilu osób zadzwoniła przede mną. Głośno zaś powiedziałem:

- No, sam nie wiem, Camillo. Oczywiście, bardzo chciałbym się z tobą zobaczyć, ale tak bez uprzedzenia...

Nikt nie budził w Camilli większego szacunku niż ludzie z dużą liczbą zobowiązań towarzyskich.

- Wiem, kochanie - weszła mi w słowo. - I możesz mi wierzyć, że jeśli Eda nie udusi zapalenie krtani, to ja to zrobię własnymi rękami. Jednak tak miło byłoby cię zobaczyć! Na pocieszenie powiem tylko, że przyjęcie na pewno będzie kapitalne. - Camilla była niezmordowana, gdy w grę wchodziły układy towarzyskie. - Przyjdzie sporo ludzi z Oxfordu - nęciła mnie. - A także... - zawiesiła głos, zastanawiając się, czym jeszcze mnie skusić - oczywiście, będzie tam kuzynka Elli. Bardzo ładna dziewczyna. Osoba raczej dziwna - uprzedziła mnie, ponieważ zawsze aż do końca była szczerą. - Ale przy tym bardzo ładna.

- Wiem - powiedziałem, mając w pamięci zimną urodę Sary.

- Więc dotrzymasz mi towarzystwa?

Godzinę później stałem na stopniach przed domem na Chester Square. Jakże często przechodziłem przed tymi czarnymi drzwiami w nadziei, że spotkam Ellę. Camilla z ulgą uściśnęła mi rękę i ułożyła karminowe usta w wyćwiczonym, absolutnie doskonałym uśmiechu, ukazując idealnie białe zęby.

- Kochanie, jesteś moim wybawcą - szepnęła mi do ucha, kiedy nacisnąłem na dzwonek.

Spóźniliśmy się, bo Camilla wyznawała zasadę, że powinna być zawsze tą, na którą się czeka, więc kiedy weszliśmy do salonu, zgłodniaли goście zaczęli już kręcić się nerwowo i spoglądać na zegarki. Było nas tam około trzydziestki: wystrojona w tweedowe ubrania, lecz mimo to godnie wyglądająca para, którą słusznie zidentyfikowałem jako państwa Stanhope'ów, garstka ludzi w moim wieku, wśród nich również dziewczyna z

willą w Biarritz, no i sami Harcourtowie. Wysocy i postawni, dokładnie tacy, jakimi ich sobie wyobrażałem, stali przy jednym z wysokich okien wychodzących na skwer i rozmawiali z Sarą. Nigdzie natomiast nie było widać ani Elli, ani Charlesa.

Camilla, z ramionami wyciągniętymi w powitalnym geście, ruszyła prosto do gospodarzy. Podreptałem za nią. Zauważyłem, że gdy zbliżyliśmy się do nich, wszyscy troje zamilkli.

- Lady Harcourt! - zawołała Camilla, obejmując wysoką, kościstą damę o rudych włosach, uczesanych gładko przy twarzy i ułożonych na czubku głowy w misterny kok. - Jak miło panią widzieć!

W odpowiedzi na przywitanie Camilli głos z bostońskim akcentem poprosił, by zrezygnować z tytułów.

- Mam na imię Pamela - powiedziała z pewnym naciskiem szczupła dama, wyciągając do mnie smukłą, upierścienioną dłoń. - Czekamy na naszych narzeczonych. Układają na górze prezenty zaręczynowe.

Kiedy to powiedziała, przyszło mi na myśl, że nic nie przyniosłem, lecz w tej samej chwili Camilla wyjęła z torebki elegancko zapakowaną paczuszkę i wręczyła ją gospodyni.

- To od nas obojga - oznajmiła z najśladszym z uśmiechów i odwróciła się do pana domu, by pocałować go w policzek.

Alexander Harcourt miał taką samą karnację i taki sam kolor włosów jak Ella, z tą tylko różnicą, że jego jasne włosy były nieco przeredzone, a policzki nie tyle różowe, ile czerstwe. Jego niebieskie, jak Sary, oczy błyszczały jak oczy Elli. Poruszał się z pewnością siebie, typową dla mężczyzn, których otoczenie zawsze uważało za przystojnych. Alexander miał duże dłonie, szerokie ramiona i otwarty sposób bycia. Spodobał mi się.

- A oto i oni - odezwał się pan Harcourt i z serdecznym uśmiechem wskazał ruchem głowy poza mnie, na drzwi do salonu. Jego żona w sukni w zielonym kolorze, niekorzystnym dla jej typu urody, wyszła wyprostowana na spotkanie pasierbicy.

- Ślicznie wyglądasz! - Usłyszałem, jak mówi do Elli, całując ją.

Jeżeli Ella rzeczywiście ślicznie wyglądała, ja tego nie zauważyłem. Zręczne dłonie fryzjerki, zapewne z nie małym trudem, wymodelowały na „bombkę” jej normalnie proste, opadające wzdłuż twarzy włosy, a różową pomadkę i połyskliwe niebieskie cienie na powiekach bez wątpienia musiała nałożyć

kosmetyczka. Sińce pod oczami, o ile Ella nadal je miała, zostały profesjonalnie zatuszowane. W różowej sukni w kwiaty z bufiastymi rękawkami Ella wyglądała jak edwardiańska porcelanowa lalka. Zresztą nawet poruszała się sztywno jak lalka. Wydało mi się, że mnie nie zauważyła.

- Kochana, wyglądasz fantastycznie! - Camilla, jak zawsze wszędzie pierwsza, ustawiła się na czele naprędce utworzonego szpaleru, kiedy goście podeszli do narzeczonych, by składać gratulacje.

Charles, w ciemnym garniturze, z włosami rozdzielonymi równiutkim przedziałkiem, stał u boku Elli i promieniał z zadowolenia, patrząc, jak narzeczona ginie w objęciach koleżanki. Gdy Camilla wreszcie uwolniła Ellę i narzeczeni ruszyli wzdłuż szpaleru, przyjmując życzenia od znajomych rodziców i przyjaciół, czekałem wraz z innymi na moją kolej.

Ella zobaczyła mnie, gdy dzieliły nas jeszcze trzy osoby. Akurat bardzo oficjalnie całowała Sarę w oba policzki, gdy nasze spojrzenia spotkały się. Momentalnie odwróciła wzrok i chyba zaczerwieniła się pod warstwą różu. Ten cichy triumf nappełnił mnie radością.

- Nie wiedziałam, że tu będziesz - rzekła, stając przede mną z wyciągniętą ręką zamiast nadstawić policzek.

- Camilla mnie zaprosiła - wyjaśniłem. - Poza tym jak dotąd nie miałem okazji złożyć gratulacji ani tobie, ani Charlesowi.

Przyglądała mi się przez chwilę bardziej zakłopotana niż zła, po czym ruszyła dalej.

Charles, gdy znalazł się przede mną, przywitał mnie jak starego znajomego.

- A więc to jest ta wspaniała dziewczyna, o której nie chciałeś rozmawiać? - zapytałem z uśmiechem.

- Tak, to ona - potwierdził, zwracając oczy ku Elli. - Prawda, że świetna?

- Moje gratulacje - odpowiedziałem cicho i Charles podszedł do następnej osoby.

Przyjęcie się rozkręcało. Obiad podano na srebrnych nakryciach w pokoju stołowym - pretensjonalnym pomieszczeniu z dużym, stylizowanym żyrandolem, długim stołem, ścianami pokrytymi czerwoną tapetą i z oknami wychodzącymi na ogród. Padał deszcz. Siedziałem między Camillą i Sarą naprzeciwko dziewczyny z willą w Biarritz, która z kolei miała za sąsiada

Charlesa. Zgodnie z przewidywaniami Ca- milli jedzenie było wyśmienite, wino również niezgorsze, a poustawiane w wazonach świeżo ścięte róże, o płatkach różowych jak suknia Jelli, wypełniały pokój aromatem. Od czasu do czasu chwytałem urywki rozmów prowadzonych przez Ellę, która, siedząc trzy miejsca dalej, znajdowała się oszalamiająco blisko mnie.

Dopiero po jakimś czasie, gdy zdołałem więcej usłyszeć, zorientowałem się, że każda z wypowiedzi Elli jest dokładnie taka, jaka powinna być. Moja „miłość” z wyćwiczoną łatwością używała tego samego bezmyślnego języka, do którego była tak krytycznie nastawiona zaledwie kilka tygodni wcześniej. Bardzo ładnie podziękowała wszystkim za prezenty, w zgrabne słowa ubrała swój entuzjazm związany z planami dotyczącymi wesela i zgodnie z przyjętym zwyczajem nie zdradziła, jak będzie wyglądać jej ślubna suknia. Nie mogłem doszukać się w niej ani śladu tamtej dziewczyny o wy- mizerowanej twarzy, która, siedząc na ciemnych schodach u Boardmanów, mówiła o wciąganiu w odmet. Ta jej odmiana wyprowadziła mnie z równowagi. Wyglądało na to, że Ella postanowiła raczej dać się ponieść prądowi niż walczyć z nim. A płynęła z prądem z wystudiowaną gracją, w czym przypominała mi Charlesa, i tak samo jak on, nie zrobiła na mnie wrażenia.

Nie poddałem się jednak rozpaczy do końca. Jakaś nutka w jej głosie przywoływała wspomnienie tamtego głosu z parku i z wnętrza w salonie. Znowu zadźwięczały mi w uszach jej szczere, bezładnie formułowane zdania, kiedy zmagala się z siłami, które... Jak ona to powiedziała? Wciągają ją w odmet. Tak więc Ella, spychana przez prąd, postanowiła przybrać maskę odwagi...

Tak sobie wtedy myślałem i po części miałem rację. Moje wnioski były znacznie bliższe prawdy niż wszelkie inne spekulacje, zatracające historiami z dziewiętnastego wieku. Pomyliłem się tylko co do jednego - sądziłem, że wiem, co ją ciągnęło na dno.

Mimo oszołomienia wywołanego obecnością Elli nie zaniedbywałem swych obowiązków jako partner Camilli; zresztą Camilla na to nie pozwalała. Jej zaraźliwy śmiech, dyskretnie przekazywane ploteczki na temat współbiedników i całkowite skupienie uwagi na mojej osobie wprawiły mnie w pogodny nastrój. Pomyślałem, że Ella nie jest jedyną osobą, która potrafi ukryć prawdziwe uczucia pod pozorami gładkiej, towarzyskiej

paplaniny. Postanowiłem udowodnić jej, że też jestem do tego zdolny. Zabawiałem więc rozmową a to Ca- millę, a to Sarę, a to dziewczynę z willą w Biarritz i jednocześnie intensywnie myślałem, w jaki sposób mógłbym zamienić z Ellą parę słów na osobności. Zdecydowałem, że nie wyjdę, dopóki przynajmniej nie spróbuję.

Siedząca po mojej lewej ręce sztywna Sara Harcourt, w stroju utrzymanym w niebieskiej tonacji, podzieliła się ze mną swoją awersją do różowych róż. Jak podejrzewałem, jej krytyczna uwaga, niedostępna dla uszu Pameli, bardziej dotyczyła osoby gospodyni niż jej kwiatów. Wiedziałem, dlaczego Sara jej nie akceptuje - dla niej Pamela była intruzem. Nie dość, -że już sam amerykański akcent nie budził uznania Sary, to dodatkowo drażniła ją staranność, z jaką Pamela zadbała, by sprawić bardzo angielskie wrażenie. Jej spiętrzone włosy do złudzenia przypominały edwardiańską fryzurę, biżuteria, którą nałożyła, była ciężka i staromodna, a do kelnerki odnosiła się ze stosownie obojętną uprzejmością. Jak zauważyłem, wszystko to drażniło Sarę w takim samym stopniu, w jakim mi grała na nerwach uroczą paplanina jej kuzynki. I chociaż Sara nie powiedziała tego otwarcie, wyczuwałem w niej wrogość do obcokrajowców, a zwłaszcza do obcokrajowców uzurpatorów, co jest cechą głęboko zakorzenioną w niektórych angielskich duszach. Sara siedziała obok mnie z miną królowej i ledwie skubała stawiane przed nią potrawy. Zauważyłem, że chociaż nikt nie kwapił się do rozmowy z nią, jej obecność była powszechnie wyczuwalna. Po raz drugi przeszło mi przez myśl, że Sara jest taką osobą, którą darzy się podziwem z dystansu - kimś, kto trzyma się na uboczu, zarówno z wyboru, jak i z powodu okoliczności. Nawet Camilla, której pewności siebie nic nie było w' stanie zachwiać, nie wciągała jej w rozmowę, wyczuwając, że może ponieść klęskę. A ja, kiedy patrzyłem na zaciśnięte usta Sary, zastanawiałem się, jak to możliwe, iż wydała mi się tak bardzo podobna do Elli. Było mi jej również w pewien sposób żal, chociaż za żadne skarby nie odważyłbym się jej tego powiedzieć. Pomyślałem, że Sara jest niewolnicą samokontroli. Teraz, kiedy się zastanawiam nad nią z tamtych czasów', widzę, że miałem rację.

Jedynie dziewczyna z willą w Biarritz usiłowała nawiązać rozmowę z Sarą, lecz zaczęła ją niezbyt fortunnie.

- Wiesz - zwróciła się do Sary ponad bukietem różowych róż -

nie przypuszczałam, że Ella ma siostrę. Bardzo jesteście żyte?

Najpierw nastąpiła krótka zwłoka w odpowiedzi, jednak wystarczająco wymowna, by z miejsca zamknąć temat, a dopiero potem Sara z uśmiechem wyjaśniła, że Ella i ona są tylko kuzynkami.

- Nie do wiary! Mogłybyście być bliźniaczkami! - brnęła dalej nadal uśmiechnięta dziewczyna od willi.

- Nie mogłybyśmy być bliźniaczkami - padła cierpka odpowiedź, wystarczająco głośna, by Ella ją słyszała.

Ze sztucznie ożywionego tonu, z jakim Ella prowadziła rozmowę ze swoimi sąsiadami, odgadłem, że z rozmysłem zignorowała nietakt.

- Ależ mogłybyście! - upierała się nieszczęsna dziewczyna z willą. - Jesteście niemal identyczne!

- Lecz mamy zupełnie inny styl - odparła diabelnie słodkim głosem Sara i odchyliła się spokojnie na oparcie krzesła, jakby chciała dać dziewczynie od willi możliwość porównania swej aksamitnej cery z urozowanymi policzkami Elli. Potem, wyginając usta w półuśmieszku, z gracją ujęła papierosa w długie palce i zapaliwszy go, obdarzyła kuzynkę uśmiechem. Camilla czym prędzej wypełniła powstałą ciszę zachwyta nad wystawą kwiatów w Chelsea.

Obiad zbliżał się do końca. Podano aromatyczną kawę w filiżankach z cieniutkiej jak papier porcelany. Filiżanki miały kształt pączków róży i były w' różnych kolorach (mnie, na przykład, przypadła żółta). Gdy zobaczyłem, że przed Sarą postawiono różową filiżankę, rozbawiony, usiłowałem wymienić z nią porozumiewawcze spojrzenie, lecz nie zareagowała, zapatrzona gdzieś przed siebie. Kiedy Camilla rozplywała się nad urodą serwisu i pytała panią domu o jego pochodzenie, kuzynka Elli demonstracyjnie spojrzała na zegarek.

Wszyscy razem wstaliśmy od stołu i przeszliśmy do bawialni - przestronnego pokoju z mnóstwem niewygodnych kanap w ponurych obiciach i o bogato zdobionych drewnianych oparciach. Niemal natychmiast towarzystwo zaczęło się rozchodzić, bo obiad trwał dłużej, niż przypuszczano, a część gości była już umówiona gdzie indziej. Zauważyłem, że Sara jako jedna z pierwszych pożegnała gospodarzy - Pameli jedynie podała rękę, Alexandra i Ellę pocałowała, chociaż w przypadku kuzynki muśnięcie wargami policzka nie niesło ze sobą zbyt wiele uczucia. Charles, wstając,

pochylił się ku niej do pocałunku, lecz ona szybkim ruchem wyciągnęła do niego swoją kształtną białą dłoń.

Kiedy Sara wyszła, Camilla usadowiła się obok mnie na kanapie i cicho, lecz tak, by usłyszało ją tych parę osób, które podzielały jej zdanie, stwierdziła:

- A nie mówiłam, że ona jest dziwna? Teraz widzisz, że miałam rację. Dziwadło! Prawie się nie odzywała. - Camilla zadumała się głęboko. - Myślę, że ona się wywyższa - stwierdziła w końcu. - Tylko nie rozumiem, jakie ma ku temu powody.

Ponieważ pytanie było retoryczne i nie musiałem na nie odpowiadać, Camilla zmieniła temat. Słuchałem jej nieco roz-targniony, bo moje myśli zaprzętał problem, jak porozmawiać z Ellą bez świadków. Potrzebowałem na to tylko chwili, lecz szansa na rozmowę kurczyła się coraz bardziej, bo goście jeden za drugim kierowali się do wyjścia. Ella nie była skłonna do rozmowy ze mną, a ja nie miałem ochoty pokonywać całej szerokości dywanu, po to tylko, by utknąć przy niej i Charlesie. Chciałem z nią porozmawiać tylko sam na sam.

Kolejny raz Camilla przyszła mi w sukurs, proponując, byśmy obejrzeni prezenty zaręczynowe.

- Ello, kochanie! - zawołała z naszej kanapy. - Nie umierasz z ciekawości, co dostaliście?

- Ależ, oczywiście, że jest ciekawa - odparła z uśmiechem Pamela.

- My też! - dołączyłem skwapliwie do chóru gości, dostrzegając w tym moją szansę.

Ella wyraźnie miała ochotę zaprotestować.

- Skarbie, dlaczego nie mielibyśmy ich teraz otworzyć? - poparł nas natychmiast Charles.

- Chyba możemy je obejrzeć - zgodziła się Ella z wahaniem.

- Zróbmy to! - zadecydowała Pamela, wstając z kanapy. - Czy mogę w'as poprosić na górę? - zwróciła się do garstki gości. - Trudno byłoby to wszystko poznać - dodała ze śmiechem i biorąc pod rękę przyszłego zięcia, pierwsza ruszyła na piętro.

Za nią wyszedł Alexander z Camillą i z dziewczyną z willą w Biarritz. W salonie pozostał jedynie jakiś pulchny krewniak Harcourtów, drzemiący w fotelu, Ella i ja.

- Więc to tak? - zacząłem ostro, dając upust irytacji, która wzbierała we mnie podczas obiadu.

- Co „tak”? - spojrzała na mnie spod nastroszonej suszarką

blond grzywki.

Teraz przypominała mi trochę tamtą dziewczynę, której obraz nosiłem w pamięci.

- To jest ta twoja wyspa?

Nie odpowiedziała. Krewniak w fotelu cicho zachrapał.

- Czy właśnie to miałaś na myśli, mówiąc o wydarzeniach, które wymknęły się spod kontroli? - nie ustępowałem, odważny po sześciu tygodniach dławienia w sobie frustracji i podniecenia.

Zdecydowanym ruchem głowy wskazała mi drzwi i schody na górę.

- Nie wiem, o co ci chodzi - powiedziała, stawiając nogę na pierwszym stopniu.

- Jasne. Zapomniałem, że akurat w naszej ławicy nie należy przyznawać się do tego, iż było się szczerym. - Widziałem, jak ją speszył mój ironiczny ton. - A już szczególnie nie wolno tego robić, jeżeli nie zna się tej drugiej osoby od dziecka. - Byłem mile zaskoczony łatwością, z jaką znajdowałem słowa.

- Nie mów mi o ławicach.

- Dlaczego nie?

- Bo to wyświechtana metafora.

- Dobrze. W takim razie zapytam cię wprost. Co ty, do diabła, robisz?

- Wychodzę za mężczyznę, którego kocham, Jamesie. - Jednak jej głos zabrzmiał fałszywie. Oboje to zauważyliśmy. - Tak czy owak - wyszeptła niemal z wściekłością, zła na samą siebie - co cię to obchodzi, czy jestem szczęśliwa, czy nie?!

- Obchodzi mnie to w takim stopniu, w jakim mi pozwoliłaś - powiedziałem cicho.

- W takim razie żałuję, że cokolwiek mówiłam.

- Nie sądzę.

- Słucham?

- Powiedziałem, że nie sądzę, byś żałowała. Kiedy spotkałem cię po raz pierwszy, szukałaś sposobu, żeby się wyplątać. Na przyjęciu u Camilli też go szukałaś, czyż nie? Sądzę, że chciałaś, bym ci w tym pomógł.

Byłem na tyle rozsądny, żeby w tym miejscu nie snuć jakichś fantastycznych teorii na temat motywów, jakimi się kierowała. Ale z grubsza miałem rację, bo nie zaoponowała.

- I w końcu oficjalnie ogłoszono wasze zaręczyny - mówiłem

dalej, rozgrzewając się coraz bardziej. - I gdy sprawy rzeczywiście potoczyły się własnym torem, stwierdziłaś, że nie ma odwrotu, i postanowiłaś poddać się wydarzeniom. Czyli, używając twojego określenia, zdecydowałaś, że łatwiej jest płynąć z prądem niż pod prąd.

- Cicho! Bo cię jeszcze usłyszą.

Zniżyłem nieco głos, ale nadal atakowałem:

- A teraz nienawidzisz siebie za własną słabość, prawda?

- Jak śmiesz...

- W takim razie zaprzecz. Powiedz, że z przyjemnością włożyłaś tę idiotyczną różową sukienkę i zachowujesz się jak malowana lala. Powiedz mi to, a pójdę na górę, żeby z głupawo uprzejmym uśmiechem oglądać te tw'oje zaręczynowe prezenty. I nigdy więcej nie będę ci już zwracał głowy.

Spojrzała na mnie bez słowa, a ja ku swemu przerażeniu i z uczuciem ulgi zarazem zobaczyłem w jej oczach łzy.

- Powiedz - nalegałem - a pójdę sobie. Powiedz - byłem teraz na najwyższych obrotach - że nie wyobrażasz sobie, byś mogła pokochać kogoś bardziej niż Charliego Stanhope'a, a odejdę. Nawet się nie pożegnam, jeżeli nie będziesz chciała. Po prostu wyjdę, i już.

- Nic podobnego ci nie powiem - odparła, siląc się na wyniosły ton. - Ale lepiej będzie, jeżeli rzeczywiście już pójdziesz.

- Nie wyjdę, zanim nie dowiem się dlaczego? - przypuściłem atak z innej strony. - Chociażby, żeby zaspokoić moją ciekawość. Powiedz mi, dlaczego za niego wychodzisz.

Przekonany, że znam odpowiedź, spodziewałem się, iż w końcu ulegnie. Rozczarowałem się. Zamiast zacząć się zwierzać, Ella wyprostowała się i spojrzała mi prosto w oczy.

- Ello, kochanie! - doszło nas ponaglące wołanie z góry.

- No, wytłumacz mi to - nie ustępowałem.

Ignorując wszystko, co dotąd powiedziałem, Ella z wyraźnym wysiłkiem opanowała się i z naciskiem, cicho oznajmiła:

- Nie masz prawa oczekiwać ode mnie żadnych wyjaśnień.

Jesteś gościem w domu moich rodziców. Masz względem nich pewne obowiązki. Więc wypełnij je i zrób, co ci powiem.

- A mianowicie?

- Pójdź teraz na górę i podziękuj mojej macosze za miłe przyjęcie - rzekła spokojnie. - A potem odprowadź Camillę bezpiecznie pod drzwi i sam też wróć do domu. Zapomnij

o moich metaforach. Zapomnij o wszystkim, co ci powiedziałam w parku i u Boardmanów. Jeśli masz ochotę, złóż to na karb emocjonalnego rozchwiania młodej dziewczyny, wywołanego zaręczynami. Myśl sobie, co chcesz, tylko przestań mnie wypytywać.

- Ello! - Tym razem męski głos dobitniej zawołał z góry. Zaskrzyphiały schody - usłyszałem jakby znajome kroki na schodach.

- Ello, skarbie, gdzie się podziewasz?! - Głos Charliego Stanhope'a był radosny jak zawsze.

- Mam nadzieję, że zrozumiałeś - powiedziała.

Nasze spojrzenia spotkały się. Słyszeliśmy, jak Charlie schodzi na półpiętro.

- James, proszę. - Ella zmieniła ton. - Nie teraz. - I widząc promyk nadziei w moich oczach, dodała: - Ani nigdy. - Spojrzała na mnie z powagą. - Za daleko to wszystko zaszło. Nawarzyłam piwa, a teraz muszę je wypić.

- Jeszcze nie jest za późno - zaproponowałem. - Masz przed sobą całe życie. Chcesz je spędzić zepchnięta na wyspę Charliego Stanhope'a? To niezbyt ciekawa perspektywa.

- Przestań mówić o wyspach.

- Dlaczego? Przecież to twoje słowa.

- Już ci mówiłam, ta metafora się zużyła.

- Uważam, że nadal jest trafna.

- Uważaj sobie, co ci się żywnie podoba - syknęła zniecierpliwiona.

- Ello, przed tobą jest całe życie, nie widzisz tego? - zapytałem łagodniej.

- To samo powtarzałeś tamtego wieczoru - przypomniała akurat w chwili, gdy stanął przy nas Charles.

- A wy tak cały c/as tu gawędzicie? - zapytał dobrodusznie.

- I nadal tak uważani - mruknąłem pod nosem.

- O co chodzi? - spytał Charles.

- O to, że pociągi nie czekają na ludzi - odpowiedziała żywo Ella, biorąc Charliego pod ramię. - A James, choćbyśmy nie wiem jak go błagali, nie przepuści swojego pociągu.

- To fatalnie - skwitował Charles, a ja podążyłem za nimi po schodach, żeby się pożegnać.

6

I tak oto przegrałem, zmiażdżony determinacją w tych zielonych twardych oczach. Zapewniam was, że bardzo przeżywałem moją klęskę. Jednocześnie z całą stanowczością przyznaję, że zostałem niezachwiany w mych romantycznych zapędach i że z nową energią zacząłem krążyć myślami wokół niewesołej sytuacji Elli. Uznałem, że w tamten deszczowy dzień zaręczyn zdobyłem jej zaufanie i że więź między nami zacieśniła się w jakiś nieokreślony, a przy tym zdecydowany sposób, chociaż wszystkie fakty świadczyły o czymś zupełnie innym.

Cechą młodości jest optymizm - to bardzo pocieszające. Czekałem cierpliwie na dalszy rozwój wypadków.

Nie byłem aż tak arogancki, by przypuszczać, że Ella nie potrafi się oprzeć pokusie ponownego spotkania ze mną. Podejrzewałem raczej, że zechce się ze mną zobaczyć, by spróbować wyjaśnić rzeczywiste motywy mego czynu, czego nie udało jej się zrobić na zaręczynowym obiedzie. Postanowiłem więc czekać i niczego nie przyspieszać.

Ślub Charlesa i Elli miał się odbyć za siedem miesięcy, w marcu przyszłego roku. Kiedy upływały kolejne dni i minął tydzień od obiadu u Harcourtów, pocieszałem się, że przynajmniej czas jest moim sojusznikiem.

Starałem się wierzyć, że Ella Harcourt jest dumną kobietą. Trzymałem się kurczowo tego przekonania, bo w ten sposób mogłem usprawiedliwić jej uparte milczenie. Powiedziałem sobie (zresztą słusznie, jak się potem okazało), że nachodzenie jej na Chester Square byłoby niewłaściwym posunięciem, że zrobiłem już, co w mojej mocy. Nie spotkałem również przypadkiem nikogo z rodziny Harcourtów, mimo że jak zwykle gorliwie ich wypatrywałem. Tak więc przez tydzień nie wydarzyło się nic, co podsyciłoby moją nadzieję.

Ósmego dnia przyszedł list od niej. Mam go tu przy sobie, razem ze wszystkimi listami, które do mnie napisała. Gdy patrzę na tę kartkę czerpanego papieru i brązowe wężyki nierównych liter, myślę z gorzkim smutkiem o dziewczynie, która go napisała, i żałuję, jak żałowało wielu ludzi przede mną, że nie można zmienić przeszłości. Szkoda, że prócz pamięci nie istnieje żaden inny sposób, by powrócić do tamtego dnia sprzed wielu laty, kiedy list El li razem z całą pocztą wpadł przez szczelinę w drzwiach na wycieraczkę w holu domu moich rodziców.

Ta rozmowa z samym sobą jest bardzo pożądana; zmusza mnie do konfrontacji z przeszłością, o której od ponad trzydziestu lat wołałem nie myśleć. Oczywiście duszy widzę siebie z tamtych czasów - romantycznego, niewinnego chłopaka, i zaczynam go rozumieć. To ważny krok. Istotne, że zdaję sobie sprawę z jego niewinności, bo teraz wiem, że on, czyli ja, nie był od początku zły, że jego grzech - mój grzech - nie był grzechem człowieka z gruntu zepsutego. Zło przyszło z zewnątrz, było wynikiem splotu okoliczności i przypadku oraz, przyznaję, mojej słabości, której wtedy nie potrafiłem przewidzieć ani nad nią zapanować. W pewnym sensie wreszcie zrozumiałem to, z czego dotąd nie zdawałem sobie sprawy, a mianowicie, że kiedy czytałem list Elli, byłem zwykłym młodym mężczyzną; przeciętnym, typowym, zwyczajnym młodym człowiekiem. Moja fascynacja Ellą Harcourt w niczym nie różniła się od zauroczenia całej rzeszy innych młodych mężczyzn mnóstwem młodych kobiet. Jeżeli kwestionowałem konstrukcję tego świata, to samo robiły miliony młodych ludzi. Jeśli pragnąłem udowodnić, że nie jestem niewolnikiem konwenansów ani że nie pozwolę sobie narzucić poglądów otoczenia, to podobnie postępowali wszyscy młodociani buntownicy we wszystkich pokoleniach. Wcale nie byłem wyjątkowy, inni na moim miejscu mogliby postąpić tak samo jak ja.

Nie rozgrzesza to jednak mego uczynku.

Ale muszę też dodać na swoją obronę, że wielu ludzi robiło gorsze rzeczy niż ja, że nie przekroczyłem pewnej granicy. W historii aż roi się od takich przykładów. Neron, Iwan Groźny, Hitler. Czy zostaną surowiej czy łagodniej ukarani? Być może oni, podobnie jak ja, również zaczęli całkiem niewinnie. Chciałbym usłyszeć ich historie. Ciekawe też byłoby usłyszeć całą historię Sary. Dlaczego? Bo chciałbym poznać okoliczności łagodzące. Prócz intelektualnej satysfakcji już niewiele mogę oczekiwać od życia. Zobaczywszy, jak dokonana się sprawiedliwość w przypadku mojej żony, będąc właściwie narzędziem w rękach sprawiedliwości, prawie zupełnie pozbawiony skruchy, mogę skupić całą energię na trwaniu w stanie samozadowolenia aż do chwili, kiedy nadejdzie koniec. Wtedy zostaną osądzony i zapadnie na mnie wyrok, chociaż w przeciwieństwie do Sary żałuję tego, co kiedyś zrobiłem - żałuję od prawie pięćdziesięciu lat. Może to będzie miało jakieś znaczenie?

Zanim jednak w przyszłości poniosę konsekwencje, muszę stawić czoło przeszłości. Gdybym miał teraz wyrazić jedno życzenie, tylko o to bym prosił. To dla mnie niełatwe, bo widzicie, do wczoraj żyłem wyłącznie teraźniejszością. Bałem się zarówno oglądać za siebie, jak i wybiegać myślami w przód. Z jednej strony przerażała mnie myśl o tym, co zrobiłem, co my zrobiliśmy - to znaczy Ella i ja, a z drugiej napawała mnie lękiem świadomość czekającej kary. Teraz nabrałem odwagi, mogę już dokładniej wejrzeć w przeszłość.

Trzymam w dłoni list Elli - w drżącej i poznaczonej niebieskimi żyłkami dłoni starego człowieka. Widzę u góry datę: niedziela i wykaligrafowany adres: „Chester Square 23, S.W. 1”.

Drogi Jamesie!

Zapewne z zadowoleniem przyjmiesz wiadomość, że nasza rozmowa sprzed tygodnia uświadomiła mi przynajmniej jedną rzecz, a mianowicie, że zalynkowałam sobie twarz tym okropnym makijażem. Miałaś rację. Wyglądałam jak lalka. Chyba potrzebny mi. był ktoś taki szczery i obcesowy, żeby mi to powiedzieć bez ogródek, więc dziękuję Ci za brak manier. Być może byłeś już znudzony udzielaniem się towarzysko i akurat ja oberwałam. Może tak właśnie było, choć mam nadzieję, że nie. Jeśli chcesz wiedzieć, niedługo przypominałam lalkę. Gdy tylko wyszli ostatni goście, poszłam na górę i wyszorowałam twarz. Zmoczyłam też włosy, czym podczas kolacji sprowokowałam Pamelę do stwierdzenia, że wyglądam jak „zmokła kura” (ona lubi takie porównania). Była wściekła, bo całe przedpołudnie spędziłyśmy razem w jej salonie piękności. Moja twarz była efektem próby umacniania więzów rodzinnych przez Pamelę.

Już. słyszę, jak mówisz.: „Jakie to amerykańskie!” Cóż, uważam się za Amerykankę i jestem z. tego dumna. Ale nazwisko mam angielskie. Pamiętasz, jak zgodziłyśmy się co do tego, że nazwisko jest najmniej osobistą sprawą? To stwierdzenie może być punktem wyjścia odpowiedzi na pytanie, jakie zadałeś mi tydzień temu. Zapylałeś: dlaczego. Dlaczego wychodzę za Charlesa.

Właśnie, dlaczego? Zanim zaczniesz mnie krytykować, myślę, że powinieneś choć na chwilę postawić się w mojej sytuacji. Gdyby Twoja (już. sama nie wiem, ile razy „pra”) prababka uwiodła Karola Drugiego tak jak moja, prawdopodobnie lepiej byś zrozumiał to, co chcę powiedzieć. Być może Twoje nazwisko przestałoby być po prostu nazwiskiem, a stałoby się definicją,

określającą Ciebie w sposób, który w ogóle by Ci nie odpowiadał. Bóg mi świadkiem, że moje nazwisko mnie determinuje. Czy naprawdę spodziewasz się, że dobrze urodzona panna Ella Harcourt, córka lorda i lady Harcourt, siostrzenica hrabiego i księżnej Seton, osoba wymieniona w „Who's Who”, może wyjść za kogoś innego niż za Charlesa Stanhope'a, pierworodnego syna Sir Lachlana i lady Stanhope z Barton Manor przy Wilts i Windham Road, Fulham, absolwenta Eton i Oxfordu? Oczywiście, że nie! Może i mamy lata dziewięćdziesiąte, ale nadal nie. Jesteśmy tak wolni, jak nam się wydaje (mówię to pół żartem, pół serio).

A teraz poważnie. Chyba nadszedł czas na szczerość wobec Ciebie. Powiedziałam Ci wtedy, w parku, że wpakowałam się w kłopotliwą sytuację i że sama ją sprowokowałam. Otwarcie się do tego przyznaję. Dlatego właśnie przez ostatnie tygodnie przeżywałam rozterki w związku z konsekwencjami moich poczynań. Dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam, po co wprawiłam tę machinę w ruch, nie potrafię Ci dokładnie powiedzieć. Setki razy pytałam o to samą siebie i nie znalazłam odpowiedzi, więc niby skąd Ty miałbyś to wiedzieć. Niemniej istnieje jakaś odpowiedź lub raczej kilka częściowych odpowiedzi, które zebrane razem, mogą wyjaśnić moje postępowanie. Jeżeli naprawdę chciałbyś dowiedzieć się, dlaczego wychodzę za Charlesa, i sądzisz, że po otrzymaniu odpowiedzi na niektóre pytania miałbyś jakieś błyskotliwe pomysły dotyczące Jcwestii zasadniczej, czyli lego, jak mogłam stanąć przed tak nonsensownym dziewiętnastowiecznym dylematem, czekaj na mnie jutro o czternastej piętnaście na stacji Paddington przy rozkładzie jazdy. Jeżeli się nie zjawisz, uznam, że bardzo rozsądnie postanowiłeś trzymać się od tego z daleka. Prawdopodobnie postąpiłabym tak samo na Twoim miejscu. Z poważaniem
Ella Harcourt

Żadnych serdeczności, nic osobistego prócz podpisu.

Oczywiście, poszedłem na dworzec. Kto na moim miejscu by tego nie zrobił? Poszedłem z radością w sercu i śpiewem na ustach.

Ella czekała na mnie przy rozkładzie jazdy, krucha i zagubiona w tłumie. W dzinsach i starym swetrze, z potarganymi włosami, zupełnie nie przypominała tamtej dziewczyny sprzed tygodnia, która ze skromną miną rozmawiała o prezentach ślubnych i zaręczynowych.

- Cześć, James! - zawołała na mój widok.

- Cześć, Ello!

Przyglądaliśmy się sobie przez chwilę.

- Dziękuję, że przyszedłeś.'

- Nie musisz mi dziękować.

Bilety kupiła Ella.

- Podróż będzie dość długa - usprawiedliwiała się, odchodząc od kasy. - Ale obiecuję, że czeka cię nagroda, gdy dotrzemy na miejsce. Mają tam we wsi świetny pub, jestem pewna, że ci się spodoba. Tymczasem musimy zadowolić się kanapkami z wagonu restauracyjnego - dodała i biorąc mnie za rękę, poprowadziła wzdłuż peronu do ekspresu kornwa- lijskiego.

Pamiętam, jak wyglądała wtedy w pociągu. Moją uwagę zwróciła jej kremowa cera na tle zielonego wełnianego swetra, świeżo umyte, rozsypane włosy i zapach jej mydła. Miałem przed sobą Ellę bezpretensjonalną, zupełnie niepodobną do dekadentckiej postaci z parku lub wystrojonej uczestniczki przyjęcia Camilli czy malowanej lali z obiadu u macochy. Ella Harcourt była kobietą o wielu obliczach; wykazywała umiejętność estetycznego dostrajania się do sytuacji, co tylko u niej zaobserwowałem, mimo że w swoim siedemdziesięcioletnim życiu poznałem wiele kobiet. W przedziale drugiej klasy, utrzymanym w brązowo-pomarańczowej tonacji, Ella wydawała mi się tak samo piękna jak na ławce w parku i w mrocznej wnęce pełnej książek. Kiedy siedziałem wpatrzonej w nią, starając się znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego tak jest, dokonałem odkrycia, że piękno jest nieuchwytnie i nie poddaje się opisom. Urodę można ująć w słowa, lecz piękno to coś więcej. Ella była piękna.

W dodatku tym razem była rozmowna. Po lekkiej zachęcie z mojej strony opowiedziała mi z grubsza swój życiorys.

- Jeżeli rzeczywiście chcesz wiedzieć - zaczęła z uśmiechem - urodziłam się w Londynie, w mglisty listopadowy dzień prawie dwadzieścia cztery lata temu. Moi rodzice z dumą pokazywali mnie jako kwintesencję wszystkiego, co urocze w oseskach, ale tak naprawdę byłam brzydkim, marudnym niemowlęciem bez jednego włosa na głowie, lecz za to o mocnych płucach. Bardzo często darłam się na cały głos.

Roześmiałem się, a Ella obdarzyła mnie krzywym uśmiechem. Potem zapaliła papierosa i podjęła przerwana opowieść.

- Kiedy miałam sześć lat, moja matka, doskonale ułożona, miła młoda Angielka, pozwoliła sobie zginąć w wypadku samochodowym. Wielce niefortunne wydarzenie zarówno dla niej,

jak i dla mego ojca, który miał pecha być w niej szczerze zakochany. Najbardziej jednak cierpiała szeroko pojęta rodzina, kiedy bezradnie patrzyła, jak pogrążony w smutku, biedny Alexander zwija manatki i wyjeżdża do Ameryki, aby tam szukać szczęścia i zacząć życie na nowo. Wszyscy uważali, że takie poddawanie się emocjom jest w bardzo złym guście. Lecz, co gorsza, Alexander uparł się, by zabrać ze sobą małą córeczkę, która, jak się obawiano, pod wpływem tych barbarzyńców z kolonii może nabrać złych nawyków. Uważano, chociaż nigdy nikt nie powiedział tego głośno (bo takich rzeczy oczywiście się nie mówi), że dziewczynka może narazić na szwank rodowe nazwisko.

Ella przerwała, by strząsnąć popiół do plastikowego kubeczka, a ja siedziałem zasłuchany.

- Kiedy dwanaście lat później biedny Alexander powrócił do Londynu z nową żoną, Amerykanką, popełniając w ten sposób największą zdradę, rodzina wpadła w rozpacz. - Ella zrobiła pogardliwą minę. - A w dodatku amerykańskiej stronie udało się przekabacić córkę. Przestała poprawnie wymawiać samogłoski, a jej - i tak niedoskonałe - manieri znacznie się pogorszyły. Należało coś z tym zrobić. Ale dziewczyna miała osiemnaście lat, a w dodatku uparta i niezależna, nie chciała słuchać dobrych rad. Niewdzięczne dziecko! Jakkolwiek jednak na to patrzeć, nosiła nazwisko Harcourt i nic nie mogło tego faktu zmienić. Najważniejsze więc było niezwłocznie nauczyć ją przyzwoitego zachowania. - Ella w zamyśleniu zaciągnęła się papierosem. - Tylko nikt nie wiedział, jak się do tego zabrać. Na szczęście dziewczynę interesowała historia sztuki - stosunkowo właściwa dyscyplina - więc wybrano Courtauld jako odpowiednio kulturalną uczelnię. - Ella uśmiechnęła się. - Dziewczyna zrobiła dyplom, nauczyła się sztuki gładkiej konwersacji, lecz nie mogła podjąć normalnej pracy, chociaż bardzo tego chciała i miała odpowiednie kwalifikacje, bo to nie wchodziło w grę. Trafiła pod kuratelę najróżniejszych pociotków, przedstawiano ją wielu ludziom, zapewniając w ten sposób grono odpowiednich przyjaciół na całe życie. Kiedy skończyła dwadzieścia trzy lata, znała osoby w rodzaju Camilli Boardman - wyroczeni, jeśli chodzi o to, co najlepsze w „młodej Anglii”. Wtedy również odbyły się jej zaręczyny z bardzo miłym, młodym człowiekiem. Nawet jej akcent, chociaż daleki od doskonałości, zdecydowanie się poprawił. Wreszcie można było bez wstydu wydać ją za mąż.

- A tym miłym młodym człowiekiem był Charles Stanhope?

- Tak.

- Ummm.

- I co myślisz o mojej historii? - zapytała Ella. - Podoba ci się? Tak to sobie wyobrażałeś?

- Tak - odparłem z zadowoleniem, bo jak dotąd moje teorie potwierdziły się.

- Niestety - podjęła na nowo przerwany wątek, wrzucając przy tym niedopałek do kubeczka i sięgając do torebki po nowego papierosa - to nie jest cała historia. Absolutnie nie.

- To znaczy? - spytałem, zdumiony zmianą wyrazu jej twarzy.

- Cóż... Pamiętasz mój list?

Skinałem głowę.

- Pamiętasz, jak mówiłam w nim o wielu powodach, które razem mogą złożyć się na odpowiedź, dlaczego sprawy przybrały obrót taki, a nie inny?

Jeszcze raz przytaknąłem kiwnięciem głowy.

- To, co ci właśnie powiedziałam, jest jednym z tych powodów. Chyba najmniej istotnym.

- A inne?

- Właściwie nie ma ich aż tak dużo. Trochę przesadziłam. Szczerze mówiąc, jest tylko jeszcze jeden. - Ella westchnęła. - Znacznie bardziej ponury niż to, co dotąd usłyszałeś. - W milczeniu spojrzała mi w oczy. - Oczywiście, oba te powody, chociaż różnią się zasadniczo, są ze sobą powiązane. Ten, którego nie znasz, jest nieco... niepokojący.

Ella wytrzymała moje spojrzenie. Widziałem w jej oczach wyzwanie.

Wytrzymałem jej wzrok.

- Mów - poprosiłem.

- Jesteś pewien, że tego chcesz? - Zapaliła papierosa, wciągnęła głęboko dym i wydmuchnęła go przez nos.

- Opowiadaj - poprosiłem ponownie, czując zawrót głowy jak ktoś, kto właśnie nastąpił na nóż.

- Dobrze, ale będziesz musiał poczekać, aż dojedziemy na miejsce. - Ella uśmiechnęła się do mnie. Zauważyłem, że rozluźniła ramiona. - Chcę ci coś pokazać - powiedziała. - To obraz. On wytłumaczy wszystko znacznie lepiej niż słowa.

Według mnie właśnie ta chwila tamtej podróży (podróży, którą

potem odbywałem w myślach więcej razy, niż mogę zliczyć) była początkiem wszystkiego. To prawda, że w Londynie przeżywałem fascynację, ale to była fascynacja wywołana przez romantyczne rojenia o rycerskiej odsieczy. Ella wypełniała moje myśli bardziej na podobieństwo księżniczki z bajki niż jako osoba z krwi i kości. Ja, zwykły śmiertelnik, uległem działaniu jej eterycznej aury, a jednocześnie czułem się ignorowany i trzymany na dystans. Jeżeli istniała między nami jakaś zażyłość, to wynikała ona z przypadku, zbiegu okoliczności czy kaprysu losu. Teraz przeszedłem test, którego znaczenia nie rozumiałem, ale który bardzo sobie ceniłem. Uznałem, że w związku z tym mam prawo czegoś żądać. Co to miało być, nie wiedziałem, ale na pewno przestałem być postacią marginesową.

Ta tajemnicza kobieta o zmiennych oczach i śmiejących się ustach wyrwała mnie z mego życia i ot, tak po prostu, zabrała w sześciogodzinną podróż, bym zobaczył jakiś obraz, którego znaczenia mogłem wcale nie zrozumieć. Spośród wszystkich znanych sobie ludzi właśnie mnie obdarzyła zaufaniem i zapragnęła wytłumaczyć mi splot motywów i błędów, które doprowadziły do jej zaręczyn. To ja miałem pomóc jej wypłynąć na powierzchnię z odmetu, w którym się szamotała. To mnie wybrała z całej ławicy ryb połyskujących łuskami przed jej oczyma, by ze mną u swego boku walczyć z prądem, z falami, z oceanem.

I tak metafory Elli wypełniały mi myśli, zderzając się, łącząc i mieszając z moimi rojeniami o namiętności i męstwie. Tak, byłem marzycielem, przyjmuję ten zarzut. Kiedy rozmarzony patrzyłem na gładką białą szyję Elli, czułem, że nie ma takiej rzeczy, której bym nie uczynił, by zdobyć jej zaufanie.

Resztę podróży przeżyliśmy w ciszy, obserwując przez okno migające krajobrazy. Wsłuchani w stukot kół, pozwoliliśmy, by ich rytm wprowadził nas w odrętwienie. Niewiele mówiliśmy, Ella dużo paliła, a ja obserwowałem jej palce, gdy zapalała i gasiła kolejne papierosy.

Ostatni, półgodzinny odcinek drogi do Penzance przebiegał wzdłuż linii wybrzeża. Siedzieliśmy z Ellą w milczeniu. Kiedy wyjechaliśmy z Devon, pociąg na każdej stacji coraz bardziej pustoszał. Ella przestała palić. Patrzyłem na jej profil, gdy szeroko otwartymi oczyma śledziła krajobraz. Obserwując od czasu do czasu jej nieruchome spojrzenie, wyczuwałem w niej pełne napięcia oczekiwanie i zastanawiałem się, co może być jego

powodem. Ella nie zdradziła mi celu naszej podróży, a ja nie pytałem, podniecony owym stanem zawieszenia. I wtedy go zobaczyłem. Wiedziałem, że to, co widzę, jest tym, na co ona czekała. W świetle zachodzącego słońca zamigotały szyby w oknach wyrastającego z morza, zwieńczonego wieżyczkami zamku w Seton. Słońce, wielka czerwona kula, chyliło się ku Atlantykwowi, chowając się za dzwonnice, a jego promienie, rozłożone ku górze na kształt wachlarza, rozświetlały szarofioletowe niebo. W tym świetle granitowe ściany zamku nabrały różowego odcienia, a obracane wiatrem kurki na dachu połyskiwały złościście. Miejsce wyglądało tajemniczo, nieprzystępnie i niepokojąco.

- Oto i ona - powiedziała cicho Ella. - Nasza wyspa.

Jeszcze raz w życiu miałem usłyszeć te słowa, które, wypowiedziane z inną emfazą, nabrały zupełnie nowego znaczenia, kiedy to wiele lat później odbywałem podróż tą samą drogą już jako żonaty mężczyzna. Gdy jednak patrzyłem na zamek po raz pierwszy, moje myśli nie zwróciły się ku mojej przyszłości, lecz ku jego przeszłości. Wieki mijały, a on niewzruszenie górował nad klifami małej wyspy o poszarpanych brzegach, nieczuły na ludzkie dramaty, jakie rozgrywały się w jego murach. Teraz dziwne mi się wydaje, że to miejsce kiedyś było mi obce, że gdy mijałem je po raz pierwszy w obskurnym wagonie drugiej klasy, zamek nie budził we mnie żadnych skojarzeń ani nawet ich nie zapowiadał. Seton sprawia surowe wrażenie, jest imponujący, a przy tym posępny; zupełnie brakuje mu ciepła. Lecz gdy obdarzy kogoś zaufaniem, to już na zawsze. Seton będzie strzegł ciała Sary z niezmordowaną czujnością matki pilnującej dziecka; będzie również strzegł mego ciała, gdy nadejdzie czas. Tak... mego ciała też będzie strzegł.

Pociąg jechał dalej, a my patrzyliśmy w milczeniu na zostający za nami baśniowy widok.

- Jest jak Camelot, prawda? - szepnęła Ella.

- Jak Camelot - powtórzyłem za nią jak echo.

Dworzec w Penzance był pełen ludzi i bagaży. Spora kolejka ustawiła się do taksówek.

- Chodź! - Ella pociągnęła mnie za rękaw. - Pójdziemy pieszo! To tylko jakaś godzina drogi stąd. A ostatni prom na wyspę

nie odchodzi wcześniej niż o dziesiątej.
Przeszliśmy więc przez miasto i znaleźliśmy się na przedmieściu. Zaczęło mżyć. Zmęczeni i rozgrzani podróżą, z przyjeinnością przywitaliśmy deszcz i pachnące morzem powietrze. Szliśmy ramię w ramię, uśmiechając się trochę niepewnie, bo zbliżaliśmy się do celu. Dwupasmowa szosa przeszła w dwukierunkową drogę, a coraz mniej samochodów poruszało się już wolniej. Gdy w końcu zostawiliśmy za sobą pełne ludzi ulice i ciasno zestawione zabudowania, zboczyliśmy z szosy w polną drogę prowadzącą do plaży.

- Spójrz! - zawołała Ella, kiedy stanęliśmy na małym wzniesieniu.

I wtedy zobaczyłem zamek. Granitowe mury wyrastały z wyspy w kształcie stożka, komponując się z nią w całość, otoczoną niebieskim morzem.

- Więc taki właśnie widok miała przed sobą Blanche - rzekłem.

Ella nie od razu odpowiedziała.

- Co wiesz o Blanche? - Obrzuciła mnie ostrym spojrzeniem.

- Niewiele. Tylko tyle, że była twoją prababką i że tu mieszkała.

- Kto ci o tym powiedział?

- Sara.

- Uhhh. - Ella zamilkła na chwilę. - Widzę, że już do ciebie dotarła.

- Nie rozumiem.

- Nie możesz rozumieć.

- W takim razie wytłumacz mi.

- Nie teraz, James - odezwała się po chwili.

Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, Ella zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie, a potem puściła się biegiem ze strome go zbocza nad plażą, porośniętego wysoką trawą.

Stałem niepewny, czy pójść w jej ślady.

- Myślę, że tędy dojdziemy do promu! - zawołała. - Biegnij! - usłyszałem jej polecenie poprzez szum wiatru.

Biegłem więc w deszczu, pocąc się z wysiłku, a moje ubranie, wilgotne po podróży w dusznym pociągu i nasiąknięte deszczem, kleiło mi się do ciała. Strugi wody lały się z nieba, a ja biegłem dalej. Ella, cały czas przede mną, wydała długi, przeciągły okrzyk

ni to radości, ni to gniewu. Ten krzyk, którego wymowy nie potrafiłem wytłumaczyć, zelektryzował mnie, mimo że piasek sypał mi się do butów, a za kołnierz lała się woda. Biegłem za nią, prawie ją doganiałem, lecz ciągle mnie wyprzedzała. Ten pościg, te dwie postaci zbiegające ze zbocza w ciepłym wieczornym deszczu, mają w sobie coś symbolicznego. Kiedy teraz o tym mówię, czuję w ustach smak soli i pulsowanie krwi w żyłach.

Na wyspę zabrał nas brodaty rybak, najwyraźniej zdumiony naszym brakiem bagażu.

- To ostatnia łódź dzisiaj, psze pana - wyjaśnił. - Nie bndzieta mieli czym wrócić.

- Nie chcemy dziś wracać - odpowiedziała za mnie Ella.

- A to w porządku, panienko.

Odbywaliśmy naszą krótką przeprawę do portu na wyspę w zdelowanej łodzi, przesiąkniętej zapachem makreli, a tymczasem słońce skryło się za horyzontem. Zdziwiłem się nieco, gdy zobaczyłem wiejskie zabudowania pod zamkiem, bo dotąd myślałem o Setonie jako o samotnym miejscu na odludziu. Z ochotą wypilem piwo i zjadłem dorsza usmażonego na maśle w „świetnym pubie”, o którym wspominała Ella. Ponieważ pub prowadził również noclegi, zanim zasiedliśmy do kolacji, zarezerwowaliśmy dwa pokoje. Ella wpisała nazwisko Warrington.

- To nazwisko mojej matki - wyjaśniła szeptem, podsuwając mi książkę meldunkową. - Gdybym tu, na wyspie, podała nazwisko Harcourt, ściągnęlibyśmy na siebie uwagę i nie byłoby mowy o spokojnie przespanej nocy.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem i wpisałem się do książki własnym nazwiskiem.

Siedzieliśmy przy stoliku w przytulnym barze, słuchając monotonnego bębnienia deszczu o szyby.

- No, to jesteśmy na miejscu. - Uśmiech rozjaśnił twarz El li.

- Czy to właśnie chciałaś mi pokazać? - spytałem, czując obecność wpływu tej rodziny nawet w tym pubie z krzesłami o podniszczonych skórzanych obiciach, bo nad jego wejściem wisiał herb Harcourtów.

- Poniekąd. Chciałam ci pokazać wyspę i zamek. Lecz jest jeszcze coś, co chcę, żebyś zobaczył. - Ella przerwała, bo przyniesiono nam ryby. - Ale trzeba z tym poczekać do jutra. Dopiero rano otworzą zamek dla zwiedzających.

- Ale... - zacząłem nieco zaskoczony - odniosłem wrażenie, że on należy do ciebie. Przecież nie jesteś turystką w rodzinnym domu?

- Nie - odparła z niewinnym uśmiechem. - Naturalnie, moglibyśmy wprosić się na obiad do wuja Cyryla i ciotki Elizabeth, gdybym tego chciała. Nie sądzę, że byliby szczególnie zachwyceni moim widokiem, ale nie pokazałoby tego po sobie. Z oczywistych powodów wolę tego nie robić.

- Co to za powody?

- Cóż, mój niedomyślny chłopcze, przede wszystkim nie jesteś Charliem Stanhope'em. Dla nich to niedopuszczalne, bym przyjechała tu z kimś innym.

- Przynajmniej dopóki nie wyzwolisz się z tego układu?

- Przynajmniej dopóki, jak to ująłeś, nie wyzwolę się z tego układu.

- Rozumiem.

- Ale jest jeszcze jeden powód.

- A mianowicie?

- Wolę pokazać ci obraz bez świadków. Nie mam na myśli zwiedzających, oni mi nie przeszkadzają. Chcę uniknąć obecności rodziny. Więc muszę zachować anonimowość turysty. A ty poznałeś już wystarczająco dużo moich krewnych - zaśmiała się cierpko.

Bez trudu odgadłem, kogo miała na myśli.

- Tylko raz rozmawiałem z Sarą - zapewniłem ją. - Szczerze mówiąc, wziąłem ją za ciebie.

- Na moim własnym przyjęciu zaręczynowym? - Uniosła brwi.

- Nie. Wcześniej. W parku.

Ella opuściła brwi i wpatrzyła się we mnie.

- Hmm, musiałeś być niezwykle ujmujący - stwierdziła w końcu. - Chyba opowiedziała ci o naszej rodzinie wszystko, co powinieneś wiedzieć.

- Opowiedziała mi o waszej babce - wyjaśniłem. - Tak mi przykro.

- Nie znałam jej - odparła po chwili, odrzucając w ten sposób moje współczucie.

- Tak naprawdę, to chciałem dowiedzieć się od Sary czegoś o tobie.

- Założę się, że z radością cię oświeciła. Czy nazwała mnie

parwieniuszką? A może powiedziała, że jestem pospolita
i grubiańska?

- Powiedziała, że nie widujecie się zbyt często - odparłem
wymijająco.

Ella zwietrzyła unik.

- Jestem pewna, że powiedziała znacznie więcej, a twoje
dobre maniere nie pozwalają ci tego powtórzyć. Rozumiem cię,
James. I sama wypełnię niektóre luki na własny temat.

Ella zamilkła. Czując na sobie jej wzrok, skwapliwie zająłem się
swoją porcją dorsza.

- Mogę zapalić? - zapytała, jednocześnie już zapalając
papierosa.

Skinałem głowę.

- Dzięki.

Znowu zaległa cisza.

- Wolałabym, żebyś na mnie patrzył - zauważyła. Podniosłem
wzrok. Ella wahała się, jakby rozważała coś,
co jak mi się zdaje, jeszcze wtedy było do rozważenia.

- James, wiesz cokolwiek na temat zazdrości? - zapytała po
chwili cichym, stonowanym głosem. - Wiesz, co ona robi z
ludźmi?

Pokiwałem energicznie głową, czując, że mam pod tym względem
pewne doświadczenie.

- Tak, wiem - odparłem.

- A odczuwałeś ją kiedykolwiek?

- Tak - przyznałem.

- Ale tylko od czasu do czasu, na krótko - dopowiedziała
szybko. - Na pewno przypominasz sobie, jak zazdrościłeś komuś
samochodu, pieniędzy i tym podobnych rzeczy?

Znowu jej przytaknałem.

- Ale to uczucie nie trwało długo, prawda? Nie urosło do
takich rozmiarów, by siać spustoszenie?

- Nie - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- W takim razie zazdrość, o której mówisz, jest daleka od tej,
która dotyczy mojej osoby. Nie masz nic przeciwko temu, że cię
trochę ponudzę swoimi wywodami?

Pokręciłem przecząco głową.

- Zazdrość, którą mam na myśli, jest jak choroba. Zżera
człowieka, trawi jego umysł. Rzuca na wszystko, co robi i myśli.
Nie jest widoczna na zewnątrz, nie wywołuje fizycznych szkód.

Ale zabija. Jeszcze jak zabija! - Ella wypuściła oddech, wydmuchując dym z papierosa w kierunku sufitu. - Nie obraż się, ale zazdrość, którą ty poznałeś, jest prozaiczna i pospolita. Przytrafia się każdemu jak katar i chociaż jest uciążliwa, nie pociąga większych konsekwencji. Nie jest złośliwą chorobą, można nad nią zapanować. Rozumiesz mnie?

- To jeszcze jedna z twoich metafor - zauważyłem.

- Jeszcze jedna z moich metafor - powtórzyła i roześmiała się. Ale zaraz spoważniała i popatrzyła na mnie z napięciem.

- Zazdrość, jaką usiłuję ci opisać, graniczy z paranoją - mówiła teraz niemal gorączkowo. - W przeciwieństwie do twojej, niewinnej, jest niebezpieczna. Jak choroba wymyka się spod kontroli. Jeżeli istnieje na nią jakieś lekarstwo, to należy zastosować je jak najwcześniej, bo inaczej wszystko stracone. Będzie nabrzmiewać i ropieć jak wrzód, trawiąc umysł dotkniętej nią osoby.

- Dlaczego mi to wszystko mówisz?

- Żebyś zrozumiał to, co zamierzam ci jutro powiedzieć - odparła cicho.

- Powiedz mi to teraz - zażądałem nagle stanowczo i przytrzymałem ją za rękę, bo chciała wstać od stolika. - Nic chcę czekać przez noc.

Spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

- James, nie naciskaj. To do ciebie nie pasuje.

- I co z tego?! - Straciłem cierpliwość. - Jadę z tobą sześć godzin na jakąś wyspę, o której istnieniu nie miałem pojęcia. Opowiadasz mi o oceanach, koligacjach i... i o enigmatycznym obrazie, który jest kluczem do twojej tajemnicy. Nie chcę obrazów. Nie potrzebuję metafor. Nie wiem nawet, czy mam ochotę zgłębiać tajemnice. Najwyczejniej w świecie wytłumacz mi, dlaczego mnie tu przywiozłaś!

- Puść mnie!

- Nie!

- Robisz scenę.

- Nie dbam o to!

Popatrzyłem w jej poważną, kamienną twarz. W zaciśniętych ustach i nieruchomych oczach wyczytałem zdecydowanie. Ella powoli z powrotem usiadła na miejsce.

- Przywiozłam cię tutaj w nadziei, że mi pomożesz - powiedziała po chwili niemal z wyrzutem.

- Też mam taką nadzieję. - Zwolniłem uścisk na jej dłoni. - Ale nie możesz trzymać mnie w nieświadomości.

- Wcale tego nie robię.

- Jak to nie? Rzucasz mi jakieś zdawkowe informacje.

Opowiadasz o presji konwenansów i nacisku środowiska. Mówisz o swojej rodzinie i świecie, którego ja nie rozumiem. A potem robisz wykład na temat zazdrości, jakiejś twojej specyficznej zazdrości.

- Nie mojej - wysyczała.

- W takim razie czyjej?

- Przynajmniej nie tylko mojej. To... No dobrze. Skoro chcesz wiedzieć, mojej i Sary.

- Sary?

- Wiem, że mi nie wierzysz. Dlatego musisz poczekać do jutra. Nie wierzysz, bo nie rozumiesz. Nie możesz rozumieć. Powiedziałam ci tyle, ile mogłam...

- O czym? O twoich zaręczynach z Charlesem?

- O wielu sprawach. O tym między innymi też.

- Więc dlaczego teraz nie powiesz mi wszystkiego do końca?

- Bo mi nie uwierzysz. A jeżeli już tak się stanie, możesz stracić szacunek dla mnie.

Ella wyrwała rękę z mojej dłoni.

- Wolałabym, żeby metafora o prądach i falach była pełnym wyjaśnieniem zamieszania, jakie wywołałam w związku z Charlesem - zaczęła. - I wiesz, ona je po części tłumaczy. Ale tylko po części. - Ella uśmiechnęła się, teraz już opanowana.

Słuchałem jej, nie przerywając.

- Oczywiście, moja rodzina jest zachwycona, że wychodzę za mąż. Oczywiście, wszyscy byliby zdruzgotani, gdybym wybrała kogoś nie tak „odpowiedniego” jak Charlie. To wszystko prawda. Ale niecała prawda. Czuję, że moim postępowaniem kieruje coś, czego nie potrafię do końca wytłumaczyć, a co mnie napawa znacznie większym lękiem niż ewentualny ślub z Charliem. Jest taka rzecz w mojej przeszłości - nawyk, lub jeśli wolisz - pewne zachowanie, którego nie kontroluję. Och, nie, nie chodzi o narkotyki! - dodała prędko, widząc moją pełną zrozumienia minę. - To prawda, że przypominam nałogowca. Nie potrafię się powstrzymać. Uzmysłowiłam to sobie, kiedy stwierdziłam, że byłabym zdolna wyjść za Charliego. Owo „coś” rządzi mną, bo posunęłam się do tego, za co obecnie się nienawidzę. Czy ty wiesz,

jak czuje się ktoś, kto nienawidzi samego siebie? Nienawidzi nie tylko za to, co już zrobił, ale również za to, do czego jeszcze może się posunąć? Ja już to wiem. Poznałam tę otchłań. Tylko nie wiem, gdzie ona się kończy. I to mnie przeraża.

- Czy to zazdrość? - Usiłowałem znaleźć ścieżkę w mroku jej wywodu.

- Och, nie, James. Hmm, tak... ale to o wiele bardziej złożona sprawa. Wszelkie moje wyjaśnienia, wszystkie metafory nie są w stanie tego oddać. To tkwi we mnie, jest nieuchwytny, ale jednak jest. Moje id. Subtelne, nie uświadomione do końca - nieoczywiste. Chyba tylko prócz jednej osoby nikt go nie dostrzega. Ja sama mam trudności z jego rozpoznaniem. Ale, szczerze ci mówię, boję się go.

- Dlaczego ja?

- Słucham?

- Dlaczego ze wszystkich ludzi wybrałaś właśnie mnie, żeby o tym opowiedzieć?

Moje pytanie przerwało potok jej słów.

- Nie wiem - odparła z namysłem. - To zabawne, ale nie wiem i wiem zarazem. Zjawiłeś się w odpowiednim momencie. Znalazłeś się przy mnie akurat, kiedy siedziałam na ławce w tamtym pustym parku, czując się taka samotna jak nigdy w życiu. Och, nie chcę powiedzieć, że wzięłam cię za anioła opatrności, na pewno nie, przynajmniej nie w tamtych szortach. - Zaśmiała się do swego wspomnienia. - Zresztą z anioła nie miałabym najmniejszego pożytku. Potrzebowałam czysto ludzkiej pomocy. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Wtedy bardzo dużo ci powiedziałam. Dowiedziałbyś się wszystkiego, gdybyś zapytał. Ale nie zrobiłeś tego i coś mnie powstrzymało. Wiedziałam, że zanim będę mogła wytłumaczyć to komuś, muszę najpierw sama z sobą dojść do ładu. Czułam też, że nie byłoby dobrze, gdybym opowiadała moją historię przypadkowemu znajomemu. Dlatego ci jej nie opowiedziałam. - Ella zamilkła. - Muszę zapalić - oznajmiła i sięgnęła po papierosa.

Patrząc, jak się zaciąga, myślałem o papierosie, którego paliła w Hyde Parku w tamten ciepły poranek. Wydawało mi się, że całe wieki upłynęły od tego dnia. Obraz Elli, jaki ze sobą stamtąd zabrałem, przypominał płaską figurkę wyciętą z kartonu. Poprzez sny na jawie uczyniłem ją trójwymiarową, a teraz ta postać rozsypywała się w moich oczach. Ze szczątków romantycznej

lalki, stworzonej przeze mnie, wyłoniła się kobieta, która nie miała pojęcia o dziewiętnastowiecznych dylematach i dzielnych wybawcach. A jednak, tak samo jak wytwór mojej fantazji, była samotna i wystraszona, tyle że z zupełnie innych powodów niż te, które wymyśliłem. Ta nowa kobieta wyciągnęła do mnie rękę, a ja ją uchwyciłem, chociaż nie wiedziałem, dokąd mnie poprowadzi lub gdzie za sobą pociągnie.

- Potem spotkałam cię znowu u Camilli Boardman - mówiła dalej Ella. - Akurat gdy usiłowałam udawać, że wszystko jest w porządku. A ty wymyśliłeś tę naiwną historyjkę z torebką i z miejsca nabrałam do ciebie sympatii. - Uśmiechnęła się. - Słuchałeś tego, co mówiłam, i poczułam, że oto mam przed sobą kogoś, kto mógłby rzucić mi linę. - Zamyśliła się. - Ale nie chciałam tego. Człowiek najpierw musi się przyznać przed samym sobą, że tonie, zanim pojawi się szansa uratowania go, a ja nie mogłam tego zrobić. Od ciebie zależało, czy obwiążesz mi nadgarstki liną, choćby na siłę, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Nie mogłam się do ciebie o to zwrócić i najprawdopodobniej nawet nie miałabym takiej możliwości, gdyby tak się nie złożyło, że akurat ty ze wszystkich ludzi musiałeś się zjawić na moim przyjęciu zaręczynowym. Właśnie tam w pewnym sensie określiłeś mi nadgarstki liną. - Ella nakryła dłonią moją rękę. - Oczywiście zauważyłam, że byłeś przerażony własnym postępowaniem. Twoje dobre wychowanie nie pozwalało, by w taki sposób rozmawiać z kobietą.

Słuchałam Elli w milczeniu.

- Ale sprawiłeś, iż zobaczyłam, że możesz mieć wystarczająco dużo siły, aby mi pomóc. Ręka, która pociągnie za linę, musi być pewna, a ramię mocne. Pomyślałam, że możesz temu sprostać. Napisałam do ciebie, nie wiedząc, czy przyjdiesz na stację, czy nie. Ale przyszedłeś. I jesteś tu teraz. - Przechyliła się do mnie. - Dziękuję - powiedziała cicho i pocałowała mnie.

Chociaż minęło pięćdziesiąt lat, czuję dotyk jej miękkich ust i pamiętam dreszcz, jaki wywołał w całym ciele. Usta Elli - długo oglądane, długo wyobrażane, wreszcie zostały mi ofiarowane. A nasz pocałunek był drżący, elektryzujący, długi i delikatny. Czuję na wargach smak jej papierosa po tamtym pocałunku.

- Dziękuję - rzekłem.

- Wiesz teraz nieco więcej niż przedtem.

- Tak, wiem.

- A reszty dowiesz się jutro.
- Jeżeli tak uważasz.
- Tak. Dobranoc, James.
- Dobranoc, Ello.

Podniosła się powoli i wyszła z opustoszałej sali. W zamkniętym o tej porze pubie pozostała garstka stałych klientów, którzy w spokoju popijali dalej. Północ dawno minęła.

8

Następnego dnia zrobiło się zimno. Chłodny wiatr szalał w wąskich uliczkach wyspy, a rozbiegani turyści szukali schronienia w kawiarniach o belkowanych sufitach i niskich odrzwiach z epoki Tudorów. Wypiarze o czerstwych policzkach, nie zwracając uwagi na pogodę, chodzili w podmuchach wiatru, który zrzucał z dachów dachówki i bryzgał morską wodą na ogrody i łodzie. Górzący nad wsią, pełen obojętnej godności zamek jakby z pogardą obserwował szturmującą armię, która płaciła za wstęp u zwyczajnie ubranej obsługi przy bramie. Najeźdźcy nie mieli przy sobie halabard, bagnatów ani muszkietów z minionych epok. Uzbrojeni byli w aparaty fotograficzne, przewodniki i plecaki, a ich wodzowie, zamiast zagrzewać do natarcia z siodeł śnieżnobiałych koni, wyjaśniali we wszystkich językach świata, że na lewo, przy włoskiej fontannie, jest sklep z pamiątkami, gdzie za umiarkowaną cenę można nabyć drobiazgi z wyspy. Szliśmy z Ellą wmieszani w tłum turystów, a ja wychwytywałem fragmenty opowieści przewodników o historii zamku Seton. Dowiedziałem się, że na początku trzynastego wieku założono tu klasztor. W tysiąc pięćset trzydziestym szóstym roku mściwy król Henryk VIII i jego kardynał wygnali mnichów i przepastne komnaty przez prawie sto lat świeciły pustkami. W siedemnastym stuleciu zamek ponownie się ożywił; z początku służył jako koszary, później przerobiono go na arsenał, by w końcu przeznaczyć na więzienie. To Ella wyjaśniła mi, w jaki sposób w tysiąc sześćset siedemdziesiątym roku zamek stał się własnością Margaret, hrabiny Seton. Targany wyrzutami sumienia, a może zwyczajnie wdzięczny (któż to odgadnie?) król podarował go Margaret za „zasługi” - jak to ujęła jej sukcesorka z kąśliwym uśmiechem.

Kiedy słuchałem tego wszystkiego, moje pierwsze wrażenie, że zamek patrzy na mnie i całą falangę najeźdźców z chłodną pogardą, stawało się teraz pewne i nieomyłne. „Jeżeli - zdawał się

mówić - nie naruszyły mnie kule armatnie z okresu rewolucji angielskiej, to jaką szkodę mogą wyrządzić mi wasze flesze i wasza guma do żucia?” Granitowe mury zamku, miejscami prawie metrowej grubości, hartowane lodowatymi wiatrami i zimną morską wodą przez osiem stuleci, stwarzały wrażenie surowej nieprzemijalności. Gdy przechodziłem z Ellą przez ażurową, kutą bramę, którą dodano w czasach wiktoriańskich, zrozumiałem, że żadne próby modernizacji zamku, by uczynić go bardziej przytulnym, nie zmienią pierwotnego charakteru tego miejsca. Seton jest nie-reformowalny, nie podda się nawet najbardziej wytrwałym dłoniom. Można co nieco zmienić, ulepszyć, dodać - zainstalować elektryczność, ogrzewanie i doprowadzić ciepłą wodę, jak uczyniła to Blanche. Można też, jeśli się chce, wymienić umeblowanie, ale charakter zamku pozostanie niezmienny, bo narzucają go blanki, gęsto zestawione wieżyczki i silne mury.

Przechodziliśmy przez przytłaczające komnaty z solidnymi meblami, które chronił kordon z jedwabnych sznurów, a amerykański zaśpiew w wymowie Elli skłaniał mnie do myślenia o innej młodej Amerykance, która kiedyś chodziła tymi samymi korytarzami. Ella wzięła mnie za rękę i powiodła przez okazałą bibliotekę i salon. Minęliśmy wystawnie urządzoną Królewską Sypialnię z jej zakurzonymi draperiami z brokatu oraz chińskimi parawanami i poszliśmy schodami na piętro. Korytarz doprowadził nas do imponującej sali o kamiennej posadzce i oknach z szybami oprawnymi w ołów. Na ścianach wisały myśliwskie trofea dżentelmenów żyjących w czasach królowej Wiktorii, a w odległym końcu sali, między dwoma oknami, wisiał obraz, a dokładniej - portret.

- To ten - powiedziała cicho Ella i ruchem głowy wskazała na płótno w ciężkiej złoczonej ramie. - Ciągnęłam cię taki kawał drogi, żebyś go zobaczył.

Ella trzymała się krok za mną, gdy podchodziłem do obrazu, a obcasy jej butów wystukiwały muzyczny rytm, który mieszał się z wymawianymi półgłosem francuskimi, niemieckimi, angielskimi i japońskimi słowami - tym sekretnym szyfrem współczesnych najeźdźców. Blanche, hrabina Seton, spoglądała z obrazu ponad głowami turystów na okna na przeciwległej ścianie i fale, które rozbijały się o skały pod nimi. Kiedyś ta wielka, prostokątna sala na pierwszym piętrze była klasztornym refektarzem. Wejście do niej znajduje się w środkowej części zachodniej ściany, a na

ścianach północnej i południowej dwie par}' wysokich okien sięgają niemal posadzki. Po jednej stronie, za oknami jest mały balkonik z niską balustradą - niewątpliwie dodatek z epoki wiktoriańskiej - z którego widać taras dość dużych rozmiarów. Okna w przeciwniejszej ścianie wychodzą na morze, którego fale uderzają

o klify jakieś trzydzieści metrów poniżej. Ogromne, majestatyczne pomieszczenie nie jest pozbawione pewnego uroku. Na środku stoi imponujących rozmiarów stół pamiętający królową Elżbietę I, wykonany z uratowanych fragmentów ożebrowania statków Armady. To całe umeblowanie tej sali, nie licząc jelenich głów na ścianach i portretu Blanche. Portret, nie wiadomo, czy na pamiętkę, a może dla okrutnego żartu, powieszono pomiędzy oknami prowadzącymi na balkon. To właśnie z niego rzuciła się Blanche, co upamiętnia plakietka z brązu z łacińskim napisem, umocowana na posadzce pod oknem. Przewodnicy co rusz tłumaczą jej treść turystom.

Pamiętam moje wrażenie, gdy pierwszy raz patrzyłem na portret Blanche. Zobaczyłem w tej pełnej uroku twarzy wysublimowane rysy Elli i Sary; obydwu naraz, a jednocześnie żadnej z nich w szczególności. Pamiętam blond włosy, namalowane miękкими pociągnięciami pędzla, bujne i długie, upięte wysoko, nad twarzą o małym nosie i wystających kościach policzkowych. Blanche ma na sobie bladoniebieską suknię, a w drobnej dłoni trzyma zamkniętą książkę. Patrzy przed siebie na morze z nostalgią w oczach. Być może myśli

O domu?

- Czy teraz rozumiesz, o czym mówiłam? - zapytała cicho Ella.

Czułem, jak obudziło się we mnie coś na kształt zrozumienia, ale to uczucie było mgliste i niepełne. Spojrzałem na stojącą obok kobietę z krwi i kości, która trzymała mnie za rękę, i przeniosłem wzrok na tamtą, nieruchomą, wykreowaną olejnymi farbami na płótnie oprawionym w ciężkie ramy.

- Wyjaśnij mi - powiedziałem w końcu.

Ella bez słowa wyprowadziła mnie z sali do długiego holu z porcelaną Setonów, wystawioną w gablotach. Odchodziły od niego liczne korytarze, do których wejścia broniły czerwone jedwabne sznury. Znudzony strażnik siedział na krześle z wysokim oparciem

w odległym końcu holu. Ella obrzuciła go uważnym spojrzeniem, by sprawdzić, czy nas nie widzi,

I przeszła nad sznurem do pierwszego z brzegu korytarza.

- Szybko! - syknęła.

Prędko, prawie biegiem, podążyłem za nią w głąb korytarza, przez drzwi, na spiralne schody prowadzące do góry. Wspinaliśmy się prawie po ciemku. Przez wąskie okna na półpiętrach wpadała odrobina światła i widać było niebieskie morze, coraz bardziej odległe, im wyżej wchodziliśmy. Na koniec minęliśmy dwoje drzwi wykutych w kamiennej ścianie i zatrzymaliśmy się przed trzecimi.

- Oby tylko nie były zamknięte - zaniepokoiła się Ella i nacisnęła na żelazną klamkę. - James, popchnij!

Naparłem na drzwi, zaskrzybiały zardzewiałe zawiasy. Znaleźliśmy się w małym, o dziwnym kształcie pomieszczeniu, wciśniętym między klatkę schodową i ścianę wieży. Najwyraźniej nikt go nie używał, bo na meblach leżały zakurzone pokrowce. Ella ściągnęła jeden z nich i wtedy zobaczyłem w kącie duży domek dla lalek.

- Trochę tu upiornie, co? - wyszeptwała zachwycona, zdejmując płachtę ze zniszczonej przez mole sofy.

- Nawet bardzo - przyznałem.

- To był mój ulubiony pokój w dzieciństwie. Czasami ojciec mnie tu przyprawdzał. A potem go zaanektował. Przy tej liczbie pokoi nikomu to nie przeszkadzało. - Ella spojrzała z rzewnym uśmiechem na domek dla lalek. - Dostałam go od matki. - I zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, dodała szybko: - Czy wiesz, że jesteś pierwszą osobą, oprócz mojego ojca, której pokazałam ten pokój? Nikt tu nie wchodził, przynajmniej dopóki był mój.

- Dziękuję - rzekłem. - Jest uroczy.

- Prawda? - Ella rozejrzała się wokół powoli. - Ciekawe, dlaczego zostawili wszystko, jak było.

- Nie sądzę, by potrzebowali więcej miejsca. Po co mieliby sprzątać?

- Pewnie masz rację. Po co? I tak mają dosyć pomieszczeń do odkurzania.

- Na pewno.

- Chyba ze trzysty, o ile się nie mylę.

- No, nie - wyraziłem powątpiewanie, ale byłem skłonny w to uwierzyć.

- Naprawdę.

Ella ulokowała się na szerokim parapecie, a mnie wskazała miejsce na sofie.

- Co myślisz o obrazie? - zaczęła poważniejszym tonem.

- Pod względem artystycznym czy... - zawahałem się - w kontekście tego, co wczoraj mówiłaś?

- Jedno i drugie.

- No cóż, uważam, że obraz jest piękny.

- Namalował go Sargent, wiesz?

- Wiem, Sara mi powiedziała.

- Ona ci powiedziała? A po co, do cholery?! - Oczy Elli rozbłyły z furii.

- Nie mam pojęcia. Niewiele mówiła.

- A co dokładnie?

- Nic ponad to, że Sargent malował waszą babkę.

- To był prezent ślubny od mojego dziadka.

- Aha.

Ella zamilkła.

- Przypuszczam, że nie przywiozłaś mnie tu jedynie ze względu na wartość artystyczną obrazu?

- Nie.

- W takim razie...

Ella wstała i podeszła do drugiego z małych okien, przez które do pokoju wpadało dzieńne światło. Usiadła na parapecie i podciągnąwszy kolana pod brodę, zaczęła opowiadać. Widzę ją, jak siedzi na niebieskim tle morza, które faluje nisko, pod nami. Słyszę jej starannie dobierane słowa. Czuję tamto napięcie między nami, napięcie, jakie budzi dzielenie się tajemnicą i próba jej zrozumienia. Pamiętam wyraźnie wyczuwalną atmosferę intymności, jaka wytworzyła się w tym małym, dziwnym pokoju, w tamto chłodne przedpołudnie. Ta intymność pociągała mnie, a zarazem napawała lękiem, bo chociaż bardzo chciałem, żeby się pogłębiała, już czułem jej moc.

- Mówiłam ci wczoraj o moim id - zaczęła Ella.

Przytaknąłem.

- Usiłowałam znaleźć odpowiedź na pytanie, skąd to się u mnie wzięło. Rozumiesz mnie?

Znowu pokiwałem głową.

- Uważam, że wyjaśnienie można znaleźć w tym obrazie.
- Jak?
- Na wiele sposobów. - Zamyśliła się. - Ten obraz mówi o rodzinie - odezwała się po chwili. - O mojej rodzinie.
- 0 jej nieszczęściu, świetności, szaleństwie i... tysiącu innych spraw.

Ella w kilku słowach opowiedziała mi historię życia

1 śmierci Blanche - wcześniej usłyszałem ją od Sary.

- Kiedy miałam sześć lat, a Sara siedem - zaczęła Ella, wyczerpawszy temat Blanche - moja matka i rodzice Sary zginęli razem w wypadku samochodowym.

- Okropne. Współczuję ci. - Kiedy mówiłem te słowa, czułem, jak bardzo są nieadekwatne.

- Tak, okropne. - Ella popatrzyła na innie przeciągle.

Przez chwilę oboje siedzieliśmy bez ruchu.

- Straszne również dla Sary - dodałem. - Stracić oboje rodziców, kiedy miała... ile lat, mówiłaś?

- Siedem.

Zamilkłem, bo w mojej głowie zaczęła krystalizować się pewna myśl.

- O to chodziło, kiedy mówiłaś o splocie swego losu z losem Sary? - zaryzykowałem, podejrzewając, że jestem bliski prawdy.

- Tak, James. Od tamtego dnia moje życie ma wiele wspólnego z życiem Sary.

- Mów dalej.

- Myślę, że nie powinnam tak przeskakiwać z tematu na temat. Najpierw opowiadałam ci o prababce, teraz mówię o sobie i Sarze. Może dobrze by było, gdybyś posłuchał 0 dzielącym nas pokoleniu.

- Dobrze.

- A więc Blanche miała czworo dzieci: najstarszy był Cyryl, który mieszka tu z żoną, potem urodził się Alexander, czyli mój ojciec, i Anna, jego siostra bliźniaczka, a na końcu Cynthia, matka Sary. Kiedy stracili matkę, Cyryl miał dziesięć lat, mój ojciec i Anna po osiem, a Cynthia sześć. Wyobrażasz sobie, co musieli czuć? - Ella spojrzała na morze. - Wszyscy byli wystraszeni, chociaż śmierć matki wywarła inny wpływ na każdego z nich. Cyryl stał się ekscentrykiem, a Alexander 1 Cynthia zamknęli się w sobie. Anna z kolei przypominała

Blanche - była piękna i bystra, lecz niezbyt zrównoważona. Śmierć matki stała się jej obsesją. - Ella sięgnęła po papierosa do paczki w kieszeni i zapaliła go. - Zaczęła naśladować Blanche - powiedziała, wydmuchując dym. - Odkąd skończyła osiem lat, obsesyjnie poświęciła się jej pamięci. Kiedy podrosła, nosiła jej suknie, czesała się tak samo jak ona i ze wszystkich sił nienawidziła swego ojca. - Ella przerwała opowiadanie. - Jak widzisz, obłęd w naszej rodzinie ma swoją historię - dodała zamyślona, zaciągając się papierosem. - W tym domu jest wiele ponurych sekretów.

Siedziałem w milczeniu, czekając na dalszy ciąg opowieści.

- W końcu Anna popełniła samobójstwo. Nie tutaj. W Oxfordzie. Wskoczyła przez okno. Tak jak jej matka. Oczywiście pochowano ją w Setonie, a wypadek samochodowy, w którym zginęła moja matka i rodzice Sary, wydarzył się w drodze powrotnej z pogrzebu.

- O mój Boże!

- Więc, jak sam widzisz, w ciągu tygodnia mój ojciec stracił siostrę bliźniaczkę i żonę. Dlatego zabrał mnie do Ameryki. Myślę, że w pociągu zbyt lekko o tym mówiłam. Wtedy jeszcze nie byłam pewna, czy opowiem ci wszystko do końca. Teraz widzę, że tama puściła. - Ella spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. - Ojciec nienawidzi tego miejsca. Podejrzewam, że uważa, iż Seton w jakiś sposób ponosi winę za to, co stało się z jego rodziną. A może po prostu odżywa tu zbyt wiele wspomnień. Natomiast wiem na pewno, że przeraża go moje podobieństwo do Anny i jej matki. Dlatego wywiózł mnie do Ameryki - najpierw do Kalifornii, a potem, gdy poznał Pamelę, do Bostonu. Zapewniam cię, że dalej niż do San Francisco nie da się już stąd uciec. Ojciec usiłował zapomnieć, że kiedykolwiek znał to miejsce. I chociaż od czasu do czasu musiał tu przyjeżdżać, skracał te wizyty do minimum.

- Rozumiem go.

- Naprawdę? To dobrze. Bo właśnie w tym miejscu rozpoczyna się moja historia. - Ella zaciągnęła się głęboko. - Jak widzisz, Blanche, a szczególnie jej śmierć, wywarła ogromny wpływ na całą rodzinę. Chociaż nikt nie powiedział tego głośno - bo wiesz, u Harcourtów pewnych rzeczy się nie mówi - wszyscy myśleli o chorobach psychicznych. Wszystkich dręczył problem gwałtownych śmierci w rodzinie. Tak wiele osób straciło życie w okropnych okolicznościach - matka mojego ojca, jego dwie siostry, moja matka, ojciec Sary... Obie z Sarą, jako jedyne dzieci w

rodzinie, czułyśmy tę presję, kiedy dorastałyśmy. Byłyśmy świadome, że wszyscy martwią się o nas i boją. Wiedziałyśmy również, dlaczego tak jest. Przecież nasza babcia i ciocia popełniły samobójstwo. Z taką wiedzą niełatwo sobie poradzić, kiedy jest się dzieckiem. - Ella zamilkła, ważąc coś w myślach. - Zapewne to wszystko mogłoby nas zbliżyć, gdybyśmy częściej widywały się w dzieciństwie. No i gdybyśmy obie, dorastając, nie przypominały tak bardzo prababki. Nasz wygląd cały czas przypominał nam, jak możemy skończyć. Sara odczuwała to nawet mocniej niż ja, bo każdego dnia widywała ten portret tam, na dole.

- Chcesz powiedzieć, że ona tu mieszkała?

- Tak. Wujek Cyryl i ciotka Elizabeth wzięli ją do siebie po śmierci rodziców. Widzisz, oni nie mieli własnych dzieci

- Więc ona tutaj dorastała...

- Tak.

- Biedna dziewczyna.

- Tak. A ja wychowywałam się w Ameryce, daleko od tych wszystkich problemów. Oczywiście wiedziałam o nich. Przyjeżdżałam do Setonu w odwiedziny. Widziałam, że w miarę jak dorastam, coraz bardziej upodabnam się do babki z portretu.

- I...?

- Obserwowałam także Sarę. Tak samo jak ona mnie.

- I widziałas w niej swoje odbicie?

- Właśnie.

- Chyba zaczynam rozumieć.

- Można powiedzieć, że czułyśmy się jak dwie połowy całości, lecz to nas wcale nie zbliżyło. Nie byłyśmy jak bliźniaczki. Mam wrażenie, że każda z nas pragnęła pokonać tę drugą, by wreszcie poczuć się jak kompletna osoba. Rozumiesz to? Masz świadomość, że gdzieś daleko żyje, myśli i dorasta twoja replika. Gdybyśmy widywały się rzadko, wszystko zapewne byłoby w porządku. Kiedy jednak skończyłam osiemnaście lat, tato ożenił się z Pamelą, a ona nie potrafiła oprzeć się pokusie przeprowadzki do Londynu, zwłaszcza że nazwisko Harcourt otwierało jej wiele drzwi. Wróciliśmy więc do Anglii.

- I znowu znalazłyście się razem. Dwie połowy zostały połączone.

- Chwilami tak się wydawało. Jednak bardzo się różniłyśmy.

- Miałyście inne doświadczenia życiowe.

- Oczywiście. Ona mieszkała tu, na wyspie przesiąkniętej

tradycją i kultem dla naszej rodziny.

- Rozumiem.

- Nic nie rozumiesz. Nie masz pojęcia, jak Harcourtowie są tu traktowani. W tym odciętym od świata królestwie panują isticie feudalne stosunki. Tutejsza spolecznosc przestrzega hierarchii, obowiazkow i rytualow i... tego wszystkiego, od czego bylam wolna w Ameryce. Tam moglam byc po prostu soba. Sara, zyjac w atmosferze Setonu, mogla wyrosnac wyklaczenie na dziedziczkę, przyszła panią na zamku. I tak właśnie miało się stać.

Pokiwałem głową. Ella zapaliła kolejnego papierosa.

- Tragedia polega na tym - ciągnęła dalej - że Sara nigdy go nie dostanie. Kiedy Cyryl umrze bezpotomnie, a wszystko wskazuje, że tak będzie, Seton przejdzie w ręce mego ojca. A potem przypadnie mnie. Bo widzisz, podarowano go kobiecie ustawą Parlamentu, której klauzula wyraźnie zastrzega, że Seton ma być dziedziczony przez kobiety. Oczywiście w tym dokumencie jest wiele obwarowań, między innymi to, że spadkobierczyni nie może być katoliczką, rozwódką ani przestępczynią. O ile się nie mylę, tę ostatnią klauzulę dodano w czasach królowej Wiktorii. Jakież to typowe, prawda? A ponieważ nie jestem ani katoliczką, ani rozwódką, ani też nie popełniłam przestępstwa, prędzej czy później zamek będzie należał do mnie.

- Co wyjaśnia Sary...

- Nienawiść. Nienawiść do mnie - dokończyła Ella.

- Ummm.

- A co gorsza, ona kocha to miejsce, rozumie je tak, jak ja nigdy nie potrafię go zrozumieć. Zawsze będę tu tylko turystką. Jak mogę stać się kimś więcej z moim akcentem i mentalnością?

- Jak dotąd wszystko jasne. - Przerwałem na chwilę, by pozbiierać myśli. - Ale co wczoraj miałaś na myśli, mówiąc, że nie można zmienić pewnych wzorów zachowania? Porównałaś to do nałogu, pamiętasz?

Przytaknęła skinieniem głowy.

- O kim mówiłaś? O co ci chodziło?

- Mówiłam o mnie i o Sarze. James, nawet nie podejrzewasz, jaki wzajemny wpływ mają na siebie nasze losy. Ja wiem, że Seton kiedyś będzie mój. Ale mam również świadomość, iż na to nie zasługuję. Czy wiesz, co to za uczucie? - Spojrzała na mnie, jakby spodziewała się odpowiedzi, i szybko mówiła dalej. - Nie możesz tego wiedzieć i lepiej dla ciebie - podsumowała i otworzyła okno,

wpuszczając do środka powiew ostrego, zimnego powietrza. -
Moja rodzina żyje tu od ponad trzystu lat. Wyobrażasz sobie, jaki
to szmat czasu, jaką wagę odgrywa historia? I jaka w związku z
tym ciężka na tobie odpowiedzialność?

Pokręciłem przecząco głową.

- A do tego zdajesz sobie sprawę, że nie jesteś odpowiednią
osobą, a kto inny nią jest, że w przeciwieństwie do tej drugiej
osoby, nie masz przygotowania do czekającej cię roli. Czasami
wydaje mi się, że byłoby o wiele lepiej, gdybyśmy się mogły
zamienić miejscami. Gdybym ja pozbyła się mego akcentu, a ona
go nabrała i wzięłaby moje imię, a ja jej. Wtedy wolno by mi było
myśleć, co mi się żywnie podoba, i robić z własnym życiem to, na
co mam ochotę. Miałabym wolność, na której mi tak strasznie
zależy, a którą Sara ma. Ona z kolei mogłaby spełnić swoje
przeznaczenie. - Ella z roztargnieniem przesunęła palcami po
włosach. - Ale los postanowił inaczej i odwrócił role. Sara nigdy
nie będzie miała tego, co mi się należy, a ja muszę się zмагаć, by
zdobyć to, co ona ma, czyli opanowanie, rezerwę, przekonanie
o swoim miejscu w tym świecie. To wszystko jest takie obce
mojej naturze, ale bardzo pragnę to zdobyć. Chcę udowodnić
Sarze, że jestem godna jej ukochanego Setonu, że potrafię
o niego zadbać. Muszę, do diabła, wyjść z tej sytuacji z honorem!

Zamilkła.

- Potrafisz to zrozumieć? - spytała po chwili.

- Tak, Ello. Doskonale cię rozumiem.

- W takim razie powiedz, dlaczego chciałam wyjść za Charlesa
- rzuciła ostrym tonem.

Rozumiałem wagę tego testu.

- Zaręczyłaś się z Charlesem - zacząłem powoli, zastanawiając
się nad doborem słów - ponieważ Sara mogłaby wybrać na męża
właśnie kogoś takiego jak on. Skończył Eton
i Oxford, jest czarujący, a przy tym niezbyt bystry. Idealny
partner dla hrabiny Seton. Zakładam, że tytuł przechodzi wraz z
zamkiem?

Przytaknęła.

- Jednak prócz tytułu nigdy nie będzie z ciebie prawdziwa
hrabina Seton - mówiłem dalej - a ponieważ jesteś osobą, która
tonąc, znajduje się, by walczyć z wciągającym pod wodę prądem,
zrezygnujesz ze ślubu z Charlesem. Masz zbyt silną osobowość.

- Obyś miał rację, James.

Wstałem z kanapy i podszedłem do Elli, by ją pocałować.

- Nie - zatrzymała mnie ruchem ręki. - Powinieneś wiedzieć o jeszcze jednej sprawie.

- O czym? - zapytałem, stając nad nią.

- Charlie Stanhope nie jest mężczyzną, którego Sara mogłaby poślubić. Ona wyszłaby za niego, gdybym nie... - Ella urwała w pół zdania.

- Czy ty... - Cofnąłem się, zaskoczony.

- James, Sara była w nim zakochana. Kochała go nieprzytomnie i namiętnie, tak jak to zazwyczaj przydarza się ludziom, którzy z natury są raczej chłodni. Odbiłam Charliego Sarze. Po części ze względu na to, co sobą symbolizuje, ale przyznam też, że nie potrafiłam oprzeć się pokusie. - Ella zamyśliła się. - To żenujące - mówiła powoli - to, co zrobiłam, uzmysłowiło mi, jak daleko zaszłam. Zabrałam Sarze Charliego tylko dlatego, że ona go tak bardzo pragnęła. Z zimnym wyrachowaniem postanowiłam go odbić i udało mi się. - Spojrzała na mnie. - Teraz widzisz, jakie to przerażające? Byłam gotowa zrobić wszystko - poświęcić moją przyszłość i przyszłość Charliego wyłącznie po to, żeby zranić Sarę. By udowodnić jej, że cała ta ogląda i idealne wychowanie wcale się nie liczą. - Ella rozplakała się. - Nie do wiary, jak mogłam tak postąpić!

Nie czas było na słowa. Podszedłem do zimnego parapetu, na którym siedziała, i objąłem jej drżące ramiona.

- No, dosyć - powiedziałem łagodnie, - Jeszcze nie jest za późno. Przynajmniej rozumiałaś, że to było złe.

Wtedy rzeczywiście uważałem, że zrozumienie jest jednoznaczne z odpuszczeniem, że to coś w rodzaju rozgrzeszenia. Pomiąłem etap spowiedzi - niezbędny dla osiągnięcia spokoju - 'który powinien nastąpić przed zrozumieniem lub po nim. Zignorowałem również zadośćuczynienie. Co prawda wybaczenie jest bez niego możliwe, ale dzięki niemu staje się łatwiejsze. Teraz nie pozwoliłbym sobie na takie zaniedbania. Płacimy za grzechy na wiele sposobów. Czasami przyznanie się i spowiedź przybliży nas do rozgrzeszenia, ale konieczna jest rekompensata za wyrządzone szkody. Ella miała szczęście, ale z niego nie skorzystała. Mogła zrekompensować Sarze swój postępek i prosić ją o wybaczenie, mogła wyznać swoją winę i znaleźć w ten sposób spokój. Z perspektywy pięćdziesięciu lat zazdrosczę jej tamtej

wolności wyboru.

Ja nie mam nikogo, komu mógłbym wynagrodzić zadane cierpienie, przynajmniej nie na tym świecie. Nie mogę więc liczyć na niczyje wybaczenie. Pozostanę nie rozgrzeszony. Czasami Bóg wybacza ludziom. Może by i mnie przebaczył, gdybym mógł Go o to poprosić, ale nie mogę, bo nigdy przedtem Mu się nie narzucałem. Myślałem o Nim z obojętnym szacunkiem jedynie podczas tradycyjnej modlitwy z okazji Bożego Narodzenia, Wielkanocy czy czyjegoś tam ślubu. Teraz, kiedy odczuwam taką wielką potrzebę, nie mogę zwrócić się do Niego. Poza tym nie mam Mu nic do ofiarowania: nie mogę podziękować za błogosławieństwo ani chwalić Go za obdarzenie mnie szczęściem. Pozostała mi jedynie gorycz zmarnowanych lat. Do moich grzechów powinienem jeszcze dodać niewdzięczność. Moja wina pozostanie przy mnie na zawsze i muszę to zaakceptować. Wystarczyłoby mi wybaczenie Erica, ale on nie żyje.

Po grzechu musi nastąpić spowiedź i odpuszczenie. Taki cykl jest konieczny, jeżeli ktoś w ogóle liczy na oczyszczenie z winy. Nie wiedziałem o tym, kiedy, zapatrzony w morze pod nami, przytulałem Ellę na tamtym zimnym parapecie, czując na szyi jej łzy. Wtedy sądziłem, że sam potrafię ją uratować, że wystarczy moje wsparcie i zrozumienie. Nie doradziłem jej, by porozmawiała z Sarą. Nie chciałem, żeby dzieliła się swoją szczerością z nikim innym poza mną. Już wtedy byłem zazdrosny o jej zaufanie.

Tak więc tuliłem ją, zapłakaną, a kiedy spytała: „Czy mnie nienawidzisz?”, odpowiedziałem: „Nie”. Szeptalem słowa miłości, wybaczenia i pocieszenia, chociaż miałem prawo wyłącznie do tych pierwszych. Moje słowa przyniosły efekt. Ella przestała płakać, bo uwierzyła w to, co mówiłem, lecz wierząc mi, popełniła brzemienne w skutkach błąd. Nie wiedziała czy też nie chciała wiedzieć, że jedyną osobą, w której gestii leżało wybaczenie, była Sara, a ja przemilczałem to, mimo że byłem tego świadomy. Dziś pocieszam się myślą, że Ella wolałaby żyć z ciężarem nie wybaczonej winy niż upokorzyć się przeprosinami. Ella, jak słusznie wtedy podejrzewałem, była kobietą dumną. A duma nieraz stawała się przyczyną nieszczęścia.

Okazało się jednak, że to nie duma, lecz brak zaufania wynikający z własnej zdrady stał się przyczyną tragedii Elli. Ci, którzy dają, wierzą, że dostaną dużo od innych, ci, którzy odbierają, obawiają się, że im również wiele zostanie odebrane.

Pocieszając Ellę kojącymi słowami, uspiłem jej świadomość zagrożeń wynikających z tego, co uczyniła. Żle się jej przysłużyłem. Znacznie lepiej bym postąpił, gdybym zmusił ją (a w tamtej chwili posłuchałaby mojej rady), aby najbliższym pociągiem wróciła do Londynu i wyznała wszystko Sarze i Charlesowi. Doszłoby do awantury, polałyby się łzy i żółć, lecz jednocześnie zniknęłoby napięcie. U obu kuzynek otworzyłyby się stare, ropiejące rany i mimo że proces oczyszczania przebiegałby boleśnie, nastąpiłoby ich zablźnienie, Rany podobnie jak winy nie powinny zbyt długo się jątrzyć, chociaż często, niestety, tak właśnie bywa.

Podczas gdy moje słowa otuchy w znacznym stopniu uspiły poczucie winy Elli, otwarta rana Sary ropiała nadal. Wtedy jednak nie mogłem o tym wiedzieć (przynajmniej tego jednego jestem pewny), lecz nie zmienia to faktu, że tak właśnie było. Gdy gładziłem Ellę po włosach i wodziłem wargami po jej delikatnej skórze na szyi, myślałem tylko o tym, aby powstrzymać jej łzy i uśmierzyć ból. Byłem za młody, by wiedzieć, że płacz oczyszcza, i za słaby, aby pokierować Ellą, zamiast ją pocieszać. Moje zachowanie się sprawiło, że wyznanie winy, a zatem i wybaczenie, które mogłoby mieć oczyszczające działanie zarówno przez złożenie ofiary, jak i jej przyjęcie, stało się najpierw zbędne, a następnie niemożliwe. Skąd miałem wiedzieć, że ono mogło uratować nas wszystkich?

Dzień albo dwa po powrocie z Kornwalii zadzwonił telefon i usłyszałem w słuchawce głos Camilli Boardman z kadencjami na jednym oddechu i przeciąganymi samogłoskami.

- Koochaanie? Gdzie ty się chowasz? - zaszcebiotała.

Istniała między nami niepisana umowa, że to ja ponosiłem winę za wszelkie przerwy w kontaktach. Od obiadu u Harcourtów minęło dziesięć dni. Dziesięć dni temu z uśmiechem, szarmancko pożegnałem Camillę na progu jej domu i obiecaliśmy, że się skontaktujemy telefonicznie.

- Nie ruszałem się z domu - skłamałem. - Po prostu byłem bardzo zajęty.

- Znowu muzykujesz?

Camilla dzieliła wszelką działalność artystyczną na trzy szeroko pojmowane kategorie: muzykowanie, pacykowanie

i pisaninę.

- Tak. Muszę ćwiczyć. Niedługo zaczynają się zajęcia w Guildhall.
- Wiem, kochanie,
- Co mogę dla ciebie zrobić?
- To raczej ja mogę zrobić coś dla ciebie. Właśnie przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł!
- Taak? - Podchodziłem z rezerwą do fantastycznych pomysłów Camilli.
- Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłam!
- Na co?
- Musisz koniecznie kogoś poznać. Bardzo sobie przypadniecie do gustu!

Camilla, choć wspaniałomyślna i szcera w swych towarzyskich działaniach, nie zawsze do końca bywała bezinteresowna.

- Kogo? - spytałem z zaciekawieniem, bo udzielił mi się jej entuzjazm.
- Moją matkę!

I takim to sposobem po raz pierwszy znalazłem się na „poranku” u Boardmanów.

Dom na Cadogan Square wyszedł cało z przyjęcia urodzinowego Camilli. Nawet jeżeli poniósł straty w postaci dziur

wypalonych papierosem czy plam z szampana, to efekty zniszczenia zostały usunięte lub zręcznie zatuszowane. Zniknęło również dominujące wrażenie pustej przestrzeni. Rzuciło mi się to w oczy, gdy tylko wpuściła mnie do środka portugalska służąca, po czym oddaliła się z uśmiechem, zamknąwszy za mną drzwi. Do holu i salonu wróciły wiktoriańskie meble i cała masa bibelotów. Przez otwarte drzwi zauważyłem, że w pomieszczeniu, które służyło nam jako sala taneczna, znajdowało się sześć, a może siedem osób. Wszyscy siedzieli na niewygodnych krzesłach, ustawionych półkolem wokół pani domu. Regina Boardman, imponująca jak jej imię i dobrze zakonserwowana, przemawiała uprzejmym, a przy tym autorytatywnym tonem patronki społecznych przedsięwzięć.

- Uważam, że określenie „salon” nie najlepiej kojarzy się w Anglii - mówiła, akurat gdy wszedłem.

Stałem w milczeniu, czekając, aż mnie zauważy, w końcu

chrząknąłem, straciwszy nadzieję. Odwróciła powoli głowę, jak gdyby w obawie, że gwałtowniejszy ruch mógłby zburzyć fryzurę.

- Zapewne pan Farrell? - zapytała serdecznie i podała mi dłoń, w tym samym czasie drugą ręką wskazując krzesło. - Moja córka bardzo chwali pańskie uzdolnienia.

- Dziękuję - powiedziałem i zająłem miejsce w pograżonym w rozmowie kółku.

Nie pamiętam tematu tamtej ożywionej rozmowy, nie potrafię przywołać twarzy ludzi, którzy w niej z takim zapałem uczestniczyli. Bezskutecznie staram się wydobyć z pamięci postać Erica. Mam przed oczyma coś na kształt sceny rodzajowej. Widzę Reginę Boardman, niezmordowaną zbieraczkę funduszy na szczytne cele, patronkę artystów w potrzebie i wszelkich innych straceńców, jak przemawia do swych wiernych podopiecznych. Ten obraz, gdyby przedstawić go alegorycznie, mógłby z powodzeniem zdobić jedną ze ścian w jej utrzymanym w wiktoriańskim stylu domu. Zapewne nosiłby tytuł: „Filantropia na tronie chwały”. Natomiast styl samej Reginy wcale nie był wiktoriański. Mimo że otaczała się przedmiotami z tamtej epoki, jej podejście do nas, do wszystkich spraw, którym patronowała, było bardzo nowoczesne. Uparta, działała skutecznie i potrafiła wykorzystywać nadarżające się okazje.

Tamtego ranka przyjęła mnie pod swe opiekuńcze skrzydła z życzliwym uśmiechem i filiżanką kawy. Skwapliwie przyjąłem jedno i drugie i z zapałem włączyłem się w dyskusję, widząc, jaka przypada mi rola w tym układzie. Regina, w przeciwieństwie do córki, miała szacunek dla kultury i chociaż nie była intelektualistką, lubiła za taką uchodzić. Z uwagą więc słuchała myślących ludzi i wspierała tych, którzy z korzyścią dla niej potrafili myśli wyrazić w słowach.

Regina Boardman oczekiwała od podopiecznych świadczeń na rzecz swych przedsięwzięć, lecz o tym dowiedziałem się dopiero, gdy wychodziłem. Była jedną z tych mądrych osób, które wiedziały, że brak rewanżu niszczy hojność. Kiedy, wychodząc „en masse”, znaleźliśmy się w holu, wymogła na każdym z gości obietnicę, że weźmie udział w pewnym przedsięwzięciu, które dość luźno łączyło się z ich profesjonalnymi działaniami. Co prawda oficjalnie nie było takiej umowy, ale rozumiało się samo przez się, że kiedy prosiła, nie wypadało odmawiać. Regina nie oczekiwała pieniędzy, lecz wkładu w postaci umiejętności i czasu.

Kiedy żegnaliśmy się tamtego ranka, zaprzętała ją sprawa restauracji niszczących budowli sakralnych. Oczywiście nie interesowały jej takie perły architektury jak katedra Świętego Pawła czy Opactwo Westminsterkie, bo te zabytki narodowej kultury nie stanowiłyby wyzwania dla jej umiejętności zbierania funduszy. Skupiła uwagę na małych kościołach, których oplakany stan jest ceną, jaką nasze laickie stulecie płaci za obojętność dla zinstytucjonalizowanej religii.

Regina organizowała koncert w kościele Świętego Piotra na Eaton Square. Od tego koncertu zależał sukces kwesty, lecz, niestety, zawiódł jeden z artystów.

- Mam w programie trzy sonaty skrzypcowe Beethovena - oznajmiła mi ze zboląłą miną - a solista, o którym myślałam, wyjechał na nagrania do Berlina. Bardzo się z tego cieszę, bo to służy jego karierze, niemniej moment wybrał fatalny.

Tak się akurat złożyło, że owe sonaty należały do obowiązkowego programu na egzamin wstępny do Guildhall, więc pracowałem nad nimi od kilku miesięcy. W przyplwywie olśnienia zorientowałem się, że pani Boardman musiała dowiedzieć się o tym od córki i nie znalazłem się na Cadogan Square jedynie przez przypadek czy z czystej sympatii dla mojej osoby. Regina do perfekcji doprowadziła umiejętność, którą jej córka dopiero zdobywała. Potrafiła w taki sposób przedstawić swoje życzenia, że szły w parze z nadziejami osoby prozanej o przysługę. Mistrzowsko opanowała sztukę przekonywania. Kiedy stała ze mną na stopniach przed domem, machając swym gościom na pożegnanie, najpierw mimochodem wspomniała o swoich problemach, by na koniec wytoczyć kuszący argument - koncert u Świętego Piotra miał recenzować Michael Fullerton z „Timesa”.

-Jest przekonany, że to Donovan będzie występować - powiedziała lekkim tonem.

Odgadłem, że to nazwisko nowo odkrytego protegowanego, który ją zawiódł.

-Michael pisze artykuł o młodych talentach w Anglii - ciągnęła moja rozmówczyni. - Nie widzę powodu, dlaczego ty nie miałbyś zostać obiecującym młodym artystą zamiast Donovana, który najwyraźniej radzi sobie bez pomocy Michaela. - Odbarzyła mnie anielskim uśmiechem. - Oczywiście do ostatniej chwili nie musimy wspominać o zmianie wykonawcy - dodała wyniośle. - Wiesz, jacy są krytycy.

Pokiwalem głową, chociaż nie miałem o tym zielonego pojęcia.

-Jeżeli chcesz, wykorzystaj tę szansę - zachęciła mnie z promiennym uśmiechem.

Miałem tylko jedno zastrzeżenie.

-Czy na pewno nie chcesz przesłuchać mnie, zanim oddasz moje ręce powodzenie tego przedsięwzięcia?

-Ależ, kochany! - Roześmiała się. - A co ja wiem na temat muzyki? Jeżeli jesteś na tyle dobry, by wybierać się do Guildhall, będziesz wystarczająco dobry dla mnie!

-W takim razie jestem do twojej dyspozycji.

-Cudownie! Bardzo ci dziękuję.

-A kiedy to będzie?

-Masz na myśli koncert?

Skinąłem głową.

-W następny piątek - odparła.

W takim razie - pomyślałem - jestem twoją ostatnią deską ratunku. A głośno zauważyłem:

-Widzę, że nie mam zbyt wiele czasu na ćwiczenie.

-Przecież te sonaty są w programie egzaminu do Guildhall.

Nie masz ich jeszcze opracowanych? - Spojrzała na mnie

skonsternowana. - Wiesz, wydrukowaliśmy już programy i...

Oczywiście załączymy ulotkę z twoim nazwiskiem, nie musisz się o to obawiać.

Uspokoilem ją w paru słowach.

-Kamień spadł mi z serca. Bardzo ci dziękuję! - powiedziała i podaliśmy sobie ręce na pożegnanie.

Gdy schodziłem po stopniach na ulicę, zawołała za mną:

-James, jeszcze jedno! - Jej głos zabrzmiał czysto i donośnie.

Od początku zwracaliśmy się do siebie po imieniu, bo

bezpośredniość należała do podstawowych technik Reginy. - Nie

powiedziałam ci, kto będzie twoim akompamatorem. -

Uśmiechnęła się. - Ależ jestem niemądra! To Eri de Vaugirard, uroczy młody człowiek. Bardzo utalentowany, a przy tym bardzo francuski. Był dzisiaj na poranku.

Regina pospiesznie wyjęła kartkę i pióro z przepastnej torby.

-Masz tu jego telefon - dodała. - Jemu też podam twój numer, żebyście się mogli umówić i poćwiczyć przez tydzień.

-Dziękuję - odparłem i schowałem kartkę do kieszeni.

- To ja ci dziękuję - rzekła, całując mnie siarczyscie w oba policzki.

Pomachała mi jeszcze, gdy schodziłem ze schodów, i weszła do domu, szybkim ruchem zamykając za sobą lśniące drzwi.

10

W pokoju robi się zimno, ogień w kominku dogasa, a grzejniki nie spełniają swego zadania. Ten dom nie daje się ogrzać. Ale zostanę tutaj, dopóki nie uporządkuję wydarzeń z mojego życia tak, by móc je zrozumieć. Nie tylko muszę rozplątać i odseparować wątki, lecz potem wpleść je z powrotem na miejsce. To pracochłonne zadanie, ale warte zachodu. Niestety, utrudnia mi je niska jakość narzędzi, jakimi dysponuję. W końcu po pięćdziesięciu latach usiłowań udaje się wyprzeć z pamięci pewne fakty. Jeżeli przez pięćdziesiąt lat rozmawia się na błahe tematy, traci się umiejętność mówienia o czymś ważnym. Słowa stanowią potężny oręż i kiedyś całkiem nieźle nimi władałem, lecz ta umiejętność była tak silnie związana z moim poczuciem winy, że świadomie przestałem z niej korzystać. Skutecznie ukryłem moją naiwność. Wiele wysiłku kosztowało mnie nauczenie się, jak nie pamiętać, nie myśleć, nie mówić o istotnych sprawach. Tak bardzo mi się to udało, że teraz, kiedy usiłuję sobie przypomnieć zdarzenia z przeszłości, gdy próbuję myśleć i ubrać myśli w słowa, mój umysł zawodzi mnie. Nawet jeżeli udaje mi się, tak jak teraz, rozruszać pamięć, frustruje mnie, że wspomnienia z natury są fragmentaryczne, Niektóre rzeczy, czasem nieistotne, pamiętam bardzo dobrze, innych prawie wcale.

Ella wryła mi się w pamięć, z jej osobą nie mam problemu. A z Sarą przeżyłem pięćdziesiąt lat, trudno o tym nie pamiętać. Natomiast zatarły się wspomnienia związane z Erikiem. Wyparło je poczucie winy. Gdybym mógł, to właśnie jemu wynagrodziłbym krzywdę, Ale on nie żyje, a ja ledwo sobie przypominam, jak wyglądał. To przykre.

Wiem, że na pewno spotkałem się z nim w tygodniu, który nastąpił po moim pierwszym „poranku” u Boardmanów. Przecież miał być moim akompaniatorem na koncercie u Świętego Piotra. Pamiętam, że kiedy w tamten upalny sierpniowy dzień szedłem, pogwizdując, wzdłuż Sloane Street, miałem w kieszeni karteczkę z jego numerem telefonu. Chyba do niego zadzwoniłem, a wspólnie próby musiały nieźle wypaść, bo koncert zakończył się sukcesem.

Ponieważ był to pierwszy quasi-profesjonalny występ w mojej karierze, darzę go szczególnym sentymentem.

Od tamtej pory grywałem na wielu koncertach w miejscach znacznie efektowniejszych niż przesycony zapachem wilgoci kościół, przed nieporównanie wrażliwszą publicznością od tej, jaka mnie wtedy słuchała. Lecz patrząc na tamten występ z perspektywy pięćdziesięciu lat, z pozycji kogoś, kto zakończył karierę muzyczną, myślę o tamtym wieczorze z nostalgią, bo dreszczyk emocji i podniecenie oklaskami z biegiem czasu powszednieją. Mam przed oczami ciemne kolumny we wnętrzu kościoła, czuję zapach wilgotnego, chłodnego powietrza, słyszę stłumione szepty, gdy stoję przy pianinie na zaimprovizowanej scenie w głównej nawie. Odwracam się i daję znak Ericowi, że jestem gotowy. Przy okazji tego wspomnienia potrafię wyraźnie przywołać jego postać, która wydaje mi się dość obca, zapewne dlatego, że wtedy jeszcze słabo go znałem. We fraku i białym krawacie, ze starannie uczesanymi na tę okazję, zazwyczaj niesfornymi włosami wyglądał bardzo dostojnie. Tak, widzę go teraz zupełnie wyraźnie, powraca mi pamięć. Eric był wysoki, nie aż tak jak ja, jednak wysoki. Miał silniejszą ode mnie budowę ciała i mocny kark. Oliwkową karnacją i duże, prawie czarne oczy zawdzięczał domieszcze hiszpańskiej krwi. To właśnie oczy, błyszczące i radosne, a także dłonie odróżniały go od całej męskiej linii w ziemiańskiej rodzinie Vaugirardów, od pokoleń żyjących z uprawy ziemi w swoim majątku.

Pamiętam entuzjastyczne brawa. Widzę rozświetloną radością twarz Elli siedzącej w pierwszym rzędzie razem z ojcem i macochą. Pamiętam, jak kłaniałem się oraz wskazywałem na Erica, by też się uklonił, i jeszcze pamiętam, że... Ale jaki pożytek z tych wspomnień? Rozpamiętywanie tamtego koncertu nie pomoże mi zrozumieć wydarzeń, którą pragnę wyjaśnić. Moja kariera nie stanowi dla mnie tajemnicy. Nie spisuję przecież kroniki mego życia, tylko usiłuję poradzić sobie z tym, co zrobiłem. Zależy mi na tym, żeby stanąć twarzą w twarz z moją zbrodnią i jeżeli już nie wytłumaczyć się z niej, to przynajmniej spróbować ją zrozumieć. Jakkolwiek bym się doszukiwał, nie znajdę w tamtym przepelnionym dumą wieczorze żadnych znaków ani podszeptów losu, które odpowiedziałyby mi, że za trzy, a może cztery miesiące Erica nie będzie wśród żywych.

Nie, nie widzę takich znaków. A kiedy ich tak usilnie szukam w pamięci, zamiast nich umysł podsuwa mi obrazek z mojego pierwszego wywiadu dla Michaela Fullertona. Zamiast twarzy Erica widzę twarz jego, obecnie nic dla mnie nie znaczącą, wypiętą brzuch i czuję jego oddech przepojony zapachem whisky.

Regina Boardman była bezgranicznie szczerą w swoich wskazówkach dla mnie.

- Michael Fullerton to stary pederasta - wyjawiała na dzień przed koncertem. - Jest absolutnie uroczy - dodała natychmiast (bo przecież Regina Boardman nie miała nic przeciwko homoseksualistom jako takim) - lecz, powiedzmy sobie szczerze, nie bardzo przystaje do naszego towarzystwa. Jednak to, że jesteś przystojnym młodym człowiekiem, na pewno ci nie zaszkodzi, jeśli chodzi o jego recenzję. Pamiętaj, abyś wyglądał olśniewająco, i nie przejmuj się, jeśli Fullerton będzie z tobą flirtował. Wystarczy miły uśmiech, oczywiście jako dodatek do efektownej gry. Nigdy nie wiadomo, kiedy on ci się może przydać. To bardzo wpływowy człowiek i zna mnóstwo ludzi. Mnóstwo właściwych ludzi. Bez wątpienia dobrze jest mieć go po swojej stronie. Więc postaraj się o to.

Staralem się. Kiedy Michael powiedział, że powinienem dołączyć zdjęcie do artykułu, który o mnie napisze, uśmiechnalem się. Gdy chwalił moje opanowanie instrumentu („bardzo męskie, panie Farrell, bardzo męskie, a przy tym zmysłowe, żeby nie powiedzieć, erotyczne”), też się uśmiechałem. Uśmiechem zareagowałem na jego zaproszenie na podwieczorek do Ritza na następny dzień, w celu kontynuacji naszej rozmowy, i z uśmiechem przystałem na tę propozycję. Kiedy Fullerton poszedł, powtórzyłem wszystko słowo w słowo Reginie Boardman.

- James, wspaniale! - zawołała. - Wiesz, że to oznacza prawdziwy wywiad, a nie jakąś tam powierzchowną rozmowę, którą Fullerton zazwyczaj przeprowadza z artystami po koncertach?! Najwyraźniej wpadłeś mu w oko, chłopcze. Już nie potrzebujesz mojej pomocy. Jeżeli Michael Fullerton uzna, że jesteś dobry, sprawy nabiorą rozpędu. Powiedział mi - dodała konfidenccyjnym tonem - że wcale nie ma pretensji o to, że wcześniej nie powiadomiliśmy go o zmianie solisty. Uważa, że masz prawdziwy talent. To jego słowa!

Itak Regina Boardman poszła do domu zachwycona, a ja, równie uszczęśliwiony, wreszcie mogłem udać się na potajemne

spotkanie z Ellą w parku przy Eaton Square, na które umówiliśmy się poprzedniego dnia. Nie przypominam sobie, czy pożegnałem się z Erikiem i podziękowałem mu za akompaniament, chociaż najprawdopodobniej musiałem to zrobić, zanim wyszedłem z kościoła. Osoba Erica zaciera się w moich wspomnieniach, chociaż zdaje się lepiej go widzieć, jeżeli akurat o nim nie myślę. Zrobiłem z moimi wspomnieniami to, co inni robią ze zdjęciami - ocenizowałem je. Tyle tylko że wspomnień, w przeciwieństwie do fotografii, nie można zniszczyć. Co najwyżej udaje się je zagrzebać w pamięci pod całą masą nieistotnych zdarzeń z naszego życia. Szczegóły dotyczące mojej przyjaźni z Erikiem i jej zakończenia są mgliste, bo głęboko je ukryłem, lecz teraz powoli powracają i stają się coraz pełniejsze.

Nie mam problemu z odtworzeniem podwieczorku z Michaelem Fullertonem, kiedy to, nad herbatą i truskawkami, które mi postawił, rozprawiałem o muzyce, pasji i młodzieńczych rozterkach. Zjawił się również fotograf z „Timesa” i zrobił mi zdjęcie. Stoję na nim w Green Parku z włosami rozwianymi przez wiatr. Przez tydzień nic się nie działo, a gdy artykuł się wreszcie ukazał, to nie ja, lecz Camilla Boardman pierwsza go wytropiła. O wpół do dziesiątej rano przybiegła do mnie do domu w tamten ciepły letni dzień.

- Cześć, ty niesamowity chłopaku! - przywitała mnie, machając gazetą.

Akurat tak się złożyło, że to ja otworzyłem drzwi. Wyrwany ze snu, patrzyłem na nią lekko nieprzytomnymi oczyma.

- Cześć, Camillo! - odpowiedziałem, zastanawiając się, co ona robi pod moim domem.

Dopiero wtedy spostrzegłem gazetę.

- Daj ją! - rzuciłem, z miejsca przytomniejąc.

- Ha! A gdzie magiczne słowo?

- Nie drażnij się ze mną! Dawaj gazetę!

Poranne rozdrażnienie i uczucie podniecenia sprawiło, że nie miałem cierpliwości do towarzyskich gierk Camilli.

- Jeżeli dalej będziesz taki niegrzeczny, wcale jej nie dostaniesz. Uważam, że przynajmniej należałoby mnie zaprosić do środka i poczęstować herbatą. Pół Londynu przebiegłam, żeby ci pokazać ten artykuł!

To nie była tak do końca prawda, lecz Camilli nie wzruszały

takie drobiazgi jak topografia miasta.

- No dobrze - ustąpiła, wydymając usta, bo widziała, że dalej stoję na progu nieporuszony.

Podala mi gazetę. Widząc, jak cień zadowolenia przebiega mi po twarzy, wy ścisłała mnie i powiedziała, że jestem fantastyczny. Ta jej spontaniczność przypominała mi, za co ją lubię.

Rzeczywiście, poczułem się właśnie taki - fantastyczny. Artykuł Michaela Fullertona, zatytułowany *Warto mu się przyjrzeć*, zapowiadał zwycięstwo w wojnie z rodzicami na temat przyszłości. Nasze zmagania trwały prawie dwa lata, a od ostatnich dwóch miesięcy, odkąd opuściłem Oxford, sprawy stały na ostrzu noża. Z początku tłumaczyłem, później przymilnie apelowałem, a na końcu awanturowałem się. Oni z kolei najpierw spokojnie, a potem coraz chłodniejszym tonem przekonywali mnie, że kieruję się nastrojami i sam jeszcze nie wiem, czego chcę. Pobiegłem czym prędzej do stołowego, z Camillą depczącą mi po piętach, i pokrzykując z radości jak uczeń, pokazałem im artykuł. Mam tę recenzję do dzisiaj. Trzymałem ją przez te wszystkie lata. Nie ma potrzeby jej czytać w całości. Te kilka urywków, które potrafię zacytować z pamięci, świadczy, że przynajmniej raz w życiu czułem się beztroski i wydawało mi się, że przyszłość stoi przede mną otworem. „Wygląda na to - napisał Fullerton - że ten pełen pasji młody człowiek podbił Londyn. Chwilami spontaniczny, momentami skupiony, gra z natchnieniem i zadziwiająco dobrze technicznie jak na tak młody wiek”. Muszę uczciwie przyznać, że matka przyjęła wiadomość ze łzami, a ojciec uściśnął mi dłoń. Wojna między nami została zakończona.

Zapraǳnęłem zobaczyć się z Ellą, bo na jej pochwałach zależało mi najbardziej. Byłem na nie łasy jak pies na głaskanie. Zatelefonowałem więc na Chester Square i poprosiłem ją, by spotkała się ze mną za pół godziny na stopniach przed National Gallery.

- Jest, prawda? Napisał?!

Nie odpowiedziałem.

- W takim razie lecę po „Timesa”! Boże, to cudownie! Co napisał?! Jak wyszedłeś na zdjęciu?!

Pozostałem tajemniczy do końca.

- Spotkajmy się za pół godziny - powtórzyłem.

- Dobrze, kochanie. Za pół godziny.

To jedno słowo „kochanie” uciszyło moje wszelkie obawy co

do naszej przyszłości. Ella nadal nie była wolna. Wróciliśmy z Kornwalli, spędziwszy sześciogodzinną podróż pogrążeni w rozmowie, by potem, zgodnie z postanowieniem, rozstać się jak para przygodnych znajomych. Nie mogliśmy się ze sobą afszować, nie należało wyprzedzać wypadków.

- Tak będzie lepiej - stwierdziła Ella. - Muszę stopniowo się z tego wypłatać. W tej sytuacji należy wziąć pod uwagę wielu ludzi - Charliego, Sarę, moich rodziców i całą rodzinę. Nikt nie może nas razem widywać. Nie powinniśmy wzbudzać najmniejszych podejrzeń.

Przyznałem jej rację.

Te parę tygodni, kiedy spotykaliśmy się ukradkiem, zaliczam do najszcześniejszych chwil w moim życiu. Całowaliśmy się w galeriach, zwieraliśmy się sobie na ławkach w parkach, czuliliśmy się w ciemnych kinach. Trwaliśmy zawieszeni w ciszy przed burzą, a konspiracyjny charakter naszych spotkań jeszcze zwiększał przyjemność. Była w tym intryga, piękno, namiętność - wszystko jak w powieści. W prawdziwym życiu takie romanse rzadko się trafiają, a jeżeli już się zdarzą, trwają bardzo krótko. Taka już ich natura.

I ja, i Ella, podobnie jak wszyscy zakochani, którym przydarzyła się zakazana miłość, żyliśmy wyłącznie chwilą obecną. To uczucie, bez przyszłości w trakcie swych narodzin, związało nas ze sobą na zawsze, nawet mimo tego wszystkiego, co później się stało. Tak wygląda prawda. Mogę mówić o winie, uginać się pod ciężarem grzechu, ale zabiorę ze sobą do grobu wspomnienie tamtych kilku wolnych od trosk tygodni, kiedy nic nas nie obchodziło poza nami samymi, a szczęście czyniło nas egoistami. To było złe, ale stanowiło zaledwie grzech zaniedbania w porównaniu ze złem, jakie później wyrządziliśmy. Jeżeli nasze zachowanie było grzeszne, jestem gotów przyjąć tę winę. W tamtych tygodniach, jak nigdy przedtem ani potem, żyłem pełnią życia. Nie byłem rybą w ławicy, a jeżeli nawet nią byłem, to z Ellą stworzyliśmy naszą własną, osobną ławicę i razem pływaliliśmy w oceanie.

To był mój czas spełnienia pod wieloma względami, bo miłość jest wielorakim katalizatorem. Szczególnie rozkwitła moja muzyka. Pamiętam, że Ella spędzała całe godziny na podłodze w moim ciasnym pokoju na poddaszu. Siedziała na wpół wyprostowana z podwinętymi nogami na poduszce w rogu, gdzie

skośny sufit niemal dotykał podłogi. Widzę zarys jej szczupłej, skulonej sylwetki, widzę, jak od czasu do czasu odgarnia opadające na oczy jasne włosy. Przypominam sobie, że siedziała bez ruchu, wierząc, że gra mi się najlepiej, kiedy zapominam o jej obecności. A prawda była odwrotna, bo jej cichy zachwyt, zakłęty w nieruchomej sylwetce, najpierw uspokajał mnie, a potem dodawał odwagi, by wznieść się ponad płyciznę technicznej perfekcji, w której mogłem na zawsze ugrzęznąć. Potrafiła tak przesiedzieć dwie albo i trzy godziny, słuchając, wydawałoby się, bez końca powtarzanych fraz i etud, a potem otwierała okno o zmatowiałych szybach i wypuszczała do środka powietrze pachnące letnim wiatrem. Mówiła mi z uśmiechem, że jestem wspaniały, że nawet sobie nie wyobrażam, jak ją uszczęśliwiam. Piliśmy herbatę, a może i wino, a chylące się ku zachodowi słońce wypełniało pokój złotym ciepłem. Potem Ella zapalała papierosa, wracała na miejsce w rogu i słuchała mnie z przymkniętymi oczami, bo teraz grałem specjalnie dla niej. Grałem utwory, na których wyrosłem, sonaty Beethovena, które przygotowywałem do Guildhall, i skrzypcowe fragmenty jej ulubionych dzieł orkiestrowych.

Muzyczne zainteresowania Elli były wszechstronne, ale miała też swoje ulubione utwory, więc grałem je dla niej godzinami, patrząc na jej zaróżowione policzki, gdy z głową opartą o nagie kolano siedziała wpatrzona przed siebie nie-widzącymi oczyma. Często prosiła o czwartą sonatę Bacha na skrzypce i klawesyn oraz o walca z pierwszego aktu *Jeziora Łabędziego*. To za jej namową zacząłem się uczyć Koncertu skrzypcowego e-moll Mendelssohna, a przecież jeszcze wtedy nie mogłem wiedzieć, że to on właśnie okaże się punktem zwrotnym w mojej karierze. Zachwyt, z jakim Ella mnie słuchała, dał mi przedsmak radości płynącej z występu przed publicznością. To Ella zmieniła moją wrodzoną nieśmiałość w powściągliwość, to przy niej uczyłem się stawiać czoło wyzwaniom związanym z uprawianiem sztuki i dzięki niej po raz pierwszy czerpałem radość z władzy nad emocjami ludzi.

W miarę jak związki między ludźmi rozwijają się, zmieniają się płynące z nich przyjemności. Ta pierwsza euforia - najczystsza forma uczucia, jaką może zaznać ludzka istota, nigdy się nie powtarza. Uczucie będzie się zmieniać, rozkwitać, stanie się jakby bardziej realne. Lecz jednocześnie będzie tracić swoją moc odurzania, bo magia musi się poddać ponurej rzeczywistości świata, który otacza kochanków. Widzę dokładnie, że w tamtych

upojnych tygodniach byliśmy oboje z Ellą jak odurzeni. Jednak z wielu powodów nasze oszołomienie nie straciło na sile wskutek działania czasu - upłynęło go za mało do chwili, kiedy ponieśliśmy konsekwencje naszego uczucia. Nie zdążyliśmy zbudować podstaw naszego związku, ta miłość nie mogła się rozwinąć i rozkwitnąć jak inne miłości, bo możliwość czerpania radości płynącej z jej późniejszego, bardziej stabilnego etapu została nam odebrana, zanim tak naprawdę otworzyła się przed nami.

Ella odsłoniła przede mną życie, jakiego istnienie dotąd jedynie podejrzewałem. Ja zrobiłem to samo dla niej. Wspólnie zdetonowaliśmy historię i obserwowaliśmy rozradowani, jak cały świat doznań i możliwości otwiera się pod wpływem szalonej energii romantycznego zjednoczenia. Nasze wspólne noce - ukradkowe i nieliczne - stanowiły wieczność, a nasze dni wypełniały dyskusje, muzyka, śmiech i... Ale właściwie dlaczego ożywiał to wszystko w mojej pamięci?

Już wtedy nad naszymi głowami wzbierały burzowe chmury, bo czerpiąc moc z naszej więzi, straciliśmy kontrolę nad jej siłą. Miłość, chociaż nie jest wszystkim, oznacza wiele rzeczy i posługuje się orężem bardziej zróżnicowanym i potężniejszym, niż się spodziewamy. Oboje z Ellą zakochaliśmy się po raz pierwszy w życiu i brakowało nam przygotowania, by radzić sobie z siłą tego pierwszego oszołomienia. Byliśmy dziećmi. Zachowywaliśmy się niefrasobliwie jak one. Lecz oręż, który trafił w nasze ręce, nie był zabawką - był prawdziwy. Przystąpiliśmy do burzenia naszego świata z arogancją właściwą bogom. Tradycja, poczucie odpowiedzialności, ograniczenia narzucone przez społeczeństwo - wszystko to sypało się w gruzy pod impetem naszego ataku. Chcieliśmy zbudować społeczeństwo na nowo, zgodnie z naszymi wyobrażeniami. A czyniąc to, zapomnieliśmy o naszym miejscu w boskim porządku. Ludzie nie są bogami, nie powinni igrać ze świętym ogniem. Ella i ja popełniliśmy fatalny grzech, przed którym przestrzegali już starożytni Grecy. Zagalopowaliśmy się w naszej pysze. Zapomnieliśmy, że burzenie wymaga odbudowy, że ludzkie serca są kruche i że dotknięcie ich czymkolwiek prócz miłości odpląca się złem.

u

Mój występ w kościele Świętego Piotra nie był jedynym występem na charytatywnych koncertach Reginy Boardman ani też

jedyną imprezą, podczas której Erie mi akompaniował. To pewne fakty. A jeżeli już o faktach z przeszłości mowa, wiem również, że obaj regularnie przychodziliśmy na „poranki” do Reginy. Lecz to on mi o tym później przypomniał. W mojej pamięci Erie nie wyróżnia się niczym szczególnym spośród innych gości, którzy prowadzili zapalczywe dyskusje w bibliotece domu na Cadogan Square. Usiłuję przywołać jakieś jego słowa - czy to stwierdzenie, co do którego miałem inne zdanie, czy to dowcip, z jakiego wspólnie śmieliśmy się, i nic nie przychodzi mi do głowy. A jednak musieliśmy być w dosyć zażyłych stosunkach, bo nie byłem zaskoczony, gdy zaprosił mnie do siebie na herbatę. Po naszym sukcesie u Świętego Piotra graliśmy razem jeszcze na dwóch koncertach i za każdym razem w „Timesie” ukazywała się pochlebna recenzja Michaela Fullertona. Przypominam sobie tamtą niebieską karteczkę od Erica, którą czytałem, czekając rano w domu na Ellę. Pamiętam moją umiarkowaną radość, kiedy ją dostałem. Najwyraźniej jej treść ani mnie szczególnie nie zaskoczyła, ani nie zainteresowała.

Sądzę, że fakt, iż zapamiętałem tamto popołudnie u niego kilka dni później, dowodzi, jak wiele z mojej wcześniejszej znajomości z Erikiem umknęło mej pamięci. Erie aż do dnia, kiedy odkrył przede mną swój „wspaniały pomysł”, pozostaje w mych wspomnieniach kimś zupełnie obcym, mimo że musiał już być wtedy moim kolegą, i to w dodatku takim, który uważał mnie za swego przyjaciela. Szkoda, że nie potrafię odtworzyć naszych pierwszych rozmów - owych kolejnych etapów zacieśniania się naszej znajomości. Zasłona z tych wszystkich lat, pod którą z rozmysłem ukryłem wszelkie myśli o nim, czyni jego postać niewyraźną. Frustruje mnie świadomość, że nigdy nie odzyskam pogubionych chwil. Być może wśród nich natrafiłbym na jakiś znak, który stanowiłby klucz do późniejszych wydarzeń.

Pamiętam natomiast jego maleńkie mieszkanie z ponurym widokiem na elektrownię w Battersea. Widzę wąski korytarz, ciasną kuchnię, zastawiony meblami pokój i łazienkę wielkości schowka na szczotki. Nie potrafię przypomnieć sobie, jak wyglądała sypialnia, bo zapewne nigdy w niej nie byłem, ale całą resztę widzę wyraźnie. Erie miał własną teorię na temat domów. Twierdził, niekoniecznie żartem, że podobnie jak dzieci, należy uczyć je walczyć ze słabościami. Słabym punktem jego mieszkania

był brak przestrzeni. Jeżeli, obojętnie, w którym z pomieszczeń, dwie dorosłe osoby stanęłyby obok siebie na wyciągnięcie ramion, to z jednej strony zetknęłyby się plecami, a z drugiej dotykałyby dłońmi do przeciwnych ścian. Erie wznosił się ponad te ograniczenia, najzwyczajniej w świecie ignorując je, a mieszkanie aż trzeszczało w szwach, zastawione ciężkimi meblami. „Traktuj dom tak, jakby miał się powiększyć - mawiał - a może rzeczywiście pewnego dnia tak się stanie”. I tym sposobem to małe, ciemnowe mieszkanie, na jakie pozwalał mu budżet początkującego artysty, zastawione było sprzętami godnymi pałacu. Podejrzewałem, że Erie pościągał te wszystkie skarby z wyprzedazy domów i posiadłości. I chociaż może nietawo jest przejść swobodnie pomiędzy kanapą Chesterfield a stojącą tuż obok donicą z rozłożystą palmą, to trzeba przyznać, że wrażenie, jakie robiły oba rekwizyty, było imponujące. Jedynie pianino stało osobno, bo Erie uważał, że rzeczy, które się ceni, należy traktować z szacunkiem. Tak więc jego instrument, w przeciwieństwie do sofy, nie był wciśnięty pomiędzy inne sprzęty, lecz stał samotnie na kawałku wolnej przestrzeni, nie narażony na zniewagi, jakie spotkały pozostałe meble.

Im dłużej błędę myślami po tym domu, tym wyraźniej rysuje mi się charakter jego właściciela. Erie, w przeciwieństwie do wielu ludzi obdarzonych nieprzeciętną inteligencją i wrażliwością, którzy często żyją w oderwaniu od rzeczywistości, nie tylko przedmioty darzył szacunkiem. On nie zamykał się w swojej muzyce, mimo że nią żył, i nie dystansował się od ludzi, chociaż większość z nich przewyższał intelektem. Był otwarty i często dobro przyjaciół stawiał ponad własne potrzeby. Mało w nim było egoizmu, który zaszczepia w ludziach życie w mieście - dzielił się z innymi tym, co miał. Wywodził się z żywej prowansalskiej wsi. Było w nim coś z ziemianina, bo mimo że miastu zawdzięczał erudycję, to na jego prezencję miała wpływ siła fizyczna. Przypomniałem sobie, że Regina Boardman nazywała go synem ziemi. W przeciwieństwie do Charliego Stanhope'a edukacja oraz ogląda nie pozbawiły Erica witalności i chociaż mówił cichym głosem, był pełen energii.

Pamiętam jego wigor, entuzjazm i wręcz dziecięcą ufność.

Wraca wspomnienie tamtego popołudnia na początku września, które spędziłem u niego na herbacie. Erie jako anglofil uwielbiał zwyczaj picia herbaty po południu. Ponieważ związany z

tym rytuał przemawiał do jego galijskiej wyobraźni, dużo uwagi poświęcał nakryciu stołu. (Musiałem uczestniczyć w tych herbatkach więcej niż jeden raz, skoro 0 tym pamiętam!) Wiem, że tamtego popołudnia siedziałem wciśnięty w róg kanapy Chesterfield, uważając, by nie zawadzić stopami o stojący tuż obok stolik, a Erie, który nie uznawał ekspresowych saszetek, zaparzał herbatę na sitku 1 wkładał kostki cukru do starej porcelanowej cukiernicy. Jego kolekcja porcelany miała eklektyczny charakter - wszystkie cacka były najwyższej jakości, chociaż kupował je zawsze okazjnie z drugiej ręki. I tak na spodeczku Spode'a mogła się znaleźć filiżanka Willow Pattern (gdy odtwarzam tamtą scenę, pamiętam, że z takiego właśnie zestawu piłem) lub obok patery Masona stawał dzbanuszek do mleka Wedg- wooda. Tak, widzę to wszystko dokładnie - ciasny salon, delikatną porcelaną, duże dłonie Erica poruszające się z gracją pomiędzy czajniczkiem do herbaty a dzbanuszkami do mleka. Jestem mniej więcej w środku mojej opowieści o Camilli Boardman, której on jeszcze nie miał okazji poznać, gdy pyta mnie, czy chcę jedną kostkę, czy dwie, bo nie pamięta. W niemal bezbłędnej angielszczyźnie Erica nie słychać obcego akcentu, od czasu do czasu zdradzają go jedynie przejęzyczenia, do których zdaje się podchodzić z poczuciem humoru. Odpowiadam mu za cicho, więc prosi, żebym powtórzył, i kiedy podejmuję przerwany wątek, zdaje sobie sprawę, że zgubił się gdzieś komizm mojej anegdoty. Mimo wszystko dopowiadam tę historię do końca i wtedy Erie, nagle poważniejąc, sadowi się w rozłożystym fotelu naprzeciw mnie. Fotel jest mocno zniszczony, ale wygodny, bo Erie oprócz wystaw- ności cenił w meblach także ich walory użytkowe. Siada więc, w prawej ręce trzyma posmarowaną masłem grzankę, w lewej filiżankę i odwraca się do mnie z uśmiechem, lecz ja przeczuwam, że chce powiedzieć mi coś ważnego.

I nie pomyliłem się.

- James - zaczyna powoli, zastanawiając się nad doбором słów. - Do jakiego stopnia konkretne są twoje plany na najbliższe dwa, trzy miesiące?

- Na mur-beton - odpowiadam z pewnym zadowoleniem, bo tak rzeczywiście jest.

- Beton zawsze można skruszyć, prawda? - pyta cicho.

- Nie ten.

- Każdy można, jeśli się ma taką wolę - mówi z uśmiechem.
- Być może, ale akurat w tym przypadku jej nie ma. Chyba że... - zastanawiam się chwilę - u moich rodziców, chociaż zdaje się, nie mają już obiekcji co do Guildhall. Muszę podziękować Michaelowi Fullertonowi.

- Monsieur Fullerton wydaje się gorąco ciębie popierać. Chyba można przyjąć, że zostałeś odkryty.

Nie odpowiadam, nieco zakłopotany, bo w recenzji po ostatnim koncercie znalazła się zaledwie wzmianka na temat Erica. Jeżeli mój towarzysz ma mi to za złe, nie daje po sobie poznać,

- Właśnie dlatego uważam - dodaje - że nie powinienem niczego planować na mur-beton. Przynajmniej dopóki nie wysłuchasz uważnie, co mam do powiedzenia.

Postanawiam nie słuchać, ale proszę, by mówił dalej.

- Umarła ciotka mojej matki - zaczyna - czyli moja cioteczna babka.

Już mam mu zacząć składać kondolencje, ale ucisza mnie ruchem ręki.

- Nie przeżywam tego. Wiesz, ona była bardzo stara. Poza tym prawie jej nie znałem.

Gdy teraz, sam już stary, przypominam sobie tamtą jego uwagę, szokuje mnie gruboskórność młodych ludzi, którym wydaje się, że są nieśmiertelni. Zestarzeją się prędzej, niż im się wydaje.

- Była malarką - mówi dalej Eric. - Zyskała pewne uznanie. Kiwam głową i pytam, jak się nazywała.

- Isabelle Mocsary - wyjaśnia.

Nazwisko wydaje mi się jakby znajome.

- Była Francuzką, ale wyszła za Czecha. Bardzo światowa kobieta. O szerokich horyzontach. A komuniści dobrze ją traktowali jako artystkę.

Jeszcze raz kiwam głową.

- Zostało po niej w Pradze ogromne mieszkanie, pełne mebli i obrazów - ciągnie dalej Eric. - Niektóre z tych rzeczy mogą mieć bardzo dużą wartość, wiele z nich trzeba będzie sprzedać. Za dziesięć dni wyjeżdżam do Pragi, żeby się tym zająć.

- Dlaczego ty?

- Moja matka była jedyną krewną madame Mocsary, a ja jestem najstarszym synem mojej matki, więc zrozumiałe, że to mnie wypada pojechać. - Eric milknie na chwilę. - Myślę, że

powinieneś pojechać ze mną - dodaje cicho, jakby z onieśmieniem.

A ponieważ dostrzega moje zaskoczenie i czuje, że zaraz odmówię, czym prędszej dorzuca:

- Mam znajomego w praskim konserwatorium. Na pewno o nim słyszałeś.

Nie reaguję. Erie patrzy na mnie z napięciem i uśmiecha się.

- Mówi ci coś nazwisko Mendl? Eduard Mendl?

Mój gospodarz z triumfalną miną odchyła się na oparcie fotela, bo zgodnie z jego przewidywaniem staje mi przed oczami pomarszczona twarz z grzywą srebrnosiwych włosów, orlim nosem i przenikliwymi czarnymi oczami. Tę twarz widywałem od dziecka na programach koncertów i okładkach płyt. A nazwisko mistrza wymawiałem z nabożnym szacunkiem, odkąd dotknąłem skrzypiec.

- Skąd go znasz? - pytam z podziwem pomieszanim z zazdrością, bo nazwisko tak wielkiej sławy zostało rzucone jakby od niechcenia.

- Był znajomym mojej ciotecznej babki - pada odpowiedź. - Kiedy przyjeżdżał na występy do Francji, zatrzymywał się u nas między koncertami.

- Niesamowite.

- Nie pozwoliłeś mi dokończyć. Sądzę, że Eduard Mendl jest tą osobą, od której mógłbyś się wiele nauczyć. Odkąd wycofał się z czynnego życia artystycznego, kształci uczniów. Dzięki monsieur Fullertonowi zwrócono na ciebie uwagę w Londynie. Pomyśl, jak bardzo pomógłby ci semestr u Mendla. Wyobraź sobie, co by wtedy napisał Fullerton w swojej rubryce.

Potrafiłem to sobie wyobrazić.

- Dlaczego sądzisz, że on się zgodzi mnie przyjąć? - badam ostrożnie.

- Zarekomenduję cię - odpowiada Erie. - Jeśli chodzi o moją grę na pianinie, to nikomu nie zawdzięczam tyle co jemu, mimo że jest skrzypkiem. Mam z nim bardzo dobry kontakt. On polega na moich opiniach.

- I myślisz, że...

- Myślę, że gdybym go poprosił, przesłuchałby cię. A reszta oczywiście należy do ciebie.

- Naturalnie,

Erie widzi, że osiągnął zamierzony efekt. Uśmiech rozjaśnia

mu twarz.

- Sądzisz, że udałoby się to załatwić? - pytam.

Kiedy wypowiedziałem to pytanie, ze ściśniętym sercem pomyślałem, jaki to szmat czasu takie dwa miesiące bez mojej ukochanej. Ten wyjazd byłby ogromnym poświęceniem. Przypuszczam, że kierowały mną typowe dla młodego wieku skłonności do melodramatu Pamiętam, że kiedy Erie patrzył na mnie z uśmiechem, nieomal zapragnąłem, by zaprzeczył i powiedział, że nie da się tego załatwić, że nie będzie sposobu, by obejść trudności i skorzystać z okazji. A jednocześnie uśmiechnąłem się bezwiednie do własnych myśli, bo oferta Erica wydała mi się równie kusząca jak możliwość widywania Elli.

- Pewnie - odparł z przekonaniem Erie. - Tylko musiałbyś przekonać swego profesora w Guildhall, by pozwolił ci zacząć od następnego semestru.

W tym momencie zrzędała mi mina. Uznałem, że szanse, by taka nietypowa prośba spotkała się z przychylną reakcją, są raczej nikłe. Rozchmurzyłem się trochę, ale tylko trochę, gdy Erie wyznał mi, że rozmawiał już z Reginą Boardman, a ona obiecała użyć swych wpływów.

-Anglia to dziwny kraj - stwierdził. - Wszystko załatwia się nieoficjalnie. Regina zna dziekana Wydziału Instrumentów Smyczkowych w Guildhall. To jej serdeczny przyjaciel.

Teraz nadzieja moja zgasła. Regina Boardman nazywała serdecznym przyjacielem każdego, kto mógł okazać się użyteczny. To jej sformułowanie wcale nie musiało oznaczać nici sympatii ani zażyłości z daną osobą.

Następna uwaga Erica dodała mi otuchy.

-Jest również kochankiem monsieur Fullertona - powiedział bez zająknięcia.

-Skąd wiesz? - spytałem z niedowierzaniem.

-Nie twoja sprawa, James. Wiem, i już. Być może z poparciem monsieur Fullertona i madame Boardman uda nam się coś /ałatwić.

Zastanowiłem się nad jego słowami. Erie miał rację-jeżeli Reginie Boardman lub Michaelowi Fullertonowi udałoby się wpłynąć na dziekana smyczków w Guildhall, to, mając po swojej stronie zarówno patronkę, jak i krytyka, prawdopodobnie przekonałbym go do moich nietypowych planów. O ile informacje Erica, pochodzące kto wie z jakiego źródła, były prawdziwe, wszystko mogło okazać się możliwe.

-Masz rację - przyznałem, podniesiony na duchu swoimi wnioskami. - Masz świętą rację. Może się udać.

-A gdyby udało się załatwić wyjazd - mówił dalej Erie, cały czas się uśmiechając - zatrzymałbyś się ze mną w praskim mieszkaniu madame Mocsary? Jest w samym centrum.

-To bardzo uprzejmie z twojej strony, ale nie chciałbym się narzucać.

-Czułbym się samotnie bez twego towarzystwa - przyznał Erie po chwili i zamilkł ponownie w oczekiwaniu na moją reakcję, a ja tymczasem przeklinałem w duchu uprzejmą rezerwę, jaką mi wpajano od dwudziestu dwu lat.

-W takim razie z radością przyjmuję twoją propozycję - w końcu zebrałem się na odwagę.

-W ramach zapłaty za wynajem pomożesz mi trochę w organizowaniu wyprzedaży. Poza tym żadnych kosztów, a życie w Pradze jest naprawdę tanie. Moglibyśmy tam żyć jak królowie, a nie jak... - zatoczył ręką krąg po pokoju - szczury tu, w Londynie. - I dodał: - Nie lubię mieszkać w norach, James.

W szampańskim nastroju przypieczętowaliśmy nasz plan uściskiem dłoni i podekscytowany, zacząłem się zbierać do wyjścia, jednocześnie powtarzając sobie w duchu, że nie powinienem zanadto dać się ponieść euforii, bo czekało mnie jeszcze wiele przeszkód. Podziękowałem Ericowi z całego serca.

- Nie ma sprawy - uciał. - Ogromnie cię polubiłem.

A ja poczułem się skrępowany, słysząc takie bezpośrednie wyznanie, i to moje zażenowanie zirytowało mnie. Jeszcze raz, ze wzmoczoną energią potrząsałem dłonią Erica, bo właśnie w taki sposób Anglicy wyrażają sympatię do przyjaciół. Przyszła mi wtedy na myśl negatywna opinia Elli na temat dystansu fizycznego, którą wyraziła podczas naszych długich dyskusji. Pod jej wpływem puściłem dłoń Erica i uścisnąłem go, dumny z siebie, że w ten sposób udowadniam swoją wolność od konwenansów. Erie, najwyraźniej zaskoczony, a przy tym zadowolony, odpowiedział również uściskiem.

- Dziękuję - rzekłem.

- Już ci mówiłem, to drobnostka - powtórzył, patrząc mi prosto w oczy. - Sprawiając radość przyjacielowi, sprawia się ją samemu sobie.

Wyszedłem od Erica i wracając do domu w niebieskawym zmierzchu, przyglądałem się, jak różowa poświata na niebie

przechodzi w złotą, a na koniec szarzeje, w miarę jak promienie zachodzącego słońca, filtrowane przez wielkomięjski smog, chowają się za dachy domów. Zapatrzony na zniewalająco piękne niebo nade mną, myślałem, że jego nieziemska uroda jest niczym w porównaniu z moim nieziemskim szczęściem i że te wszystkie kolory wydają się szare przy barwach, jakimi mieni się moje życie. Teraz widzę, że był to dość niezwykły sposób myślenia, lecz to Ella uczyniła mnie niezwykłym. A kiedy słońce zachodziło, przysiadłem nad rzeką i patrzyłem, jak znika. Z początku szukałem metafory dla jego potęgi, a potem, zadowolony, odpoczywałem w ostatnich przybladłych promieniach.

Dziwnie się czuję, myśląc o tym, jaki szczęśliwy byłem tamtego dnia i jak cieszyłem się możliwościami, które wabiły mnie ze wszystkich stron. Doświadczenie nauczyło mnie cynizmu. Tak jak naiwność była grzechem mojej młodości, tak dzisiaj stał się nim cynizm. Widzę siebie, jak siedzę nad tą rzeką w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, Jecz to wspomnienie jest neutralne, jakby ta scena została opisana mi przez kogoś obcego. Tamten chłopak, siedzący nad rzeką w ciepły letni wieczór, nie jest tym samym mężczyzną, który skostniały tkwi w lodowatym pokoju. Ten pierwszy, należący do przeszłości, jest jak znajomy, z którym nieodwołalnie rozstałem się na zawsze. Nie da się przetrząsnąć mostu nad przepaścią pomiędzy moją wiedzą a jego naiwnością.

Siedzę jego myśli, gdy siedzi na brzegu, to myśląc, to nie myśląc; widzę te myśli, jak ulatują ku nieznanym miastom, gorącym owacjom, pochwałom płynącym z przywiedłych warg wielkiego nauczyciela o pomarszczonej twarzy i srebrnych włosach. Musicie zrozumieć, że odwzajemniona miłość do Elli uczyniła mnie próżnym. Moje życie odmieniło się w ciągu zaledwie kilku tygodni. Byłem na tyle młody, by wierzyć, że ta odmiana dokonała się dzięki moim przymiotom. Mój ojciec zwykł mawiać, że szczęście przychodzi do tych, którzy na nie zasłużyli. Siedząc tam, nad rzeką, czułem się wybrańcem Fortuny. Uważałem, że miłość Elli, przyjaźń Erica, pierwsze sukcesy - dostały mi się zasłużenie i mogę się nimi cieszyć. Wtedy, podobnie jak jeszcze przez wiele lat, nie docierało do mnie, że Fortuna wraz ze swoją wagą bywa zmienna. Siedząc na brzegu rzeki, nie podejrzewałem istnienia prawdy, którą teraz już znam - Fortuna robi, co chce, i od jej kaprysu zależy wynoszenie na piedestał i

strącanie w dół, nobilitacja i degradacja, chronienie i prześladowanie swych ofiar. Fortuna czerpie przyjemność ze swych pokrętnych, wręcz mistrzowsko okrutnych sposobów. To ona podsyca płomienie ludzkiej dumy i dławi je bez uprzedzenia. Obdarowuje na chwilę nieśmiertelnością i odbiera ją, gdy najbardziej jej pragniemy, zostawiając jedynie rozpacz. Jej szczodrość przynosi nieszczęście i wieczną samotność, bo jak powiadają, łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu człowiekowi wejść do Królestwa Niebieskiego.

Myślę, że teraz, kiedy Sara nie żyje, jestem bogatym człowiekiem. Czy moje bogactwo stanie się jeszcze jedną przeszkodą na drodze do osiągnięcia spokoju? Czy dołączy do wielu innych barier, na przekroczenie których nie mam nadziei? Utknąłem w podróży, której nigdy nie skończę. Jestem sam i nie mam się do kogo zwrócić. Mój jedyny towarzysz, chłopak, który rozmarzonymi oczyma wpatruje się w złocistą rzekę, nie może mi pomóc. Nie słyszy moich pytań, a ja nie mogę usłyszeć jego odpowiedzi. Przecież on nic o mnie nie wie, bo niby skąd? Nie poznał bólu; jego jedyne cierpienie to irytacja, brak natychmiastowego zaspokojenia nachodzących go pragnień. Nie zna poczucia winy; jego jedyną winą jest przemijanie, szybko puszczony w niepamięć wczorajszy dzień. On nie zna ani wyrzutów sumienia, ani wstydu, ani rozpacz. Czuję do niego niechęć - powołałem go do życia, a teraz zaczynam nienawidzić. Co za potwór - nie pomoże własnemu ojcu! On, który uważa się za chodzącą doskonałość, nawet nie drgnie, kiedy go wypytuję. Siedzi sobie nad rzeką, pogrążony w wiecznym rozmarzeniu, gdy błagam o jakiś znak, który mógłby mnie ostrzec, o przestrożę, której mógłbym wysłuchać. Ale on tylko siedzi i od czasu do czasu rzuca kamyk do wartkiej wody. Nie zwraca uwagi na chaotyczną gadaninę starego człowieka, nie słyszy go. A ja przyglądam się bezradny.

12

W odpowiednim czasie odwołano się do odpowiednich władz, wykorzystując odpowiednie koneksje, i dostałem urlop na semestr. Za pośrednictwem kuriera przekazano do Pragi taśmę z nagraniem z mojego występu w kościele Świętego Piotra wraz z długim listem Erica i po dwóch dniach pełnego napięcia oczekiwania przyszedł telegram. Mendl napisał w nim, że ufa opinii Erica jak swojej

własnej i z przyjemnością zajmie się mną przez semestr.

Camilla Boardman zadzwoniła do mnie, gdy tylko się o tym dowiedziała.

- Koochaanie! Jesteś niesamowity!

- Camillo, uważam, że to bardziej zasługa twojej matki niż moja.

- A nie mówiłam, że przypadniecie sobie do gustu? No, przyznaj, nie mówiłam?

- Mówiłaś.

- I co, nie miałam racji?

- Miałaś. Dziękuję ci.

Camilla domagała się swojej porcji uznania.

Radosny nastrój psuła mi jedynie myśl o rozstaniu z Ellą. Oczywiście z miejsca powiedziałem jej o propozycji Erica i razem przeżywailiśmy stresujące dni oczekiwania na wyniki machinacji Reginy Boardman. Choć Ella z całym zrozumieniem dzieliła moje nadzieje, żadne z nas nie wierzyło, że cokolwiek z tego wyjdzie, więc kiedy sprawy przyjęły pomyślny obrót, chciałem, żeby ona pierwsza się o tym dowiedziała. Gdy jednak zadzwoniłem na Chester Square, niski głos w słuchawce poinformował mnie, że Harcourtowie wyjechali i nie było polecenia, by informować o terminie powrotu.

Zbulwersowany, czekałem dwa dni, a tymczasem moja matka opowiadała swoim przyjaciółkom o szczęściu, jakie mnie spotkało, i moim niewątpliwym geniuszu. Atmosfera w domu zmieniła się nie do poznania - moi rodzice wykazali tu instynkt bardzo sprytnych przegranych (tak mi się wtedy przynajmniej wydawało), uznając po prostu, że między nami nie było żadnych tarć. Stwierdzili, że i owszem, mieli pewne wątpliwości, to przecież oczywiste, ale nigdy nie zamierzali mnie ograniczać, wręcz przeciwnie, chociaż nadal uważają, iż cokolwiek postanowię, nie powinienem zapominać o wielkiej zalecie, jaką jest poczucie stabilności wynikające z posiadania stałej pracy. Słuchałem ich wywodów z obojętności charakterystyczną dla młodego wieku, uważając, że jestem bardzo wspaniałomyślny, ponieważ nie oskarżam ich o hipokryzję.

Dopiero po wielu latach, gdy nabrałem szerszego spojrzenia, które wychodziło wyłącznie poza moje klótnie z nimi, zrozumiałem, że chociaż snobistyczni, nie byli hipokrytami. Dopiero wiele lat później doceniłem ich serdeczną troskę

o moje szczęście i wtedy, jak to się często w życiu zdarza, było już za późno, aby im o tym powiedzieć.

Jednak w tamtym czasie małą wagę przykładalem do słów rodziców, zaaferowany tym, jak skontaktować się z Ellą. Trzy dni chodziłem sfrustrowany, bo za każdym razem, gdy dzwoniłem na Chester Square, osoba odbierająca telefon kwitowała rozmowę stwierdzeniem, że nie została upoważniona, by informować, kiedy państwo Harcourtowie wrócą. Trzeciego dnia, po kolejnym bezowocnym telefonie, nadszedł list od Elli. Na ciężkiej kopercie z grubego papieru z wytłoczoną niebieską koroną widniał adres, którego się nie spodziewałem - Zamek Seton, Komwalia.

Ella pisała:

Najdroższy!

Poczułbyś się zakłopotany, gdybyś wiedział, jak bardzo za Tobą tęsknię, albo gdybym rozpisywała się na ten temat w liście. Myślę, że moja kalifornijska wylewność mogłaby Cię onieśmielić. (A pobyt w Setonie w taką pogodę, kiedy morze skrzy się w promieniach słońca, wprawia mnie chwilami w niemożliwie sentymentalny nastrój. Więc będę się kontrolować i oszczędzę Ci moich wynurzeń).

Niestety, powód mojego przyjazdu tutaj jest dość smutny. Otóż wujek Cyryl miał jakiś atak. Upadł cztery dni temu i zabrano go do szpitala w Penzance. Ponieważ nie wiadomo, jak rozwinie się sytuacja, wezwano rodzinę, by mogła hand- ryczyć się ułożeniem chorego oraz sprawiała dobre wrażenie na autochtonach. Ciotka Elizabeth nalega, abyśmy w takiej chwili zmanifestowali spójność rodziny, „dając tym przykład miejscowej ludności”. Oczywiście aż się we mnie gotuje, kiedy słyszę podobne uwagi. Oto, jakie skutki może wywołać amerykańskie wychowanie nawet u członków najszacowniejszych rodów. Jestem przekonana, że stanowią powód zbiorowego niepokoju rodziny. Ciotka Elizabeth i Sara godzinami szepczą ze sobą po kątach i założę się, że rozmawiają o moim nagannym zachowaniu i o tym, jaka jestem nieręformowalna. Jednak biedna Pamela najbardziej jest narażona na ich krzywe spojrzenia, bo nie chronią jej więzy krwi. Widzisz, ona jest intruzem, ale kiedyś to się zmieni, a Elizabeth zdaje sobie z tego sprawę. Moja ciotka boi się, by nie odesłano jej do Dower House.

Oczywiście niechęć rodziny wobec Pameli i mnie bardzo gniewa tatę, więc atmosfera podczas posiłków jest nad wyraz

chłodna. Mam nadzieję, że nie oddadzą Cyryla na rekonwalescencję do domu - zabilby go panujący tu klimat. Tak czy owak, musimy poczekać, dopóki nie minie zagrożenie, czyli zapewne co najmniej tydzień, a może dwa. Myślę, że rozłłka dobrze nam zrobi. Co prawda uwielbiam spędzać z Tobą czas (mówię szczerze), ale przez to zaniedbuję istotne problemy. Nadal jestem zaręczona - nic się pod tym względem nie zmieniło, więc nie mogę bez końca udawać, że jest inaczej. Charlie zaczyna zastanawiać się, dlaczego za każdym razem, kiedy proponuje spotkanie, wymawiam się złym samopoczuciem. Moja lista wykrętów zaczyna się wyczerpywać. Czuję również, że Sara bacznie mnie obserwuje, i zastanawiam się, ile te jej zimne oczy są w stanie zauważyć. Peszy mnie to maksymalnie. (Jak widzisz, nie jestem tak całkiem pozbawiona sumienia).

W związku z tym planuję spędzić dni tutaj na poważnych rozważaniach, jak powinnam postąpić. Będę również myślała o Tobie i tych wspaniałych możliwościach, jakie się przed Tobą rysują w Pradze. Będzie mi Ciebie bardzo brakować, kiedy wyjedziesz (niech diabli porwą Reginę Boardman - stanęłaby na głowie, byle tylko dopiąć swego!), ale w przypadku uczucia tak silnego jak nasze czas nie odgrywa roli.

Kocham Cię, bardzo Cię kocham,
EUa

Przed wyjazdem widziałem się z Ellą jeden raz, bo uzyskanie niezbędnych pozwoleń na studiowanie za granicą zajęło więcej czasu, niż obaj z Erikiem zakładaliśmy. Siedzieliśmy więc w Londynie, czekając na zakończenie biurokratycznej procedury w obu krajach. Wujek Cyryl wyzdrowiał, wrócił do domu i rozpedził rodzinę, poirytowany zamieszczeniem wokół swojej osoby. I tym sposobem Ella znalazła się w Londynie, a dom na Chester Square zaczął żyć przygotowaniami do wesela. Spotkaliśmy się w dzień poprzedzający mój wyjazd. Miałem już starannie popakowane ubrania

1 książki oraz przygotowane niezbędne wizy. Pożegnałem się z przyjaciółmi, dzwoniłem do znajomych. Wszystko było dopięte na ostatni guzik. Camilla Boardman zażądała spotkania sam na sam i podczas lunchu zwierzyła się, że w Londynie będzie beze mnie okropnie nudno. Zadzwoił także Michael Fullerton, by życzyć mi powodzenia, a Regina Boardman, do końca praktyczna, zorganizowała ostatni koncert dobroczynny, by

w ten sposób przynajmniej chociaż trochę odbić sobie na inwestycji w moją przyszłość.

Spotkaliśmy się z Ellą w wiktoriańskim przepychu National Portrait Gallery. Był środek września, kończyło się tamto długie, ciepłe lato. Na zewnątrz, na Trafalgar Square i Charing Cross, roilo się od zgrzanych, hałaśliwych ludzi, natomiast w wychłodzonych, pustych salach galerii panowała grobowa cisza. Widzę Ellę, jak idzie do mnie po schodach. Słyszę jej pośpieszne, lekkie kroki. Idzie ku mnie roześmiana, z zaróżowionymi policzkami. Ma na sobie krótką sukienkę z cienkiej bładoniebieskiej bawełny, spod której widać gołe kolana. Włosy, sprawiające wrażenie wilgotnych, ma zaczesane do tyłu.

Nie pamiętam wszystkiego, o czym rozmawialiśmy, chociaż zapewne opowiadała mi o pobycie w Setonie, o rekonwalescencji wuja, o tłumionej, przynajmniej w jego obecności, niechęci rodziny do niej. Pamiętam, że ja z kolei opisywałem starania Reginy Boardman związane z moim wyjazdem i pełne napięcia dni, kiedy czekałem na wiadomość od Mendla, czy zgodzi się przyjąć mnie na praktykę. Powiedziałem jej też, że Isabelle Mocsary była cioteczna babką Erica. Poszliśmy nawet do znajdującej się tuż obok National Gallery, by obejrzeć skromny zbiór obrazów pani Mocsary, lecz ku naszemu rozczarowaniu dowiedzieliśmy się, że został wypożyczony Muzeum d'Orsay w Paryżu. Przede wszystkim jednak zapamiętałem intymną atmosferę tych kilku godzin, łatwość, z jaką śmialiśmy się i rozmawialiśmy, a także nasze pocałunki w kawiarni w Covent Garden, dokąd poszliśmy na herbatę. W miarę jak wieczór się kurczył, nasza rozmowa nabierała powagi rozmowy kochanków, którzy mają się rozstać.

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo cieszę się ze względu na ciebie - powiedziała cicho Ella. - I jak bardzo mi smutno, że jedziesz. Ale myślę, że rozłąka dobrze nam zrobi.

Przestała mówić, sięgnęła po papierosa, a ja zapatrzyłem się na pełne gracji wygięcie jej dłoni, kiedy trzymając papierosa między palcami, włożyła go do ust, przypaliła i zatopiona w myślach, dwukrotnie powoli się zaciągnęła.

- Uważam też, że przynajmniej przez jakiś czas separacja powinna być całkowita.

- To znaczy?

- Jamie, myślę, że w ogóle nie powinniśmy się kontaktować.

- Co?

Uśmiechnęła się.

- Wiemy, na czym stoimy. To nie ucieknie. A ja chcę, żebyśmy pisali do siebie czy rozmawiali ze sobą, dopiero kiedy załatwię to, co mam do załatwienia. Ta... ciuciubabka nie służy ani tobie, ani mnie. Poza tym mam dość zachowywania się jak dziecko, które broi.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem, chociaż nie do końca podzielałem jej pogląd.

- Czas, żebym jednoznacznie i na zawsze uporządkowała moje sprawy. Jak dotąd nie zajęłam się Charliem, tak jak by należało, nie pomyślałam o Sarze. A wiem, że ona mnie obserwuje. Przygląda się wszystkim moim krokom. I coś podejrzewa. Dlatego nie wolno nam do siebie pisywać.

- Nie rozumiem dlaczego.

- Nie widzisz? Gdy jestem z tobą, czuję się bardzo szczęśliwa, a powinnam przeżywać dramat. Tak samo byłoby, gdybyśmy pisywali do siebie codziennie, kiedy wyjedziesz do Pragi. Jamie, ty masz być moją nagrodą, a nie rozrywką. Muszę wyzwolić się z tej matni, by móc w pełni cieszyć się tobą.

Pokiwałem głową z ponurą miną. Zaczynałem ją rozumieć.

Ella wzięła mnie za rękę.

- No, nie zachowuj się tak. Mamy czas. Wyjeżdżasz tylko na dwa miesiące. A kiedy wrócisz, nie będziemy musieli przemykać się jak przestępcy. Spotkasz się z moim tatą i Pamelą, przedstawiśz mnie rodzicom. Będziemy mogli pojechać do Setonu i nie będziemy musieli nocować w wiejskim zajeździe ani chować się przed strażnikami. Nie widzisz, jakie to wszystko stanie się inne? Jakie cudowne?

Nieco udobruchany, znowu pokiwałem głową, już z mniej ponurą miną.

- Więc wyjeżdżaj do Pragi i nie pisz. Listy od ciebie czy cokolwiek, co wiąże się z tobą, za bardzo mnie uszczęśliwiają, a jak już powiedziałam, powinnam być w tragicznym nastroju. Powinnam przeżywać dramat. Przynajmniej tyle należy się Charliemu ode mnie, nie uważasz? Mam zamiar się na tym skupić. Wiesz, nie mogę zerwać zaręczyn, ot tak, z dnia na dzień, chociażby ze względu na okoliczności.

Jeszcze raz pokiwałem głową.

- Rozumiesz, co mówię? - Spojrzała na mnie z napięciem

ponad stolikiem.

- Chyba tak - odparłem. - Rozumiem, chociaż wcale nie jestem zachwycony.

- To dobrze. - Zamknęła palce na mojej ręce.

- Lecz daję ci czas do Bożego Narodzenia - zastrzegłem. -

Potem się już mnie nie pozbędziesz.

- Wcale nie będę tego chciała, ty głuptasie. - Ścisnęła moją dłoń. - Ale teraz chcę. Musi tak być dla naszego dobra.

- Wiem.

Nasze usta zetknęły się w powolnym pocałunku.

13

Pode mną, w dole, rozciągała się Praga - miasto mostów wygiętych w łuki, ostro zakończonych wież i dostojnych kopuł. W porannym świetle, jaśniejszym i ostrzejszym niż brzask w Londynie, mgła nad Wełtawą mieniła się jak wstęga na szarym tle miasta.

- Zamknij oczy - polecił siedzący obok mnie Erie. - Będziemy przelatywać nad przedmieściem.

Przymknąłem więc oczy. Erie pozwolił mi je otworzyć, dopiero kiedy wylądowaliśmy na lotnisku o nazwie naszpikowanej spółgłoskami, gdzie hala przylotów przypominała z wyglądu betonowy guz. Zaprojektowano je tak, by, jak sądzę, zniechęcić do niego podróżnych, chroniąc w ten sposób urok i piękno miasta, któremu służyło. Moje wspomnienia dotyczące Erica stają się ostrzejsze. Widzę jego masywną sylwetkę wciśniętą między oparcia lotniczego fotela. Oczy mu błyszczą z podniecenia, gdy cichym głosem zwraca moją uwagę na charakterystyczne widoki miasta, którego żaden z nas dotąd nie widział, lecz o którym on przynajmniej pomyślał.

Praga i ja mieliśmy dopiero zostać sobie przedstawieni. Ale nawet w tej pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałem, instynktownie wyczułem, że różni się od Londynu; że nie potraktuje mnie z rezerwą i chłodną powściągliwością, chociaż na pewno jest miastem dumnym. Lecz w dumie Pragi było coś pociągającego i mamiącego romantyczną tajemnicą. Jak miałem się później przekonać, nie pasowałyby do niej pyszne bulwary Paryża ani wyniosłe drapacze chmur Nowego Jorku. Praga była miastem brukowanych uliczek, zakamuflowanych klatek schodowych, ukwieconych podwórek, wypełnionych szeptami. W tym mieście

pałace i kamienice czynszowe trwały ramię w ramię i bez słowa skargi osypywały się z tynku, nic nie tracąc ze swej malowniczej godności. Wtedy jeszcze Pradze obce były brutalne inwestycje i nieprzemysłana modernizacja. Deweloperzy i ministrowie budownictwa zadawali gwałt jej przedmieściom, bloki mieszkalne - panelaki, i biurowce wyrastały na obrzeżach, a tymczasem centrum, te parę mil kwadratowych, stanowiące kwintesencję miasta, opierało się oblężeniu w nie zmienionym kształcie. Praga ma duszę podstępnej romantyczki; wie, jak czarować i uwodzić tych, co chcą ją zdobywać, zmieniać, poprawiać. Mogą formować się kolejne rządy, rodzić i upadać reżimy, lecz Hrad niewzruszenie będzie czuwał nad miastem, którego broni od wielu stuleci. Takie refleksje podsuwała mi intuicja, gdy zjechaliśmy taksówką z autostrady w podmiejskie zielone dzielnice z uduchowionymi domami w stylu „art nouveau”, stojącymi w zarośniętych ogrodach. Te niegdyś okazałe rezydencje, obecnie w rozpaczliwym stanie, znosiły odmianę losu z godnością i czymś w rodzaju budzącej podziw akceptacji. Zupełnie odwrotnie rzecz się miała z nowszymi, lecz za to

0 wiele brzydszymi zdobyczami komunistycznej myśli architektonicznej. Te panelaki, przypominające wieże, wyrastające na obrzeżach miasta, ukazywały światu swoje posępne oblicze i nieżyczliwie patrzyły na słabo oświetlone ulice.

- Gdzie mieszkała twoja ciotka? - spytałem Erica. - Gdzieś tu w okolicy?

- O nie. Ona lubiła, by życie tętniło wokół niej. Człaby się nieszczęśliwa bez zapachu spalin. Jej dom, a właściwie powinienem powiedzieć - apartament, znajduje się w centrum. Wszystko stoi tak, jak zostawiła. Będziemy mieszkać w prawdziwej Pradze. Te więziennicze eele nie są dla nas.

Z uczuciem ulgi patrzyłem, jak zostawiamy owe cele za sobą i zjeżdżamy stromą, brukowaną ulicą od strony Klasztoru Strahowskiego ku Małej Stranie - niewielkiej, barokowej enklawie krętych, wąskich uliczek, wciśniętej tuż pod zamkowe wzgórce. Tu rozpoczęło się moje obcowanie z prawdziwą Pragą. Widziałem Wełtawę z majaczącymi w oddali bliźniaczymi wieżyczkami przy wejściu na most Karola i rzędem posągów, które sprawiały niepokojące wrażenie, poczerniałe ze starości i spalin. Nie do wiary, jak wyraźnie widzę to wszystko, jaki pełny obraz mam przed oczami. Potem już nigdy nie byłem w Pradze, bo po naszym

wyjeździe stamtąd nie potrafiłem się wyzbyć bolesnych skojarzeń. Uderza mnie myśl, że Praga, jaką poznałem, i Praga dzisiejsza prawdopodobnie różnią się, muszą się różnić. Zapewne jezdnie pokryto asfaltem i na każdym rogu otwarto bary szybkiej obsługi, takie same jak w innych miastach. Kto wie, może stare klasztory i zamki przerobiono na hotele? Nie chcę tam jechać. Zadowala mnie powrót w wyobraźni. Wolę tamto pełne nabożnego podziwu spojrzenie niedoświadczonego młodego człowieka z ogromnym apetytem na życie. Chcę przyjrzeć się tajemniczości Pragi, podrwić z jej zmanierowania, delektować się jej smakiem i z pobłażliwym uśmiechem myśleć o jej ekscentryczności. Pragnę jeszcze raz przeżyć tamten dreszczyk pierwszych chwil, tamto oszołomienie imponującym widokiem.

Kiedy byłem zajęty oglądaniem miasta przez okno taksówki, Erie zapytał taksówkarza po niemiecku, co myśli o upadku komunizmu. Słuchałem niezbyt uważnie, skupiony na rozta-
czającej się poniżej panoramie miasta.

- On mówi, że jego krajanie przypominają teraz Amerykanów.
- Erie przetłumaczył mi słowa taksówkarza. - Nic, tylko pieniądze, pieniądze i pieniądze. One się stały ich nową obsesją.

Kierowca przytaknął skinieniem głowy.

-Ja mówię po angielsku. Trochę - przyznał się nieśmiało.

Dla dodania odwagi taksówkarzowi Erie pokiwał głową, po czym zwrócił się do mnie:

-Pan ma na imię George.

Ukloniliśmy się sobie, patrząc w lusterko, i przedstawiłem się.

- Przed rewolucją ludzie rozmawiali ze sobą, dyskutowali - opowiadał George. - Często się chodziło do teatru. A teraz - rzucił nam smutne spojrzenie w lusterko - teraz jest tylko praca. Praca, żeby zarobić pieniądze. I tylko tyle. Po rewolucji teatry zapełniły się cudzoziemcami.

George był dystyngowanym starszym człowiekiem, a ze spokoju, z jakim mówił o upadku kultury, można byłoby odnieść fałszywe wrażenie, że niewiele go to obchodzi. A jednak buntował się przeciwko zalewowi kapitalistów.

- Oni - mówił, mając na myśli kapitalistów podobnych do mnie - próbują zawojować nasze umysły. Chcą zrobić z nas niewolników. Jedyne, o czym teraz myślimy, to pieniądze i seks. Tylko to się liczy.

Prowadząc taksówkę w gęstniejącym ruchu, George coraz bardziej podniecał się tematem.

- Nawet Havel nie napisał żadnej sztuki po upadku komunizmu - oznajmił. - Siedzi tam, w swoim pałacu na wzgórzu, odcięty od nas. - George machnął pomarszczoną dłonią do tyłu, w kierunku zamku na Hradczanach, którego szyby, oprawione w ołów, połyskiwały w porannym słońcu. - Pozwala, by Zachód nas eksploatował i żebyśmy wykorzystywali siebie nawzajem. Tak dalej być nie może.

To była ta sama smutna historia, jaka powtarza się po każdej rewolucji. Kiedy przewrót staje się faktem, ludzie spostrzegają nagle, że uczynili zaledwie pierwszy nieśmiały krok na drodze do społecznej sprawiedliwości. Może się okazać (i często tak bywa), że teraz więcej należy chronić przed zagładą, niż przedtem pragnęło się burzyć.

George jeszcze raz pokiwał głową i wysadził nas na rogu ulicy, przy której stały okazałe kamienice. Zgodnie z adresem podanym przez Erica wskazał nam dom oznaczony numerem 21 i przyjął pieniądze takim gestem, jakby to on nam coś dawał, a nie my jemu.

Czekałem w cieniu na chodniku, aż Erie znajdzie klucze.

- Kiedyś to był Pałac Szerkańskich. A teraz tu są mieszkania - wyjaśnił.

- Całkiem niezłe mieszkania - zauważyłem, patrząc na marmurowe stopnie i masywne odrzwia.

- Moja cioteczna babka stanowiła ozdobę reżimu - odparł z uśmiechem. - Jako artystka podziwiana na całym świecie znalazła się na czele listy mieszkaniowej.

Erie wyciągnął klucze i otworzył bramę prowadzącą do korytarza sklepionego łagodnym łukiem. W półmroku panującym wewnątrz smętnie zamajaczyły płaskorzeźby na suficie i ścianach. Gdy zmienił się wiatr historii, uśmiechnięte cherubiny zastygły na zawsze bezwstydnie radosne. Światło sączyło się do wewnątrz przez zakurzone szyby w dużych oknach po obu stronach korytarza, a przed sobą mieliśmy klatkę schodową - relikw zdecydowanie elegantszych czasów niż nasze. Schody z gracją pięły się w ciemność. Dopiero gdy moje oczy nawykły do mroku, bo klatkę schodową oświetlała zaledwie jedna słaba żarówka, zobaczyłem, w jakim stanie jest ten dom. Farba łuszczyła się na ścianach, a płytki i tynk były popękane. I wtedy nagle zrobiło się

zupełnie ciemno. Erie zaklął pod nosem i po omacku szukał wyłącznika. Gdy go znalazł, gdzieś daleko od nas rozbłysła kolejna słaba żarówka. Zaczęliśmy wspinaczkę po schodach. Światło wyłączyło się automatycznie po mniej więcej dziesięciu sekundach, więc tyle czasu można było poruszać się po jako tako oświetlonych schodach. Niestety, ciężar i mnogość naszych bagaży sprawiły, że na każdej kondygnacji pokonywaliśmy kilka stopni w zupełnych ciemnościach. Na trzecim, ostatnim piętrze Erie wyjął klucz do kolejnych masywnych drzwi.

- Od pogrzebu nikt nie wchodził do mieszkania - oznajmił.

- Ciekawe, co znajdziemy. - Serce przyspieszyło mi z podniecenia, gdy Erie włożył klucz do zamka.

- Sam się zastanawiam.

Zagrzytały zardzewiałe zawiasy i jak na zawołanie, jednocześnie zgasło światło na korytarzu. Weszliśmy po ciemku do środka, a Erie znowu macał ścianę w poszukiwaniu kontaktu. Gdy na niego natrafił, znaleźliśmy się tym razem w oszałamiającej jasności. W żyrandolu nad naszymi głowami - jak później, w wolnej chwili policzyłem - było trzydzieści żarówek. Światło docierało do każdego kąta tej groty Aladyna. Pamiętam tamten - pierwszy moment, gdy oślepił nas błysk żarówek. Pamiętam też to wrażenie przygody. Staliśmy z Erikiem w długim, wąskim pomieszczeniu z kamienną posadzką, nakrytą tu i ówdzie tureckimi kobiercami.

Ściany pomalowane na odcień głębokiej czerwieni były zupełnie nagie. Warstwa kurzu tłumiła barwy dywanów oraz draperii w kolorze starego złota, które, przymocowane do sufitu, opadały ku podłodze na podobieństwo namiotu. Kichnąłem, burząc w ten sposób napięcie i prowokując nas do śmiechu.

- Boże, w życiu nie widziałem czegoś takiego! - wykrzyknąłem.

- Chodź, rozejrzemy się. - Oczy Erica błyszczały jak rozżarzone węgle.

Ruszyliśmy więc na zwiedzanie domu. Podekscytowani niby uczniacy na wycieczce w muzeum, zajrzeliśmy do wszystkich pokoi, biorąc do rąk i pokazując sobie nawzajem co dziwniejsze przedmioty - dowody ekscentrycznego gustu madame Mocsary: stojący na pianinie mały słonik z mosiądzu z oczami z czerwonych kamyków, tandetny, cytrynowo-różo- wy plastikowy wachlarz, rozłożony dla ozdoby na stole, a także stara popielniczka z

rżniętego niebieskiego kryształu. Główne pomieszczenie stanowiło kombinację holu i salonu. Nie potrafię określić, jakie było jego przeznaczenie za czasów Szerkańskich. Odchodziły od niego dwie pary drzwi - każde z nich cofnięte w podpartej filarami wnęce. Jedne z tych drzwi prowadziły do zatęchłego korytarza, zakończonego ciasną kuchnią i łazienką z porcelanową wanną bez kurków. Gdy, z początku pełni nadziei, a potem rozczarowani, skończyliśmy przegląd kuchni, zajrzeliśmy do pokoju za drugimi drzwiami i tu czekała nas nagroda.

- *Mon Dieu!* - zawołał Erie, stając w drzwiach. - James, chodź, zobacz!

Podszedłem do niego i razem po raz pierwszy przekroczyliśmy próg Pokoju Obrazów. Długość ścian tego idealnie kwadratowego pomieszczenia, podobnie jak ich wysokość, wynosiła dwanaście stóp. Na całej powierzchni ścian, z wyjątkiem oczywiście drzwi i dwóch okien wychodzących na ulicę, wisiały obrazy. Płótna w ramach i bez ram dotykały jedno do drugiego, jak gdyby broniąc się przed chłodem panującym w pokoju. Na czerwonych jak w holu ścianach, ledwie widocznych spod obrazów, szalały kolorowe, na wpół fantastyczne, na wpół realistyczne kształty. W tych malowanych przez lata płótnach można było dopatrzeć się pewnej ewolucji artystycznej. Ale to odkryłem dopiero po jakimś czasie.

- A więc to on - powiedział cicho Erie.

- Co?

- W listach do mojej matki cioteczna babka wspominała o Pokoju Obrazów. Obawiała się, że go nie zdąży zapamiętać. - Erie zamilkł i rozejrzał się dokoła. - Robi wrażenie, prawda?

Przytaknąłem skinieniem głowy.

Widzę teraz ten pokój, to spójne dzieło wybitnego umysłu. W jego ścianach została zamknięta eksplozja artystycznej inspiracji, od pierwszych, wyczelowanych szkiców tuszem po eksperymentalne i śmiałe w formie prace starszej, dojrzałej artystki. Te bardzo różnorodne obrazy - małe i ogromne, wykonane farbami olejnymi, akrylowymi i tuszem, przeważnie namalowane na płótnie, a czasem na desce - nałożyły się na siebie w moich wspomnieniach, chociaż kiedyś tak dobrze je znałem. Nie potrafię przywołać żadnego z nich z osobna, bo lata, które minęły, zatarły zdolność wyodrębniania szczegółów. Dziwne, że ich nie pamiętam, przecież uwielbiałem tamten pokój, zakochałem się w obrazach.

Tyle dla mnie znaczyły! A może właśnie dlatego je zapomniałem? Kto wie?

W całym tym ekscentrycznym domu, poczynając od wyblakłych żółtych draperii, kryjących popękany sufit, a kończąc na bibelotach, zajmujących każdy wolny kawałek powierzchni, panował duch jego właścicielki. Zafascynowani, spędziliśmy dobrą godzinę na obejście mieszkania, gdy wreszcie uderzył nas pewien praktyczny problem - otóż madame Mocsary najwyraźniej nie odczuwała potrzeby posiadania łóżka!

-Musiała mieć chociaż jedno - rzekł Erie. - Trzeba je znaleźć.

Mimo usilnych poszukiwań nie natrafiliśmy na nic, co choćby z grubsza przypominało materac, nie wspominając już o czymś wygodniejszym i bardziej wyrafinowanym. Wreszcie po godzinie wytrwałych poszukiwań to właśnie mnie udało się odkryć sekret madame Mocsary. Ponieważ kurz unoszący się w mieszkaniu łaskotał mnie w nosie, postanowiłem wy- trzepać pokrowce z mebli. Gdy ściągnąłem z kanapy narzutę z niebieskiego aksamitu, okazało się, że wcale nie mam do czynienia z kanapą, tylko z jednoosobowym łóżkiem, dosu- niętym do ściany i obłożonym z trzech stron poduszkami. Jakże rozbawił nas ten psikus z zaświatów.

Pamiętam sposób, w jaki Erie potrafił się śmiać. Z zażawionymi oczyma zanosił się gardłowym śmiechem, błyskając białymi zębami i trzęsąc niesforną czupryną. Ten jego śmiech poprzedzony zazwyczaj uśmiechem i przyjacielskim klepieniem po plecach będzie powracać do mnie w nocnych koszmarach. Pięćdziesiąt lat zajęło mi uwalnianie się od myśli o Ericu i wypieranie jego widoku i głosu z moich snów. Teraz zniszczyłem wysiłek całych dziesięcioleci; znowu go pamiętam. Erie powróci, żeby mnie prześladować, dziś w nocy odwiedzi mnie. Lecz nie zobaczę szczęśliwego, beztroskiego Erica, a jedynie udręczony, zaszczuty strzęp człowieka. Kim jest Erie? Czym? Postacią. Dźwiękiem. Dotykem. Młodym człowiekiem, który pędził szczęśliwe życie, a umarł tragicznie. Bo chyba niczym więcej nie jest? On umarł. Nadal jednak żyje w mojej świadomości, moje sumienie nie pozwoli mu zniknąć, bo już dłużej nie potrafię znieść obłudy. Jego ostry śmiech wwierca mi się w czaszkę mimo upływu tak wielu lat.

Jednakże tamtego popołudnia z przyjemnością słuchałem jego śmiechu i sam też chętnie się śmiałem. Zaśmiewaliśmy się,

walcząc o przywilej spania na łóżku. Erie, chociaż lepiej zbudowany, przegrał zapasy. Wymyśliliśmy, że możemy porządnie wytrzepać aksamitne kotary, których w mieszkaniu było całe mnóstwo, a potem poskładać je jedna na drugiej

I w ten sposób Erie zyska namiastkę materaca. Gdy rozwiązaliśmy ten problem, przystąpiliśmy do działania. Zajrzeliśmy do szafek i na półki, przeszukaliśmy wnęki i schowki prywatnego świata ekscentrycznej damy. Przekonaliśmy się, że wysprzątanie mieszkania, którego nikt nie zajmował od przeprowadzki madame Mocsary do domu starców ponad rok temu, nie będzie prostym zadaniem. Wśród umiejętności, jakie nabyłem w czasie pobytu w szkole z internatem, nie znalazło się radzenie sobie ze szczotką, ścierką i detergentami, a Erie pod tym względem nie okazał się znacznie lepszy ode mnie. Na szczęście entuzjazm dodawał nam pewności siebie. Bez- włocznie udaliśmy się do domu towarowego i powróciliśmy uzbrojeni w sznurkowe szczotki i wiadra, jako że Erie nalegał, by potraktować zadanie na podobieństwo operacji militarnej. Gdy, rozbawieni, wróciliśmy z wyprawy, zaczęliśmy trzepanie.

I tak na oczach nieco zdezorientowanej czeskiej publiki przez całe popołudnie i część wieczoru wyprawialiśmy dzikie harce na ulicy pod naszym balkonem, machając ile sił ogromnymi płachtami aksamitu w kolorach czerwonym, żółtym, niebieskim, fioletowym i zielonym. Robiąc sporo hałasu, z wielką energią uderzaliśmy nimi o wszystko, co znalazło się w naszym zasięgu - o uliczną latarnię, narożnik domu, żelazną barierkę. Żadne miejsce w pobliżu nie uniknęło naszych zaciekłych ataków. Zanim zapadła noc, zakończyliśmy nasze dzieło, rozwieszając kotary, by się przewietrzyły, na poręczu w centralnej części klatki schodowej. Ozdobiony w ten sposób podest przypadkowo odzyskał nieco splendoru z czasów świetności domu, a my wróciliśmy do ogołoconego mieszkania. Pociemniałe, odarte z nakryć meble wyglądały niezbyt zachęcająco, wyszliśmy więc do miasta na kolację i wino. Zaśmiewając się, zatrzymywaliśmy się na lampkę to tu, to tam, aż wreszcie, ledwo trzymając się nogach, wróciliśmy nad ranem chwiejnym krokiem w dostojne ruiny Pałacu Szerkańskich przy Sokolskiej 21.

To właśnie publiczne trzepanie aksamitów sprowadziło do nas Blankę. Ta stara pomarszczona kobieta o starannie utlenionych włosach sprzątała kiedyś u madame Mocsary, będąc jednocześnie

jej powiernicą. Blanka też mieszkała na Sokolskiej, ale nieco dalej, w zdecydowanie skromniejszym domu po przeciwnej stronie ulicy, i jak się później od niej dowiedzieliśmy, z przerażeniem obserwowała, jak tuż pod jej nosem dwóch nieznanymi osobnikami rujnuje dobytek jej pani. Uznała, że taka impertynencja wymaga natychmiastowego działania z jej strony. Mimo drobnej postury Blance nie brakowało ani zadziorności, ani odwagi. Nie przerażili jej dwaj młodzi parweniusze; postanowiła, że nie puści płazem takiej bezczelności. Gotowa do konfrontacji, ruszyła do pałacu i spotkała nas na schodach, akurat gdy znosiliśmy ostatnią z draperii. Niespodziewanym, celnie wymierzonym kopniakiem w goleń unieruchomiła Erica, a mnie wprowadziła w osłupienie głośnym potokiem słów wyrzucanych po czesku.

W końcu udało się nam ją uspokoić, ale natrudziliśmy się przy tym co niemiara, wyjaśniając wszystko po angielsku i powtarzając to potem w łamanym niemieckim. Erie rozcierał obolałą nogę, a ja wychodziłem ze skóry, żeby uspokoić naszą napastniczkę za pomocą grzecznych zwrotów, które jako tako zapamiętałem z *Rozmówek czesko-angielskich*. Gdy sytuacja wreszcie wyklarowała się, Blanka kajała się z gwałtownością porównywalną z wcześniejszym atakiem furii. Uparła się, że w żadnym wypadku nie będziemy sami sprzątać mieszkania. Ona to będzie robić, by wynagrodzić nam zniewagę. A poza tym nie można zdawać się na mężczyzn. Co nam przyszło do głowy, by brać się do takiej roboty bez pomocy kobiety? Nie wiadomo, jakie szkody mogliśmy spowodować, robiąc to po swojemu!

Ponieważ żaden z nas nie umiał poradzić sobie z takim zawziętym przeciwnikiem, nie pozostało nam nic innego jak tylko poddać się, co zresztą uczyniliśmy, i od tej chwili Blanka przejęła dowodzenie nad całą operacją. Przystąpiła do dzieła z wielką energią i znajomością rzeczy. Dyrygowała nami z entuzjazmem, a przy tym cały czas nie zamykały jej się usta. Dom na Sokolskiej 21 w dniach, które nastąpiły po naszym przyjeździe, stał się świadkiem wzmoczonych działań, nieporównywalnych z niczym, co działo się w nim przez dwa długie wieki. Blanka zjawiała się punktualnie o dziewiątej i przejmowała komendę nad „oddziałem”, jak nas pieszczotliwie nazywała. Od chwili gdy przekraczała próg, do późnych godzin wieczornych niezmiernie instruowała nas, jak szorować, czyścić i sortować rzeczy.

Wszystkie meble, których rodzina Vaugirardów nie zamierzała

zostawić dla siebie, miały zostać sprzedane na aukcji razem z obrazami. Sześć dni spędziliśmy na wylawianiu perełek z całej masy rupieci, jakie madame Mocsary udało się nagromadzić przez prawie osiemdziesiąt lat. Znajdowaliśmy te skarby w najdziwniejszych miejscach. Gdy podważyliśmy deskę w podłodze, bo podejrzanie skrzypiała bardziej od pozostałych, ujrzeliśmy plik listów starannie przewiązanych wstążeczką. W pianinie pod strunami znaleźliśmy małe, czarne pudełeczko z bursztynową broszką w środku, a nad szufladą w kuchennym kredensie, przymocowany taśmą klejącą, tkwił męski kieszonkowy zegarek, który według mnie wyglądał na złoty.

Natrafiwszy na jakiś ciekawszy przedmiot, pokazywałem go Ericowi, a on decydował o jego losie. Kiedy przyniosłem mu pakiecik listów, powiedział powoli: „Listy miłosne. Spalmy je”. I tak, płonąć z ciekawości, której nie mogłem zaspokoić, zniosłem je na balkon i położyłem w rogu, który nazywaliśmy terenem pod ognisko. Listów było z pięćdziesiąt; wszystkie napisano pająkawatym charakterem pisma, w jakimś języku, którego nie potrafiłem zidentyfikować, i na papierze skruszałym już ze starości.

- To nie jest pismo mojego wuja - stwierdził surowo Eric, rzucając okiem na listy. - Ale uszanujmy sekret starszej pani - dodał łagodniej i trzymając listy wysoko w lewej ręce, przyłożył do nich od spodu zapalniczkę. Patrzyliśmy, jak płonąć żywym płomieniem, stopniowo zamieniają się w popiół.

Isabelle Mocsary i jej niezwykle styl życia frapowały mnie. Co prawda nie mogłem przeczytać jej listów, ale za to z wielkim zainteresowaniem słuchałem nieprzerwanego strumienia wspomnień Blanki.

- Madame była wielką damą - wyjawiała nam odkrywczym tonem jej dawna pomoc domowa, szorując podłogę. - Wielką damą. Chociaż u niej służyłam, traktowała mnie jak przyjaciółkę.

Wycierając kurze, Blanka opowiadała historię każdego z dotykanych przedmiotów. Słuchaliśmy z Erikiem zafascy- now'ani, kiedy padały nazwiska znanych ludzi, którzy popijali herbatę z filiżanek madame Mocsary, intelektualistów, jacy zasiadali do kart przy jej stoliku, geniuszy muzycznych z Eduardem Mendlem na czele, grywających na jej pianinie.

- Tak, to była wielka dama - kończyła zwykle swe wspomnienia Blanka, - Nawet w ciężkich czasach była hojna i

uprzejma. Wspaniała dama! I nigdy nie trzymała z komunistami. Nigdy! I wcale tego nie ukrywała. Obcym ludziom mówiła takie rzeczy, jakie w tamtych czasach człowiek bałby się powiedzieć nawet przyjaciółom. Tak, tak. A do tego oni nie ważyli się jej tknąć. Mogła narobić dużo szumu i oni o tym wiedzieli.

Z niewielką zachętą ze strony Erica Blanka całymi godzinami snuła opowieści o nowym porządku.

- Za komunistów nie żyło się najgorzej - stwierdziła pewnego razu, myjąc okna. - Przynajmniej było bezpiecznie.

A teraz nie jest. Tylko młodzi się liczą. Nas, starych, zostawili samym sobie, żebyśmy poumierali. Poumierali... - powtórzyła niemal zawziętym tonem, mrużąc oczy z twarzą skrzywioną pod wpływem wysiłku.

Zapadła między nami niezręczna cisza.

- Ale nie wolno narzekać - dodała zaraz, wyczuwając nasze zmieszanie. - Trzeba żyć dalej. Jak mawiała madame: „Dopóki jedzenie na stole i miłość w sercu, człowiek nie może być zbyt długo nieszczęśliwy”. To stare czeskie przysłowie, które lubiła cytować. Myślę, że madame dobrze się czuła w naszym kraju. I pan Mocsary też go chyba lubił, chociaż trudno powiedzieć, bo go dobrze nie znałam. Umarł wiele lat temu. - Blanka zamyśliła się, wodząc smutnym wzrokiem po ogołoconym pokoju. - Tak, madame mimo wszystko lubiła nasz kraj - podsumowała. - Ja tam nie wiem, ale mi szkoda. Jej obrazy nie powinny być sprzedawane i rozdzielane. Nie byłaby z tego zadowolona. Powinny wisieć w muzeum, żeby ludzie mogli je oglądać.

Zgadzałem się z nią. Wiele godzin spędziłem w Pokoju Obrazów, otoczony rozedrganymi barwami i płynnymi liniami prywatnej kolekcji madame Mocsary. Poznałem te płótna gruntownie; zachwyciłem się ich fakturą i podziwiałem technikę, za pomocą której artystka oddała ich prowokacyjną treść. Potrafiłem dostrzec przejście od młodzieńczych uniesień do spokoju i opanowania wieku dojrzałego. Sprawdzając daty, zorientowałem się, że madame malowała jeden obraz na rok, tworząc kolekcję przez niemal sześćdziesiąt lat.

- Zawsze na sztalugach stał jakiś obraz. Bez przerwy malowała - powiedziała nam raz Blanka. - Pomyśl z pokojem narodził się tamtego roku, kiedy wyszła za mąż. Wielokrotnie powtarzała, że gdy go zapełni, dzieło jej życia zostanie ukończone. Nie

interesowało jej, co dalej działo się z obrazami, które ludzie kupowali od niej. Dbała wyłącznie o te w tym pokoju.

Rozbawiła mnie myśl o tłumach wystających w kolejce przed Muzeum d'Orsay, by obejrzyć retrospektywną wystawę Mocsary i aż przychnąłem z uciechy, wyobrażając sobie, jakie ci ludzie mieliby miny, gdyby usłyszeli, co mówi Blanka. Erie również uśmiechnął się i wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia. Zaraz jednak znów wzięliśmy się do roboty, przywołani do porządku przez naszą samozwańczą szefową. Wróciłem do szorowania podłogi, ucieszony świadomością, że artystka zapełniła Pokój Obrazów przed śmiercią, szczęśliwie doprowadzając do końca swój wielki zamysł.

- Na starość była bardzo samotna - mówiła Blanka bardziej do siebie niż do nas. - Rodzina w ogóle jej nie odwiedzała. Zjawili się dopiero na pogrzebie, ale pytam się, po co to komu? - Okrągłe jak paciorki oczy Blanki świdrowały nas przez chwilę. - Człowiek potrzebuje ludzi za życia. Po śmierci ma za towarzystwo anioły. - Urwała. - Zwłaszcza dobry człowiek - dodała po zastanowieniu.

Erie opuścił wzrok na obraz, który trzymał w rękach.

- Tak myślę, że może... - mówiła dalej starsza pani z niezwykłą dla siebie łagodnością - że niektórym ludziom anioły towarzyszą także na ziemi. I tak chyba było z madame.

Zakończywszy w taki sposób swoją myśl, zajęła się pracą i my też wróciliśmy do sprzątanía. Nikt nie odezwał się ani słowem i dopiero gdy usłyszałem, jak Blanka pociągnęła nosem, zorientowałem się, że płacze.

14

Wiem, nie ucieknę przed tą wiedzą, choćbym nawet bardzo chciał - że jesteśmy odpowiedzialni za to, co robimy, więc i ja odpowiadam za moje czyny. Przyjmuję ten fakt do wiadomości. Dlatego dłużej nie mam zamiaru kamuflować mojej winy. Lecz kiedy ma się dwadzieścia dwa lata i pełną swobodę w obcym mieście, nie myśli się o przyszłości. Ja przynajmniej nie myślałem. Zamiast tego oddałem się przyjemnościom, pozwoliłem się ponieść przygodzie i...muzyce. Przynajmniej ta ostatnia dała mi coś dobrego, coś wartościowego.

Dni mijały nam wypełnione szczęściem. Dzieliłem czas pomiędzy lekcje w konserwatorium i dotrzymywanie towarzystwa Ericowi, który siedząc w mieszkaniu swej ciotecznej babki, porządkował jej papiery, zajmował się przygotowaniem do aukcji

i grał na świeżo nastrojonym pianinie, Bardzo szybko po naszym przyjeździe kupiliśmy rowery i lawirowaliśmy na nich w ogromnym ruchu na Sokolskiej oraz kluczyliśmy w tłumie turystów na moście Karola. Ludzie spędzali tam długie godziny, zaglądając w stare plany miasta, chłonąc widoki i z nabożnym podziwem dotykając brązowego cokołu posągu świętego Jana Nepomuckiego. Pamiętam, jak bardzo pokochaliśmy ten most z górującymi nad nim figurami i surowymi wieżami. Nie zapomniałem godzin przegadanych o wszystkim i o niczym w okolicznych kafejkach.

Biurokratyczna machina, od której działania zależał termin rozpoczęcia aukcji rzeczy po madame Mocsary, bardzo opieszale produkowała niezbędne pozwolenia i dokumenty związane z prawem do spadku. Byliśmy z Erikiem zachwyceni tym brakiem sprawności, bo dzięki niemu mogliśmy dłużej cieszyć się bez przeszkód urokiem obecnie dopieszczonego mieszkania. Nasze dni były pozbawione trosk i gdy analizuję je w pamięci, nie znajduję żadnego znaku, który zapowiadałby poplątanie nici losu. Moje życie było pełne światła, radowałem się tą jasnością, bo jeszcze nie nauczyłem się wyglądać czających się cieni.

W barokowych wnętrzach konserwatorium Eduard Mendl wychwalał zalety bezpretensjonalności i logicznego myślenia. Mistrz był drobnej postury, miał wnikliwy umysł i cięty język. W niezwykle złośliwy sposób naigrawał się z ideologii komunistycznej. Ćwiczenia ze mną przebiegały według ułożonego na pięć dni harmonogramu, gdzie każde z zadań miało wyzwalać moją inicjatywę. Mendl zaznaczył, że nie zamierza uczyć mnie techniki, bo to wyłącznie mój problem. Chce natomiast wykształcić we mnie umiejętność rozumienia piękna muzyki i wyrażania go w sposób, który byłby wyłącznie mój własny.

- Nauczę cię myśleć - oznajmił krótko. - Nauczę cię widzieć i słyszeć. Pokażę, na czym polega piękno wyrazu. Jednak łatwość ekspresji (Mendl miał na myśli moją sprawność techniczną) to już twoja sprawa. Sam musisz nad tym pracować.

Zostałem sumiennym studentem, ponieważ świat muzycznych możliwości, oświetlony geniuszem tego wspaniałego człowieka, stanął przede mną otworem. Widzę teraz jego srebrne włosy i pomarszczoną twarz, rozjaśnianą od czasu do czasu uśmiechem oznaczającym pochwałę, tak samo wyraźnie jak wtedy, gdy widywałem go co dzień. Nie zapomniałem Mendla, nigdy nie

zagrzebałem go w mej pamięci, pył czasu nie pokrył jego obrazu. Chociaż jeszcze wtedy o tym nie wiedziałem, w przyszłości jego lekcje ocaliły mnie przed samym sobą. Na zawsze pozostałem mu za to wdzięczny.

wczyłem codziennie od rana do późnych godzin popołudniowych. Potem przed zmierzchem spacerowałem z Eri-kiem w płątaniu uliczek Małej Strany lub pływałem łódką po Wełtawie, Wieczory spędzaliśmy w kafejkach lub klubach albo w okazałych wnętrzach Rudolfinum czy Opery Narodowej. Zdarzało się też, że nigdzie nie wychodziliśmy i wtedy eksperymentowaliśmy w kuchni, chwając nawzajem bardziej lub mniej udane efekty naszych kulinarnych zmagania. Teraz widzę, że był to czas niczym nie skrópowanej wolności; robiliśmy to, na co mieliśmy ochotę i co każdemu z nas sprawiało przyjemność.

Po pełnym niepokojów i rozterek okresie dojrzewania wiek lat dwudziestu sprzyja przemyśleniom i przewartościowaniom. Zgodnie stwierdziliśmy, że lepiej i przyjemniej odkrywa się świat na nowo, gdy jest się wolnym od oczekiwań ze strony otoczenia. Układy i więzy hamują rozwój osobowości lub przynajmniej usiłują na niego wpływać. Dlatego delectowaliśmy się ich brakiem, żyjąc terażniejszością, niewiele dbając o przeszłość czy przyszłość.

Stopniowo zadowiliśmy się w Pradze i zaczęliśmy traktować mieszkanie na Sokolskiej 21 jak nasze własne. Szafki w kuchni zapełniliśmy jedzeniem, powkręciliśmy brakujące żarówki, nawet zaprenumerowaliśmy gazetę. Ponieważ potrzebowaliśmy miejsca na próby, przemeblowaliśmy salon. Wyciągnęliśmy z kąta pianino i ustawiliśmy je między dwoma wysokimi oknami wychodzącymi na ulicę. Gdy doprowadziliśmy pokój do stanu, w jakim był za czasów madame Mocsary, rozwiesiliśmy z powrotem żółte draperie. To właśnie w tym pokoju koncentrowało się nasze praskie życie. Wiele czasu spędziliśmy pod zaimprovizowanym baldachimem, pracując ciężko, razem, to znów osobno, i dużo ze sobą rozmawiając. Z biegiem czasu wspólne przebywanie pod jednym dachem, zamiast wywołać wzajemną niechęć, bardzo nas do siebie zbliżyło. Podejrzewam, że żaden z nas we wcześniejszych przyjaźniach nie zaznał takiego elektryzującego poczucia wspólnej przygody, jakie dawała nam nasza zażyłość. Bo widzicie, jako artyści konkurowaliśmy ze sobą, lecz jako przyjaciele pomagaliśmy sobie nawzajem, podtrzymując się na duchu w chwilach zwątpienia. Kiedy myślę

o tym z perspektywy lat, dziwi mnie ta łatwość przebywania w towarzystwie drugiej osoby, ponieważ z natury jestem samotnikiem i obecność ludzi rozprasza mnie, gdy pracuję. W moich wspomnieniach dotyczących Erica i mojej przyjaźni z nim najbardziej zapamiętałem owo pomieszanie pustoty z poczuciem obowiązku, jakie charakteryzowało nasze działania oraz stanowiło podstawę wspólnych artystycznych przedsięwzięć. To ono pomagało nam przetrwać złe dni i cieszyć się dobrymi.

Raz w tygodniu graliśmy w duecie przed majestatycznym obliczem samego wielkiego Mendla, a on w swój spokojny, wyważony sposób nadawał kierunek naszym młodzieńczym próbom. Ctrwalił nas rzadko, ale za to szczerze. To właśnie on, ten wymagający nauczyciel, wprowadził mnie w arkana profesjonalizmu, wbrew swemu twierdzeniu, że techniki muszę nauczyć się sam. W obecności Erica Mendel stawał się nieco mniej oficjalny, a gdy graliśmy dla niego, słuchał z wyrazem rozmarzonego skupienia w oczach. To największa nagroda, kiedy ma się do czynienia z kimś tak wielkim jak on.

Czasami, gdy ćwiczyłem sam, Erie, podobnie jak przedtem Ella w Londynie, stawał się moją publicznością. Siadał na poskładanych aksamitnych kapach i z głową opartą na rękach słuchał mojej gry, a mnie nachodziły miłe wspomnienia, bo oczyma duszy widziałem Ellę, jak siedzi zasłuchana z niesfornymi włosami opadającymi na oczy i uśmiecha się lekko, gdy gram jej ulubione pasaże.

Oczywiście tęskniłem za nią. Tak jak mnie uprzedziła, nie napisała. Byłem do tego stopnia pewny jej uczuć, że się tym nie przejmowałem, niemniej każda piękna kobieta, mijana na ulicy, przywodziła mi ją na myśl. Staralem się spamiętać anegdoty i co ciekawsze sytuacje z naszego pobytu, by móc je potem jej opowiedzieć. Raz czy dwa o mało do niej nie zadzwoniłem i nie zabrałem się do pisania listu, ale Erie odwiódł mnie od tych pomysłów ze stanowczością, której nie potrafiłem zrozumieć. Czekałem więc, tak jak mi Ella kazała. W pewnym sensie byłem zadowolony z takiego stanu rzeczy, bo czekanie na ukochaną osobę jest podniecające, a Praga według mnie była bardzo odpowiednim miejscem dla zakochanych.

Po jakimś czasie tak dalece wrośliśmy w miasto, że zaczęliśmy stronić od utartych turystycznych szlaków i chadzać do miejsc, jakie wybierali rodowici prażanie. Staliśmy się bywalcami

paru restauracyjek i barów, wśród których największą sympatią darzyliśmy Café Florian. Ten niewielki bar prowadziło dwóch Czechów' mówiących po angielsku z amerykańskim akcentem. Po północy sprzedawali ukradkiem marihuanę. Było to ulubione miejsce spotkań cyganerii artystycznej i skupiających się wokół niej najróżniejszych próżniaków, którzy zjechali do Pragi w poszukiwaniu natchnienia, podobnie jak ich pradziadowie i dziadowie jeździli do Paryża. Na złoto-czerwonych kanapach i fotelach rozstawionych wokół niskich stolików przesiadywała pełna fantazji międzynarodowa banda obiecujących talentów i cicho rozprawiała o swych przyszłych dziełach. Od czasu do czasu w jakiejś grupce wybuchał gorący spór i wtedy skłóceni domagali się, aby rozstrzygnęli go goście przy sąsiednich stolikach. Wytrawnym arbitrem był kelner Jean. Z urodzenia Jugosłowianin, mówił po francusku, a wychował się w Warszawie. Skąd wzięła się taka kombinacja, nigdy się nie dowiedział. W wolnych od kelnerowania chwilach pisywał wiersze, które od czasu do czasu ukazywały się w undergroundowych pisemkach. Był chyba jedynym publikowanym autorem w tym miejscu i dlatego jego opinia miała swoją wagę.

- Flej, Jean! - wołał podstarzały Amerykanin, który zdawał się nie wychodzić od Floriana. - Chodź! Zagraj ze mną w tryktraka i opowiedz mi o tej nowej sztuce, którą wszyscy się tak zachłystują!

Ale Jean tylko kręcił głową i zostawiał Amerykanina samemu sobie.

- Nigdy nie rozumiałem awangardowego teatru i nigdy go nie zrozumieję, dopóki ktoś mi nie powie, o co w tym wszystkim chodzi - skarżył się biedak nad swoim dżinem.

Jean miał taką zasadę, że nie wdawał się w rozmowy z klientami. Wkraczał do akcji jedynie wtedy, gdy ich spory zaczynały zakłócać spokój. Ten mądrze podkreślany indywidualizm był nagradzany napiwkami klientów.

Inna bywalczyni tego lokalu, też Amerykanka - duża kobieta o rudych włosach i wydatnym nosie, wyraźnie zagięła na mnie parol i regularnie częstowała mnie rozwlekłymi wykładami na temat poezji kobiecej.

- W tym patriarchalnym świecie - zwykła mawiać - kobieta nie przedrze się ze swoją poezją, dopóki nie popełni samobójstwa. To jedyny sposób. Popatrz no na to. - W tym miejscu wyciągała listę nazwisk kobiet poetek, o których nigdy nie słyszałem. - Nie znasz

ich, prawda? - Chrypiała tryumfalnie, zadowolona, że udowodniła swoją rację. - Mówię ci, gdyby któraś z nich zdobyła się na odwagę i odebrała sobie życie, twoje wnuki uważałyby ją za ozdobę swego pokolenia. Przypomnij sobie Sylwię Plath.

Erie, którego niezmiernie drażniła pewność, z jaką wypowiadała sądy, czasami wdawał się z nią w dyskusję. Jednak przeważnie stanowiliśmy milczącą publiczność, przed którą punkt po punkcie udawiała swoje twierdzenia. Jej intonacja przypominała mi śpiewną wymowę Elli, nie wiem natomiast, o czym lub o kim myślał wtedy Erie.

Ponieważ rzadko uczestniczyliśmy w dyskusjach i niechętnie dosiadaliśmy się do którejkolwiek z grup, bywalcy baru stopniowo przestali na nas zwracać uwagę. Nie mieliśmy o to pretensji, a właściwie byliśmy zadowoleni, że zostawili nas w spokoju, bo dzięki temu mogliśmy swobodnie rozmawiać ze sobą i formować własne sądy na temat spraw, które z takim zaciętrzewieniem roztrząsano przy sąsiednich stolikach.

Lubiłem rozmawiać z Erikiem. Wiele wieczorów spędziliśmy na dyskusjach, rozparci w złoto-czerwonych pluszowych fotelach w cichszym zakątku baru. Miałem okazję poznać poglądy Erica, a muszę przyznać, że można się było wiele od niego nauczyć. On zapewne dowiedział się ode mnie znacznie mniej, bo moje przemyślenia nie były takie bogate. Erie w subtelny sposób potrafił sprawić, że ludzie obcujący z nim stawali się bardziej interesujący, nawet we własnych oczach. Nikt przed nim nie pomógł mi wydobyć się z mojej skorupy tak jak on.

Rozmawiał ze mną o studiach w Oxfordzie, moich rodzicach i muzyce. I słuchał z zainteresowaniem, gdy opowiadałem o swoich szczerych, a przy tym bezładnych zmaganiach z rodzicami o to, by nie planowali za mnie mojej przyszłości, bo chciałem, wolny od ich wpływów i uprzedzeń, samodzielnie szukać własnego miejsca w życiu.

- James, jesteś taki niezakłamanym - powiedział mi raz Erie, gdy siedzieliśmy w ciemnym wnętrzu u Floriana. - Bardzo to w tobie cenię. I ten twój upór, by żyć po swojemu. To niezbyt popularne cechy.

Kiedy to powiedział, wyobraziłem sobie, jak razem z Ellą odrywamy się od naszej ławicy ryb i pływamy, gdzie nam się żywnie podoba, nie zważając na utarte sądy i opinię środowiska i napawamy się przy tym wolnością oraz siłą czerpaną z naszego

związku. To była bardzo przyjemna myśl, więc uśmiechnąłem się do mego przyjaciela, który ją sprowokował.

- Cieszysz się, że tu jesteś? - zapytał mnie cicho.

- W Pradze?

- W Pradze.

- Bardzo.

- James, myślę, że kiedyś będziemy wspominać ten czas jako najlepszy okres w naszym życiu.

- Na pewno.

Widząc, że Erie siedzi nad pustą szklanką, zamówiłem u Jeana następny dzin. Z szerokim uśmiechem, jakim obdarzał tylko swoich najlepszych, stałych klientów, niezwłocznie przyniósł nasze drinki. Mile mnie to polectało. Przez chwilę siedzieliśmy pogrążeni w myślach. I wtedy zapytałem Erica o jego rodzinę, bo nagle uderzyło mnie, że jak dotąd niewiele o niej mówił. Właściwie wiedziałem jedynie, że jest starszym z dwójki dzieci i pochodzi z rodziny niezbyt zamożnej szlachty, która od pokoleń parała się uprawą ziemi na terenach wokół własnego zamku w Vau girard.

- Jaka jest moja rodzina? - w zamyśleniu powtórzył pytanie. - Jacy oni są? PImm. Opowiem ci o nich, James. A kiedyś, być może, będziesz miał okazję spotkać się z nimi i wyrobić własne zdanie.

Angielszczyzna Erica, już płynna, kiedy go poznałem, stała się obecnie perfekcyjna. Erie rozwinął charakterystyczny dla siebie styl. Kiedy coś opowiadał, potrafił wzbudzić zainteresowanie słuchaczy i wiarę w szczerość swych słów.

- Moja siostra - zaczął po namyśle, dobierając starannie wyrazy - jest dwa lata młodsza ode mnie. Ma na imię Sylwia, jest bardzo ładna, ale nie tak bystra...

- Jak ty - dokończyłem za niego z udawaną przyganą.

- Nie. Nie tak bystra, jak mogłaby być.

- Co to znaczy?

- James, ona niczego nie kwestionuje. Nie ma wątpliwości, a każda inteligentna osoba powinna je mieć. Tak jak ty, powiedzmy. Ona przyjmuje do wiadomości. Akceptuje wszystko, co jej się mówi.

- Co, na przykład?

- Nie wiem. Wszystko. Żyje według scenariusza, jaki dla niej zaplanowano. Jest szczęśliwą mężatką. Mieszka w Vau- girard, w

po bliziu rodziców. (Rodzina Erica nadal mieszkała w wiosce, utrzymując się z rolnictwa, mimo że sam zamek dawno przeszedł w obce ręce). I robi skarpetki na drutach dla żołnierzy z legii cudzoziemskiej. Prowadzi bezpieczne, bezbarwne życie.

Zaskoczyła mnie ta, nietypowa dla Erica, nuta autentycznej pogardy w tonie, jakim to powiedział.

- Sylwia jest praktykującą katoliczką - mówił dalej. - Rano modli się, w dzień obsługuje rodzinę, a w nocy spełnia małżeński obowiązek. Będzie miała dużo dzieci - dodał kęśliwie.

- A jak się ze sobą zgadzacie? - zapytałem, z góry właściwie znając odpowiedź.

- W miarę dobrze. Ale to przez wzgląd na naszych rodziców. Po prostu nie poruszamy tematów, co do których się różnimy.

- To znaczy?

- James, powinieneś mnie już na tyle dobrze znać, by się domyślić.

Zapadło między nami niezręczne milczenie. Nie potrafiłem przełamać wpojonej mi rezerwy, która podpowiadała, że kontynuowanie tego tematu stanowiłoby naruszenie zasady prywatności. Trudno jest zerwać ze starymi nawykami, więc zamiast skorzystać z zachęty Erica, uśmiechnąłem się tylko i skinąłem na kelnera, by przyniósł nam drinki. Chcąc ukryć napięcie, wskazałem ruchem głowy na Amerykankę z wydatnym nosem i powiedziałem na jej temat coś zabawnego.

W przeciwieństwie do Erica nie prowokowałem ludzi do zwierzeń. Ella rozbudziła we mnie potrzebę szczerości w kontaktach z ludźmi, ale nadal pozostawałem ostrożny. Ciągle obawiałem się - co, jak sądzę, można wytłumaczyć typowym wychowaniem w uprzywilejowanych angielskich szkołach - zbyt daleko posuniętej zażyłości. Nie przepadałem za poznawaniem sekretnych stron natury innych ludzi. I nadal zresztą tak jest. Mogę posłuchać, ale sam rzadko kiedy stwarzam sytuacje sprzyjające zwierzeniom.

Jeśli chodzi o osobę Elli, przełamałem obawy dzięki miłości i pożądaniu, dlatego cieszyło mnie jej zaufanie. Ale w przypadku Erica nie działały podobne siły, pozostałem więc ostrożny. Wolę, jeżeli ludzie pozostają takimi, jakimi mi się wydają. Boję się słuchać o ich lękach i rozterkach, bo odnoszę wrażenie, że w ten sposób jestem zobligowany do odkrywania własnych problemów. Sam już nie wiem. Ale jestem przekonany, że są takie szufladki w ludzkich umysłach, które lepiej pozostawić zamknięte. A jeżeli się

je już otworzy, tak jak to się stało w przypadku Elli i mnie, to wiąże się z tym pewna odpowiedzialność. Nie chciałem obciążać się tym, co ewentualnie mogłoby wynikać ze zwierzeń Erica. Pomimo mojej całej sympatii nie miałem ochoty dowiedzieć się, co kryje się w sekretnych szufladkach w jego umyśle. Liczyłem na prosty, przyjacielski układ i nic ponadto.

Erie wychwycił mój sygnał i chyba zrozumiał, bo z charakterystyczną dla siebie zręcznością przeszedł na neutralny temat i nie próbował już poruszać intymnych tematów. Opowiedział mi historię rodziny, ze swadą i dowcipnie kreśląc losy pokoleń Vaugirardów, którzy jako rycerze w czasach burzliwych i rolnicy w czasie pokoju służyli swym królom i cesarzom przez całe stulecia.

- Mieszkamy w Vaugirard od czasu podboju Anglii przez Normanów - dodał z uśmiechem. - Oczywiście, nie licząc zrozumiałej przerwy w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku.

A gdy siedziałem, słuchając, przyszła mi na myśl historia innego starego rodu i zadźwięczał mi w uszach inny głos, snujący podobną opowieść. I pomyślałem wtedy, że życie jest fantastyczne.

Kiedy nie mieliśmy ochoty na towarzystwo uduchowionych artystów u Floriana, oglądaliśmy francuskie i angielskie filmy w kinie „Lucerna” - architektonicznej perełce w stylu art deco, a zarazem w jednym z niewielu miejsc w Pradze, gdzie można było rozmawiać po angielsku bez obawy, że momentalnie zostanie się zaczepionym przez jakiegoś przyjacielsko nastawionego Amerykanina. Piękny budynek niszczał powoli - w przeszłości nie zbombardowali go okupanci, obecnie nie tknęła go ręka konserwatora ani nie pokochał żaden inwestor budowlany. Jedyne przyczynki do współczesności stanowił dobór repertuaru i efektowna wystawa plakatów. Należeliśmy z Erikiem do grona wiernych amatorów tego kina, którzy nie dali się zwabić do nęcących blichtrzem i neonami nowoczesnych przybytków X Muzy, jakie po rewolucji zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu.

Właśnie po powrocie z seansu w „Lucernie” znaleźliśmy wiadomość od mecenasa Kierczyńskiego, z której wynikało, że ku naszemu wielkiemu żalowi biurokratyczna machina będąca dotąd naszym sprzymierzeńcem odblokowała się i wypłuła wszelkie dokumenty niezbędne do rozpoczęcia aukcji rzeczy po madame Mocsary. Z treści pisma, z firmowym nagłówkiem kancelarii

prawnej, dowiedzieliśmy się, że jej szef, mecenas Kierczyński, pragnie osobiście skontaktować się z nami następnego dnia o jedenastej, o ile ten termin jest dla nas dogodny. Ponieważ mowa była o piątku, a ja w piątki nie miałem zajęć, pora była jak najbardziej odpowiednia. Pan Kierczyński - wymuskany mężczyzna drobnej postury, o wystających kościach policzkowych i starannie przyciętych wąsikach, zjawił się z wybiciem zegara i cierpliwie tłumaczył nam sytuację poprawną, aczkolwiek niezbyt płynną angielszczyzną.

- Bo widzicie, panowie, tu jest dużo eeh... wartościowych przedmiotów - powiedział, kiedy zasiedliśmy przy herbacie w naszym salonie. - Pańska rodzina zabrała to, co przedstawia wartość sentymentalną, prawda?

Erie przytaknął.

Tydzień wcześniej nadaliśmy niewielką paczkę do Yaugirard z listami babci Erica do madame Mocsary oraz kilkoma sztukami biżuterii, głównie z bursztynu i nefrytu. Włożyliśmy też do paczki złoty zegarek. Reszta przedmiotów została na miejscu. Dzięki naszym wysiłkom przywróciliśmy im nieco dawnego blasku.

-Nie możemy dłużej zwlekać ze sprzedażą mebli i obrazów - mówił mecenas. - Wasza cioteczna babka - zwrócił się do mnie, zakładając, że należę do rodziny - była wielką damą i żyła... ponad stan. Zwłaszcza po rewolucji. Przedtem trudno było kupić coś, co mogłoby doprowadzić do bankructwa - zachichotał. - Szczerze mówiąc, wszyscy byliśmy bankrutami, a sklepy ziały pustką.

Pokiwaliśmy głowami, nie bardzo wiedząc, czy powinniśmy się roześmiać, czy współczuć. Twarz mecenasa na powrót przybrała poważny wyraz.

-Bezwzględnie przystąpię do przygotowań. Od razu zrobię wycenę. Jeżeli rodzina życzy sobie zachować niektóre z przedmiotów, prosiłbym o poinformowanie mnie o tym jak najszybciej - instruiował nas.

Kiedy wyszedł, snuliśmy się zasmuceni po mieszkaniu, które zaczęliśmy traktować jak własne. Stało się ono czymś w rodzaju symbolu naszej wolności, wspólnie odnalezionej w Pradze, i było pełne wspomnień związanych z naszą pracą, rozmowami, żartami.

Chwile spędzone w Pradze były bogate w przeżycia, niezwykle i piękne, podobnie jak to praskie mieszkanie. Wiele rozmów i obrazów z tamtego okresu utkwilo mi w pamięci na zawsze i zabiorę je ze sobą do grobu, lecz teraz nie mam czasu, żeby się nad nimi rozwodzić - nie mogę pozwalać sobie na dygresje.

Przygotowania do aukcji nabrały rozpędu. Tydzień po wizycie prawnika zjawiał się u nas rzeczoznawca wystrójony w jedwabny garnitur, w którym wyraźnie nie najlepiej się czuł. Zrobił szczegółową inwentaryzację, a dwa dni później wrócił z kolegą. Panowie półgłosem wymieniali uwagi, a Erie stał, nie bardzo wiedząc, jak się zachować - czy powinien słuchać, czy nie. Po tej dość długiej wizycie odbyły się następne, jeszcze dłuższe. Kiedy z drzew opadły ostatnie liście - wydarzenia, które opisuję, nastąpiły późną jesienią - rozpoczęły się rozmowy o katalogach i domach aukcyjnych. Mecenas Kierczyński zaprosił nas na lunch, by przedyskutować sytuację i przedstawić nam dyrektora najlepszego, według jego rozeznania, domu aukcyjnego wśród całej masy tego rodzaju instytucji, które działały od okresu rewolucji.

- Pan Tomin reprezentuje dom aukcyjny tej rangi co Christie[^] czy Sotheby's - wyjaśnił nam Kierczyński, przedstawiając dyrektora Pierwszego Domu Aukcyjnego, spółki z o.o. - Dom obsługuje doborową klientelę, gotową zapłacić ceny porównywalne z cenami na Zachodzie.

Kierczyński miał na myśli czeskich nowobogackich, głównie deweloperów i spekulantów, którzy zbili majątki w okresie politycznej destabilizacji przed rewolucją i po niej. Większość ich rodaków odnosiła się do nich z niechęcią, uważając, że bezprawnie zawłaszczyli pierwsze owoce wolności, lecz dla osób takich jak Tomin ci osobnicy z wypchanymi portfelami byli klientami, o których względu warto było zabiegać.

Paweł Tomin był wysokim mężczyzną o słowiańskich rysach i czarnych włosach, nabłyszczonych żelazem. Podczas prezentacji uklonił się nam bardzo nisko. Mówił po angielsku, wymawiając samogłoski z przesadnym amerykańskim rezonansem nosowym. Nie zrobił na mnie dobrego wrażenia.

- Poczytuję sobie za wielki zaszczyt poprowadzenie aukcji w imieniu panów. Mam na myśli szczególnie kolekcję obrazów - powiedział, a przy stoliku zapanowała cisza. - Meble oczywiście także są cenne - dodał więc śpiesznie, by uciszyć nasz niepokój. - A niektóre z nich, na przykład fortepian, mogą osiągnąć wysoką

cenę.

- W nowej republice mamy wielu młodych, pełnych entuzjazmu muzyków - dorzucił mecenas, który ze spokojem i mistrzowskim wyczuciem sytuacji potrafił sterować rozmową.

Nieśmiało zasugerowałem, że może należałoby zainteresować wyprzedzą muzea. Czesi wymienili skrepowane spojrzenia.

- Sądzę, że to będzie trudne - skonstatował w końcu Kierczyński.

- Oczywiście, zrobimy co można, by w jak najmniejszym stopniu rozproszyć kolekcję - zapewnił nas skwapliwie Tomin. - Problem polega na tym, że czeskich muzeów nie stać na zapłacenie ceny zbliżonej do rynkowej. Zagraniczne muzea mogą być zainteresowane pojedynczymi obrazami. Ale jestem przekonany, że w kraju nie brakuje świątłych ludzi, zdolnych do takiej oceny dzieł madame Mocsary, jaka bez wątpienia zadowolilaby artystkę.

Nic więcj nie mogliśmy zrobić, bo Erie wyjawil mi, że jego ojciec nie należał do ludzi zamożnych i gdyby nawet był miłośnikiem sztuki, nie utrzymałby kolekcji na odpowiednim poziomie. Atmosfera już do końca lunchu pozostała nieco zakłócona. Poczucie bezsilności wprawiło mnie i Erica w ponury nastrój, natomiast Tomin, widząc nasze filantropijne skłonności, niepokoił się o swoją marżę. Ponieważ wszystkie sprawy zostały omówione i formalnie dopięte, następnego dnia rzeczoznawca przyszedł po raz ostatni, tym razem bez swego towarzysza, a dzień później w prasie krajowej i zagranicznej ukazały się ogłoszenia na całą szpaltę, informujące o aukcji obrazów i mebli madame Mocsary.

Właśnie tamtego dnia przyszedł list od Camilli Boardman. Od razu poznałem jej okrągłe, zamaszyste pismo, a po wypchanej kopercie zorientowałem się, że cokolwiek by mówiła, życie w Londynie wcale nie jest takie nudne. Jedną z form afektacji Camilli była maniera opowiadania o rozrywkach jak o ciężkim obowiązku.

List składał się z kilku arkuszy liniowanego papieru kancelaryjnego, co trochę mnie zaskoczyło, bo spodziewałbym się raczej wytłaczanej papeterii Reginy. W prawym górnym rogu pierwszej kartki widniał adres:

Cadogan Square 16 (na niemodnym końcu ulicy) i data sprzed tygodnia.

Najdroższy Jamesie!

Nie widzę powodu by łaskotać twoją próżność opowiadaniem. jak beznadziejnie nudno zrobiło się w Londynie po twoim wyjeździe więc nie będę tego robić ale uwierz mi na słowo że naprawdę tak jest. Mama popadła w okropny nastrój w związku z akcją charytatywną na rzecz kościoła — bo widzisz - gdy wyjechałeś zabrakło jej pod ręką oblaskawionych sław. Odbywa się tu straszliwie dużo przyjęć na których aż tłoczno od bardzo pięknych dziewcząt więc powstała potworna konkurencja dla kogoś tak niepozornego jak ja.

Camilla słynęła ze swej niechęci do stawiania przecinków, a pisała tak, jak mówiła.

Ale wiesz jakoś sobie radzę bo inaczej nie można chociaż najchętniej uciekłabym z tego cholernego miasta i poszukiwała czegoś równie romantycznego jak Praga. A skoro już o tym mówimy jak ci się tam podoba? Czy ten jak mu lam Mend-levitch dobrze cię traktuje? Powiedz mu że będzie miał ze mną do czynienia jeżeli nie będzie się z tobą delikatnie obchodził. Ciekawe czy się przestraszy. Wiem jacy potrafią być sławni muzycanci. Nie widzą dalej niż czubek własnego nosa i tak są zakochani we własnej osobie że nie wyobrażają sobie by ktoś inny na świecie choćby na przykład ty mógł być bardziej utalentowany od nich! Dlatego trzeba ich ściągać na ziemię by sobie za dużo nie wyobrażali.

Jamie czy Praga jest piękna? Wczoraj podczas obiadu ktoś powiedział że przypomina Paryż z lat trzydziestych i kręci się w niej mnóstwo początkujących pisarzy oraz malarzy. Tam musi być jak w rajku bo podobno wszystko jest takie śliczne i tanie. Londyn jest drogi brudny i pełen znajomych twarzy. A jeszcze do tego pogoda jest wstrętna. W Pradze też jest na pewno zimno ale przynajmniej będziesz miał w zimie śnieg i zorzę polarną i inne takie...

Camilla przejawiała znikome zainteresowanie zjawiskami naturalnymi.

i wszystko będzie przypominać scenerię z Anny Kareniny a piękne kobiety będą nosić futra. Mężczyźni w Pradze są pewnie zbudowani jak niedźwiedzie a nie jak te angielskie chuchra które w dodatku wiecznie chodzą pozaziębiane. Jeden Ed Saunders wydaje się nieco do rzeczy ale zaczął pracować. (I tak zresztą za niego nie wyjdę niezależnie od tego co myśli na ten lemat moja mama). Pozostali nie nadają się do życia a na przyjęciach są tacy męczący

nic tylko stoją i nie wiedzą co ze sobą zrobić albo się upijają i wymiotują. Dlaczego angielscy mężczyźni nie potrafią porządnie rozmawiać? (Oczywiście z wyjątkiem adresata tego listu). Zawsze się nad tym zastanawiałam a teraz kiedy mam więcej okazji do kontaktów z nimi jeszcze bardziej mnie to nurtuje.

Naprawdę nic ciekawego się tu nie dzieje i dlatego nie napiszę ci żadnych plotek. Och byłabym zapomniana! Może cię zainteresuje wiadomość że Ella Harcourt zerwała zaręczyny z Charliem Stanhope'em. Pamiętasz Ellę prawda? Przyszła na moje urodziny a potem byłeś taki kochany i poszedłeś ze mną na jej obiad zaręczynowy do tamtego uroczego domu na Chester Square. Ale to nie koniec tej całej historii. Pamiętasz jej kuzynkę Sarę? Tę ładną wyniosłą dziewczynę która prawie się nie odzywała podczas przyjęcia i na wszystko kręciła nosem? Tę która z takim chłodem odniosła się do Sophie Scott-Chivers?

Tak się nazywała dziewczyna z willą w Biarritz.

Może Sophie nie jest zbyt bystra ale to nie powód żeby tak ją traktować. W każdym razie już wiesz która to Sara. Otóż parę tygodni po twoim wyjeździe Sara opublikowała w historycznym periodyku monografię pod tytułem „Żywa historia”. Pisała o amerykańskich pieniądzach które wspierały angielski feudalizm czy coś w tym rodzaju. Jako przykład podała własną rodzinę i opisała, jej dzieje aż do samobójstwa swej babki która zabiła się skacząc z okna. Wiesz to ciekawe ale dotąd nigdy publicznie się o tym nie mówiło. W swoim czasie skutecznie wyciszono tę historię. Oczywiście publikacja Saiy spotkała się z wielkim zainteresowaniem ze strony brukowców i dziennikarze szybko wywęszyli że babka Sary nie była jedyną osobą w rodzinie która zginęła tragicznie. Nie uwierzysz ale siostra lorda Harcourta (ciotka Elli) też popełniła samobójstwo a matka Elli i rodzice Sary zginęli w wypadku samochodowym wracając z jej pogrzebu. Okropne prawda? Oczywiście dziennikarze dotarli do tych wszystkich faktów i zaczęli się rozpisywać o kłatwie ciąży na rodzinie i wyciągać sprawę chorób umysłowych no i oczywiście zainteresowali się Ellą bo to ona odziedziczyła tytuł po śmierci lorda Harcourta. Ella stanowi wdzięczny temat dla brukowców. Jest bogata ładna i tak dalej. Wypisują historie o wiszącej nad jej życiem strasznej kłatwie. Oczywiście to wszystko to jedna wielka bzdura ale gazety muszą przecież czymś przyciągać czytelników. Więc dziennikarze bez przerwy kręcą się po Chester Square robią

zdjęcia zadają mnóstwo pytań po prostu zatruwają życie. No i akurat w takim momencie sam przyznasz że nie najlepszym Ella niespodziewanie oznajmia iż zrywa zaręczyny z Charliem. Już następnego dnia w „Sun” pojawił się absurdalny artykuł pod tytułem „Zalamana pod wpływem stresu”.

No to dowiedziałeś się czegoś ciekawego. Szczerze mówiąc Ella ostatnio zachowuje się dosyć dziwnie i aż boję się myśleć że w tym co wypisują gazety może być ziarenko prawdy. Wyobrażasz sobie jak czuje się teraz Sara? Przecież to ona rozkręciła tę całą aferę. Musi być na siebie wściekła. Mam nadzieję że za jakiś czas wszystko przycichnie. Zawsze tak jest.

I wtedy w Londynie zrobi się jeszcze nudniej i nie wiem co będę robić (widzisz nawet wysrane z palca historie o znajomych mogą człowiekowi dostarczyć rozrywki). Więc wracaj jak najszybciej bo nudno bez ciebie no i na Boga włącz, się w koncerty mojej matki ponieważ jej rozterki doprowadzaj ci mnie do szaleństwa (to oczywiście nie jest aluzja. Ella należy do grona moich przyjaciół).

Będę kończyć bo zajęcia dobiegają końca. Piszę ten list na wykładzie z historii sztuki - mama zmusza mnie do studiowania takiego nudziarstwa. Uważaj na siebie Jamie kochany napisz parę słów bądź grzecznym chłopcem i nie daj się czeskim pięknościom sprowadzić z drogi cnoty.

Moc ucałowań

Camilla

Czytałem list Camilli w Pokoju Obrazów, po raz ostatni widząc kolekcję w nienaruszonym stanie. Mam przed oczami tę linijkę o zerwaniu zaręczyn. Pamiętam, jak mnie rozbawił fakt, iż Camilla uznała za konieczne przypomnieć osobę Elli. Pamiętam radość, jaką wywołała we mnie wiadomość o jej wolności. Pomyślałem, że ja też stałem się wolny. Nie przejąłem się zbytnio plotką o kłątwie i szumie w prasie. Znając skłonności Camilli do przesady, uznałem, że mocno ubarwiła tę historię. Camillę nudziła zwyczajność. Jeżeli brakowało powodów do ekscytacji, potrafiła zwykłym sprawom nadać sensacyjny charakter. Założyłem więc, że przesadziła w swoim opisie, i zbagatelizowałem całą sprawę.

W miarę przybywania lat przyszłość kurczy się coraz bardziej, a przeszłość wydłuża. Nie mogłem wiedzieć, że przyszłość rzadko jest taka, jak ją sobie wyobrażamy, a terażniejszość przemija, zanim się obejrzymy. Przeszłość natomiast przypomina Atlantyde -

jest zatopioną wyspą, na którą nie ma powrotu. Teraz już to wszystko wiem. Wiem, że Erie został pogrzebany na mojej Atlantydzie, wśród strzelistych wież i połyskujących w słońcu kopuł Pragi, miasta, które obaj pokochaliśmy. Dla mnie on umarł właśnie tam, nie we Francji. Nie przyjmuję do wiadomości, że znaleźliśmy go w lodowatej wodzie, że patrzyłem ze stromego brzegu, jak jego ciało... Nie, jeszcze nie jestem gotowy, żeby o tym mówić. Jak dotąd nie zdobyłem się na odwagę, aby przyznać się przed samym sobą do tego, co zrobiłem. Zdobędę się na nią. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie...

Rysuje mi się taka myśl, że mimo wszystko życie jest grą. Ale gramy w nią tylko jeden raz. Prawdopodobnie takim myśleniem zbliżam się do poglądów Sary. Niczego w tej grze nie można przeciwżyć, potrenować, zagrać na próbę. Jediną pewną zasadą jest niespodziewana śmierć. Aby dobrze i uczciwie grać, trzeba wykazać się hartem, znajomością samego siebie, odwagą i charakterem. W wieku dwudziestu dwu lat nie miałem żadnej z tych cech, a może po prostu jeszcze nie potrafiłem z nich zrobić użytku. Wtedy nie podchodziłem do życia poważnie. Nie wiedziałem, że życie różni się od innych gier i że to ważne, kto i w jakim stylu wygrywa. Nie przypuszczałem, że zwycięstwo może okazać się pyrrusowe, a cel rzadko uświęca środki. Skąd mogłem to wszystko wiedzieć, nie mając doświadczenia? Byłem niewinny - niewinny własnej niewinności.

16

Dzień później na ostatnim piętrze Pałacu Szerkańskich zapanoowało wielkie zamieszanie, Całą operacją kierował krępy Czech z włosami krótko przystrzyżonymi nad czołem i po bokach, za to z plerezą na karku. Skinął nam głową na przywitanie i zaczął dyrygować swoją ekipą, przez resztę dnia traktując nas jak powietrze. Robotnicy biegali tam i z powrotem po schodach, zwiłali dywany, zdejmowali drzwi z zawiasów, coś tam składali, coś pakowali. Pierwszy opuścił mieszkanie fortepian. Niesiony po schodach bez pokrywy, przypominał słonia pod wpływem środków nasennych. Potem zniknął potężny kredens kuchenny. Porcelanę wcześniej owinięto w bibułki i zapakowano w kartony. Następnie przysła kolej na ciężkie łóże, na którym spałem, rzeźbioną biblioteczkę, dwa stoliki, szafę, lampy i sfatygowane francuskie powieści madame Mocsary.

Kiedy sprzęty znalazły się w meblowozach, zajęto się obrazami. Z bólem serca patrzyłem, jak robotnicy ostrożnie zdejmują je ze ścian i owijają grubą plastikową folią, która przyćmiła ostrość barw i zarys form. Po każdym z obrazów zostawał na wyblakłej ścianie jaskrawoczerwony kwadrat, przywodzący na myśl ranę. Pomyślałem, że te krwiste plamy przypominają ciało odarte ze skóry, lecz nie podzieliłem się z Erikiem moim skojarzeniem. Przygnębieni, w milczeniu obserwowaliśmy robotników siejących spustoszenie w domu, w którym się „urodziliśmy” - bo przecież przeżyliśmy tu coś w rodzaju powtórnych narodzin.

Nasz stan ducha umknął uwagi podekscytowanego Tomina.

- Kilku kolekcjonerów z zagranicy zainteresowało się naszą aukcją - doniósł z dumą. - Znajomy z Christie's w Nowym Jorku szepnął słówko, komu trzeba. A ja w zeszłym tygodniu pojechałem do Londynu i też rozmawiałem z paroma ludźmi. Sądzę, że trafiliśmy na dobry moment.

Tomin biegał gorączkowo po mieszkaniu, dawał wskazówki szefowi brygady od przeprowadzek, nadzorował pakowanie i znoszenie obrazów. Wszędzie go było pełno i bez przerwy paplał do nas po angielsku, od czasu do czasu rzucając po czesku jakieś polecenia robotnikom.

Staliśmy z Erikiem przy oknie w Pokoju Obrazów, w środku tego całego zamieszania i w tumanach kurzu wzbijanego w powietrze.

- Nie ma tu już dla nas miejsca. - Erie pociągnął mnie za rękaw i energicznie wyprowadził z mieszkania. Zbiegliśmy po schodach wzdłuż szpaleru robotników, wymineliśmy meblowozy blokujące ulicę i nie przystając ani na krok, poszliśmy prosto do Floriana. Przesiedzieliśmy tam do wieczora.

Zasępieni, popijaliśmy gorącą czekoladę i wymienialiśmy okazjonalne uwagi z dwoma amerykańskimi poetami, jedynymi, prócz nas, klientami baru. Poeci siedzieli przy stoliku zasypanym zapisanymi kartkami i paląc skręty, beznamiętnym wzrokiem wpatrywali się w przestrzeń. Nie stanowili najlepszego towarzystwa.

- Nie ma nawet naszej znajomej z długim nosem, żeby nas trochę rozbawiła - szepnął Erie, kiedy zamawialiśmy u Jeana kolejną porcję czekolady.

- Rzeczywiście, nie ma.

Tym razem w kawiarni było niezwykle cicho. Tęskniliśmy za jej

gwarem, za tłumem długowłosych, rozemocjonowanych dyskutantów i wybuchającymi co msz krótkimi, lecz gorącymi konfliktami. Lubiliśmy słyszeć w tle te pojedynki na argumenty, których, przyznam szczerze, nie bardzo rozumiałem. Teraz w przesiąkniętej zapachem dymu, słabo oświetlonej, upiornie cichej kawiarni pobrzmiwały mi w uszach urywki tamtych rozmów.

- W przypadku Kafki najważniejsze było jego żydowskie pochodzenie...
- W duszy był nacjonalistą...
- Żył w inspirujących czasach...
- W pięknym otoczeniu...
- W zmieniającym się świecie...
- Jeśli chodzi o Havla, najważniejsze, że jest myślicielem...
- Filozofem...
- Dramaturgiem...
- Jakoś tak dziwnie się składa, że niczego nie napisał po „rewolucji aksamitnej”...
- Jest prezydentem.
- Zepchniętym na margines.
- Centralną postacią.
- Jest w cieniu Klausea.

Och, jak nam brakowało tych rytmicznie wybuchających sporów, które kończyły się równie gwałtownie, jak zaczynały! I uświadomiliśmy sobie, że zawsze będziemy za nimi tęsknić. Niezależnie od naszego stanu ducha dzień aukcji zbliżał się nieuchronnie. Jej pierwotny termin, wyznaczony na równo dwa tygodnie po opróżnieniu mieszkania, został przesunięty na wcześniejszy dzień. Stało się tak pod wpływem sugestii przedstawiciela Muzeum d’Orsay, ponieważ rada muzeum chciała zdążyć z ewentualnymi transakcjami przed uchwaleniem przez francuski parlament ustawy zaostrzającej przepisy dotyczące zakupu dzieł obcych twórców.

- Oczywiście, zazwyczaj się tego nie robi, ale w tym przypadku należało uczynić wyjątek - oznajmił nam Tomin. - Francuskie muzea bardzo interesują się pracami madame Mocsary, co może stanowić bodziec dla czeskich muzealników. Naszemu krajowi potrzebna jest poprawa wizerunku kulturalnego.

Miał rację. Madame Mocsary wybrała idealny moment na zejście z tego świata. Miała szansę na pośmiertną sławę, bo zainteresowanie Czechów aukcją było nadspodziewanie wysokie.

Gdy opadła gorączka rewolucji, władze czeskie niecierpliwie rozglądały się za jakimś symbolem nowego Złotego Wieku, który mógłby być porównywalny z rozkwitem sztuki i literatury z czasów Pierwszej Republiki. Fakt, że madame Mocsary, z pochodzenia Francuzka, stworzyła większość swych prac za panowania komunistycznego reżimu, nie przeszkadzał, by naród w większości okrzyknął ją jedną z największych artystek swej generacji. „Twórczość Mocsary ożywia długą tradycję świetności czeskiej kultur” i wskazuje drogę dla jej współczesności” - napisano w „Prague Post”, anglojęzycznym dzienniku, który czytaliśmy z Erikiem. - Jej dzieło jest wzruszającym świadectwem siły ducha w obliczu przeciwności losu, a ostatnie prace tryskają optymizmem nowej epoki. Kiedy poproszono nas o komentarz, zachowaliśmy dla siebie opinię, że obrazy malowane pod koniec życia nie tyle „tryskały optymizmem”, ile były malowane w wielkim pośpiechu. Nie mieliśmy zamiaru informować świata o tym, c/ego dowiedzieliśmy się dzięki Blance, a mianowicie, że madame Mocsary zapełniła Pokój Obrazów tuż przed przeprowadzką do domu starców. Okazałoby się nielojalni, narażając w jakikolwiek sposób jej świeżo wykreowany mit. Byliśmy wdzięczni madame Mocsary za wszystko, co dla nas zrobiła, nawet poprzez swoją śmierć.

Tomin również przeglądał gazety. Jego entuzjazm i samozadowolenie rosły z każdym dniem. Bezustannie zdawał nam relację z przygotowań do aukcji.

- Obrazy zawiesi specjalnie zaproszony ekspert z Wiednia - obwieścił nam. - Musieliśmy też przeprojektować oświetlenie sali aukcyjnej. Wiążę duże nadzieje z meblami. Cały ten rozgłos może znacznie podbić ich cenę.

Czasem zdarzało nam się spotkać mecenasa Kierczyńskie- go, który chodził jeszcze bardziej wymuskany, odkąd prasa tak gorliwie zajęła się aukcją. Któregoś ranka pokazał nam gazetę ze swoim zdjęciem. Sfotografowano go na stopniach własnej kancelarii.

- Oczywiście, powiedziałem im, że obowiązuje mnie dyskrecja - zaczął. - Jak myślicie, jestem do siebie podobny? Czy widać wyraźnie nazwę firmy? Wydaje mi się, że szyld nie jest czytelny.

Zapewniliśmy go, że nazwę kancelarii widać wyraźnie.

- To dobrze. To bardzo dobrze.

Wyszedł z błogim uśmiechem, by dopracować ostatnie

skomplikowane dokumenty spadkowe. Testament madame Mocsary bardzo szczegółowo wyznaczał, komu jakie przedmioty mają przyspaść po jej śmierci. Ale sporządzono go, zanim artystka stała się sławna, i nikt nie przypuszczał, że spadek będzie miał jakąkolwiek wartość materialną. Mocsary zapisała obrazy siostrze Laurze, kiedy sama nie wiedziała, że stanie się popularna, a jej prace zyskują międzynarodowe uznanie. Ponieważ Laura zmarła trzy lata przed nią, obrazy przypadły matce Erica. W związku ze spodziewanym sukcesem aukcji doskonale rozumieliśmy, skąd bierze się tak wiele „bardzo ważnych formalności” wymagających dokładnej, a przy tym „kosztownej” uwagi mecenasa Kierczyńskiego.

Salony wystawowe Pierwszego Domu Aukcyjnego, spółki z o.o., zajmowały dobre pół kwartału na placu Waclawa. Zgodnie z tym, co mówił nam Tomin, bardzo starannie przygotowano je do aukcji. Ekipy malarzy i sprzątaczek nadawały pomieszczeniom niecodzienny blask, nie znany w innych czeskich domach aukcyjnych. Codziennie nadchodziły kolejne skrzynie wypożyczonych kieliszków z czeskiego kryształu do wódki i szampana. Wystawa prac, a potem ich sprzedaż miały mieć ekstrawagancką oprawę. Na wieczór poprzedzający aukcję, czyli równo tydzień po udostępnieniu wystawy zwiedzającym, zaplanowano przyjęcie dla liczących się potencjalnych klientów.

Ten tydzień dla tak zwanej szerokiej publiczności stanowił jedyną okazję do obejrzenia obrazów. Każdego dnia tłumy Czechów i obcokrajowców przewijały się przez galerię, płacąc jedynie za katalog, a Tomin codziennie wpadał do nas, by zademonstrować co znamienitsze nazwiska w księdze pamiątkowej wystawy.

W te wypełnione po brzegi dni nie miałem czasu odpowiedzieć na list Camilli Boardman ani ochoty, by napisać do Elli. Czekałem, aż ona pierwsza to zrobi. Przecież przyrzekłem, że nie odezwę się do niej, dopóki nie odzyska wolności, a skoro tak długo dotrzymałem danego słowa, nie miałem zamiaru go teraz łamać. Codziennie przeglądałem pocztę i codziennie przeżywałem rozczarowanie. Może, gdybym nie był taki pewny jej uczuć, zacząłbym się poważnie martwić. Ale ponieważ byłem, czekałem spokojnie, skutecznie tłumiąc w sobie chęć uczynienia pierwszego kroku. Jeżeli Ella uważała, że nie nadszedł jeszcze odpowiedni czas na kontakt ze mną, postanowiłem zdać się na jej ocenę

sytuacji. W środę „Tygodniowego pokazu”, jak Tomin nazywał prezentację obrazów, odkryłem, że Harcourtowie są w Pradze. A dowiedziałem się o tym przez czysty przypadek. Tomin pokazał mi wpis księżnej Amelii von Thurn und Taxis z poprzedniego dnia i wtedy, dwie linijki poniżej ozdobnego podpisu księżnej, mój wzrok natrafił na dokonany zamazystym, nie znanym mi charakterem pisma wpis lady i lorda Alexandrosta Harcourtów z Grand Hotelu Europa. Ignorując peany Tomina na cześć księżnej i opis jej komplementów pod jego adresem, zapytałem, czy pamięta angielskiego lorda i jego żonę.

Tomin zamilkł i chwilę się zastanawiał.

- Tak. Taki przystojny pan. - Oczywiście nic nie mogło umknąć bystrym oczom Tomina. - A ona mówiła z bostońskim akcentem - dodał, a mnie krew zaczęła szybciej krążyć. - Bardzo spokojni ludzie. Jakby czymś zmartwieni. Tak cicho rozmawiali, że nic nie zdołałem usłyszeć.

Kiedy pomyślałem, że być może Ella jest w Pradze, ledwo nad sobą panowałem. Kto wie, czy właśnie w tej chwili nie szuka mnie w konserwatorium albo na Sokolskiej 21?! Teraz dopiero zobaczyłem, jaką dyscyplinę zdołałem sobie narzucić **przez** te wszystkie tygodnie. Jak potrafiłem skoncentrować się na urokach Pragi, grze na skrzypcach; ile mnie kosztowało, żeby do niej nie pisać. Już dłużej nie mogłem trzymać emocji na wodzy.

- Księżna powiedziała, że osobiście zjawi się na aukcji - pochwalił się Tomin z błyskiem dumy w oczach.

- To świetnie. A mógłby mi pan nieco więcej powiedzieć o Harcourtach?

Zaskoczony, spojrział na mnie z wyraźnym zainteresowaniem. W zamyśleniu pokręcił głową.

- Pytam, bo to znani angielscy kolekcjonerzy - wyjaśniłem i czekałem, czy połknie haczyk. Czasem trzeba było pomóc Tominowi w odzyskaniu pamięci.

- Zna ich pan? - zapytał rzeczowo.

- Tak.

- Sądzi pan, że oni są... odpowiednio zamożni, by wziąć udział w aukcji?

- Ależ oczywiście.

Moja pewność natychmiast przywróciła mu pamięć. Zaczął dokładnie opisywać parę. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że mówi o ojcu i macosze Elli.

- On jest łysiejącym blondynem i bardzo prosto się trzyma. A ona ma rude włosy i bardzo... duży...

- Czy był z nimi ktoś jeszcze? Może ich córka?

Tomin rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie.

- Nie wiem - wycedził, grając na zwłokę. - Nie sędzę. - Ale na widok mojej rozczarowanej miny zrobiło mu się mnie żal. - Zaraz, chwileczkę. Niech pomyślę. Zdaje się, ktoś im jednak towarzyszył.

- Młoda kobieta o jasnych, krótko ściętych włosach?

- Chyba tak. Ale ona wyszła przed nimi.

Złapałem za księgę pamiątkową i sprawdziłem praski adres Harcourtów. Hotel, w którym się zatrzymali, znajdował się o minutę drogi z galerii. Musiałem naprawdę z całej siły walczyć z podnieceniem, gdy pomyślałem, że Ella może być za którymś z tych hotelowych okien ozdobionych fryzami, wychodzących na dom aukcyjny.

Pospiesznie pożegnałem się z Tominem i przeciskając się w tłumie zwiedzających, ruszyłem w stronę schodów. Czte-ropasmową jezdnię pokonałem biegiem, bez oglądania się na samochody, i zdyszany stanąłem w hotelowym holu.

Młodość chce szybko zaspokajać pragnienia. Nie nauczyła się jeszcze cierpliwości.

Recepcjonista uprzejmie poinformował mnie, że państwa Harcourtów nie ma w hotelu. Ledwo mogłem usiedzieć na miejscu, czekając na nich prawie godzinę. Podniecenie stopniowo ustępowało miejsca apatii. W końcu jednak zostałem nagrodzony. Spostrzegłem wysoką sylwetkę Pameli i jej misterną fryzurę. Wchodziła do hotelu wsparta na ramieniu Alexandra. Byli pogrążeni w rozmowie.

- Przepraszam. - Wyszedłem im naprzeciw. - Nie wiem, czy państwo mnie kojarzą. James Farrell, znajomy córki państwa.

Byli tak zajęci własnymi myślami, że minęła dobra chwila, zanim, zaskoczeni, przypomnieli sobie, skąd się znamy.

- Witam - odezwał się Alexander, ściskając moją wyciągniętą dłoń. - A cóż pan tu robi?

Ożywiony ton, w jakim wypowiedział te słowa, wydał mi się nieszczerzy. Właściwie nie wiem, dlaczego wyjaśniłem mu cel mego pobytu w Pradze. Z uśmiechem przyjąłem słowa uznania w związku z prezentacją kolekcji Mocsary.

- To nie moja zasługa - odparłem. - Ale cieszę się, że się

państwu podobało. Czy przyjdziecie na aukcję?

Przytaknęli uprzejmie, Pamela, zdaje się, dodała: „oczywiście” i odwróciła się, jakby chciała zakończyć rozmowę. Zatrzymałem ich jeszcze na chwilę.

- Czy nie wiecie państwo, gdzie mogę znaleźć Ellę? - zapytałem z uśmiechem, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie.

Odwrócili się, patrząc prosto na mnie. Dopiero teraz spostrzegłem, że byli jakby przygnębieni.

- Niestety, nie - odparł Alexander głosem pełnym rezygnacji. - Wczoraj zniknęła. Wyszła i jak dotąd nie mamy od niej wiadomości. - Patrzył na mnie w taki sposób, jakby nie mógł uwierzyć we własne słowa. - Nie mamy pojęcia, co się z nią stało.

- Przykra sprawa - powiedziałem. Moja zmartwiona mina i ton głosu wytworzyły między nami coś w rodzaju porozumienia.

- Ostatni raz widzieliśmy ją na pokazie - wyjaśniła po chwili Pamela. - Wyszła przed nami. Trochę się posprzeczałyśmy.

Myśleliśmy, że wróciła do hotelu, lecz najwyraźniej nie była u siebie ani wczoraj wieczorem, ani dzisiaj. Umieramy z niepokojem.

- To zrozumiałe.

- Dałby pan nam znać, gdyby się z panem skontaktowała, prawda? - zapytał Alexander.

- Oczywiście - zapewniłem go.

- Bardzo dziękuję. - Uścisnęliśmy sobie dłonie. - Nie będę pana dłużej zatrzymywał, panie Farrell. Miło było pana spotkać.

- Jeżeli mógłbym jakoś państwu pomóc...

- Tak, tak. Dziękuję. Jestem pewien, że zjawi się lada chwila.

- Na pewno.

Skierowali się do windy.

- Czy zawiadomili państwo policję?! - zwołałem za nimi.

- Nie ruszą palcem, dopóki osoby nie uzna się za zaginioną, czyli po tygodniu - powiedział Alexander, odwracając się do mnie.

- A znikający obcokrajowcy nie są na liście priorytetów.

- Dacie państwo znać, kiedy Ella wróci?

- Oczywiście. Moja droga, weź pana numer.

Czekali na schodach, a ja nagryzmołem numer telefonu na skrawku papieru i podałem go Pamelii. Schowała go do torebki.

Speszeni, jeszcze raz wymieniliśmy słowa pożegnania

i Harcourtowicz skierowali się do swego pokoju.

Na placu przed hotelem kłębił się gwarny, roześmiany tłum, lecz ja

przeciskałem się między ludźmi, nie widząc ich. Spieszyłem do domu, gnany przecuciem i trochę nadzieją. Kiedy otworzyłem drzwi mieszkania, okazało się, że dobrze myślałem. Ella z Erikiem siedzieli na podłodze w pokoju muzycznym i pili herbatę. Dokładnie ich widzę, chociaż wydawało mi się, że na zawsze wyrzuciłem z pamięci tamten obraz. Widzę ich siedzących na posadzce, włosy Elli połyskują złociście obok czarnej czupryny Erica, jej blada cera kontrastuje z jego oliwkową karnacją. Wtedy pierwszy raz rozmawiali ze sobą, chociaż musieli się znać z widzenia. Pamiętam wyraz oczu Elli, gdy otworzyłem drzwi. Odłożyła papierosa i jednym płynnym ruchem podniosła się z podłogi. Słyszę stukot jej obsasów na marmurowej posadzce, kiedy idzie mi naprzeciw. Jest ubrana w czarne obcisłe spodnie i czarną kurteczkę z futrzanym kołnierzem. W tym stroju wydaje się blada jak zjawa, ale zielone oczy skrzą się żywo. Ella uśmiecha się, zarzuca mi ramiona na szyję, przytula się. Całujemy się. Smakuję ten pocałunek, przyciągam ją mocniej do siebie, przesuwając dłonią po drobnych guziczkach jej kręgosłupa. Dopiero gdy wtulam twarz w jej szyję pachnącą cytrynowym mydłem, orientuję się, że Erie obserwuje nas ze swego miejsca na podłodze. Wolę zbagatelizować wyraz jego oczu, bo go nie rozumiem. Opatniętuję się i rozradowany, odrywam od Elli. Wreszcie skończyło się frustrujące czekanie. Chcę, jak należy, przedstawić Elle mojemu przyjacielowi.

- Już się poznaliśmy - oświadcza dość oschle.

- Tak, już się znamy.

Ella pociąga mnie na podłogę obok siebie. Siadam przy stoliku zaimprovizowanym z deszczulek opartych na skrzynkach.

- Erie mi opowiadał, jak wam tu cudownie.

Nie bardzo pamiętam dalszego ciągu rozmowy. Natomiast tamten moment utkwił mi w pamięci, bo kiedy Ella to mówiła, spojrzeliśmy na siebie z Erikiem i uśmiechnąłem się do niego. A on nie odpowiedział. Dopiero po jakimś czasie odwzajemnił uśmiech i wtedy odetchnąłem z ulgą, że minęła niezręczna chwila. Pamiętam, nalaliśmy sobie herbaty. Przy pierwszym łyku stanęli mi przed oczyma rodzice Elli; tacy przygnębieni, tam na tych schodach.

- Rozmawiałem z twoimi rodzicami - powiedziałem cicho.

- Naprawdę? - zapytała, siląc się na nonszalancję. - I co tam u nich?

-Umierają z niepokoju.

Nie odpowiedziała. Wbrew woli z fascynacją śledziłem jej ruchy, gdy otworzyła torebkę, szukała papierosów, sięgnęła po jednego z paczki, zapaliła go i zaciągnęła się dymem powoli i głęboko.

-Wiem, uważasz, że okropnie się zachowałam, nie zostawiając żadnej wiadomości - odezwała się wreszcie.

Czekałem na dalszy ciąg.

-Nawet nie przypuszczasz, jak bardzo się chciałam z tobą zobaczyć. A oni na chwilę nie spuszczaają mnie z oczu.

Chciałem zapytać dlaczego, ale powstrzymała mnie ruchem ręki.

- Później ci powiem, James. Wiele się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania. Naprawdę wiele.

Spojrzała na Erica i przeniosła wzrok na mnie. Milczeliśmy wszyscy troje.

-Chyba pójde poszukać tatusia i Pameli, żeby się nie martwili - zdecydowała. - O Boże, jakie to wszystko okropne! - Wstała z podłogi. - Odprowadzisz mnie? Opowiem ci po drodze.

-Dobrze.

Miło było cię poznać - zwróciła się z uśmiechem do mego przyjaciela, wyciągając rękę. - Mam nadzieję, że będziemy się często spotykać.

Erie przyjął podaną mu dłoń i burknął coś pod nosem, a potem zwrócił się do mnie:

-Do zobaczenia.

W odpowiedzi kiwnąłem głową.

Wyszliśmy z Ellą na klatkę schodową. Co chwila gasły słabe żarówki. Na drugim piętrze, w ciemnościach wsunęła rękę w moją dłoń. Poczulem tuż przy twarzy cytrynowy zapach. Poszukałem jej ust. W naszym pocałunku była namiętność i szalona radość, że jesteśmy razem. Intuicja nie podpowiedziała mi, że powinienem bać się mocy, jaka wypływa z połączenia tych uczuć.

17

Usiłuję odtworzyć dokładnie słowa Elli. Owszem, pamiętam ton jej głosu i mimikę, ale to, co mówiła, powraca z trudem. Zbyt dużą część mojej uwagi pochłaniały jej włosy, talia i piersi oraz odgłos jej lekkich kroków na chodniku. Nie przypominam sobie również, by nieoczekiwane pojawienie się Elli w Pradze czy

sposób, w jaki zostawiła rodziców, wzbudziły z początku mój niepokój. Młodzieńcza miłość jest arogancka, nie liczy się z niczym i z nikim. Dopiero w miarę jak słuchałem opowieści Elli, kiedy szliśmy z Sokolskiej na plac Waława, poprzez euforyczne otumanienie zaczęły powracać do mnie słowa z chaotycznego listu Camilli Boardman i skojarzyłem je z tym, co Ella mówiła w salonie madame Mocsary.

- Jeszcze nie jestem gotowa na spotkanie z tatusiem i Pamelą - powiedziała niemal błagalnie. - Jamie, musimy porozmawiać. Potrzebuję twojej pomocy. Moglibyśmy gdzieś przysiąc, tak żeby nikt nas nie widział?

- Zapominasz, że to nie Londyn - odparłem. - Nie ma potrzeby się kryć.

Z uśmiechem poprowadziłem ją do małej kawiarni na rogu. Co prawda brakowało jej uroku przytulnych kafejek w bocznych uliczkach, ale można było spokojnie porozmawiać. Zajęliśmy stolik w końcu sali i zamówiliśmy espresso u kelnerki o niedbale utlenionych włosach i nienaturalnie czarnych brwiach.

- To o czym będziemy rozmawiać? - zapytałem, gdy dostaliśmy nasze kawy.

- Ty nic nie wiesz, prawda? - zapytała z wahaniem. Podejrzewałem, że to pytanie ma związek z zerwaniem zaręczyn.

- Chyba co nieco słyszałem - zaryzykowałem, nie do końca pewny, co ma na myśli.

- A mianowicie? Co wiesz, Jamie? Pokrótkę streściłem jej list Camilli.

Gdy skończyłem, trawiła przez chwilę moje słowa.

- Dla Camilli taka historia to prawdziwa gratka, prawda? - zauważyła z przekąsem.

Przytaknąłem z uśmiechem. Jednak Ella pozostała poważna.

- Camilla zna obiegową wersję, ale oczywiście dobrze, że wiem, co myślą moi znajomi. Niestety, prawda jest nieco bardziej skomplikowana. Bardziej zawiła i mniej przyjemna.

- To znaczy?

- Rzeczywiście, moja rodzina, a także, jak widać, niektórzy znajomi uważają, że ze mną jest coś nie w porządku. Że mi odbiło, wiesz? - Popatrzyła na mnie, by sprawdzić, jak to przyjąłem. - Najgorsze w tym wszystkim jest to, że sama się do tego

przyczyniłam. - Zaciągnęła się papierosem. - Ale chyba powinnam opowiedzieć ci wszystko po kolei - powiedziała, biorąc mnie za rękę.

Pokiwałem głową, żeby ją zachęcić, lecz ona milczała pogrążona w myślach.

- Sądziłem, że to gazety nawypisywały bzdur - przerwałem milczenie.

- Gdyby tylko o to chodziło, nie byłoby problemu. Niestety to coś znacznie poważniejszego od zwykłych plotek. Och, przecież ja nie jestem wariatką... To kompletnie... - wyrzucała z siebie nerwowo. - Ale muszę zacząć od początku. Wybacz, jeżeli jeszcze raz powiem coś, co ci już mówiłam w Setonie. Ale chcę zrozumieć, gdzie w tym wszystkim kończy się prawda, a zaczyna gra wyobraźni.

- W porządku.

Ella westchnęła głośno.

- Wiesz, że moja babka i ciotka cierpiały na zaburzenia psychiczne - powiedziała cicho.

Przytaknąłem.

- Mój ojciec ma obsesję na tym punkcie - ciągnęła. - Zresztą to rozumiałe. Gdyby twoja matka i siostra bliźniaczka popełniły samobójstwo, też obawiałbyś się o swoje dzieci. Zwłaszcza gdyby twoja jedyna córka wyglądała dokładnie jak własna babka. Chcąc nie chcąc, musiałbyś o tym myśleć. Rozumiesz?

I tym razem przytaknąłem.

- Wiem, że tata jest wyczulony na wszelkie objawy, które mogłyby zwiastować zagrożenie - na przykład, że czuję się nieszczęśliwa, że sobie nie radzę. Woli dmuchać na zimne, lecz przez to ja ciągle czuję się jak na cenzurowanym.

- Wyobrażam sobie.

Przygryzła wargę.

- Boże, jakże głupio to rozegrałam!

Zdesperowana, zdusiła do połowy wypalonego papierosa.

- Co zrobiłaś?

- Dobrowolnie podłożyłam się Sarze.

- W jaki sposób?

- Kiedy opublikowała tę swoją monografię i dziennikarze rzucili się na wąż samobójczy, uznałam, że trafia się świetna okazja, by uwolnić się od Charliego. Pomyślałam, że nie zechce wariatki na matkę swoich dzieci, nawet jeżeli ta ma w przyszłości

odziedziczyć zamek. - Ella przerwała, zbierając się na odwagę. -
Więc odegrałam odpowiednią scenę.

- Co zrobiłaś?!

Sięgnęła do torebki po następnego papierosa i zapaliła go.

- Płacząc, wyznałam mu, że w naszej rodzinie zaburzenia psychiczne są dziedziczne. Posunęłam się jeszcze dalej - wyjawiałam, że zobowiązałam się nigdy nie mieć dzieci. Myślałam, że go odstraszę.

- A stało się dokładnie odwrotnie. - Zaczynałem powoli rozumieć sytuację.

- Niezupełnie. Z początku nie przejął się i postanowił lojalnie trwać przy mnie, twierdząc, że rodzina rodziną, a ja powinnam uwolnić się od takiego myślenia.

Wyobraziłem sobie, jak zdeorientowany Charlie wpatruje się w Ellę tymi swoimi pocziwymi oczyma.

- Co jeszcze mu powiedziałaś? - zapytałem przez ściśnięte gardło.

Ella głęboko wciągnęła dym.

- A jak myślisz?

- Chyba nie...

- Właśnie tak zrobiłam. - Jej głos stał się słaby i cienki jak u dziecka.

- Powiedziałaś mu, że jesteś...

Przez chwilę ociągała się z odpowiedzią.

- Tak - przyznała w końcu. - Powiedziałaś mu, że niepokoi mnie stan moich nerwów. I że zachowałam się nieuczciwie, wychodząc za niego.

- Rany boskie!

- A wiesz, co on zrobił?

Wiedziałem. Teraz już doskonale wiedziałem, co było dalej.

- Poszedł z tym do twojego ojca?

Skinęła głową.

- Och, Ello, ty niemądra...

Nie potrafiłem znaleźć odpowiednich słów. Miłość do niej i gniew wezbrały we mnie z równą siłą, ale zaraz zrobiło mi się jej żal, bo rozplakała się.

- Myślałam, że dzięki Sarze znalazłam rozwiązanie - mówiła przez łzy. - Sądziłam, że pierwszy raz w życiu Sara w swój pokrętny sposób okazała szlachetność. Że wywołując to całe zamieszanie i wyjawiając publicznie nasze tajemnice,

wspaniałomyślnie dała mi szansę odwrotu. Więc skorzystałam z niej, nie przewidując, co może z tego wyniknąć.

-No nie!

- Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale nie wyobrażasz sobie, jak idealny wydał mi się ten układ. Uznałam, że to będzie najmniej bolesny sposób zerwania zaręczyn. Charlie nie jest głupi. Zauważył, że moje zachowanie w stosunku do niego uległo zmianie. Musiałam znaleźć jakieś wyjaśnienie. Nie mogłam powiedzieć mu prawdy. - Zamilkła. - Nie sądziłam, że będzie chciał o tym z kimkolwiek rozmawiać.

- Nie do wiary, że mogłaś być aż tak...

- Nie osądzaj mnie, James! - Głos Elli zabrzmiał stanowczo. - Tylko mnie nie osądzaj!

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Dotknąłem jej dłoni.

- Gdybyś wiedział, co przeżyłam przez te dwa miesiące, byłbyś dla mnie miłszy - powiedziała łagodniej, wreszcie opanowując łzy. - Możesz mi wierzyć, że drogo zapłaciłam za wolność.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Czy ty wiesz, co czułam, patrząc, jak ojciec zamartwia się przeze mnie bez powodu? Nie masz pojęcia, jak to jest. Już samo to było dla mnie okropną karą. - Wbiła wzrok w podłogę, daleko ode mnie. - Ale co mogłam zrobić? - Spojrzała mi w oczy badawczo. - Przede wszystkim nikt nie zna prawdziwego powodu moich zaręczyn z Charliem, więc musiałam udawać. Jamie, znalazłam się w potrzasku. Jak inaczej miałam się z tego wycofać? Pozostało mi jedynie udawać. - Łapczywie zaciągnęła się papierosem.

Położyłem jej dłoń na ramieniu.

- Boże, to było okropne - mówiła. - Nie wyobrażasz sobie. Sytuacja zaczęła mi się wymykać spod kontroli. Nie panowałam już nad tym, co się dzieje. - Zamilkła na moment. - I wtedy przestraszyłam się, bo nie pozwalano mi, bym była po prostu sobą. Postawiono na nogi całą rodzinę. - Ella westchnęła głęboko. - Podniósł się szum. Zaczęły się pojawiać artykuły i zdjęcia w gazetach. Czy wiesz, jak czułam się ze świadomością, że cały czas jestem obserwowana?

Ja, moja rodzina, znajomi... Dwa miesiące żyłam jak w akwarium.

Pokiwałem głową, nadal nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- A najgorsze, że sama jestem sobie winna. Nie wiem, jak

mogłam do tego dopuścić.

- Ja też nie.

Ella ścisnęła mnie za rękę.

- Nie mów tak. Potrzebuję twojej pomocy. Musisz mi pomóc przez to przejść.

Siedzieliśmy w milczeniu. Ella z napięciem patrzyła mi w oczy.

- Pomogę. Oczywiście, że tak.

- Och, Jamie, dziękuję!

Przechyliła się nad stolikiem i pocałowała mnie. I wtedy w tej jednej krótkiej, słodkiej chwili zrozumiałem, że nie ma takiej rzeczy na świecie, której bym dla niej nie zrobił. W dodatku ta świadomość ucieszyła mnie, jakbym był niespełna rozumu.

- Nie wyobrażasz sobie, co przeżyłam - mówiła dalej, odchylając się z ulgą na oparcie krzesła. - Wiesz, jak to wykańcza, kiedy musisz cały czas być zadowolony? A musiałam być pogodna, aby ich przekonać, że nic się złego ze mną nie dzieje. Wystarczyła jedna smutna mina, a już tata wynajdował nowego psychoterapeutę albo Pamela zabierała mnie dokądś, żebym „zmieniła otoczenie”. - Westchnęła. - Trudno zliczyć, do ilu konowalów mnie zaprowadzili. Odwiedziłam gabinety wszystkich psychiatrów na Harley Street. - Wysiliła się na uśmiech. - Nie wyobrażasz sobie, jak to jest. Ci hochsztaplerzy każą ci przywoływać jakieś sprawy z zamierzchłej przeszłości, analizują urazy, których w rzeczywistości nie doznałaś, bełkoczą o braku poczucia bezpieczeństwa. Najbardziej przerażające jest, że powoli zaczynasz w to wszystko wierzyć i rzeczywiście przypominasz sobie jakieś senne koszmary z dzieciństwa. - Zapaliła nowego papierosa, głęboko wciągając dym. - A ponieważ uznałam, że powinnam sprawiać wrażenie, iż jestem wobec nich szczerą, opowiadałam im o moim dzieciństwie. O wszystkim, o czym chcieli - z wyjątkiem Sary, oczywiście. Musiałam ją pominąć. Ją i to, co jest między nami.

Patrzyłem, jak drży jej ręka, kiedy podnosiła filizankę do ust.

- Więc co im takiego opowiadałaś? - spytałem.

- Najróżniejsze rzeczy.

- Daj jakiś przykład.

- Proszę bardzo. - Zastanawiała się chwilę. - Kiedy miałam dziewięć, może dziesięć lat, śniło mi się czasami, że w szafie w mojej sypialni mieszka czarownica. Taka zła baba- -jaga, podobna

do tej, co porwała Jasia i Małgosię, pamiętasz?

Przytaknąłem.

- No i w tym moim śnie ona mnie goniła, a ja uciekałam i uciekałam przez lasy i pola... - Uśmiechnęła się. - Zawsze wtedy szukałam tatusia. I budziłam się, kiedy ona mnie łąpała. A taty nigdzie nie było.

- Mówiłaś o tym lekarzom?

- Tak.

- A oni co na to?

- Nie zapominaj, że psychiatrzy nie biorą pieniędzy za to, że się jest normalnym.

- W takim razie jak tłumaczyli ten sen?

- Wiesz, takie tam... Brak matki, lęk przed macochą, silna więź emocjonalna z ojcem. Twierdzili, że byłam zła na tatusia, bo się ożenił z Pamelą, co akurat całkowicie mijają się z prawdą. Zaczęli mówić o kompleksie Elektry. Snuli teorie o tłumionym żalu do ojca, który może prowadzić do samo-okaleczenia albo agresji jako formy zwrócenia na siebie uwagi. To było żałosne.

- A co dalej?

- W końcu oznajmiłam tatusiowi, że nie pójdę więcej do żadnego lekarza, bo oni podsuwają mi złe myśli. A swoją drogą to niewiarygodne, jak bardzo trzeba być odpornym, by wyjść bez szwanku z takiej sesji z dobrym specjalistą. 1 tata im to wszystko wygarnął. Okropnie się zdenerwował, wpadł jak burza do gabinetu doktora Jeffersona i zażądał wyjaśnień. Oczywiście, to była woda na młyn pana doktora. Zdiagnozował moje zachowanie jako „wyparcie”. Wiesz, miałabym więcej pieniędzy niż mój tata, gdybym dostawała jednego funta za każdym razem, kiedy któryś z tych konowałów od czubków, co to nie widzi dalej niż koniec własnego nosa, stwierdzał, iż muszę zaakceptować mój problem.

Zamilkła, a w oczach zakręciły jej się łzy.

- Och, Jamie! Co ja narobiłam? Gdzie ja miałam rozum?

Ścisnęła mnie za rękę.

- Ciicho - uspokajałem ją. Obszedłem stolik i przytuliłem ją. - Wszystko będzie dobrze.

- Tak myślisz?

- Tak.

- Nie wiesz, jak bardzo chciałam to usłyszeć. I jak okropnie mi ciebie brakowało.

Przywarła do mnie i staliśmy tak, dopóki nie przestała płakać.

- A teraz mi opowiedz, dlaczego wczoraj uciekłaś od rodziców

- poprosiłem, kiedy znowu usiadłem naprzeciw niej.

- To dalsza część tej historii - powiedziała, szperając w torebce w poszukiwaniu kolejnego papierosa. W popielniczce leżało mnóstwo niedopałków, a paczka, którą w końcu wyciągnęła, była pusta. Zaskoczona, zgmiotła ją w dłoń. - Po scysji z doktorem Jeffersonem Pamela wymyśliła kolejną „zmianę otoczenia”. Rzeczywiście w Londynie trudno było wytrzymać. Gazety używały sobie do woli. A właśnie, pokażę ci próbkę. - Wyjęła z torebki wydartą stronicę z popularnej popołudniówki i podała mi ją. Na środku strony znajdowało się duże zdjęcie Elli z jakiegoś przyjęcia. Stała samotnie na schodach i wyglądała bardzo blado. - Nie wiem, w jaki sposób trafiło im do rąk. Przeczytaj, co na wypisy wali.

Wziąłem gazetę i przebiegłem wzrokiem tekst. Jego rnelo-dramatyczny ton napenił mnie niesmakiem.

Wydawało się, że świat leży u stóp dwudziestoczeroletniej Elli Harcourt - pisał jakiś dziennikarzyna. - Niestety, na tej przyszej dziedzicze tytułu i fortuny jednego z najszlachetniejszych brytyjskich rodów ciężą ciemne sekrety rodzinne. Młoda, piękna i inteligentna, jest ozdobą śmietanki towarzyskiej Londynu... lecz kto wie, czy klątwa wisząca nad rodziną Harcourtów nie zażąda nowej ofiary?

Drzewo genealogiczne - patrz strona 2.

Raporty psychologów - strony od 15 do 17.

- Właśnie z tego względu tatuś i Pamela uznali, że powinnam wyjechać - rzekła z goryczą Ella. - Niestety, nie zgodzili się puścić mnie samej. Od dnia, kiedy to wszystko się zaczęło, ani na chwilę nie dają mi spokoju. Dlatego postanowili mi towarzyszyć.

Wybrałam Pragę, bo wiedziałam, że tu będziesz.

Poczułem dreszczyk zadowolenia, gdy to powiedziała.

- Ale dlaczego od nich uciekłaś?

Zastanawiała się chwilę.

- Chyba byłam zrezygnowana. Posprzeczaaliśmy się trochę na wystawie Mocrary i tatuś zrobił jakąś uwagę na temat mojego „stanu”. Więc pomyślałam: skoro cokolwiek mówię czy robię, traktują mnie jak wariatkę, równie dobrze mogę urwać się na jedną noc. - Spuściła głowę. - Nie masz pojęcia, jak cieszy samotność po takich dwóch miesiącach ciągłego pilnowania. - Podniosła na mnie

wzrok. - Wiem, że źle postąpiłam - zapewniła mnie skwapliwie. - Ale rozzłościli mnie. Mam dość tego obchodzenia się ze mną jak z jajkiem. Rozumiesz?

Pokiwałam głową.

- A teraz musisz wypić piwo, którego nawarzyłaś - rzekłem stanowczo.

- Chyba nie sądzisz, że powinnam im powiedzieć o Sarze, Charlesie i... i o tym, co zrobiłam? Gdyby poznali prawdę, pomyśleliby, że naprawdę zwariowałam.

Rozumiałem ją.

- Nie, nie sądzę - mówiłem powoli, usiłując zebrać myśli. - Ale kiedy ich widziałem, szaleli z niepokoju. Musisz wrócić, żeby przestali się martwić. I powinnaś wymyślić jakieś sensowne usprawiedliwienie.

Spuściła głowę.

- Tak, wiem.

- To chodźmy, żeby mieć to za sobą.

Zapłaciłem za kawę i wyszliśmy z kawiarni. Kiedy wmieszaliśmy się w tłum przechodniów na placu Waława, Ella wsunęła dłoń w moją rękę.

- Dziękuję, Jamie - szepnęła i pocałowała mnie.

Grzech to mocne słowo. Paskudne. Ale już nie boję się go wymówić. Wiem, że Ella popełniła grzech, zabierając Sarze Charlesa. Myślę, że ja również zawiniłem, pragnąc zatrzymać wyznanie Elli wyłącznie dla siebie. Zazdrośnie strzegłem jej zaufania. Nie doradziłem jej, żeby wyznała prawdę, kiedy była ku temu okazja. Nie ostrzegłem, jakie niebezpieczeństwo wiąże się z oszustwem. Sam tego jeszcze wtedy nie wiedziałem. Teraz już wiem, to pierwsza lekcja, jaką dostałem - kłamstwa są jak stalowe pręty klatki - gdy otoczysz się nimi, jesteś zgubiony.

Grzech, jakim było oderwanie Charlesa od Sary, wpłynął na całe dalsze życie Elli. Z powodu swej słabości, która po części była też moją słabością, Ella ukryła grzech, okłamując Charlesa, swoich rodziców, a pewnie również i samą siebie. Nie przyznała się do tego, co zrobiła, ani nie poprosiła o wybaczenie, aż do chwili, kiedy została do tego zmuszona przez okoliczności, nad którymi już nie panowała. Przynajmniej tak to w tej chwili widzę. Muszę poprzestać na rezygnacji, bo wiem, że nie ma sensu zmagać się z przeszłością. Nie mogę zmienić biegu wydarzeń, mogę je co najwyżej zrozumieć. A gdyby mi się to

udało, byłbym niezmiernie wdzięczny losowi - znacznie bardziej, niż dawno temu byłem wdzięczny Sarze, bo owa wdzięczność, podobnie jak kiedyś Sara, mogłaby mi zapewnić spokój. Więcej niczego od życia nie pragnę.

18

Termin aukcji przypadał na poniedziałek. W weekend poprzedzający sprzedaż sale wystawowe Pierwszego Domu Aukcyjnego zapełniły się potencjalnymi nabywcami oraz elegancko ubranymi osobnikami, którym zależało, by sprawiać wrażenie klientów. Natomiast coraz mniej było widać zwykłych zwiedzających, tych, którzy tak tłumnie stawili się w pierwsze dni po wystawieniu kolekcji. Dżinsy i adidas-y ustąpiły miejsca eleganckim garniturom i jedwabnym krawatami lepiej sytuowanej publiczności. Codziennie wpływały telefoniczne oferty na konkretne obrazy, a czołowe dzienniki rozpiswały się na temat konieczności zachowania dorobku kulturalnego narodu. Prasa brukowa, tak samo zainteresowana aukcją jak poważne pisma, zajęła się toaletami i życiem prywatnym bardziej znaczących gości. Tomin był zmuszony zorganizować naprędce stanowisko dla dziennikarzy w sali aukcyjnej.

Zainteresowanie prasy, jak również to, że podczas swej drugiej wizyty księżna Amelia zwróciła się do Tomina po nazwisku, sprawiły, że rozsadała go pycha. Dzień w dzień przechadzał się po salonach w krzykliwych marynarkach i rozsyłając uśmiechy na prawo i lewo, konfidencjonalnym szeptem informował zainteresowanych, że ceny katalogowe są naprawdę bardzo umiarkowane. Obaj z Erikiem snuliśmy się za nim w pewnej odległości, zadziwieni potokiem wymowy. Muszę przyznać, że robił wrażenie. Kuci na cztery nogi kolekcjonerzy z zachodniej Europy i Stanów miękli w jego rękach jak wosk. Przedstawiciele europejskich rodów arystokratycznych, idąc za przykładem obwieszanej perłami księżnej Amelii, prześcigali się w uprzejmościach. Księga pamiątkowa krążyła z rąk do rąk, bo wszystkim reflektantom zależało na zaznaczeniu swojej obecności na tej aukcji, która niewiadomym sposobem nabrała rangi historycznego wydarzenia.

Tak, pan Tomin zrobił kawał dobrej roboty. Nawet teraz, po pięćdziesięciu latach, nie mogę nadziwić się, jak tego dokonał, że z dość mało znanej malarki uczynił legendę. Jak udało mu się

przekonać możnych tego świata, że warto zainwestować w jej obrazy, a także umieścić nazwisko Mocsary w narodowym panteonie. Właśnie tacy ludzie jak Tomin kreują wielkich artystów.

Na dzień przed aukcją przyjechała matka Erica. Pamiętam moje pierwsze spotkanie z tą wysoką, smukłą damą o pięknych dłoniach. Nie zapomniałem bezpretensjonalnej elegancji jej stroju i sposobu bycia, długich srebrnych włosów oraz blasku ciemnych, poważnych oczu. Choć Louise musiała być w wieku moich rodziców, a może nawet była od nich starsza, jej ruchy cechowała młodzieńcza gibkość, a zmarszczki na twarzy stawały się widoczne tylko wtedy, kiedy się uśmiechała. Przywołuję teraz w pamięci jej uśmiech

i widzę, że dokładnie tak samo uśmiechał się Erie. Oboje uśmiechali się całą twarzą, a śmiali się donośnym, zaraźliwym śmiechem. Jeszcze teraz zdarza mi się słyszeć ten ich śmiech w snach. Miałem okazję nasłuchać się go, gdy lepiej poznałem rodzinę Vaugirardów. Wtedy, w Pradze, widziałem Louise zaledwie dwukrotnie - raz w przeddzień aukcji, a potem w jej trakcie. Za pierwszym razem zabrała nas na kolację do „Czardasza”. Ta modna, droga restauracja, otwarta już w „nowych czasach”, zajmowała dwa piętra starego pałacu na Małej Stronie, w pobliżu francuskiej oraz amerykańskiej ambasady. Ponieważ przychodzili do niej głównie obcokrajowcy, ceny były wygórowane, a obsługa bez zarzutu. Wybór miejsca wydawał mi się nieco dziwny, dopóki nie dowiedziałem się, że restaurację polecił Tomin.

Gdy weszliśmy, Louise de Vaugirard siedziała już przy stoliku na niewygodnym, nowoczesnym krześle. Była ubrana w długą, dopasowaną suknię z czarnego jerseyu. Oprócz srebrnego krzyżyka na cieniutkim łańcuszku nie miała na sobie żadnej biżuterii. Uniosła się na nasz widok, a ja odgadłem, kim jest, zanim jeszcze Erie podszedł do niej i pocałował ją w oba policzki.

- Mamo, przedstawiam ci mojego przyjaciela, Jamesa Farrella - powiedział Erie po francusku.

- Ależ nie rozmawiamy po francusku - zaproponowała w angielszczyźnie prawie całkowicie wolnej od obcego akcentu. - Anglicy uznają wyłącznie własny język, czyż nie?

Zarumieniłem się i wydukałem, że francuski bardzo mi się podoba.

- Twój przyjaciel jest tak czarujący, jak mówiłeś - zwróciła się

do Erica, a potem podała mi dłoń. - Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać, monsieur Farrell. Mój syn wyraża się o panu w samych superlatywach. Oboje z mężem jesteśmy bardzo wdzięczni, że pomógł pan naszej rodzinie. Szkoda, że ojciec Erica nie może osobiście panu podziękować, ale niestety, ważne sprawy zatrzymały go we Francji.

Usiedliśmy i po chwili na stół wjechały dania na półmiskach ze złotym szlaczkiem. Erie w rozmowie z matką był czuły i troskliwy, ale i nieco spięty. To, co łączyło tych dwoje, wynikało raczej z więzi biologicznej. Erie przy matce nie czuł się swobodnie, zachowywał się bardziej powściągliwie. Mniej mówił, a więcej obserwował. Widziałem wyraźnie, że zależy mu, abyśmy się z Louise polubili, i wzruszyło mnie to. Rozmawiałem z nią o moim dzieciństwie, o muzyce, o naszym pobycie w Pradze, a Erie odzywał się prawie wyłącznie wtedy, gdy któreś z nas zwracało się bezpośrednio do niego.

Louise spodobała mi się. Z przyjemnością słuchałem jej celnych, a przy tym nieco ironicznym spostrzeżeń. Okazała się osobą o dużym uroku i łatwo się z nią rozmawiało. Natomiast w jakiś sposób rozpraszał mnie krzyżyk na jej szyi. Było coś hipnotyzującego w tym małym krzyżyku pięknej roboty. Temu, kto go wykonał, udało się uchwycić wyraz prawdziwie ludzkiego cierpienia na twarzy Chrystusa, co powodowało, że patrząc na nią, czułem się skrępowany, a jednocześnie zdziwiony własną reakcją. Co chwila moje spojrzenie wędrowało ku krzyżykowi, aż za którymś razem Louise zapytała mnie, czy chciałbym go obejrzeć z bliska.

Przytaknąłem z uśmiechem.

- Wiąże się z nim ciekawa historia - oznajmiła Louise, rozpinając łańcuszek i zsuwając z niego krzyżyk w moją otwartą dłoń.

- Och, naprawdę?

- Tak. Antenatka mojego męża dostała go w nagrodę.

Zauważyłem, że Erie skrzywił się lekko, wyraźnie starając się ukryć irytację.

- Czym sobie na nią zasłużyła? - zapytałem.

- Była szpiegiem na kongresie wiedeńskim - odparła z uśmiechem Louise. - Damskimi sposobami wyciągała sekrety od zagranicznych negocjatorów i między innymi dostała za to ten krzyżyk. To była wielka dama i też miała na imię Louise.

- *Maman*, dobrze wiesz, że była dziwką - rzekł cicho Erie.
Zapanowało między nami niezręczne milczenie.

Louise nie od razu zareagowała na uwagę syna. Spokojnie wzięła ode mnie krzyżyk i powolnymi, zręcznymi ruchami nawlekła go na łańcuszek i zawiesiła na szyi.

- Nigdy więcej nie odzywaj się do mnie w ten sposób, Ericu. Rozumiesz? - powiedziała i wróciła do jedzenia. Sztućce nienaturalnie głośno zadzwoniły o porcelanowy talerz, lecz zaraz opanowała ruchy rąk i zwracając się do mnie, podjęła przerwana rozmowę, uśmiechając się i żartując, jak gdyby nic nie zaszło.

Erie nie odezwał się już do końca obiadu, a dla mnie ta godzina konwersacji z Louise, traktującej syna jak powietrze, wydawała się nie mieć końca. Erie nie poruszył się ani nie odezwał, nawet kiedy kelner sprzątnął talerzyki po deserze i filiżanki po kawie oraz przyniósł rachunek. Toteż skrzepowany, podziękowałem madame de Vaugirard za obiad.

- Miło mi było cię poznać, Jamesie - powiedziała, wstając od stołu. Teraz już bardzo poprawnie wymawiała moje imię. - Mam nadzieję, że spotkamy się jutro na aukcji.

- Ja również - odparłem ochotczo.

Erie podniósł się od stolika i pocałował matkę w oba policzki, po czym bez słowa skierował się do wyjścia. Na pożegnanie uściśnięciem dłoni Louise, a ona uśmiechnęła się do mnie jak gdyby nigdy nic, i podążyłem za Erikiem. Rwał do przodu wyraźnie zdenerwowany i jakieś dziesięć minut, a może i dłużej, maszerowaliśmy w milczeniu. Szliśmy wzdłuż rzeki w stronę mostu Karola na przystanek naszego tramwaju. W lodowatym powietrzu zwiastującym nadejście zimy nasze oddechy zamieniały się w obłoczki pary. Przemierzaliśmy ciemne, brukowane ulice z górującym nad nimi zamkiem na Hradczanach, podświetlonym reflektorami. Musiało być około północy. Ponieważ wyraźnie widziałem, że Erie nie zamierza się odezwać, zapytałem go, co jest tego powodem.

- James, nie zaprzataj sobie tym głowy - rzucił nieprzyjaznym tonem, jakiego dotąd u niego nie słyszałem.

Znowu odcinek drogi upłynął nam w milczeniu.

- Sądzę, że mógłbyś powiedzieć, o co chodzi - odezwałem się wreszcie, walcząc z rosnącą irytacją. - Nie sądzisz, że należy mi się jakieś wyjaśnienie?

W ciszy usłyszałem jedynie odgłos miarowych uderzeń na-

szych butów o bruk i plusk rzeki.

- Czy ty wiesz, jak niezręcznie się czułem? - Straciłem w końcu cierpliwość.

Mój przyjaciel odwrócił się do mnie z płonącymi z gniewu oczami.

- A więc to moja wina, tak?! - wybuchnął. - Oczywiście! Hipokryzja mojej matki zasługuje na nagrodę. A ja, który usiłuję ją ujawnić, bo staram się być uczciwy, dostaję baty. Nawet od ciebie!

Nic z tego nie rozumiałem.

- Nie wiem, dlaczego sprawdzianem twojej uczciwości ma być akurat to, w jaki sposób ktoś w twojej rodzinie wszedł w posiadanie tajemnic państwowych. I co masz na myśli, mówiąc o hipokryzji matki? To wszystko nie ma dla mnie sensu.

- Moja matka uważa się za dobrą katoliczkę - wyjaśnił krótko. - Bez końca mówi o sakramencie małżeństwa, o tym, jaka miłość jest dobra, a jaka zбочzona. A przy tym wszystkim pochwała prostytucję, o ile uprawia się ją ku chwale Francji.

Zaniepokoiło mnie drzenie jego głosu. Teraz nie byłem zły, tylko zażenowany. Postanowiłem nie drążyć tego tematu.

- Nie łam sobie tym głowy, James - powiedział, wyczuwając moją konsternację. - I tak nie zrozumiesz. - Przyspieszył kroku, lecz czułem, że prędzej czy później przerwie to kłopotliwe milczenie. - Ty nigdy tego nie zrozumiesz, James. Nie zrozumiesz, o czym mówię, bo nie wychylish się ze skorupy swego bezpiecznego, uładzonego świata - wyrzucił z siebie zduszonym głosem. - Nie zaryzykujesz ani nie narazisz innych na ryzyko.

Zmieszany siłą jego wybuchu, miałem ochotę bronić się, tłumaczyć. Na chwilę znowu ogarnęła mnie złość. I być może zaoponowałbym, gdyby nie przeszkodził mi zgrzyt nadjeżdżającego tramwaju. Rzuciliśmy się pędem do przystanku. Nie odezwaliliśmy się do siebie przez resztę drogi, a po powrocie do domu od razu poszliśmy spać.

Następnego ranka niebo zachmurzyło się i tłumy ciągnące na licytację do Pierwszego Domu Aukcyjnego mokły w padającym co chwila deszczu. Zjawiliśmy się tam o piątej, na godzinę przed rozpoczęciem aukcji. Nadal nie rozmawialiśmy ze sobą. Louise siedziała na środkowym miejscu w pierwszym rzędzie w towarzystwie rozpromienionego Tomina. Do jej fotela, a także dwóch po bokach, które nam wskazała, były przymocowane tabliczki ze starannie wykaligrafowanym napisem:

„zarezerwowane”. Louise nie zdradzała najmniejszego skrupowania w kontakcie z Erikiem, tak jakby poprzedniego dnia nie zaszło między nimi żadne nieporozumienie.

- James, mój drogi - zwróciła się do mnie, gdy Erie rutynowo cmoknął ją w oba policzki - monsieur Tomin uważa, że aukcja będzie wielkim wydarzeniem. Moja rodzina ma w stosunku do ciebie ogromny dług.

- Ależ nie ma o czym mówić.

- Zanim więc to wszystko się zacznie i atmosfera zrobi się... Jak to się mówi? Gorąca, tak? - Uśmiechnęła się. - Pragnę ci coś podarować. - Zdjęła z szyi łańcuszek z krzyżykiem, położyła mi go na dłoni i zamknęła na nim moje palce. - Podobał ci się wczoraj. Chcę, żebyś go zatrzymał. Chrystus czuwał nad wieloma pokoleniami, które go nosiły.

Ponieważ byłem świadomy, że Erie mnie obserwuje, zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć, i zacząłem mamrotać, iż nie mogę go przyjąć...

- Bardzo cię proszę. Jesteś przyjacielem mego syna, a więc i moim. Jeżeli Erie uważa, że nie powinnam go nosić, chcę, żebyś ty go miał. - I uroczystym gestem, jakby dawała nam błogosławieństwo, wzięła moją lewą dłoń, a Erica prawą i uściśniła je jednocześnie. - A teraz - zwróciła się do Toma, który wyraźnie czekał na jej sygnał - możemy zaczynać.

Tomin z kolei dał znak swemu podwładnemu, a ten uroczystym krokiem podszedł do dwuskrzydłowych drzwi sali aukcyjnej i otworzył je na oścież. Długi sznur gości, wśród których rozpoznałem księżną Amelię, zaczął przesuwając się do środka i wypełniać rzędy aksamitnych foteli o złożonych oparciach. Słychać było szmer podekscytowanych głosów. W chwili gdy aukcjoner wszedł na podium i zaczął witać cichnącą widownię, a portier już zamykał drzwi, do sali przemknęła postać o lśniących blond włosach i roziskrzonych zielonych oczach, po czym przysiadła na fotelu w ostatnim rzędzie. Erie patrzył, jak odprowadziłem Ellę wzrokiem, a jego matka skinęła głową z aprobatą, kiedy schowałem krzyżyk do kieszeni.

Aukcja rozpoczęła się raczej ostrożnie. Goście z początku słabo reagowali na gorączkowe zachęty licytatora i parę mniej znaczących eksponatów poszło za ceny niższe od katalogowych. Taki los spotkał część porcelany, stół, a także sekretarzyk z holu. Ogarnęła mnie nostalgia, gdy patrzyłem, jak te dobrze mi znane

przedmioty jeden po drugim idą pod młotek. Myśl o minionych czasach w eklektycznym mieszkaniu madame Mocsary sprawiła, że zapomniałem o urazie do Erica. Wychyliłem się za plecami Louise i uśmiechnąłem się do niego serdecznie. Przez chwilę patrzył mi w oczy, po czym jakby z wahaniem odpowiedział uśmiechem.

Gdy po aukcji sala opustoszała, Ella podeszła do mnie i wzięła mnie za rękę.

- Byłeś wtedy cudowny, wiesz? - powiedziała. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- Jak ci się układa z rodzicami? - spytałem.

- Lepiej. Ale to była ostatnia samowola. Muszę wykazać się równowagą psychiczną. - Spojrzała mi w twarz i uśmiechnęła się.

- Czy oni tutaj są? - Miałem ogromną ochotę oficjalnie spotkać się z Alexandrem i Pamelą w mojej nowej roli bliskiego przyjaciela ich córki.

- Nie - szepnęła. - Wyobrażasz to sobie? Powiedziałam im, że uciekłam, bo ani na chwilę nie zostawiają mnie w spokoju. Więc pozwolili mi tutaj przyjść samej.

Instynktownie czuję, jak wpatruje się we mnie błyszczącymi oczyma. Czuję na swej ręce mocny uścisk jej drobnej dłoni.

- Wykazali wielką odwagę - odparłem ze śmiechem.

Ella żartobliwie kopnęła mnie w kostkę.

- Jak będziesz taki miły, to ci nie powiem, co wymyśliłam.

- A co takiego?

- No, cóż... - Uśmiechnęła się. - Tatuś i Pamela muszą pojutrze wracać do Londynu, ale z wiadomych powodów nie chcą, bym z nimi jechała. Wiesz, sprawa jeszcze nie przycichła. A do tego dziennikarze wytropili mnie w Pradze. Rano widzieliśmy fotoreportera przed hotelem.

- No nie!

- Tak. Trzeba rzucić kogoś gawiedzi na pożarcie. Oskar Wilde kiedyś powiedział, że jedyną rzeczą gorszą od ludzkiego zainteresowania jest jego całkowity brak.

- Tak, to mniej więcej tak brzmiało - uśmiechnąłem się uszczęśliwiony, że Ella jest w takim dobrym humorze.

- Właśnie w ten sposób mam zamiar do tego podchodzić. - Sięgnęła do torebki po papierosa. - Ale nie o tym chciałam z tobą mówić.

- Nie?

- Jamie, co tak na mnie patrzysz spod oka?

- Jesteś teraz wolną kobietą. - Pochyliłem się i wyszeptalem jej do ucha: - Chcę cię zawłaszczyć.

- W takim razie pobądź ze mną te parę tygodni do Bożego Narodzenia. - Oplotła mnie w pasie ramionami. - Mamy śliczną posiadłość we Francji. Chciałabym ci ją pokazać.

- Z radością - odpowiedziałem po prostu. I wtedy przyszedł mi na myśl Erie i nasze ostatnie nieporozumienie. Nie chciałem wyjechać, dopóki atmosfera się nie oczyści. Podejrzewałem, że Erie może chodzić w złym humorze jeszcze kilka dni. - Ale nie mogę tak bez uprzedzenia zostawić Erica - zaprotestowałem.

W tej właśnie chwili Erie stanął przy nas.

- Cześć, Ello! Miło cię widzieć - pozdrowił ją sztywno i pocałował w oba policzki.

- Właściwy człowiek we właściwym momencie - rzekła. - Ericu, mój ojciec i macocha wkrótce wracają do Londynu i pozwolili mi skorzystać z naszego domu we Francji. Chciałabym, żebyście z Jamesem posiedzieli u mnie do świąt. - Cały czas uśmiechała się do mnie, kiedy to mówiła. Zrobiło mi się ciepło koło serca z radości, że pomyślała o moim przyjacielu.

- To fantastyczna propozycja - zauważył Erie tonem tak grzecznym, że nie potrafiłem odgadnąć, do jakiego stopnia jest szczery - ale chyba nie będę mógł z niej skorzystać.

- Musisz przyjechać - nalegała Ella. - James powiedział, że bez ciebie się nie ruszy, a ja nie chcę być skazana na samotność w pustym domu na odludziu.

Erie spojrział na mnie, ja na Ellę, a potem przeniósł wzrok na Erica. Jego ciemne oczy wpatrywały się we mnie nieruchome, pytające. Pomyślałem, że w dalszym ciągu przeżywa wczorajszy wieczór. Aby mu udowodnić, że nie żywię urazy i że wszystko puściłem w niepamięć, objąłem go ramieniem.

- Przyzwyczaiłem się do twojej obecności - rzekłem z uśmiechem. - Musisz jechać.

Jeszcze chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

- I co, Ericu? - naciskała Ella.

- Pojedzie - zdecydowałem za niego.

Erie nie odpowiadał. Gdybyśmy wiedzieli, że w tamtej ciszy los nas trojga zawisł na chwilę...

- No dobrze - zgodził się w końcu. - Pojadę.

Do Francji pojechaliśmy bez Elli, bo ona parę dni wcześniej opuściła Pragę razem z rodzicami. Przed wyjazdem pożegnaliśmy się z miejscami i ludźmi, których wspomnienie miało na zawsze z nami pozostać. W kawiarni Floriana ze smutkiem przysłuchiwaliśmy się pijackim wspominkom i żarliwym dyskusjom, przygnębieni świadomością, że one dalej będą się toczyć, gdy nas tu zabraknie. W nasz ostatni dzień na Sokolskiej 21 zaprosiliśmy Blankę na herbatę, by podziękować jej za wszystko, co dla nas zrobiła, a następnego dnia po południu złożyliśmy wizytę mecenasowi Kierczyńskiemu w jego ekskluzywnej kancelarii, aby przy kawie zdać mu klucze do mieszkania po madame Mocsary.

Ostatnie godziny w Pradze spędziłem u Eduarda Mendla. Podarował mi na szczęście kawałek „magicznej” kalafonii, który przechowuję do dziś.

- Z przyjemnością cię uczyłem - wyznał z poważną miną. - A możesz mi wierzyć, że nie mówię tego wszystkim moim uczniom. Przy twojej determinacji możesz daleko zajść. - A kiedy wkładałem skrzypce do futerału, dodał, że polubił nasze wspólne koncerty z Erikiem. - Obaj macie przyszłość przed sobą - zapewnił. - Takie serdeczne porozumienie, jakie dostrzega się między wami, cieszy serce starego muzyka.

Gożąco mu za wszystko podziękowałem.

- Niech cię Bóg ma w swojej opiece, James - rzekł, podając mi dłoń na pożegnanie.

Kiedy opuściłem okazały gabinet Mendla, ze słowami pochwały dźwięczącymi w uszach, ogarnęło mnie podniecenie na myśl o podróży, o pakowaniu bagaży, o rezerwacji kuszetki o Elli czekającej na mnie we Francji. Pamiętam, jak wyszedłem z gmachu konserwatorium, pamiętam, jak zbiegłem po kamiennych stopniach prosto w ostre powietrze pierwszych słonecznych dni zimy. Byłem szczęśliwy i beztroski, rozpierała mnie radość, a w głowie szumiało od nadziei oraz szalonych planów związanych z... Lecz po co ja o tym wszystkim mówię? Co pragnę udowodnić? Czy to ma jakieś znaczenie, że w końcu nauczyłem się pokory?

Ostatnie dni w Pradze były bardzo udane. Żaden z nas nie wracał do tematu kolacji z Louise ani sprzeczki, jaka po niej nastąpiła. Obaj, jak mi się zdawało, w równym stopniu prag-

nęliśmy zatrzeć w pamięci wydarzenia tamtego wieczoru. Nasze stosunki powróciły do normy i jechaliśmy do Francji w doskonałych humorach, żartując i wspominając początki pobytu w Pradze, pełne komicznych sytuacji. Na granicy znaleźliśmy się wczesnym, mglistym rankiem. Za godzinę mieliśmy przesiąść się na następny pociąg. Zaspani, trzy godziny czekaliśmy w przesywającym chłodzie na peronie, bo pociąg z niewyjaśnionych przyczyn miał opóźnienie. Wreszcie udało nam się znaleźć jakieś kombinowane połączenie. Za układ trasy odpowiadał Erie. Co prawda, nie bardzo się wykazał, ale znosiłem niedogodności z humorem, bo rekompensowało je wesołe towarzystwo. („Tylko nudziarze z góry planują trasy pociągów” - oznajmił beztrzesko Erie). Skonani, lecz nadal w świetnych nastrojach, dotarliśmy na miejsce późnym popołudniem.

Ella nie wyszła po nas na stację, ale przysłała syna gospodyni, który wręczył mi liścik, z moim imieniem na kopercie, wypisanym rdzawym atramentem. Dobrze znałem ten nieregularny charakter pisma.

Drogi Jamesie!

Jak pewnie zauważyłeś, pogoda dziś nie najlepsza i w związku z tym nie pozwolono mi wyjść z domu. (Dzięki tacie i Pameli znalazłam się pod kuratelą miejscowego lekarza - lak na wszelki wypadek, gdyby strzelił mi do głowy jakiś głupi pomysł. Pan doktor jest trochę nadopiekuńczy). Wysyłam po Was Jacques'a, mam nadzieję, że nie jesteście zły. Nie zapomnij o napiwku - tutaj to bardzo ważne, by mieć ludzi po swojej stronie.

Nie mogę się doczekać, kiedy Cię zobaczę.

E.

Czytałem ten list w samochodzie, kiedy jechaliśmy ze stacji, jednocześnie słuchając z roztargnieniem, jak Jacques z Erikiem wymieniają po francusku grzecznościowe uwagi. Krajobraz przesuwiał się za oknami podrygującego na wybojach auta. Kiedy zwolniliśmy, by przejechać pomiędzy słupkami z nadkruszzonego betonu, znaczącymi wjazd na teren posiadłości, zelektryzowała mnie myśl, że za chwilę Ella znajdzie się w moich ramionach. Pamiętam tamto podniecenie, gdy z niecierpliwością czekałem, aż skończy się jazda po nierównej alei ku domowi z poszarzałych kamieni o niebieskich okiennicach osypujących się z farby. Byłem zaskoczony oplakany stanem francuskiej posiadłości Harcourtów. Mając w pamięci piękny dom przy Chester Square 23, spodziewałem się czegoś bardziej okazałego, bardziej zadbanego.

Spostrzegłem Ellę, kiedy pokonaliśmy ostatni zakręt podjazdu. Czekala na nas na stromych, popękanych stopniach przed frontowym wejściem. Na widok jej drobnej sylwetki spowitej w błękitny kaszmirowy sweter, wzburzonych włosów i zaróżowionych policzków z radości oblałem się rumieńcem. Zerknąłem na Erica - lecz on patrzył przed siebie z poważną miną i nie odpowiedział na moje spojrzenie. Bardzo wyraźnie pamiętam tamten moment. Ale kiedy samochód zahamował przed domem, nie poświęciłem ani jednej myśli więcej wymowie jego zaciśniętych ust i głowy schowanej w ramiona. Zapewne uznałem, że jest wyczerpany nużącą podróżą. Ja natomiast nie odczuwałem zmęczenia. Gdy Jacques nacisnął na hamulec, wyskoczyłem z auta i chwyciwszy Ellę w objęcia, porwałem ją ze schodów, a ona zarzuciła mi ramiona na szyję i roześmiana, tuliła się do mnie. Pamiętam jej smukłą szyję, delikatny zarys nosa, pasemka jej włosów zawiewane na moją twarz, kiedy wirowałem z nią w objęciach. Nawet w tej chwili, gdy wspominam nasze spotkanie, serce tłucze mi się w piersi. Wiem z całą pewnością - a ta świadomość dodaje mi siły — że nasza miłość nie była zła i nie musiała się skończyć tak, jak się skończyła. Erie nie zginąłby, a i Sara by żyła, gdybyśmy byli wtedy starsi, dojrzalsi, bardziej doświadczeni. Niestety, nie byliśmy, i teraz pozostało jedynie bolesne wspomnienie po tamtej pięknej, roześmianej dziewczynie i naszej wielkiej miłości z czasów, zanim popełniłem mój grzech.

Wicie, to ironia losu, że przyczyną moich dzisiejszych łez i żalobnego nastroju, w którym niewątpliwie pograżę się w najbliższym tygodniu, nie jest i nie będzie śmierć żony, tylko stracona miłość do jej kuzynki. Zakrwawione ciało Sary ma nade mną mniejszą władzę niż słodko-ostry zapach mydła i papierosów Elli, który na długo zapomniany, dzisiaj do mnie powrócił. Wtedy, trzymając Ellę w ramionach, wdychałem go razem z przeszywającym płuca wiatrem. Postawiłem ją na ziemię, bo wyrwała mi się ze śmiechem. Przywitała się z Erikiem, podając mu rękę i podstawiając do pocałunku różany policzek.

- Zostawcie bagaże - powiedziała uśmiechnięta, prowadząc nas do ciemnego, niskiego holu, który mimo wazonu z kwiatami na stojącym w centralnym punkcie stole sprawiał przygnębiające wrażenie. - Oprowadzę was po domu, potem się rozpakujecie.

Obejrzeliliśmy więc dom. Kiedy chodziliśmy po nim, przyszło mi na myśl, że witalność Elli nie pasuje do ponurych korytarzy i

pokoju, w których hulają przeciągi. Odgłos jej energicznych kroków na kamiennej posadzce raził w tych nieprzytulnych, zatęchłych murach chylącego się ku ruinie domu. Dziwna sprawa z tymi wspomnieniami. Od śmierci Erica nigdy nie wracałem myślą do tamtych czasów, a jednak każdy szczegół Les Varrèges (bo taką nazwę nosiła posiadłość) dokładnie wrył mi się w pamięć. Widzę fakturę grubych murów i kolejność przestronnych pokoi. Mogę w pamięci policzyć drzwi w niskim holu. Przypominam sobie nawet zapach, jaki w nim panował - tę woń butwiejącego drewna i kurzu z nie wietrzonych dywanów. Pamiętam też ogromny kominek (osoba średniego wzrostu mogłaby stanąć w nim wyprostowana) i jego obramowanie z pokancerowanych belek, pociemniałych od sadzy, a wyciosanych z drewna, które w szesnastym wieku stanowiło część kadłuba wojennego statku. Zachowałem także w pamięci układ skrzydła dla gości, które dobudowano w dziewiętnastym wieku, i plan ogrodu.

- Nie pootwieraliśmy wszystkich sypialni, ponieważ jest nas tylko troje - usprawiedliwiała się Ella, gdy szliśmy korytarzem o łukowym sklepieniu. - Nie licząc doktora Pé-tina. - Wskazała na drzwi. - Jacques i pani Clancy mieszkają we wsi. Uznaliśmy, że nie ma co otwierać i wietrzyć wszystkich pokoi dla paru osób.

Szedłem za nią, z zachwytem wsłuchując się w melodyjny głos.

- Doktora poznać później - oznajmiła. - Pewnie poszedł na przechadzkę. - Nie przestając mówić, zatrzymała się przed dębowymi drzwiami. - To wasz pokój. Pomyślałam, że umieszczę was razem, bo tu jest sucho. - Nacisnęła klamkę, jednocześnie przywołując nas do środka ruchem dłoni.

Ten pokój, dość dużych rozmiarów, z oknem wychodzącym na ogród, wydawał się bardziej zamieszkały od innych. Uderzył nas duszący zapach lawendy i bierwion płonących w kominku.

- Madame Clancy jest wielką zwolenniczką perfumowania sypialni - wyjaśniła Ella, podchodząc do pionowo przesuwanego okna. - Nie ma obawy, zaraz pozbędziemy się tego zaduchu - dodała, otwierając je.

Na dworze było chłodno, cisy na granicy ogrodu stały spowite mgłą. Ten ogród miał już za sobą swe najlepsze czasy. Kiedyś wzdłuż starannie wyznaczonych i wysypanych żwirem alejek rosły rzędy równo przy ciętych drzew. Teraz drzewa, wolne od ingerencji człowieka, rosły dziko. W tym ogrodzie, podobnie jak w

każdych ruinach, było coś złowieszczego, a zarazem romantycznie pociągającego.

- Obecnie mało tu bywamy - powiedziała cicho Ella. - To było ulubione miejsce mojej mamy. Kupili ten dom z tatą po ślubie. Pamela chyba za nim nie przepada. - Rozejrzała się po pokoju. - Ale tata nigdy by go nie sprzedał. - Westchnęła. - Pozwala, by niszczał, uważając, że wystarczy, jeśli pani Clancy zajrzy tu raz na tydzień.

- Lubisz ten dom? - zapytałem.

- Tak. - Spojrzała mi w oczy. - Ale nie lubię patrzeć, jak się zapada. O tej porze roku jest tu szczególnie ponuro.

Zgadzałem się z nią.

- Dłatego cieszę się, że przyjechaliście. - Uśmiechnęła się do nas obu. - Odpoczniecie po Pradze, no i dotrzemy sobie nawzajem towarzystwa.

Przytaknąłem i spojrzałem na Erica, lecz on stał odwrócony tyłem i patrzył na ogród. Nie mogłem dostrzec wyrazu jego twarzy, lecz gdy Ella mówiła coś o łazience i ręcznikach, zwróciłem uwagę na jego sztywno uniesione ramiona. Znów wziąłem to za oznakę znużenia, przecież prawie nie zmrużyliśmy oka ostatniej doby. Toteż gdy Ella zapytała, czy jesteśmy zmęczeni, powiedziałem, że jeśli chodzi o mnie, czuję się wyczerpany.

- Nic dziwnego po takiej podróży. - Zacisnęła szczupłe palce na mojej dłoni. - Może byście teraz trochę odpoczęli, a koło siódmej zeszli na drinka? Co wy na to?

- Cudownie - odparłem, myśląc z radością o czasie, który będę mógł spędzić z Ellą tak, jak oboje będziemy mieli ochotę.

Erie, nadal przy oknie, nie odezwał się ani słowem.

- W takim razie do siódmej. - Ella wyszła, po cichu zamykając za sobą drzwi.

Rozpakowywałem powoli rzeczy, rozglądając się rozmarzonym wzrokiem po pokoju. Czuję jeszcze w powietrzu lekkie zapachy Elli. Przy łóżku leżały francuskie powieści w eleganckich oprawkach, na staromodnej umywalce stała porcelanowa misa, a obok niej duży dzban w niebieskie kwiatki, prawdopodobnie niezapominajki. Haft na parawanie przy kominku przedstawiał postacie w dworskich strojach, spacerujące po różnym ogrodzie. W tym zapuszczonym obecnie miejscu można było dostrzec oznaki dawnej dbałości. Zastanawiałem się, jaką osobą była matka

Elli - kobieta, która wybrała meble do tego pokoju i położyła przy łóżku książki z myślą o gościach, którzy tu spali. Podszedłem do stojącego nieruchomo Erica i spojrzałem za okno. Od klombu z resztkami splątanych ze sobą kwiatów odchodziły ścieżki obsadzone cisowym żywopłotami, prowadzące do widocznego w oddali rzędu wysokich drzew. Na środku ogrodu stała fontanna. Gdy zatrzymałem na niej wzrok, ożyła niespodziewanie, a z otwartych żabich pyszczków popłynęły strumyczki wody.

- I co o tym myślisz? - zapytałem Erica, ale w odpowiedzi usłyszałem jedynie burknięcie, Zastanawiałem się, co jeszcze, oprócz zmęczenia, mogło być powodem zmiany jego nastroju. Ten ponurak przy oknie absolutnie nie przypominał wesołego kompana z pociągu. Pomyślałem, że być może przygnębiła go dziwna atmosfera tego domu, który tak różnił się od pełnego przepychu i barw mieszkania madame Mocsary na Sokolskiej 21.

- Idę na spacer - oznajmił Erie, odrywając się od okna.

- Mam pójść z tobą?! - zawołałem za nim, gdy był przy drzwiach. Zatrzymał się na chwilę, otworzył drzwi i spojrzał na mnie spod czarnych wzburzonych loków.

- James, to nie na moim towarzystwie ci zależy - rzekł cicho i zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, zaniknął za sobą drzwi. Usłyszałem oddalające się miarowe kroki na kamiennej posadzce korytarza.

Zostaliśmy w domu tylko ja i Ella. Przewyciężyłem chęć, by pójść zaraz do niej, tłumacząc sobie, że mamy mnóstwo czasu. Wziąłem gorącą kąpiel i ogoliłem się. Chciałem świeżo wyglądać wieczorem. Moje odbicie w lustrze dalekie było od wyobrażenia o tym, jak powinien wyglądać amant. Akurat gdy się ubierałem, Erie wrócił ze spaceru w zdecydowanie lepszym humorze i bardziej rozmowny. Z ożywieniem opowiadał o zalanym wodą kamieniołomie za ścianą drzew na końcu ogrodu. Zadowolony z korzystnej odmiany, przegadałem z nim pół godziny, które zostało do kolacji. Spotkaliśmy się na niej we troje w małym pokoju stołowym sąsiadującym z kuchnią. Pamiętam tamten posiłek - jedliśmy na starej porcelanie, a w kominku miło trzaskał ogień, jakby akompaniując naszej rozmowie. Byliśmy sami - tylko Ella, Erie i ja, bo doktora Petina wezwano na wieś do porodu i nie należało spodziewać się jego powrotu zbyt wcześnie. Pani Clancy przygotowała dla nas półmisek wędlin i mięs. Rozmawialiśmy o Pradze, o aukcji obrazów madame Mocsary i o kamieniołomie,

który Erie odkrył podczas spaceru.

- To stamtąd brano materiał na budowę domu - wyjaśniła Ella.
- Jest bardzo głęboki. Moja mama kazała go zatopić, by goście mieli coś w rodzaju basenu. - Popiła łyk wina. - Nie wiem, jak tam jest głęboko w tej chwili, bo część wody wsiąkała w grunt. Oczywiście, jeżeli macie ochotę, możecie sobie popływać, chociaż nie radzę tego robić w grudniu.

Erie nabrał chęci obejrzenia kamieniołomu przy świetle księżycy, a ponieważ doktor Petin jeszcze nie wrócił, uznaliśmy, że lepsza okazja ku temu może nam się nie trafić. Uzbrojeni w latarki, szliśmy zwirowymi ścieżkami pośród cisów. Z początku śmialiśmy się, bo atmosfera podczas kolacji bardzo nas rozluźniła, lecz stopniowo cichliśmy pod wrażeniem odrealnionego ogrodu. Ella odszukała moją dłoń i ścisnęła ją z całej siły, a Erie szedł przodem, oświetlając drogę. Na dużej połaci ziemi za ścianą cisów stały równe rzędy jabłoni. W ciemnościach ich konary majaczyły nad nami złowrogo.

- Idziemy do kamieniołomu przez sad - wyjaśniła mi szeptem Ella, kierując mnie na utwardzony grunt.

Wyszliśmy poza kolejną linię cisów i Erie zgasił latarkę. Staliśmy przez chwilę, nic nie widząc, i wtedy zza chmur wypłynął księżyc, a mnie przyszedł na myśl fragment z *idy lis of the King* Tennysona, poznany dawno temu w szkole. Było w nim coś o martwym jeziorze i o pięknie zimowego księżycy. Oto miałem przed sobą martwe jezioro i piękny, bł- dozłoty księżyc. Znaleźliśmy się nad opadającą pionowo ścianą kamieniołomu, a czarna tafla wody stała nieruchomo wiele metrów pod nami. Światło księżycy na bezchmurnym teraz niebie przemieniło krzaki w gobliny, a drzewa w olbrzymów. Nie odzywaliśmy się do siebie. Widziałem profil Erica: zarys jego wydatnego galijskiego nosa, linię zuchwy, pierścionki czarnej cygańskiej czupryny. A obok niego delikatną jak porcelanowa figurynka sylwetkę Elli. Jej biała skóra miała nieziemski połysk. Stałem pomiędzy nimi, ze wzrokiem na splecionych palcach Elli, bezwiednie obracających pierścionki.

Pamiętam, że zachwyciła mnie ta sceneria. Ale było w jej pięknie coś niepokojącego. Odosobnienie i nieskończona głębia kamieniołomu rozbudzały wyobraźnię. Kazały myśleć o potworach czających się przy grząskim dnie. Oderwałem wzrok

od dłoni i pierścionków Elli i wtedy zauważyłem, że Erie spogląda na mnie jakby z żalem. Przeniosłem spojrzenie na Ellę, wpatrzoną z kolei w Erica, lecz było zbyt ciemno, by odczytać wyraz jej twarzy. Moje oczy napotkały wzrok Erica, a wtedy on zapalił latarkę i czar przysł.

- Chodźcie - rzekł. - Jest mi zimno.

Erie ruszył stanowczym krokiem w stronę domu, a my potulnie podążyliśmy za nim.

Coś się zmieniło podczas tego spaceru. Nie padło ani jedno słowo; żadne z nas nie odezwało się po drodze, lecz kiedy dotarliśmy do domu, czuliśmy wyraźnie tę odmianę. Cisza między nami rodziła napięcie. Gdy po drodze do głównego wejścia mijaliśmy skrzydło dla gości, z ulgą stwierdziłem, że w pokoju doktora Petina pali się światło.

Ella minęła jego okna, zdając się tego nie zauważać.

- Nie chcę go teraz widzieć - powiedziała, spoglądając na mnie, gdy wchodziliśmy na stopnie. Dopiero teraz uderzyło mnie, że w powrotnej drodze nie szukała mojej ręki i uchyliła się, kiedy dotknąłem jej ramienia. - Muszę być rozmowna i radosna, bo w przeciwnym wypadku doktor nie wyśle tatusiowi i Pameli pozytywnego sprawozdania - wyjaśniła po chwili, siląc się na uśmiech. - Jutro was przedstawię. - Wpuściła mnie i Erica do holu, po czym pociągnęła zasuwę w ciężkich dębowych drzwiach. - To miejsce mnie przygnębia - zauważyła niespodziewanie, rozglądając się po mrocznym holu.

- Mnie też - przytaknąłem skwapliwie, żałując w duchu, że nie mogę być z nią sam na sam. Obecność Erica i nastrój, jaki ogarnął go w powrotnej drodze, wprawiły mnie w zły humor.

- A ja uważam, że tu jest pięknie. - Głos Erica zabrzmiał w półmroku nienaturalnie głośno. Stał ledwo widoczny przy dogasającym kominku.

- Nie udawaj chojraka! - rzuciłem, zaskoczony swym ostrym tonem.

- A co, boicie się duchów? - zażartował.

Widziałem, że Ella zastanawia się, jak odczytać kpinę w jego głosie.

- Masz rację, to niemądre - odparła z wahaniem. - Oby nie przyśniły się wam żadne koszmary. Dobranoc. - Cmoknęła mnie w policzek i skierowała się do wyjścia.

Podążyłem za nią, ale zatrzymała się na progu i pokręciła

głową. Stałem na środku holu zdeorientowany, ona tymczasem zniknęła za drzwiami.

- Chodź, czas spać - zwróciłem się do Erica. Ogarnęła mnie irytacja.

- Jesteś pewien, że to ze mną chcesz spędzić tę noc? - wycedził.

- Zamknij się!

W milczeniu poszliśmy do naszego pokoju. Na świeżo oczyszczonym palenisku płonął żywy ogień. Znowu całe pomieszczenie przesycone było zapachem lawendy - niewątpliwy znak, że zajrzała tu pani Clancy. Rozbieraliśmy się w milczeniu i po chwili znaleźliśmy się w łózkach. Wsunąłem się w wykrochmaloną, chłodną pościel.

- Kolorowych snów - rzekłem.

- Nawzajem.

Eric zgasił światło, zostawiając mnie z moimi myślami o Elli. Długo nie mogłem zasnąć. Byłem rozczarowany, że tę pierwszą noc po naszym spotkaniu spędzam samotnie.

Tak zakończył się ten pierwszy wieczór.

20

Następny dzień był znacznie pogodniejszy od poprzedniego. Szron pokrył ziemię, a powietrze było zimne i czyste, Obaj z Erikiem wstaliśmy wcześniej i pierwsi zeszliśmy do jadalni, gdzie rozmowna Francuzka (jak przypuszczałem, pani Clancy) podała nam rogaliki, snując ponure przepowiednie co do pogody. Gospodyni mówiła bardzo szybko, dziwnie akcentując słowa. Poprosiłem Erica wzrokiem, by mi tłumaczył.

- Mówi, że się ochłodzi - powiedział. - Że będzie bardzo zimno. I że Ella poszła na spacer i niedługo powinna wrócić.

Akurat kiedy to powiedział, do jadalni weszła Ella z policzkami jak dwa czerwone jabłuszka.

- Cześć, chłopaki! - zawołała radośnie, unikając przy tym mego wzroku.

- Dzień dobry - odpowiedziałem naburmuszony po odpawie udzielonej mi poprzedniego wieczoru.

Ella puściła mój nadęty ton mimo uszu.

- Dobry doktor Petin schodzi na kawę i rogalika zazwyczaj około dziewiątej - oznajmiła. - O właśnie. To chyba on.

Do jadalni wszedł nieśmiało mężczyzna w średnim wieku. Nieco zaokrąglony i znacznie bardziej niż nieco łysiejący, ukrywał braki

w owłosieniu, korzystając z wianuszka siwa- wych długich kosmyków okalających czaszkę.

- Dzień dobry, Ello. - Doktor pozdrowił ją łagodnym głosem, jakim przemawia się do niesfornego dziecka. - Mam nadzieję, że dobrze spałaś? - Angielszczyzna doktora była perfekcyjna.

- Wspaniale - odparła pogodnym, jak sądziłem, wystudiowanym tonem, nalewając mu kawy i przedstawiając nas.

Wymieniliśmy grzeczności.

- Bardzo się cieszę - zwrócił się ponownie do Elli. - To bardzo ważne, byś solidnie wypoczęła, zanim wrócisz do Londynu. - I odwracając się do mnie i Erica, dodał, pukając pulchnymi palcami w stół dla podkreślenia wagi swych słów: - Odpowiednia ilość snu, odpoczynek i ubieranie się ciepło to, panowie, podstawowe zasady, jakie wyznaję.

Zajął miejsce przy stole i szybko, jeden po drugim, pochłonał cztery rogaliki.

Po śniadaniu Ella gdzieś zniknęła i do południa nie udało mi się zamienić z nią ani słowa na osobności. Z konieczności sekundowałem doktorowi Petinowi i Ericowi przy partyjce szachów. Zasiadli do nich w „salonie” - dużym, kwadratowym pokoju z wysokimi oknami wychodzącymi na żwirowe alejki ogrodu. Przysiadłem na jednej z kanap i od czasu do czasu obdarzałem mych towarzyszy uśmiechem, by utrzymać ich w przekonaniu, że obserwuję grę z zainteresowaniem, tymczasem bezustannie błądziłem myślami przy Elli. W pewnej chwili spostrzegłem ją na tle cisów, przeprosiłem więc moich towarzyszy i czym prędzej wyszedłem na dwór. Dogoniłem Ellę przy fontannie; szła energicznym krokiem do domu, owinięta szczelnie w obszerny męski płaszcz, z jasnoniebieskim szalikiem na szyi, zapewne należącymi do ojca. Zatrzymała się na mój widok.

- Hej! - odezwała się po chwili.

- Hej!

Wykonała taki ruch, jakby miała zamiar odejść, lecz przytrzymałem ją za rękaw.

- Dlaczego traktujesz mnie, jakbym był kimś obcym? - zapytałem z wyrzutem, nie ukrywając nastroju, w jaki wpędziła mnie bezsenna noc. - O co chodzi?

Przez chwilę nieruchomo wpatrywała mi się w twarz.

- Nie wiesz? - zapytała powoli i odwróciła spojrzenie.

Pokręciłem przecząco głową. Podniosła oczy i przyglądała

mi się badawczo. Chyba przekonała ją moja bezradna mina, bo zaczęła szukać papierosów po kieszeniach. Patrzyłem z nieukrywaną fascynacją, jak wkłada papierosa do ust i zapala go. Potem zaciągnęła się głęboko i wydmuchnęła dym do góry, odchylając głowę do tyłu. Śledziłem strużkę dymu, aż rozpląnęła się nad nami w chłodnym, krystalicznym powietrzu.

- Powiedz mi - poprosiłem ją po prostu.

Odwróciła się ode mnie. Serce zabiło mi z niepokoju, bo odgadywałem, że się waha.

- Dobrze - powiedziała wreszcie, jakby podejmując jakąś decyzję. - W takim razie chodź ze mną.

Ruszyła ścieżką pomiędzy drzewami. Szedłem za nią, czując ulgę, że za dnia sad prezentuje się malowniczo i swojsko, a jabłonie wyglądają jak zwykłe drzewa. Warstewka szronu na trawie połyskiwała w słońcu, skrzypiąc pod naszymi butami, gdy zboczyliśmy na pole. Teraz już wiedziałem, że Ella prowadzi mnie nad kamieniołom i kiedy weszła między drzewa oddzielające go od sadu, przebiegł mnie lekki dreszcz wywołany wspomnieniem poprzedniego wieczoru. Lecz kamieniołom, podobnie jak sad, w świetle dnia wyglądał zupełnie niegroźnie. Miałem przed sobą zwykły staw z mętną wodą. Przy brzegu stała ławka, której wczoraj nie zauważyłem. Ella usiadła na niej, wskazując mi miejsce obok siebie.

Zapaliła nowego papierosa i w zamyśleniu zaciągnęła się dwa razy. Odczuwałem dzielący nas dystans, którego powodu nie potrafiłem zrozumieć.

- Dlaczego? - ponowiłem pytanie, tym razem znacznie łagodniej.

- Co dlaczego? - Odwróciła się do mnie gwałtownie.

Oblałem się rumieńcem, lecz opanowałem zmieszanie.

- Dlaczego odesłałaś mnie wczoraj, nie pozwalając zostać ze sobą? - Wziąłem ją za rękę. Nie wyrwała jej, ale i nie odpowiedziała na mój uścisk. - Od tak dawna cię pragnę. Tyle czasu byliśmy rozdzieleni. Nie pisałem z Pragi, bo sobie nie życzyłaś. Teraz...

Oswobodziła dłoń i uniosła ją w geście nakazującym milczenie.

- Ty naprawdę nie rozumiesz dlaczego, prawda? - zapytała drżącym głosem, ignorując wszystko, co powiedziałem.

Spojrzałem jej w twarz. Malowała się na niej czułość po-

mieszana chyba z ironią. Jeszcze raz zaprzeczyłem ruchem głowy i spojrzałem przed siebie. Kiedy ponownie skierowałem wzrok na nią, z przerażeniem stwierdziłem, że jest bliska płaczu. Spozrzęgała, że to zauważyłem, i zacisnęła usta.

- Nie wiem, jak można być tak naiwnym - powiedziała spokojnym, beznamiętnym głosem.

- Co?

- Chyba słyszałeś.

Teraz już nie było czułości w jej twarzy.

- Dlaczego uważasz, że jestem naiwny? - spytałem potulnie.

- Szczerze chcesz, żebym ci powiedziała? - zapytała, patrząc mi prosto w oczy.

- Oczywiście.

- Naprawdę się nie domyślasz?

- Słowo daję.

- No dobrze. - Westchnęła głęboko. - Erie jest w tobie do szaleństwa zakochany - wycedziła, akcentując sylaby.

Tamte jej słowa dźwięczą mi teraz w głowie, widzę, jak wpatruje się w moją twarz. Pamiętam swoje zaskoczenie i jej zdumioną minę, gdy wybucham śmiechem. Śmieję się, bo rozwiła moje obawy, że między nami zaszło coś złego, a także dlatego, że źle odczytała uczucia Erica.

- Bzdura - odparłem.

W tej samej chwili stanęły mi przed oczami różne sytuacje, jakie zdarzały się między mną i Erikiem - niedopowiedzenia, niejasne sugestie, nie odczytane spojrzenia, półśmiechy.

- Bzdura - powtórzyłem, trochę mniej pewnie.

- Wcale nie - zaprzeczyła spokojnie, nie odrywając wzroku od mojej twarzy. - On nie może patrzeć na nas razem. Nienawidzi mnie, bo jest zakochany w tobie. Wodzi za tobą oczyma, gdy myśli, że tego nie widzę.

- Nonsens.

- James, dobrze wiesz, że mam rację.

Siedziałem jak skamieniały, bo zaczęło mi świtać, że chyba rzeczywiście tak jest.

- Jak to po nim poznałaś? - zdobyłem się na pytanie.

Wyrzuciła do stawu na wpół wypalonego papierosa.

- Kobiety wyczuwają takie sprawy - odrzekła cicho po namyśle. - Już w Pradze nasunęły mi się podejrzenia, ale zbagatelizowałam je. Pomyślałam, że może moja obecność drażni

go z jakichś innych powodów. Ale wczoraj wieczorem nie miałam wątpliwości. Stojąc tu, przy tej ławce, zrozumiałam, że się nie myślę. Dlatego z tobą nie spałam. - Kiedy to wyznała, coś się w niej załamało. - Ty też o tym wiesz, Jamie - powiedziała drżącym głosem, znowu bliska płaczu. - Wiesz, że on cię kocha. Być może nie dopuszczasz do siebie tej myśli, ale podświadomie wiesz o tym.

- Skoro ja go nie kocham, jaki wpływ mają uczucia Erica na to, co jest między nami? - zapytałam przez ściśniętą krtani.

- A skąd wiesz, czy ty go też nie kochasz? - zapytała chłodno, prostując się i patrząc mi w oczy.

- Co?!

- Skąd wiesz, że go nie kochasz?

- Po prostu wiem.

- Nie, wcale nie wiesz. - Ella nie spuszczała ze mnie wzroku.

- To, że nie chciałeś przyjąć do wiadomości uczucia Erica, dowodzi, jakim lękiem cię ono napawa. - Westchnęła głośno. - Nie przyznałbyś się sam przed sobą, że on cię kocha ani też że istnieje możliwość, iż odwzajemniasz to uczucie, bo zawsze ci mówiono, że coś takiego jak miłość między mężczyznami nie istnieje.

- Ja...

Przerwała mi ruchem ręki.

- Jesteś przerażony, i tyle - ucięła i znowu usłyszałem tę ironiczną nutkę w jej głosie. Odwróciła się do mnie i powiedziała, podkreślając dobitnie każde słowo: - Zanim wrócimy do tego, co było między nami, muszę mieć pewność, że to mnie pragniesz.

- Pragnę ciebie. - Sięgnąłem po jej rękę, ale cofnęła ją.

- Nie wiesz tego na pewno.

- Ależ wiem.

- Wcale nie. I nie możesz podjąć świadomej decyzji, o ile...

- Ello, ja nie jestem... taki - przerwałem jej.

- Jak możesz być o tym przekonany, jeżeli nie weźmiesz pod uwagę takiej możliwości?

- Ja...

- Nie mam zamiaru być twoim bezpiecznym wyborem, James.

Zrezygnowany, patrzyłem na nią z niedowierzaniem.

- Czy usiłujesz dać mi do zrozumienia, że powinienem się sprawdzić?

- Właśnie tak.

Chciałem pochwycić jej spojrzenie, lecz wpatrywała się w kamieniołom i nie miała zamiaru spojrzeć w moją stronę.

- Jesteś szalona. Kompletnie szalona - powtarzałem.

Drżenie jej ramion odpowiedziało mi, że ugodziłem ją w czuły punkt.

- Nigdy więcej tak do mnie nie mów - wyszczała.

- Ale...

- Żadne ale. Nie mów tak więcej, i już.

Pokiwałem pokornie głową, zdruzgotany jej gniewem.

Wpatrywałem się w nią w milczeniu, licząc na jakieś wyjaśnienia, lecz ona podniosła się z ławki, wyraźnie uznając rozmowę za zakończoną.

- Nie mogę darzyć miłością uczuciowego asekuranta - oświadczyła, powoli cedząc słowa.

Zmagając się z ogarniającym mnie oszołomieniem, zapytałem, co ma na myśli.

- Dokładnie to, co powiedziałam.

Czułem dudnienie krwi w skroniach.

- Mam to sprawdzić? - zagubiony, wydusiłem z siebie.

- Tak - odparła po chwili wahania i odwracając się ode mnie, dodała: - Chcę mieć pewność, że świadomie chcesz być ze mną. że nie jestem tylko bezpiecznym wyborem i że znasz siebie i swoje pragnienia.

- Jak mam dać ci tę pewność? Jak mogę cokolwiek udowodnić, skoro nie wierzysz w moje zapewnienia?

Milczała chwilę.

- Wystarczy, jeśli go pocałujesz - oznajmiła cicho. -

Sprawdzisz, jakie odczucia obudzi w tobie ten pocałunek, i będziesz wiedział, czy tak naprawdę zależy ci na mnie.

Powiedziawszy to, szybko odeszła. Słyszałem chrzęst żwiru pod jej butami, kiedy wchodziła między drzewa. Siedząc jak wmurowany, odprowadzałem wzrokiem jej znikającą sylwetkę.

Patrzę na tamtego chłopaka na ławce jak na kogoś obcego. On nie słyszy mego wołania, nie przykłada wagi do ostrzeżeń. Targany sprzecznymi uczuciami, siedzi oniemiały, kiedy daję mu znaki.

Przekonuję go, by nie brał dosłownie słów Elli,

by raczej skupił się na podtekście. Ten chłopiec mnie nie słyszy, bo przecież to niemożliwe. On jest zagubiony i nieszczęśliwy, a gonitwa myśli przyprawia go o zawrót głowy. Ten chłopak spada,

leci na łeb, na szyję w wirujący odmęt, nic nie rozumiejąc. Skacząc, chwytą się rąbka nadziei, jaką daje mu nieprzemyślane rozwiązanie. Łapie się go kurczowo, bo widzi w nim ratunek dla siebie - mylnie wierzy, że dzięki niemu utrzyma się na powierzchni.

Wołam do tego chłopaka poprzez dzielące nas pięćdziesiąt lat, bo wiem, że nie powinien był spełnić żądania Elli. Powraca do mnie jej obraz w tamtej kawiarni w Pradze. Słyszę, jak mówi, że trzeba być ogromnie odpornym psychicznie, by przetrwać sesję z wytrawnym psychiatrą. Że lekarze, bombardując mnóstwem pytań, potrafią sprawić, iż człowiek zaczyna wątpić w samego siebie i tych, co go otaczają. Lecz tamten chłopiec mnie nie słyszy. Siedzi zrezygowany, gdy przekonuję go, że kiedy grzeszymy, musimy brać pod uwagę, iż tym, których kochamy, także zdarza się zgrzeszyć. Przecież Ella, odbijając Sarze ukochanego, wyrządziła sobie tyle samo szkody co kuzynce.

Tłumaczę temu młodzieńcowi, że jego ukochana kiedyś popełniła grzech niełojalności i od tamtej chwili żyła w potwornym strachu, że ci, których kocha, okażą się niełojalni w stosunku do niej. To lęk sprawił, iż Ella mnie odepchnęła - to właśnie obawa kazała jej poddać moje przywiązanie takiej okrutnej próbie. Teraz pojmuję, że Ella, nadużywając zaufania innych, sama straciła ufność w stosunku do ludzi i moje serce krwawi z bólu na myśl o tej kruchej dziewczynie, której jedynym pragnieniem była bezgraniczna wiara w moją miłość.

Przeklinam bezwzględny los za to, że nie otworzył mi oczu na fakt, iż istnieją takie postęпки, których nawet miłość nie usprawiedliwia.

Widzicie, brakowało mi mądrości i doświadczenia. Byłem dzieckiem biorącym udział w grze dla dorosłych. Młodość i słabość sprawiły, iż przekonała mnie logika braku poczucia bezpieczeństwa Elli. Tam, na tej ławce, uwierzyłem, że stoję przed wyzwaniem, że jeśli mam udowodnić mojej ukochanej, ile jestem wart, muszę przejść test, jaki mi wyznaczyła. Siedząc tam, czułem, że nie zniosę kpiącego wyrazu jej zimnych zielonych oczu. Skąd mogłem wtedy wiedzieć, że to, co odczytałem jako ironię, było zwykłym strachem. Przecież moja ukochana też była zaledwie dzieckiem, grającym w grę dla dorosłych. Aby udowodnić moje zaangażowanie, mogłem przecież wybrać sposób inny niż ten, na jaki się w końcu zdecydowałem. Kiedy świat wirował mi przed

oczyma, a wszelkie ideały związane z przyjaźnią i wiarą pokładaną w drugiego człowieka traciły wartość w obliczu jej żądania, nie wiedziałem, że test, jaki mi wyznaczyła, jest niczym innym jak reakcją dumnego charakteru na strach przed klęską, nawet jeśli ta klęska była tylko wytworem wyobraźni. Nie miałem pojęcia, że tak naprawdę Ella żądała ode mnie dowodu przywiązania, a nie pokazu, na co potrafię się zdobyć w stosunku do innych.

Dużo prawdy jest w twierdzeniu, że ci, którzy wiele dają, spodziewają się wiele otrzymać, a ci, którzy wiele biorą, boją się, że i im wiele zostanie odebrane. Ella odbiła Sarze ukochanego mężczyznę i od tego czasu nigdy nie była nikogo do końca pewna. Kierował nią strach, że jeśli jej udało się zabrać Sarze Charlesa, tak samo mnie można będzie odebrać jej. Strach może wyrządzić wiele zła. Teraz to rozumiem. Według Elli jedynym sposobem, żeby mnie sprawdzić, było odepchnąć mnie, a potem pozwolić mi wrócić na jej warunkach. Ella była bardzo młoda, a Erie - ten dobry, prostoduszny Erie - akurat nawinął się jej pod rękę, więc on i jego miłość do mnie stały się narzędziem, które wybrała. A ja, pod wpływem miłości do niej, doprowadzony do rozpaczyci chłodem w jej oczach, w których nie dostrzegałem ani strachu, ani słabości, zdecydowałem się na zadanie, jakie mi wyznaczyła. Postanowiłem przyjąć jej wyzwanie i przekonać ją o mojej miłości.

To był początek mojej zguby, mojej zbrodni. I tak jak postępek Elli ukształtował jej późniejszy los, tak moje życie zostało zdeterminowane w tamtym jednym momencie. Siedząc na zardzewiałej ławce nad zalany kamieniołomem, postanowiłem poświęcić dla miłości do Elli ceną przyjaźń i szacunek do samego siebie, A najgorsze w tym wszystkim było to, iż uważałem, że nie potrafię żyć bez tej miłości, że nie ma takiej rzeczy, której nie byłbym gotów dla niej złożyć w' ofierze,

Oczywiście nie miałem racji. Żadna miłość nie jest tego warta. Nie wolno rezygnować z własnego ja dla drugiej osoby. Lecz wtedy tego nie wiedziałem. I chociaż podejrzewałem, ile zła mogę wyrządzić, przyjmując wyzwanie Elli, odepchnąłem wszelkie skrupuły. Moje myśli skupiły się wyłącznie na zaspokojeniu własnych pragnień i na nagrodzie w postaci odzyskanego zaufania Elli. Byłem zbyt młody, by wiedzieć, że to zaufanie można było odbudować w inny sposób. Nie rozumiałem, iż Ellą powodował lęk przed zdradą, a nie przed niepewnością uczuć. Tam nad kamieniołomem nie zorientowałem się, że właśnie miałem ostatnią

szansę, by oboje nas uratować.

Wtedy nie uświadomiłem sobie tego, podniosłem się więc z ławki i poszedłem szukać Erica. Siedział sam w salonie i czytał książkę. Gdy dotknąwszy jego ręki, oświadczyłem, że powinniśmy wyjechać, przebiegł mnie pierwszy dreszcz zdrady. Pamiętam, jak bardzo go zaskoczyłem - otworzył szeroko te swoje brązowe oczy i chciał zaprotestować, lecz natychmiast słowa sprzeciwu zamarzył mu na ustach, a wyraz zdumienia przeszedł w zrozumienie. Pod wpływem radości i nieoczekiwanej nadziei zerwał się z fotela i poszedł spakować rzeczy. Przed wyjazdem widziałem się z Ellą tylko przez chwilę. Pocałowałem ją na do widzenia z pasją graniczącą z furją - uczuciem, jakiego dotąd u siebie nie znałem. Ten pocałunek przestraszył ją, co mnie z kolei ucieszyło. Chciałem, by poczuła we mnie te siły, które sama wzbudziła, pragnąłem, by przeżywała obawę, iż być może nie wrócę, by nie była pewna wyniku testu. Zależało mi na tym, by po pomyślnym przejściu przez test rozbudzić w niej jeszcze większe zaufanie do mnie. Teraz, siedząc tu w tym lodowatym pokoju, z trudem o tym mówię.

21

Na dworze panuje chłód, słońce zanurza się w bure fale Atlantyku, zapada zmierzch. Pierwszy raz mam ochotę przerwać opowiadanie. Po raz pierwszy słowa wyznania grzęzną mi w gardle i nie mogę wydobyć głosu. Aż do tej chwili chłopiec, którego historię opowiadam, był niewinny - może trochę uparty i na pewno słaby, ale przy tym prostolinijszy i naiwny. Od tego momentu już taki nie będzie. Nie będzie miał prawa twierdzić, iż nie wiedział, co robi, nie będzie mógł wykręcić się od odpowiedzialności za to, co zrobił. A ja muszę żyć z konsekwencjami jego czynu. Całe życie upłynie mi na przeżywaniu tamtych zdarzeń, a jednocześnie na próbach wykreślenia ich z pamięci. Teraz muszę sobie wszystko dokładnie przypomnieć; przywołać obrazy, które z pomocą Sary tak skutecznie pogrzebałem; prześledzić myśli i motywy, które uznałem za wymazane z pamięci; uodpornić się na śmiech Erica, który do dziś zdarza mi się słyszeć w snach. Obawiam się, że jego szczery, donośny śmiech będzie najtrudniejszym ze wspomnień. Erie ofiarował mi miłość czystą, serdeczną i bezinteresowną, natomiast ja nadużyłem jej z zimnym wyrachowaniem. A potem

przez całe życie usiłowałem o tym zapomnieć, wymazać to z pamięci. Jestem winien Ericowi opowiedzenie tej historii do końca, bez pomijania żadnych wstydliwych szczegółów. Nie mam prawa niczego zataić, bo moja szczerłość jest jedynym zadośćuczynieniem. Nie mam co do tego wątpliwości.

Moje pierwsze wspomnienie dni po wyjeździe od Elli dotyczy podróży pociągiem. Jechaliśmy do Vaugirard, do rodziny Erica. (Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby akurat tam się wybrać). Pamiętam tę podróż, bo bardzo różniła się od naszej jazdy z Pragi. Już nie przypominałem tamtego podekscytowanego chłopaka, który rozradowany i z głową pełną marzeń o szczęśliwej przyszłości, zaledwie dzień wcześniej jechał do swojej dziewczyny. Stałem się inny, bo rozumiałem znaczenie uśmiechów, jakie posyłał mi Erie, na które mu zresztą odpowiadałem. Nie miałem wątpliwości, że Ella miała rację, a także (do czego niechętnie się przyznaję) wiedziałem, że pomyślnie przejdę test. Staram się dokładnie odtworzyć, co wtedy czułem i myślałem i czy brałem pod uwagę ewentualne konsekwencje tego, co zamierzałem zrobić, a także czy się nimi przejmowałem. Każdą moją myślą sterowało wspomnienie obojętnych i kpiących oczu mojej ukochanej podczas rozmowy nad kamieniołomem. Pragnąłem, by za moją sprawą roziskrzyły się na nowo i patrzyły na mnie z aprobatą. Chciałem raz na zawsze udowodnić Elli, że mam wszelkie zalety, na których jej zależało. Uważałem, że zdany test scementuje naszą miłość, a za tę cenę byłem gotów ponieść każde ryzyko.

Wstyd mi teraz, jak łatwo pod wpływem Elli przekreśliłem przyjaźń z Erikiem. Chociaż wcale nie jestem pewny, że tak wtedy uważałem. Teraz kiedy o tym mówię, przypominam sobie te wszystkie wybiegi, do jakich się uciekałem, aby pozbyć się wątpliwości, które mogłyby osłabić moją determinację. Pamiętam, jak mój opętany umysł bronił się przed skrupułami. Nauczyłem się patrzeć na Erica jak na dwie osoby - tego dobrze mi znanego i tego drugiego, którego zamierzałem wykorzystać. Udało mi się z takim powodzeniem rozszczepić jego naturę na zmysłową i platoniczną, że w końcu obie osobowości zaczęły w moim umyśle istnieć niezależnie - co prawda powiązane ze sobą, lecz zarazem odległe,

Erica kochanka nie znałem i nie chciałem znać. Z maniackim uporem myślałem o nim nie jak o osobie obdarzonej uczuciami, lecz jak o trofeum, które muszę za wszelką cenę zdobyć. Problem

lojalności, a nawet płci nie liczył się w obliczu mojej determinacji, by wyjść z próby zwycięsko. Oczywiście Erica przyjaciela nie mogłem w ten sposób traktować, bo był człowiekiem, którego dobrze znałem. To do niego w każdej innej sytuacji, oprócz właśnie tej jednej, mogłem się zwrócić o radę, to z nim śmiałem się, upijałem, kłóciłem i pracowałem podczas trzech szalonych miesięcy w Pradze. Z niego nie mogłem uczynić swej ofiary i dlatego musiałem oddzielić go od tamtego pierwszego Erica, by względ na przyjaźń lub łączące nas dzieje nie mógł stanąć mi na drodze do zwycięstwa. Z zimnym wyrachowaniem odseparowałem Erica kochanka od Erica przyjaciela i jak Judasz przystąpiłem do swej zdradzieckiej roboty, zanim jeszcze pociąg wtoczył się na stację w Vaugirard. Uśmiechałem się do niego fałszywie, rzucałem wymowne spojrzenia, pod którymi w rzeczywistości nic się nie kryło. Wiedziałem, że muszę działać szybko, bo nie przypuszczałem, iż potrafię zbyt długo wytrwać w swoim zamiarze. Po prostu znieczuliłem swój umysł, nic więcej. Uznałem, słusznie zresztą, że to wystarczy, by osiągnąć zamierzony cel. A gdy budziło się moje sumienie, byłem do tego stopnia obłudny, by wmawiać sobie, że to sam Erie sprowokował to rozszczepienie osobowości, z którego po mistrzowsku zrobiłem użytek. Powtarzałem sobie w duchu, że przecież nigdy nie dał mi do zrozumienia, jakie uczucia do mnie żywi, ani też w sposób otwarty i szczerzy o nich nie powiedział, tak bym mógł wzbogacić naszą przyjaźń chociażby o wiedzę na temat tego, co się w nim działo. Powtarzałem te argumenty tak często i z takim przekonaniem, że prawie w nie uwierzyłem. Starałem się zapomnieć o sygnałach i aluzjach, jakie mi dawał, bo wiedziałem, że żadna zdrada przyjaźni nie może się zbyt długo opierać racjonalnej analizie.

Do Vaugirard zajechaliśmy przed wieczorem, a na stacji pojawiła się siostra Erica. Sylwia była masywną, przedwcześnie postarzałą kobietą, w której twarzy nos i zuchwa Vaugirardów stanowiły dysonans z sennymi oczami oraz układem ust zdradzającym brak zdecydowania. Sylwia pocałowała Erica, mnie zaś podstawiała policzek do pocałunku, a potem wskazała na zaparkowanego w pobliżu starego czerwonego Citroena. Kiedy wyjeżdżaliśmy z parkingu, zapytała mnie poprawnym, aczkolwiek niezbyt płynnym angielskim, czy podobało mi się w Pradze,

- Bardzo - odpowiedziałem.

- Też miałam wielką ochotę pojechać do Pragi. Mogłoby być cudownie - oznajmiła. - Ale nie pozwoliły na to obowiązki - dodała po chwili i popatrzyła z wyzwaniem na brata, który zignorował jej spojrzenie.

Potem jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Minęliśmy nowoczesną dzielnicę mieszkaniową rozrastającego się miasteczka i wjechaliśmy w brukowane uliczki, zapewne pamiętające średniowiecze. Na wzgórzu dominującym nad całą miejscowością pysznił się zamek, przypominający stylem i wielkością fortecę, który z dumą wskazano mi jako rodzinną siedzibę.

- Oczywiście teraz już do nas nie należy - wyjaśniła Sylwia, kiedy zatrzymaliśmy się na światłach. - Ale rodzina nadal istnieje. Zawsze w Vaugirard będzie można znaleźć Vaugirardów.

Wtedy przyszedł mi na myśl inny zamek, o wiele wspanialszy od tego i inny głos mówiący o ciągłości tradycji i poczuciu obowiązku.

Louise Yaugirard przywitała mnie z otwartymi ramionami i podjęła obfitą kolacją. Rodzina mieszkała w kamienicy na starym mieście. Budynek, wciśnięty pomiędzy inne kamieniczki, z zewnątrz wydawał się mały, ale w rzeczywistości w środku znajdowało się sporo pomieszczeń biegnących w amfiladzie o niskich sufitach. Kamieniczka o wąskiej fasadzie była bardzo głęboko osadzona; rozbudowywano ją powoli, wykorzystując podwórze na jego tyłach, tak że obecnie pozostał tam jedynie mały trawnik.

- Latem gramy tutaj w krykieta - powiedziała Louise, wskazując na kawałek zieleni. - Szkoda, że przyjechałeś w zimie. Obawiam się, że pogoda nie będzie najlepsza.

Wcale mi nie zależało na leniwym spędzaniu letnich popołudni w otoczeniu rodziny Erica i z wdzięcznością spojrzałem w zachmurzone niebo: Przezuwałem, że trudno będzie mi utrzymać rozdwojenie jaźni wobec Erica w pieleszach jego własnego domu, przy troskliwej opiece rodziny Vaugirardów. Odparłem więc, że pogoda nie może być gorsza niż w Anglii. Zastanawiałem się w duchu, dlaczego dałem się tutaj przywieźć, lecz zaraz z ulgą pomyślałem, że przyrzekłem zostać tylko pięć dni. Być może przez pięć dni narkoza w moim mózgu się utrzyma. Za dłuższy czas nie mogłem ręczyć, bo na łonie rodziny Erica środek odurzający mógłby przestać działać.

Sylwia poszła do siebie, by przygotować jedzenie dla męża i

dzieci i wtedy w domu zjawił się ojciec Erica. Uroczyście i z godnością uściśnął dłoń synowi, a potem mnie. Erie senior był potężnie zbudowany i miał duże dłonie, w których uścisku było coś władczego. Kiedy Erie stał obok niego, trudno było nie zauważyć, że mimo podobieństwa do ojca, jego rysy były łagodniejsze dzięki genom matki, podczas gdy wydatny nos i mocna szczęką starszego pana miały w sobie coś karykaturalnego. Erie senior był łagodnym olbrzymem. Podczas kolacji siedział cicho i nie wtrącał się do rozmowy zdominowanej przez Louise i tylko od czasu do czasu obdarzał mnie gościnnym uśmiechem. Kiedy jednak przenieśliśmy się na górę, na kawę, odciągnął mnie na stronę.

- Chciałbym ci podziękować za wszystko, co zrobiłeś dla naszej rodziny - odezwał się głębokim, chropawym głosem. - Erie bardzo cię chwali, podobnie jak wszyscy, którzy poznali cię w Pradze,

Stanął mi przed oczami mecenas Kierczyński i Paweł Tomasz. I tknęła mnie taka myśl, że ci ludzie nadal żyją w swoim świecie, a jeszcze tak niedawno odgrywali w moim życiu dość istotną rolę. Ojciec Erica mówił po angielsku powoli, z mocnym francuskim akcentem, ale bezbłędnie pod względem gramatycznym.

- To była dla mnie przyjemność - odparłem. - I zaszczyt.

- A obrazy były ciekawe, tak?

- Fascynujące.

- Tak. Wielka szkoda, że nie mogliśmy zatrzymać niektórych z nich. Ale po co mi obrazy? - Uśmiechnął się i pokiwał głową, a ja odwzajemniłem uśmiech, z całej siły starając się go nie polubić.

Nie wiem, dlaczego rozdrabnam się, zdając relację ze zwykłej wymiany uprzejmości. Prawdopodobnie robię to, by odwlec przejście do właściwej części opowieści. Ze wstydem zatrzymuję się wspomnieniami przy rodzinie Vaugirardów, ich codziennym życiu i naturalności, z jaką przyjęli mnie w swoim domu. Ta ich serdeczna akceptacja czyni moją zdradę jeszcze bardziej obrzydliwą. Ja, który zamierzałem wyrządzić ich synowi krzywdę i myślałem o złożeniu go w ofierze na ołtarzu miłości do innej osoby, byłem przez nich mile widziany. Przyjąłem tę gościnność obłudnie i podstępnie, podobnie jak zapewne Judasz przyjął zaproszenie Chrystusa na Ostatnią Wieczerzę. Byłem przyjacielem ich syna i to stanowiło dla nich wystarczający powód, by traktować mnie jak członka rodziny. Przebywałem pod ich dachem, dzielili

się ze mną jedzeniem i winem, zapraszali do rozmowy, nie przeczuwając, że mają wśród siebie zdrajcę. A ja niby przyjacielski, cały czas broniłem się, by wdzięk Louise i niezdana uprzejmość Erica seniora nie wzbudziły we mnie sympatii. I pod tym względem również okazałem się dwulicowy - zachowywałem się jak ich przyjaciel, chociaż nim nie byłem, wzbudzałem ich zaufanie, a przecież na nie nie zasługiwałem. Odgrodziłem się od nich, bo wiedziałem, że nie wolno mi się do nich zbliżyć.

Byłem bezwzględny w oszukiwaniu Vaugirardów i potraktowałem ich nieludzko, ponieważ inaczej nie byłbym w stanie przeprowadzić swego planu. Nigdy dotąd nie zachowałem się tak haniebnie. Ogarnia mnie wstyd, gdy przypominam sobie ich uśmiechnięte twarze czy wspominam dania Louise lub wino jej męża. Te kolacje u Vaugirardów powracają do mnie w snach. Słyszę, jak śmiejemy się, tyle tylko, że mój pozbawiony radości śmiech brzmi płytko i sztucznie.

Wcale się tym nie chępię, ale realizacja mego planu okazała się niezmiernie łatwa. Zdecydowałem się na działanie wieczorem drugiego dnia pobytu, bo uprzejmość Vaugirardów rozbrajała mnie i nie wiedziałem, jak długo potrafię wytrwać przy swym zamiarze. Widzicie, wiedziałem, że istnieją granice zdradzieckiego postępowania, dlatego nie chciałem wystawiać się na próbę. Tak więc podczas drugiej kolacji, równie długiej i obfitej jak ta pierwszego dnia, piłem niewiele i wyglądałem okazji. Stosowny moment nadszedł, gdy sprzątnięto ze stołu ostatnie talerze i Erie, przeprosiwszy towarzystwo, zamierzał wycofać się do swego pokoju. Podniosłem się także, z uśmiechem życząc rodzinie dobrej nocy, i razem z Erikiem wyszedłem z jadalni.

W milczeniu, które dla mnie w tej sytuacji było ponuro znamienne, wchodziliśmy na piętro wąskimi schodami. Erie życzył mi dobrej nocy przed drzwiami do mego pokoju i odwrócił się, by wejść do siebie.

- Dobranoc - odpowiedziałem. By zebrać się na odwagę, przywołałem wspomnienie oczu Elli i gładkiej skóry we wgłębieniu pod obojczykiem. Rozciągnąłem usta w wymuszonym uśmiechu. - Nie chce mi się spać - rzekłem.

Mój przyjaciel odwrócił się ku mnie zdumiony.

Patrzyłem mu prosto w twarz, ale miałem pustkę przed oczyma.

- Chodź, dotrzymasz mi towarzystwa - zaproponowałem,

wsuwając się do sypialni. Gdy znalazłem się w środku, musiałem czym prędzej popić parę łyków wody ze szklanki przy łóżku, tak bardzo zaschło mi w ustach. Erie stał w otwartych drzwiach, niepewny i niezdecydowany.

- Wspaniale, że przyjechałeś - powiedział po chwili.

- Dobrze mi tutaj.

- A moja rodzina bardzo cię lubi.

- Ja też ich lubię.

- James, owinałeś ich wokół palca. - Już bardziej pewny siebie, podszedł bliżej i przysiadł w nogach łóżka. Stałem obok niego jak wrośnięty w podłogę.

- Nie krępuje nas twoja obecność - dodał Erie, a ja wiedziałem, że mówi prawdę. Nie dostrzegałem już napięcia między Erikiem i Louise, tak jak to było w Pradze. Rodzina zjednoczyła się, aby pokazać się przed gościem z najlepszej strony.

Powoli, uważając, by nie zacząć dygotać, usiadłem obok niego na łóżku. Nasze kolana niby przypadkiem dotknęły się, lecz Erie nie cofnął nogi, a ja opanowałem chęć, by się odsunąć. Milczeliśmy, a szum w mojej głowie nie pozwalał mi jasno myśleć. Poprzez szybkie i głośne dudnienie krwi przebijały się chłodne i beznamiętnie słowa Elli, że nie może kochać uczuciowego asekuranta.

- Nie potrafię cię rozgryźć, James - powiedział Erie.

Opuściłem wzrok, bojąc się odezwać.

- Nigdy nie wiem, czego chcesz, o czym myślisz. Odmieniłeś się po wyjeździe od Elli. Co się stało? Co zaszło między wami?

Przy zaangażowaniu całej siły woli podniosłem głowę. Patrząc Ericowi prosto w oczy, wychrypiałem przez ściśnięte gardło, że nie chcę rozmawiać o Elli. Z głębokim westchnieniem położyłem dłoń na jego ręce.

«- Naprawdę cię nie rozumiem.

- Myślę, że rozumiesz.

Mój głos wydał się opanowany i spokojny. Uważałem, by nie było w nim wahania. Wziąłem jego drugą dłoń.

Wyraz niepewności na twarzy Erica powoli zniknął i pojawił się uśmiech.

- Nie wierzę - rzekł, patrząc na mnie zmieszany.

- Dlaczego?

- Ponieważ... ja... *Mon Dieu*, jak to powiedzieć? - zawahał się, zanim zdecydował się na szczerość. - Ponieważ kocham cię i nie

liczyłem na nic więcej prócz przyjaźni. Myślałem, że Ella na zawsze cię zabrała - wyrzucił z siebie, jakby chciał mieć to wyznanie za sobą.

Puściłem jego słowa mimo uszu, mój mózg nie rejestrował ich znaczenia. Przypływ adrenaliny przyprawił mnie o zawrót głowy, a krew pulsowała w skroniach. Nachyliłem się, by go pocałować.

Pamiętam tamten pocałunek. Boże jedyny, jak wyraźnie go pamiętam. Widzę zdziwienie malujące się na szerokiej twarzy Erica, okolonej ciemnymi lokami. Nawet teraz ta twarz zbliża się do mojej. Czuję obcy mi zapach potu i pianki do golenia. Czuję ciężar jego dłoni na moich barkach, kiedy gwałtownie przyciąga mnie do siebie. Wrażenie dotyku jego warg było twarde i szorstkie, w niczym nie przypominało pocałunku z kobietą. Poczulem, jak Erie przygniata mnie i szuka guzików u koszuli. Odepchnąłem go.

- Nie! - zaprotestowałem z całą mocą.

Głos Elli dzwonił mi w głowie, powtarzając w kółko, że pocałunek wystarczy, bo po nim już będę wiedział. Odsunąłem Erica i usiadłem, dysząc ciężko, dygocząc całym ciałem pod wrażeniem swego uczynku. Posunąłem się tak daleko, jak to było możliwe, więcej nie mogłem ryzykować. Zdałem test mojej ukochanej i zasłużyłem sobie na nagrodę w postaci blasku w jej oczach, blasku, do którego prawo zdobyłem.

W tej samej chwili spostrzegłem, że Erie uśmiecha się do mnie z zachwytem, a oczy błyszczą mu z podniecenia. Poczulem zapowiedź pierwszych wątpliwości, które później stały się pewnością - nie wolno selektywnie patrzeć na człowieka, dzielić go na części, by zapewnić sobie spokój sumienia. Zadyszany Erie wziął mnie za rękę i pochylił się nade mną z roziskrzonym wzrokiem, a ja poczułem, że właśnie straciłem przyjaciela. Zdruzgotany tą myślą, nie powiedziałem ani słowa, lecz kiedy znowu zbliżył usta do mej twarzy, odepchnąłem go i wstałem z łóżka, zatoczywszy się jak pijany.

- Ja... nie jestem gotowy - przerwałem ciszę.

Powoli, ze zrozumieniem puścił moje rękę. Widziałem, ile wysiłku kosztowało go to opanowanie. Podziwiałem Erica za to, że w jednej chwili stłumił pragnienie, które dręczyło go od miesiący. Usiadł na łóżku i przechylając się, wziął mnie za rękę. Z uniesionymi ze zdziwienia brwiami patrzył mi w twarz, a mnie zabrakło siły, by wyszarpnąć dłoń.

- Kocham cię, James - powiedział cicho.

Nie odpowiedziałem.

- Kochałem cię od chwili, gdy cię zobaczyłem po raz pierwszy w drzwiach salonu Reginy Boardman.

Wirowało mi w' głowie. Erie spróbował przyciągnąć mnie do siebie, lecz wyrwałem się i uciekłem pod okno. Ani chwili dłużej nie zniósłbym jego dotyku. Za oknem na ulicy migotały światła latarni i jeździły samochody.

Być może wyda się to dziwne, ale wcześniej nie poświęciłem ani jednej myśli temu, co zrobię, gdy osiągnę już swój cel. Dotąd zajmowało mnie wyłącznie zdanie testu Elli - udowodnienie jej mojej emocjonalnej odwagi. Teraz odkryłem, że nie mam siły nawet spojrzeć na mego przyjaciela, a co dopiero mówić o wysłuchiowaniu jego miłosnych zwierzeń. Uprzednio cała moja energia skupiała się na tym, aby stanąć na wysokości zadania zleconego przez Ellę. Teraz, kiedy odniosłem zwycięstwo, a Erie, siedząc na moim łóżku, mówił mi, jak bardzo mnie kocha, nie wiedziałem, co robić. Wyglądałem na ulicę, nabierając przekonania, że zawsze był tylko jeden Erie i że traktując go jak trofeum, boleśnie go zraniłem. Myślę, że już byłem świadomy, iż cokolwiek teraz uczynię, nie uchronię go przed załamaniem.

Ponieważ nie odzywałem się, podniósł się skonsternowany, wierząc jednocześnie, że rozumie powód mego milczenia.

- Na dzisiaj wystarczy - rzekł, gdy stałem odwrócony do okna, nie mając siły spojrzeć mu w twarz. - Pójdę już. Wszystko w swoim czasie. - Podeszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu, ale zaraz ją cofnął, czując, jak tężeję pod jego dotykiem. - Dobranoc - powiedział. Z progu spojrzął na mnie jeszcze raz, a ja zachowując resztki przyzwoitości, odwróciłem się do niego. - W życiu nie byłem szczęśliwszy - dodał cicho i wyszedł.

Usiłuję przypomnieć sobie, co czułem, kiedy rozbierałem się i kładłem do łóżka. Wiem, że gdy zgasilem światło, zapragnąłem przywołać obraz Elli, ale nie udało mi się ujrzeć jej oczu ani poczuć dotyku jej ust na moich wargach. Ciągle czułem na nich twardy, pełen szorstkiej pasji pocałunek Erica. I wtedy właśnie pierwszy raz poczułem się jak zdrajca. Wiedziałem, że nie mogę zostać ani jednej nocy dłużej w tym darzącym mnie zaufaniem domu, że choćbym miał nakłamać, muszę jutro wyjechać. Złany zimnym potem, spędziłem bezsenną noc, odpychając od siebie wszelkie myśli. Zasnąłem dopiero o wschodzie słońca, gdy czarne niebo nabierało szarego odcienia. Musiałem mocno spać, bo nie

słyszałem, jak Erie wszedł do pokoju. Oprzytomniałem, gdy pieszczotliwie odgarnął mi włosy z czoła, i natychmiast sobie uświadomiłem, że wydarzenia poprzedniego wieczoru nie były snem i że nie znikną wraz z przebudzeniem. Zdesperowany, musiałem dalej odgrywać swoją rolę. Po szybkim śniadaniu, przy którym zażenowany wytrzymałem płomienne spojrzenia Erica, zatelefonowałem do Camilli Boardman. Podniosła słuchawkę po trzecim sygnale.

- Koochaanie! - zapiszczała. - Już myślałam, że nigdy nie wrócisz. Gdzie jesteś? Czy masz plany na lunch? - Jak zawsze tak i tym razem załała mnie potokiem nadmiernie akcentowanych słów'

Wyjaśniłem jej, że dzwonię od przyjaciół z Francji. Dlatego lunch nie wchodzi w grę, czego ogromnie żałuję.

- Ach, jak fatalnie. Londyn bez ciebie jest wprost śmiertelnie nudny. Chcę wiedzieć, kiedy wrócisz i trochę mnie rozbawisz.

- Niedługo, Camillo. Naprawdę. Szczerze mówiąc, szybciej przyjadę, jeżeli oddasz mi pewną przysługę.

Na poczekaniu wymyśliłem, że jestem w gościnie u potwornie nudnych ludzi i że potrzebny mi jest jakiś sprytny wybieg, aby od nich uciec.

Camilla łąpczywie słuchała mojej historyjki, bo intrygi towarzyskie były jej żywiołem.

- Musisz mi pomóc - zakończyłem. - Zadzwoń za godzinę i zostaw wiadomość, żebym pilnie wracał do Anglii.

- Kochanie! Ależ to podniecające! Jaki powód mam podać?

- Nie mam pojęcia. Sama coś wymyśl, nie sądzę, abym akurat tobie musiał podpowiadać.

- Oczywiście, że nie. Możesz mi zaufać.

- Wiem. Dlatego do ciebie dzwonię.

Po wymianie wielu czułych słów i cmoknięć w słuchawkę zakończyliśmy rozmowę.

Uspokojony i pełen wiary, że Camilla znajdzie odpowiedni powód, by mój natychmiastowy wyjazd od Vaugirardów okazał się konieczny, zaproponowałem Ericowi wspólny spacer. Żeby uniknąć podejrzeń, wolałem, by to Louise odebrała telefon Camilli.

Erie zaprowadził mnie na wzgórze zamkowe i opowiedział historię zamku i dawnej osady. Z ulgą przyjąłem ów neutralny temat, bo mogłem kiwać głową i uśmiechać się, gdy tak naprawdę liczyłem minuty, ze zdenerwowania w ogóle nie słysząc, co mówi. Najłatwiejsze dla mnie okazało się milczenie, ponieważ każde

moje słowo wydawało mi się podszyte fałszem. Lecz nawet cisza między nami była nieszczerą - dla Erica oznaczała pozbawioną słów harmonię dusz, dla mnie była chwilową ucieczką od konieczności okazywania sympatii. Kiedy minęła godzina, powiedziałem, że zmarłem, i chcę wracać do domu.

W drzwiach przywitała nas bardzo zmartwiona Louise. Zaprowadziła mnie do salonu i biorąc za rękę, poprosiła, bym usiadł.

- Drogi Jamesie, mam dla ciebie smutną wiadomość - oznajmiła zgaszonym głosem.

Przybrałem odpowiednio zaniepokojony wyraz twarzy.

- Leopold jest w agonii - rzekła cicho. - Zostało mu niewiele czasu. - Louise gładziła mnie po dłoni, patrząc na mnie z ogromnym współczuciem. - Dzwoniła twoja matka. Była bardzo zdenerwowana. Uważa, że powinieneś jak najszybciej wracać do Anglii.

Leopold... Nagle doznałem olśnienia. Tak nazywał się spaniel Camilli. Sytuacja wydała mi się tak absurdalna, że na wszelki wypadek odwróciłem się od Louise.

- No, już, już - uspokajała mnie, klepiąc po ramieniu. - Musisz być dzielny.

- Lepiej pójde spakować rzeczy - powiedziałem ochryple.

- Tak, chyba tak. Erie odwiezie cię na stację.

Z uczuciem ogromnej ulgi poszedłem na górę pakować walizkę.

22

Wiem, jestem winny. A jednak gdyby... Gdyby istotne zdarzenia nie wynikały czasami z bzdurnych przypadków. Gdybym był bardziej uważny i w mniejszym pośpiechu opuszczał Erica. Gdybym nie zostawił u Vaugirardów moich skrzypiec. Gdyby, gdyby... sam nie wiem. Może uczucie Erica osłabłoby z czasem? A zaufanie Elli nabrałoby mocy? Może wszyscy troje odnaleźlibyśmy się w tym wszystkim? Kto wie?

Niestety, zostawiłem skrzypce u Vaugirardów. A kiedy po południu Erie zadzwonił do moich rodziców, by spytać, czy ma je przysłać, dowiedział się, że w rodzinie nie ma żadnego Leopolda, a ja planuję wrócić na Boże Narodzenie.

Pokonując krótką trasę między domem Erica i Elli, nawet nie przypuszczałem, jak szybko wydarzenia wciągną mnie w swój wir. Siedziałem skulony w pustym wagonie, odsuwając od siebie myśli o ostatnich dwóch dniach. Patrzyłem na puste pola i z radością

myślałem, że za parę godzin znowu będę z moją ukochaną. Porwę ją w ramiona i poczuję na powiekach łaskotanie jej włosów. Myśli o Elli sprawiły, że wydarzenia ostatnich dni stały się mniej realne, a wraz z nimi osoba Erica. To z kolei osłabiło moje poczucie winy. Byłem zadowolony, ponieważ chciałem zapomnieć. Świadomie odsuwałem wszelkie myśli o przyjacielu. Lada chwila miałem zobaczyć Ellę, natomiast Erica spodziewałem się spotkać nie prędzej niż za kilka tygodni. Wmówiłem sobie, że przez ten czas zdążę coś wymyślić, że znajdę jakiś sposób, by odzyskać jego zaufanie. Młodość słynie ze swego optymizmu - ja miałem go niespożyte pokłady. Aż dziw bierze, gdy patrzę na to dzisiaj. Ale wtedy rzeczywiście tak było.

Zadzwoiłem do Elli ze stacji. Jej uszczęśliwiony głos wrzucił mnie i utwierdził w przekonaniu, że wszystko się ułoży, że właściwie już jest dobrze. Ella przyjechała po mnie zakurczonym renaultem Jacques'a i po raz pierwszy od naszego rozstania w Londynie ogarnął nas dawny, magiczny nastrój, nie tłumiony zmartwieniami i obecnością innych ludzi. Stary dom wcale nie wydał mi się ponury, kiedy z Ellą u boku wyjechałem z ostatniego zakrętu podjazdu. Tym razem jego izolacja była moim schronieniem, ucieczką przed wszelkimi myślami o świecie istniejącym poza nim. Nadal bowiem czułem potrzebę ucieczki.

Bardzo ogłędnie opowiedziałem Elli, co wydarzyło się pomiędzy mną i Erikiem. Chciałem jedynie, aby wiedziała, że zdałem jej test. A ona, być może w poczuciu winy, nie wypytywała mnie o szczegóły. Po krótkiej relacji z ostatnich dwóch dni rozmawialiśmy tak, jak gdyby nic się nie stało, jakby Erie, Sara i Charles zniknęli z naszego życia, a my zostaliśmy sami, karmiąc się miłością. W pieszczotach tamtego popołudnia pojawiła się nowa dla nas żarliwość, a dotyk jej białego ciała wprawiał mnie w błogostan.

Kiedy myślę

o Elli, tęsknię za jej kształtnymi ramionami, widzę smukłe nogi, miękkie piersi, linię nosa i słyszę ciepło srebrzystego śmiechu. Pragnę jej nawet teraz - ja, stary człowiek, siedzący sam w ciemnym pokoju. Myślę o niej z pożądaniem mimo tego wszystkiego, co się stało. I zabiorę tę moją tęsknotę ze sobą do grobu.

Właśnie doszedłem do najbardziej tragicznej części mojej długiej historii. Tu bowiem nastąpi pierwsza z ponurych konsekwencji mojego i Elli grzechu. Nie będę się rozwodził nad

cudowną kolacją, którą zjedliśmy tylko we dwoje, ani nad wesołością i czułymi słowami, które wypełniały ciepłem stary, zatęchły dom. Nie przypuszczałem, jak niewiele nieskażonej miłości mieliśmy przed sobą, jak szybko wątki zdarzeń się zagmatwiają. Siedzieliśmy sami w jadalni sąsiadującej z holem. Doktor Petin nie wrócił ze wsi, więc nikt nie zakłócał nam błogiego spokoju. Pamiętam miłe trzaskanie ognia w kominku, jego ciepły blask na twarzy Elli, czuję w nozdrzach zapach palącego się drewna, dymu z papierosów, naszych rozgrzanych ciał i perfum Elli. Z potarganymi włosami siedzieliśmy obok siebie ubrani jedynie w szlafroki. Jedliśmy, zasłuchani w stłumiony szcęk naszych sztućców o porcelanę, piliśmy słodkie wino i pieściliśmy się. Pamiętam wzburzone włosy mojej kochanki, jej zaróżowioną cerę i zarys kości policzkowych w świetle świec. Słyszę naszą leniwą rozmowę pełną czułych słów i nasz śmiech - jej jasny i mój niski, dudniący jej do wtóru. Widzę, jak Ella marszczy brwi, gdy zabrzmiał dzwonek u drzwi, i słyszę, jak mówi, że to doktor Petin wrócił ze wsi i że to bardzo w jego stylu zjawiać się o tej porze w domu. Ella, chichocząc, stwierdza, że nasza nagość jest kompromitująca, po czym zaciska pasek szlafroka wokół szczupłej talii i bez większego efektu przygładza włosy palcami. Odprowadzam ją wzrokiem do drzwi, widzę, jak znika w holu, i czekam na pełne szacunku powitanie doktora. Na chwilę zalega kompletna cisza, potem zgrzyta zasuwa w drzwiach i skrzypi klucz w nie naoliwionym zamku. Dochodzi mnie ostry okrzyk zdumienia, odgłos męskich kroków na kamiennej posadzce i słyszę Erica. Wysokim, wzburzoną głosem pyta o mnie, a Ella odpowiada, że mnie tu nie ma, i każe mu natychmiast wyjść. Słyszę tupot w holu i jego podniesiony głos, gdy mnie nawołuje. Podnoszę się od stołu z uciskiem w żołądku, podchodzę do drzwi jadalni, otwieram je i staję z nim twarzą w twarz. Erie ma włosy w nieładzie i to samo ubranie, w którym widziałem go rano, a w rękę trzyma moje skrzypce. Wtedy olśniło mnie, gdzie je zostawiłem, i z niesamowitą jasnością wyobraziłem sobie, jak doszło do tego, że mnie odnalazł. Podeszedłem do niego, lecz on tylko popatrzył na mnie z przerażeniem w oczach i cisnął wyblakłym skórzany futerałem o podłogę. Usłyszałem łomot pudła o drewno i jęk strun, a on wybiegł przez drzwi do holu i zniknął w ciemnościach.

Czy pozostało mi co innego niż wyjść za nim? Powiedziałem coś do stojącej w holu Elli i tak jak stałem, w szlafroku, zbiegłem

ze stopni. Mroźny nocny wiatr świstał mi w uszach, szron ziębił stopy. Zawolałem Erica raz, drugi, ale nie zareagował. Słyszałem, jedynie chrzęst żwiru pod jego stopami. Szedłem w zupełnych ciemnościach, kierując się wyłącznie słuchem. Igły z cisowego żywopłotu drapały mnie po rękach, lecz nie zbaczałem z drogi. Wołałem do niego, lecz kiedy zorientowałem się, że moje okrzyki tylko prowokują go do szybszego biegu, zamilkłem, cały zamieniając się w słuch. Zza chmur wyplął księżyc w pełni. W opalizującej poświacie zobaczyłem Erica między drzewami na końcu sadu. Przyspieszył na mój widok, krzycząc dziko, jak zranione zwierzę, że mam go zostawić w spokoju. Przebiegłem przez ogród i zadyszany zatrzymałem się nad kamieniołomem. Nawoływałem go cicho, obiecywałem, że wszystko wyjaśnię. Wtedy księżyc ponownie wyłonił się zza chmur i spostrzegłem, że Erie stoi przy ławce. Kiedy go zawolałem, usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Jego ciałem wstrząsały spazmy. W mglistym, wilgotnym powietrzu usłyszałem stłumiony szloch. Z ociąganiem podszedłem do ławki i położyłem mu dłoń na ramieniu.

- Nie dotykaj mnie! - Jego rwący się głos zabrzmiał cienko, żałośnie.

- Ericu... - zacząłem, nie bardzo wiedząc, co mówić.

Powoli, bardzo powoli odwrócił się do mnie. Gdy moje oczy nawykły do ciemności, zobaczyłem, że ma wilgotne policzki.

- Dlaczego tu jesteś? - zapytał. Było coś żenującego w jego skulonej sylwetce i załzawionych oczach. - Dlaczego jesteś tu z nią?

Patrzyłem na niego bez słowa. Cóż mogłem odpowiedzieć?

- Kocham cię, James. - Pochwycił moje dłonie i zamknął je w swoich. Usiłowałem się wyrwać. - Kocham cię od chwili, gdy cię zobaczyłem.

- Ericu, nie...

- I wiem, że ty też mnie kochasz - mówił gorączkowo. - Z początku nie sądziłem, że coś do mnie czujesz. W Pradze starałem się zadowolić naszą przyjaźnią. - Wreszcie oswobodziłem ręce z jego uścisku, lecz nadal stałem niezdecydowany, pozwalając mu skończyć. Wyczuł moje zakłopotanie. - Lecz... wczoraj - zahałał się. - Wczoraj zrozumiałem, że ty też mnie kochasz. Nie, nie zaprzeczaj. Wiem, że tak jest.

Bez słowa pokręciłem głową. Świat wirował mi przed oczyma.

- James, nie ma sensu udawać. Nasza miłość jak piękna. Nie trzeba się jej wstydzić.

- Ale, Ericu...

- Nie ma żadnego „ale”. Wiesz, że mnie kochasz. Powiedz mi to wyraźnie.

Znowu pochwycił moje dłonie i przycisnął je do ust. Wiedziałem, że muszę wreszcie zdobyć się na odwagę i wyprowadzić go z błędu.

- Ericu - zacząłem, cofając swoje drżące dłonie. - Ja...

- Co takiego, James?

- Ja... - bezskutecznie szukałem odpowiednich słów, które pozwoliłyby mi zawoalować prawdę, ukryć całą ohydę zdrady jego zaufania. - Jesteś moim przyjacielem - zacząłem po namyśle. - I bardzo mi na tobie zależy - zawahałem się, widząc cię nadziei w jego oczach. - Lecz błędnie zinterpretowałem swoje uczucie względem ciebie.

- Nie.

- Tak, Ericu. Bardzo mi przykro. Kocham cię, ale nie w taki sposób. Nigdy nie mogłbym cię tak pokochać.

- A wczorajszy wieczór? - patrzył na mnie bezradnie.

- To było czyste szaleństwo. Pogubiłem się w tym wszystkim. Nie wiedziałem, co robię.

- Nie wierzę.

- Przysięgam, że to prawda.

- Pocałowałaś mnie.

- To była pomyłka - powiedziałem cicho, czując obrzydzenie do samego siebie.

- Pomyłka?

- Tak. Nie mogę kochać cię w taki sposób.

- Dlaczego?

- Bo mam inną konstrukcję psychiczną.

Na jedną okropną chwilę zapanowało całkowite milczenie.

- Kochasz ją? - zapytał wreszcie,

- Kogo? Ellę?

- A kogóż by?

- Tak. Kocham ją.

Erie patrzył na mnie zdezorientowany, nic nie rozumiejąc.

- I nie kochasz mnie?

Przysiadłem na ławce i objąłem go ramieniem.

- Nikogo nie lubiłem tak jak ciebie - zapewniłem.

4- Ale mnie nie kochasz?

- Nie.

Erie rozplakał się. Ciche z początku łkanie przeszło w głośny, gwałtowny szloch. Nie odsunąłem się, gdy oparł czoło na moim barku, a jego gorące łzy moczyły mi szyję i kołnierz szlafroka. Ostrożnie położyłem dłoń na jego wstrząsanych spazmami plecach i wtedy poczułem, że jestem skostniały z zimna.

- Chodź - powiedziałem łagodnie.

I już otwierałem usta, by go przekonać do powrotu, gdy zobaczyłem ostry strumień światła latarki i usłyszałem nawoływanie Elli. Erie też je usłyszał i wtedy przycisnął się do mnie jeszcze mocniej; jego łzy ciągle spływały mi po piersi.

- Chodź - powtórzyłem, akurat w chwili, gdy znaleźliśmy się w rażącej w oczy strudze światła. Zamrugałem, oślepiony. Ella stała nieruchomo z wycelowaną w nas latarką. Widziałem bladłość jej twarzy nad postawionym kołnierzem płaszcza. W jej oczach malował się lęk.

- Co wy robicie? - Jej głos zabrzmiał ostro, chrapliwie.

- To nie to, co myślisz - sprostowałem.

Zamierzałem odepchnąć od siebie Erica, lecz pomyślałem, że przecież spełniłem żądanie Elli, więc dalej obejmowałem potężne, rozedrgane ciało przyjaciela. Ella mogła mi ufać, dość już dla niej poświęciłem. Łagodnie, a przy tym stanowczo poprosiłem ją, by jeszcze na chwilę zostawiła nas samych.

- Co przez to rozumiesz? - zapytała trzęsącym się głosem.

- Dokładnie to, co powiedziałem. Zaraz przyjdziemy do domu. Proszę cię. Muszę porozmawiać z Erikiem na osobności. Pełną napięcia ciszę zakłócało jedynie pochłipywanie Erica.

- Zanim stąd pójde, powiedz mu, że mnie kochasz.

Erie musiał otrząsnąć się pod wpływem słów Elli, bo unióśł głowę i skierował na nią wzrok.

- Powiedz mu! — zażądała z zaciętą miną.

- Idź stąd! - Erie opanował płacz. Ciężko unióśł się z ławki. W księżycowej poświacie jego masywna sylwetka górowała nad Ellą jak postać olbrzyma. - Dość krzywdy wyrządziłaś - powiedział zdławionym głosem. - Dość złego uczyniłaś. Możesz sobie teraz iść. To mnie James kocha. I cokolwiek powiesz i tak tego nie zmienisz.

Patrzyłem, jak stojąc naprzeciw siebie, mierzą się wzrokiem.

- Posłuchajcie oboje... - zacząłem.

- James, powiedz mu.
- Ello, proszę cię. Za minutę wrócimy.
- Powiedz mu, zanim stąd pójdę.
- Proszę.
- Masz mu powiedzieć, dlaczego go pocałowałaś.

Erie przeniósł spojrzenie na mnie.

- O czym ona mówi, James? - zapytał po chwili.
- O niczym, Ericu, bardzo cię proszę...

Snop światła z latarki uderzył mnie w oczy. Twarz Elli była ściągnięta i zdecydowana.

- Powiedz mu - ponowiła żądanie. - Nie ma co udawać. Trzeba wreszcie z tym skończyć - mówiła, podchodząc do mnie. Wstałem z ławki i wziąłem ją pod ramię.

- O co chodzi? O czym ona mówi, James? - zapytał Erie znacznie ciszej tym razem. Widziałem, jak pulsują mu żyły na skroniach.

- To nic takiego - zbagatelizowałem.
- Nieprawda! - Głos Elli stał się piskliwy, uparty.
- Ello, proszę.

Odwrociłem się do niej, chcąc dać jej znać wzrokiem, żeby się uspokoiła. Ale ona nie patrzyła na mnie.

- Nie odejdę, dopóki nie powiesz Ericowi prawdy - mówiła bez emocji. - Masz mu powiedzieć, że mnie kochasz, a pocałowałaś go, bo tego od ciebie zażądałam.

- On mnie kocha! - Głos Erica zabrzmiał gniewnie. - Zrobiłaś, co mogłaś, żeby nam przeszkodzić, ale ci się nie powiodło. - Zrobił krok w moją stronę. - Chodź, James. Idziemy stąd. - Spojrzał z furią na Ellę.

- Ericu... - Gorączkowo szukałem odpowiednich słów. - Ericu... ja... ja kocham Ellę - wydusiłem.

- Powiedz mu resztę, Jamie.
- Ja...

- A wczorajsza noc? - Erie spojrzał mi prosto w oczy.

Zmusiłem się, by wytrzymać jego wzrok.

- Ja... nie chciałem...
- Jamie, powiedz mu.

- To był test - wyznałem, czując, jak żołądek podchodzi mi do gardła.

- Test? - Usłyszałem przerażenie w jego głosie.
- Musiałem coś udowodnić.

- Udowodnić? Co udowodnić?

Teraz, niestety za późno, zorientowałem się, że nie udowodniłem niczego prócz własnej słabości.

- Udowodnił, że dla mnie jest gotów na wszystko.

Oczy Elli rozbłysły w ciemnościach. Wzięła mnie za rękę. Jej dotyk i widok rozciągniętych w uśmiechu warg napełniły mnie niesmakiem. Cofnąłem dłoń.

- Nie! - Ogarnęła mnie fala mdłości. - Sam nie wiedziałem, co robię - wymamrotałem do Erica. - Musisz mi uwierzyć.

- Doskonale wiedziałeś.

Wszyscy troje zdaliśmy sobie sprawę, że Erie ma rację.

Nie pamiętam, jak udało mi się uciec od nich, by znaleźć schronienie w domu, w pokrytych kurzem pokojach. Przypominam sobie tylko, jak biegłem, ślizgając się na oblodzonej trawie. Utkwił mi w pamięci surrealistyczny wygląd oczu Erica i uśmiechu Elli oraz upiorna błądliwość ich twarzy.

Gnany potrzebą ucieczki, biegłem na oślep między drzewami, wzdłuż przerośniętego żywopłotu, mijając po drodze martwą fontannę. Moim drogowskazem były oświetlone okna domu. Złany potem, zatrzymałem się dopiero w holu. Kolana miałem odrapane po upadkach, ręce czerwone i zmarznięte. Przecież miałem na sobie tylko szlafrok.

Nie chciałem ich oglądać. Zwinąłem pościel z łóżka z pokoju, który dzieliłem z Erikiem, i rozesałem ją na podłodze w nie używanym pomieszczeniu za kuchnią. Uwijałem się w strachu, że któreś z nich zdąży wrócić, zanim skończę. Dysząc ciężko i hamując płacz, leżałem skulony w ciemnościach, jak dziecko szukające ucieczki przed karą. Byłem sam, ale nie zaznałem spokoju, prześladowały mnie obrazy i dźwięki. Czułem na ustach dotyk szorstkiej twarzy Erica, czułem słodko-nikotynowy zapach ciała Elli, słyszałem dziki śmiech, majaczyła mi przed oczami załamiona twarz Erica.

Zapadłem w ciężki, głęboki sen, gdy już dniało. Spałem tak mocno, że nie zbudziło mnie nawoływanie. Nikt nie wiedział, gdzie jestem. Ella szukała mnie po całym domu, kiedy rano znaleziono Erica. Pamiętam, że obudziłem się zziębnięty i obolały po nocy na twardej podłodze w wilgotnym, nie przewietrzonym pokoju. Ze snu wyrwało mnie walenie do drzwi i przerażony głos Elli.

Ciało Erica pływało w kamieniołomie twarzą w dół, przy-

pominając wielki kawał drewna. Trzeba było ściągnąć ze wsi czterech ludzi, by spuściwszy się na linach po pionowej ścianie, przyciągnęli je do brzegu, a potem wwindowali na górę. Staliśmy z Ellą przy ławce i patrzyliśmy, jak wieśniacy mocują zabezpieczające ich liny do pni cisów i schodzą w głąb kamieniołomu. Potem usłyszeliśmy plaśnięcie pontonu o powierzchnię wody. Widzieliśmy, jak dwóch mężczyzn wdrapało się do środka, słyszeliśmy plusk wody przegarnianej wiosłami i głuche uderzenie ciała o dno łodzi. Potem ponton powoli podpłynął do brzegu, gdzie uczeni skał, czekali pozostali dwaj wieśniacy z pasami i kołowrotem. Erie odbywał swoją samotną, konwulsyjną drogę ku górze, z powrotem do nas, z powrotem na suchy grunt. Zapamiętałem wytrzeszczone oczy, woskową twarz i otwarte usta, gdy składano jego niesamowicie ciężkie, ociekające wodą ciało na zamrożonej ziemi.

Doktor Pétin, tym razem pobladły i z rozwianymi włosami, wypisał świadectwo zgonu. Jako prawdopodobną przyczynę śmierci podał utonięcie. W milczeniu patrzyłem, jak wypełniał formularz. Kiedy przyklęknął przy obrzękłej twarzy mego przyjaciela, by obejrzyć ciało, spostrzegłem łzy na policzkach starego doktora i wtedy uświadomiłem sobie, że moje oczy są suche. Odrętwienie, w jakie popadłem, zobojętniło mnie na zamieszanie wywołane zajściem. Spokojnie, niemalże automatycznie przywitałem się z wiejskim żandarmem, tępo obserwowałem, jak ładowano ciało Erica do ambulansu, by zawieźć je na autopsję, apatycznie wysłuchałem kondolencji pani Clancy i Jacques'a i podziękowałem mężczyznom, którzy wyciągnęli zwłoki z kamieniołomu. Jak we śnie słuchałem Elli, kiedy wyjaśniała detektywowi, że Erie przyjechał za mną z Vaugirard, aby oddać mi skrzypce. Zjawił się w domu podczas kolacji, ona zaproponowała mu poczęstunek i nocleg, a on postanowił przed snaniem trochę się przejść. Erie sprawiał zupełnie normalne wrażenie, zachowywał się całkiem spokojnie. Ja z kolei, indagowany przez detektywa, zapewniłem go, że Erie był moim przyjacielem, że zwierzyłby mi się, gdyby spotkało go coś złego. Noc była bardzo ciemna, jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że musiał wpaść do wody, bo nie był typem samobójcy.

Rzeczywistość zdołała przebić się do mego otepiałego umysłu, dopiero gdy policjant zapytał mnie o adres najbliższej rodziny zmarłego. Stanęli mi przed oczami Vaugirardowie. Zobaczyłem Louise, jak na jarmarku wybiera warzywa do kolacji, i ojca Erica siedzącego z poważną miną w swoim pokoju, czekającego, aż zwołają go na posiłek, oraz Sylwię wracającą z synkiem z przedszkola.

- Znam jego rodzinę - powiedziałem żandarmowi.

- W takim razie może lepiej, aby pan ich zawiadomił - zasugerował.

Policjant był drobnym, nerwowym mężczyzną o łagodnych oczach. Pierwszy raz, jak mi powiedział, miał do czynienia ze śmiercią.

Ja więc zadzwoniłem do Louise. Najpierw musiałem znieść jej pytania o Leopolda. Powiedziałem, że wiadomości o jego stanie okazały się znacznie przesadzone i wygląda na to, iż niebezpieczeństwo minęło. Potem musiałem przerwać jej radość w związku z tą wiadomością, by na koniec oświadczyć, że stało się coś okropnego. To mnie przyszło zawiadomić ją o śmierci Erica. To ja usłyszałem pierwszy przepełniony bólem jęk matki, która straciła syna, i ja musiałem odpowiedzieć na jej pytania; wyjaśnić, jak to Erie poszedł w nocy na spacer bez latarki i wpadł do kamieniołomu. Nadal nie uroniłem ani jednej łzy. Nie mogłem. Odrętwiały i niewiarygodnie spokojny, usiadłem w jadalni wraz z Ellą, żandarmem i doktorem Petinem, by czekać na przyjazd rodziców Erica. W głowie miałem zupełną pustkę; jedynym uczuciem, jakie rejestrowałem, był tępy ból w skroniach i miarowe pulsowanie krwi. Patrzyłem na Ellę, lecz jej nie widziałem. Obserwowałem, jak pali papierosa za papierosem, ale nie zauważałem, by się poruszała. Nie czułem zapachu. Wiedziałem, że nigdy nikomu nie powiem o przyczynie śmierci Erica i że Ella też tego nie zrobi. Wmówiłem sobie, że lepiej dla Vaugirardów, żeby przeklinali ślepy los za nieszczęśliwy wypadek, niż dowiedzieli się, iż ich syn odebrał sobie życie. Jednak nie miałem już siły, aby dłużej oszukiwać samego siebie. Dobrze wiedziałem, dlaczego skłamałem, dlaczego do końca życia będę kłamał. Nie miałem wątpliwości, że jestem tchórzem, że brakuje mi odwagi i siły charakteru, by wyznać głośno, czego się dopuściłem. Kłamiąc tamtego dnia, zaprzepaściłem jedyną szansę na odpokutowanie swego czynu. Skazałem się na bycie szu-

brawcem. Siedząc z tą milczącą grupką przy stole, miałem pewność, że obojętnie, jak bardzo będę udawał przed samym sobą, obojętnie, jak mocno będę starał się zapomnieć, już na zawsze towarzyszyć mi będzie poczucie mojej niskiej wartości.

Yaugirardowie przyjechali późnym popołudniem. Poddałem się im łzawym uściskom. Pani Clancy zniknęła, by przygotować dwie sypialnie - jedną dla nich, a drugą dla mnie, bo nie czułem się na siłach, by przestąpić próg pokoju, który dzieliłem z Erikiem. Kiedy czekaliśmy na powrót gospodyni, siedziałem z rodzicami Erica i opowiadałem im, jak to przyjechał za mną, aby zwrócić skrzypce, a potem w świetnym humorze udał się na przechadzkę, nie zabrawszy latarki. Oboje z Ellą poszliśmy spać i nawet do głowy nam nie przyszło, że coś może się stać, a rano znaleziono go pływającego twarzą w dół w zalanym kamieniołomie. Louise, podobnie jak ja, była zupełnie spokojna. Siedziała obok mnie wyprostowana na krześle z wysokim oparciem, z ręką na ramieniu męża. Wyraźnie widziałem pod jej skórą zarys drobnej kości przedramienia. Erie senior płakał podobnie jak jego syn dzień wcześniej. Łkał głośno jak człowiek, któremu nieczęsto zdarza się płakać. Ten szloch był jedynym dźwiękiem, który tego dnia zdołał przebić się do mojej świadomości. Zmienił się w mej wyobraźni w płacz Erica i poczułem ciepłą wilgoć jego łez na szyi. A potem usłyszałem jego śmiech. Z początku odległy i cichy, przybliżał się coraz głośniejszy, intensywniejszy, szczery. Zobaczyłem oczyma wyobraźni jego rozradowane spojrzenie i błysk białych zębów i słysząc ten śmiech, już myślałem, że wybuchnę płaczem, lecz nadal moje oczy pozostały suche.

Rozpłakałem się dopiero, kiedy wszedłem do sypialni mojej i Erica z pościelą, którą stamtąd wczoraj zabrałem. Pomimo otępienia myślałem wystarczająco logicznie, by przeczuwać, że lepiej, aby jej nie odkryto w spiżarni za kuchnią. Dlatego zostawiłem rodziców Erica z doktorem Petinem i wśliznąłem się do korytarza o łukowym sklepieniu, którym tak niedawno podążaliśmy z Erikiem za Ellą. Pokój wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętałem - komoda z porcelanowym dzbanem i misą, powieści, ekran przed kominkiem... A kiedy otwierałem drzwi, uderzył mnie znajomy zapach lawendy i zwęglonego drewna oraz jeszcze jakaś woń, której z początku nie mogłem skojarzyć... to był pot i woda po goleniu. Kiedy dotarło do mnie, że tak właśnie pachniał Erie, osunąłem się na kolana i chowając twarz w

ramionach, przycisnąłem nos do rękawa. Nie mogłem znieść tego zapachu. Gdy siedziałem skulony na podłodze, otworzyły się drzwi i poczułem, jak Louise kuca przy mnie, otacza moje drżące plecy smukłymi ramionami i gładzi mnie kościstymi dłońmi, podobnymi do dłoni Erica. Kołyszymy się oboje i z przerażeniem czuję, jak jej łyzy kapią mi na ramię i kto wie, czy nie mieszają się z łzami jej syna.

- Nie możesz się obwiniać, że puściłeś go samego - mówi Louise. - Erie miał szalone pomysły. I właśnie to w nim najbardziej kochaliśmy. Ty też go za to najbardziej kochałeś.

Łatwiej od jej słów zniósłbym pchnięcie nożem.

Sędzia śledczy potwierdził wersję o nieszczęśliwym wypadku i Erie został pochowany w rodzinnym grobie na małym cmentarzu pod zamkiem Vaugirard. Niosłem trumnę wraz z pięcioma innymi mężczyznami. W wypełnionej ludźmi kaplicy z wysokimi stallami i normańskimi lukami ja jeden miałem suche oczy. Moje ramiona najpewniej podtrzymywały ciężką trumnę, gdy szliśmy z nią wzdłuż wąskiej nawy. Przeżyłem ten dzień z determinacją człowieka, który rozpoczyna dożycie. Mój mózg rejestrował czynności z apatyczną obojętnością. Jak gdyby stojąc na uboczu, obserwowałem, jak ubieram się, wiążę czarny krawat, kupiony specjalnie na tę okazję, przeciągam grzebieniem po włosach. Z obojętnością odnotowałem fakt, że chociaż postarzałem się przez ten tydzień, nieźle się prezentuję. Od siedmiu dni prawie nie spałem. Miałem zapadnięte policzki i ciemne koła pod oczami. Wyczerpanie wpłynęło na mnie kojąco - zdystansowało mnie od rzeczywistości, od mojej roli w tragedii Erica; znieczuliło na łyzy i smutek otaczających mnie ludzi, osłabiło świadomość tego, co zrobiłem. Wyczerpanie zmieniło ostry ból w tępe ćmienie.

Pamiętam kaplicę hen, wysoko ponad miasteczkiem. Pamiętam szelest, gdy ubrani na czarno członkowie kongregacji zajęli miejsca w ławkach z ciemnego drewna. Przypominam sobie pełne godności opanowanie Louise i dziki ból w zaczerwienionych oczach ojca Erica. Widzę trumnę; Erica w trumnie - jego bladą, spokojną twarz, nienaturalnie starannie uczesane włosy. Kiedy w szeregu czekałem na moją kolej, by go pożegnać, poczułem, że nie mam mu nic do powiedzenia, bo to ciało ubrane w garnitur, które miałem przed sobą, nie należało do mego przyjaciela. To nie był Erie, z którym grałem mój pierwszy koncert, ani Erie, z którym zaśmiewałem się w kawiarni Floriana, ani nawet Erie, którego z

premedytacją poświęciłem, by dowieść Elli, że ją kocham. Jednego byłem pewien - dusza Erica opuściła ciało i mogłem jedynie mieć nadzieję, iż odnalazła spokój. Patrząc na to ciało, dziwnie wyciszony szukałem jakichś słów, które mógłbym mu powiedzieć, ale żadne nie przychodziły. W pozbawionej życia twarzy Erica nie dostrzegałem żadnego wyrazu. To widok jego butów sprawił, że łyzy zakręciły mi się w oczach. To buty stały się dla mnie pomostem do rzeczywistości, obudziły wspomnienie, które wywołało paroksyzm bólu. Stała mi przed oczami scenka z kawiarni Floriana. Erie dopiero co kupił te buty i powstrzymując śmiech, oznajmił mi z powagą, że nie cierpi nowych rzeczy. Odkupił je od Anglika, który popadł w finansowe tarapaty, przyjaciela tamtej Amerykanki z wydatnym nosem. Buty były ciężkie, z surowej skóry i miały zdarte obcasy. Razem ze starym tweedowym ubraniem i pękiem krawatów krążyły wśród stałych bywalców kawiarni Floriana. W przeciwieństwie do nabywców pozostałych części garderoby Erie nie targował się, bo nie chciał żerować na cudzym nieszczęściu, tylko zapłacił żadaną cenę i natychmiast włożył te buty. Widok ich wzruszył mnie do łez.

Ella zbliżyła się do mnie, gdy żałobnicy - sznur czarnych postaci drżących na wietrze pod ołowianym niebem - zaczęli odchodzić od grobu. Byłem zaledwie mgliście świadomy jej obecności podczas tamtego tygodnia. Z obojętnością patrzyłem na jej czerwone oczy i ściągnięte usta, na bladą twarz i sińce pod zielonymi oczyma.

Cały czas pilnowałem, by nie znaleźć się z nią sam na sam, bo to byłoby ponad moje siły. A kiedy wsunęła zziębniętą rękę w moją dłoń, jej dotyk nappełnił mnie odrazą, bo przypomniał mi, czego się dopuściłem, by na niego zasłużyć, do czego się posunąłem, aby udowodnić, że na nią zasługuję. Nie mogłem spojrzeć Elli prosto w oczy.

- Jamie... - pierwsza przełamała milczenie. - Proszę, nie rób tego. Nie traktuj mnie jak powietrza.

Przyspieszyłem kroku.

- Proszę - powtórzyła. - Ja dłużej tego nie wytrzymam.

- To Erie nie wytrzymał - powiedziałem cicho. - Nie ty. I nie ja. Erie.

Mocniej zacisnęła dłoń na mojej ręce. Wyrwałem się jej.

- Zabił się przez to, co zrobiliśmy - rzekłem. - Przez... - Powstrzymałem się od dalszych oskarżeń.

- No powiedz to.
- Przez to, do czego mnie zmusiłaś.
- Jamie... - zaczęła po chwili. - Jamie, proszę, nie zachowuj się tak. - W jej głosie słyszałem szczerze błaganie. Nadal nie mogłem się przełamać, by na nią spojrzeć.
- Naprawdę wierzysz, że wszystko mogłoby być tak jak przedtem?
- Nie, nie jak przedtem, ale być może... Czy ty nie widzisz, jak bardzo siebie potrzebujemy? Bardziej teraz niż kiedykolwiek przedtem. Jesteś moją nadzieją. A ja twoją.
Znaleźliśmy się w pobliżu grupy ludzi rozchodzących się po pogrzebie. Trzaskały drzwi samochodów, wysokie obcasy stukwały o chodnik.
- Co mu powiedziałaś? - Zaskoczyłem ją cichym pytaniem. - Co mu powiedziałaś, kiedy was zostawiłem?
Nie odpowiadała.
- Co powiedziałaś?
- Jamie, proszę... - Rozpląkała się.
- Co mu powiedziałaś?
- Ja... - Podniosła na mnie oczy. Wpatrywałem się w nie bezwzględnie, po raz pierwszy nieczuły na ich urodę. - Proszę, nie...
- Powiedz mi.
- Ja... - zawahała się i otworzyła torebkę, by sięgnąć po papierosa.
Przytrzymałem ją za rękę.
- Nie będziesz teraz paliła. Muszę wiedzieć, co powiedziałaś Ericowi, kiedy od was odszedłem.
- Powiedziałam mu prawdę - wyznała cicho. - Bardzo się rozłościł, kiedy poszedłeś. Twierdził, że go kochasz, a ja próbuję cię skrzywdzić. Więc mu wyjaśniłam, dlaczego go pocałowałeś. Zmusiłam go, by wreszcie zrozumiał, że zrobiłeś to dla mnie.
- A potem?
- Potem zostawiłam go samego.
Milcząc, przeszliśmy przez bramę kościelnego dziedzińca i znaleźliśmy się na ulicy. Słyszałem stukot obcasów Elli na kocich łbach, szmer rozmów ludzi rozchodzących się po pogrzebie, terkot uruchamianych samochodów. Nie potrafię ująć w słowa tego, co czułem. Poruszałem się jak w letargu. Usiłowałem odezwać się, lecz żadne słowa nie wydobyły mi się z ust. Miałem

wrażenie, że unoszę się w powietrzu, tak samo niematerialny jak otaczający mnie świat. Uczępiłem się nadziei, że rzeczywiście tak jest. Lecz zaraz powiedziałem sobie, że świat dalej istnieje, a ja nie jestem cieniem, lecz człowiekiem z krwi i kości, który żyje i oddycha jak wszyscy. I na moment bardzo wyraźnie ujrzałem swoją przyszłość - będę egzystował odcięty od wszelkich głębszych myśli, bo każda próba rozrachunku oznacza niebezpieczeństwo.

Teraz po latach zboczyłem z tej drogi i choć dobrze wiem, czym to grozi, mam już strach poza sobą.

Schodziliśmy ze zbocza zamkowego wzgórza stromą uliczką. Raz jeszcze spojrzałem na Ellę, by nauczyć się na pamięć jej delikatnej twarzy, wklęsłości u nasady szyi, intensywnie zielonych oczu, symetrii kości policzkowych. Ona też spojrzała na mnie i przyspieszyła kroku. Po raz ostatni wciągnąłem w nozdrza jej zapach.

- Nigdy więcej nie chcę cię widzieć - powiedziałem dobitnie. A potem puściłem się biegiem w strachu, że jeśli mnie zawoła, jej głos osłabi moje zdecydowanie. Zwolniłem dopiero, gdy wmiszałem się w tłum na ulicy i zostawiłem daleko w tyle jej samotną sylwetkę w czarnej sukience, z włosami smaganymi wiatrem, oczami pozbawionymi wyrazu i drżącymi dłońmi.

24

Z trudem mówię o dniach i miesiącach po moim powrocie do domu. W jednej chwili przyjaźń Erica i miłość Elli zniknęły z mego życia. Ciecipałem, nie mogąc podzielić się z nikim swoim bólem. Czuję, że nastąpiła we mnie przemiana, że nic mnie nie łączy z tamtym chłopakiem, który trzy miesiące temu wybrał się do Pragi. Pamiętam podróż do Anglii - szary dzień, spienione grzbiety fal i mewy krążące nad promem. Pokład przechylał się niebezpiecznie, a słony wiatr smagał mi twarz. Na przystani czekał tłum witających. Zobojętniały, przeciskałem się między ludźmi, a kiedy wreszcie dotarłem do domu, postanowiłem uciec w sen, bo nie mogłem już dłużej liczyć na znieczulenie wyczerpaniem.

Sen odgrodził mnie od rzeczywistości na dzień lub dwa, a tymczasem deszcz kartek świątecznych spadał przez szparę w drzwiach na wycieraczkę. Matka wszczyniała rozmowy o drzewku, łańcuchach, ciasteczkach bakaliowych i o tym, jak

trudno wybrać prezent dla ojca. Była zachwycona, że wróciłem wcześniej, niż zapowiedziałem. Myślę, iż pragnęła zatrzeć ślady dawnych nieporozumień i dlatego z taką energią wciągała mnie w planowanie świątecznych uroczystości. Moją melancholię brała za dąsy i tym mocniej domagała się mojego zaangażowania. Codziennie zwracała się do mnie z jakimś problemem. Czy powinniśmy urządzić przyjęcie w Wigilię? Czy ciocia Julia ma z nami spędzić święta jak co roku? Czy zapraszamy pastora na obiad w drugi dzień świąt? (Musicie wiedzieć, że moja matka bardzo przestrzegwała utartych zwyczajów, które kiedyś tam narodziły się z religijności; dlatego doroczne zaproszenie pastora na obiad należało do jej uświęconych obrządków).

Jak we śnie przetrwałem przedświąteczną gorączkę; machinalnie dopisywałem swoje imię na kartkach z życzeniami, z udawanym entuzjazmem witałem kolejne blachy gorących, aromatycznych bakaliowych ciasteczek, z udawanym zainteresowaniem wybierałem prezent dla ojca. Funkcjonowałem jak automat, a moi rodzice, niezmordowanie radośni w mojej obecności, szeptali między sobą po kątach, że granie na skrzypcach wyraźnie nie wychodzi mi na zdrowie i powinienem więcej przebywać na świeżym powietrzu. Pewnie tego nie wiecie, ale ćwiczenia fizyczne zawsze w mojej rodzinie stanowiły rozwiązanie wszelkich problemów, kiedy więc przyjechała ciotka Julia, gorąco mnie zachęcano do spacerów z jej psem. Odpowiadało mi to zadanie, bo mogłem dzięki niemu uciec w samotność od wymuszonej wesołości w rodzinie.

Ciotka Julia była wysoką, trzymającą się prosto damą o intensywnie brązowych oczach i nastroszonych brwiach. Chociaż dobiegała siedemdziesiątki, trwała przy swych dość ryzykownych jak na jej wiek manierach - paliła cygaretki i klęła nie gorzej od swego zmarłego męża brygadiera. Z wyższością znosiła krytyczne uwagi mojej matki, a ojca darzyła wręcz macierzyńskim uczuciem. Tak naprawdę Julia była serdeczną przyjaciółką jego matki, ale chyba odpowiadało jej tytułowanie jej ciocią, bo w ten sposób zyskiwała przepustkę do uczestnictwa w prywatnym życiu rodziny. Ciotka Julia zasypywała rodziców dobrymi radami, a mnie traktowała z war- kliwą czułością, co w jej pojęciu, czyli osoby nie mającej własnych dzieci, było właściwym sposobem odnoszenia się do osób z młodszego pokolenia.

Dwoma oczywistymi cechami ciotki Julii była jej niezłoma

siła charakteru i stałość przyzwyczajzeń. Właśnie ze względu na te przymioty czekałem na jej przyjazd bardziej niż w innych latach podczas ponurych tygodni po moim powrocie z Francji. Szukałem śladów dawnej stabilności. Chciałem poczuć, że życie toczy się jak dawniej, potrzebowałem wiary, że upływ czasu sprawi, iż nauczę się żyć z tym, co zrobiłem. Dlatego w tych okolicznościach wizyta ciotki Julii, zaplanowana jak operacja militarna, a przy tym nieuciążliwa dzięki niekonwencjonalnemu zachowaniu starszej pani, wydawała mi się zbawieniem. Nie było mowy o najmniejszych odstępstwach od ustalonej przez lata tradycji. Ciotka zawsze zjawiała się na trzy dni przed świętami i wyjeżdżała dzień po świętach. Nawet jej przyjazd zawsze wyglądał tak samo. Z dworca Waterloo brała dwie taksówki (jedną na bagaże, drugą dla siebie i psa). Jej wynurzeniu się z samochodu towarzyszyło leniwe szczekanie tłustego basseta. Zaczynała powitanie od mojej matki. Podawała jej dłoń i nadstawiała policzek do pocałunku. Dopiero potem płaciła taksówkarzom, życząc im tubalnym głosem „cholernie udanych świąt”. A gdy bagaże znalazły się na górze i zostały rozpakowane („nie rozumiem, jak ludzie mogą żyć na walizkach”), siadała przy kominku z cygaretką i szklaneczką wody - bo ciotka Julia nie piła alkoholu - i bezceremonialnie przepytywała wszystkich domowników, czym wielokrotnie narażała się mojej matce. Doprowadzało to do krótkich napięć między nimi, nieuchronnie towarzyszących tym pięciodniowym wizytom.

Pamiętam jej przyjazd. Pamiętam, jak stojąc w holu, czekałem na jej lustrujące spojrzenie i dwa siarczyste, świąteczne pocałunki. Liczyłem, że otrząsnę się dzięki wizycie Julii i że jej obecność odwróci uwagę rodziny ode mnie. Potrzebowałem więcej przestrzeni i mniej zainteresowania. Wierzyłem, że przy Julii odsunę od siebie myśli o śmierci Erica. Miałem nadzieję, że zapanuje przy stole i zapewni mi zajęcie. Chciałem, aby ciotka obroniła mnie przed sobą samym, czego moi rodzice, ludzie, którzy znali mnie znacznie lepiej, dokonać nie potrafili. Byłem przekonany, że wyciągnie do mnie rękę, tak jak ja kiedyś do Elli, w chwili gdy najbardziej mi tego potrzeba.

Osobą, która wpadła na pomysł, bym wyprowadzał Jepa na spacer, była moja matka. Ciotka łaskawie wyraziła zgodę, bo prawo dbania o jej pupila miało charakter przywileju. Jep był wesołym, zadowolonym z życia psem o błyszczącej sierści i

łagodnych oczach charakterystycznych dla kochanych zwierząt. Wyprowadzanie go na częste spacerów dawało mi okazję do samotności. Udając zazdrość o miłość Jepa, nie pozwalałem, by ktokolwiek nam towarzyszył.

Być może wyda się to dziwne, ale przechadzki na wietrze i w mżawce angielskiego grudnia okazały się dla mnie zbawienne. Nawet teraz, po pięćdziesięciu latach, dobrze je pamiętam. Zastanawia mnie, dlaczego tak jest. Prawdopodobnie byłem zmęczony dramatem, być może nie miałem już ani nadziei, ani marzeń i zateśniłem za prostą stabilizacją. Nie potrafię tego wyjaśnić. Wiem natomiast, że bezinteresowna i nieskomplikowana miłość Jepa, rozczulający widok jego długich uszu i radośnie merdającego ogona przyniosły mi ukojenie. Łatwiej jest utrzymać zaufanie zwierząt niż ludzi - nie wiążą się z tym żadne obciążenia ani pokusy. Przyjaźń ze zwierzęciem zmusza nas do spełniania zwykłych, codziennych obowiązków, a tego mi chyba brakowało. Mimo apatii potrafiłem okazywać wdzięczność Jepowi za dotrzymywanie mi towarzystwa, a on ze spokojem przyjmował pieszczoty jako coś, co mu się po prostu należało.

Tak więc dzięki Jepowi mogłem uciec w samotność, oddalić się od domu, w którym nie miałem ani chwili spokoju. Przez całe święta przychodzili jacyś goście. Musiałem odbierać ich płaszcze, nalewać drinki, z uśmiechem wysłuchiwać gładkich rozmów wyćwiczonych podczas niezliczonych świątecznych przyjęć. Jedyne pomieszczeniem, które gwarantowało mi prywatność, był pokój na poddaszu, gdzie latem grywałem dla Elli. Ale nie mogłem w nim wysiedzieć ani nawet się do niego zbliżyć, bo w uszach dźwięczał mi ciągle jej śmiech.

Toteż, jak na ironię, szukałem samotności w bezimiennym tłumie na ulicach wielkiego miasta, pośród obcych twarzy, z którymi nie łączyły mnie żadne wspomnienia. To tam znajdowałem chwilowe ukojenie i kruchy spokój. W dni poprzedzające święta i w Wigilię kręciłem się z Jepem przy nodze wśród rozgorączkowanych przechodniów, słuchałem podnieconych głosów, rozprawiających o potrawach, prezentach, strojach i wyjazdach z bliskimi, obserwowałem przyjaciół pogrążonych w rozmowach na przystankach autobusowych i przyglądałem się skłóconym parom rozmawiającym o czymś półgłosem z twarzami ściągniętymi chłodem i gniewem.

Przechadzałem się, patrząc na sceny z życia innych ludzi i słuchając ich rozmów z lęklwym zainteresowaniem kogoś, kto zubożniał na własne sprawy. Staralem się uwrażliwić na wyraz twarzy tych nie znanych mi ludzi, na ich emocje i pragnienia, które wywoływały uśmiech lub gniew. Zastanawiałem się, jak rozwiążą swoje konflikty; jakie będą dalsze losy ich przyjaźni czy miłości. Pragnąłem obudzić w sobie zazdrość, czułem bowiem, że to, co oni przeżywali, zostało przede mną na zawsze zamknięte. Obawiałem się, że już nigdy nie wżruszą mnie własne sprawy, przerażał mnie ten duchowy rozwód z samym sobą.

Wtedy jeszcze nie byłem gotów stawić czoła temu, co zrobiłem, ani przywołać sceny śmierci Erica czy rozpamiętywać wydarzenia, które ją poprzedziły. Żyłem w strachu przed własną pamięcią i bólem, jaki mogłyby wywołać wspomnienia, więc wolałem zwrócić swoje zainteresowanie ku życiu obcych ludzi w nadziei, iż w ten sposób ucieknę od siebie.

Boże Narodzenie nadeszło i minęło, a ja jadłem, piłem, uśmiechałem się, kiedy tego ode mnie oczekiwano, i obserwowałem taktownie skrywaną irytację matki, gdy ciotka Julia paliła cygaretki przy stole, podkarmiła Jepa kawałkami indyka i nazywała mego ojca starym koniem. W drugi dzień świąt żona pastora przyszła na proszony obiad sama, bo jej mąż „zległ, złożony potworną grypą”, i rozprawiała z ożywieniem o wyprzedaży na cele charytatywne organizowanej w kościele, a ciotka Julia zastanawiała się na głos, co też niektórzy ludzie widzą w narzutach na kanapy. Wyprowadzałem Jepa na dwa godzinne spaceru w ciągu dnia. Z utęsknieniem oczekiwałem tych dwóch godzin samotności, a kiedy wracałem, zaczerwieniony z zimna, z nową energią przystępowałem do pełnienia towarzyskich obowiązków.

Gdy w przeddzień wyjazdu ciotki wróciłem z Jepem o szóstej wieczorem, w domu nie było już żadnych gości, a Julia akurat rozwodziła się na temat pastorowej.

- Miała cholernie brzydką kieckę - usłyszałem, wchodząc do pokoju. - Nie rozumiem, dlaczego brzydota musi kojarzyć się ze świętością, co?

- Wcale nie musi - odparł mój ojciec, wręczając jej szklankę z wodą.

Julia siedziała wyprostowana w swoim ulubionym fotelu przy

kominku z cygaretką w dłoni. Zrobiłem sobie gin z to- nikiem i usiadłem w ciemnym kącie przy oknie. Mogłem stamtąd obserwować rozbawionego ojca i przysłuchiwać się rozmowie, nie będąc zmuszonym do brania w niej udziału.

- To bezczelność ubierać się tak okropnie - ciągnęła Julia. - Przecież ona wprawia w zakłopotanie swego męża.

Współczułem biednej pastorowej. Wyobraziłem sobie, jak ciotka wzięła ją w obroty podczas obiadu. Oczywiście współczucie nie przeszkadzało mi śmiać się z dobrodusznym żartów na temat jej siermiężnego wyglądu. Niespodziewanie poczułem ulgę, gdy tak siedziałem z Jepem na kolanach, bo odrapane okiennice i zimna posadzka domu Elli we Francji wydały mi się nagle bardzo odległe, a to, co tam przeżyłem, nabrało charakteru złego snu. I tamten dom, i to, co się w nim wydarzyło, należały do innego świata niż ten, do którego wróciłem i gdzie na nowo poczułem się bezpiecznie. Pomyślałem, że właśnie to swojskie domowe zacisze stanowi moją rzeczywistość. I jeśli przyjmę, że jest to jedyna rzeczywistość, która się liczy, to w jej swojskości mogę znaleźć ucieczkę przed bólem, jaki niosą wspomnienia.

Po co opowiadam o moich pierwszych próbach zwodzenia samego siebie? Być może już wtedy widziałem ratunek w oszukiwaniu się, ale nie miałem tyle siły, by pokonać poczucie winy czy wymazać z pamięci swój czyn. Dopiero lata treningu nauczyły mnie, jak można skutecznie odciąć się od przeszłości i nie analizować emocji. Wtedy jeszcze nie miałem wprawy. Byłem dzieckiem. W naiwny sposób usiłowałem radzić sobie z konsekwencjami brzemiennego w skutki czynu. Instynkt kazał mi uciekać w świat mojego dzieciństwa. W tamten świat oglądany z ciemnego kąta salonu owego zimnego wieczoru, gdzie otaczały mnie znajome twarze i słuchałem rodzinnych rozmów przy płonącym kominku w pokoju, który znałem od dziecka. Czerpałem otuchę z obecności osób, wśród których wzrastałem, takich jak ciotka Julia. Potrzebne mi było poczucie bezpieczeństwa, stabilność i czułość. Ta ostatnia chyba najbardziej, bo wzruszało mnie nawet bezrozumne przywiązanie psa.

Staralem się odsuwać myśli o okolicznościach śmierci Erica i nie dochodzić, dlaczego nie próbowałem wyznać, jaki był mój udział w tym, co się stało, gdy nadarzyła się ku temu okazja. Usiłowałem nie myśleć o Bożym Narodzeniu w domu Vaugirardów; o Ericu seniorze, Louise i Sylwii - tej grupce

zrezygnowanych ludzi przy choince w wąskim salonie zapuszczonego domu z jego trawnikiem do krykieta. Odpędzałem wspomnienie butów Erica i jego śmiechu, gdy przeczesywaliśmy mieszkanie madame Mocsary w poszukiwaniu łóżka, czy utarczek z Amerykanką o wydatnym nosie w kawiarni Floriana. Starałem się nie pamiętać, jak Erie improwizował na pianinie w salonie na Sokolskiej 21 ani jak płonął mu wzrok, gdy wychodziły nam duety. Nie chciałem pamiętać zapachu w jego sypialni u Elli.

Za to z całej siły koncentrowałem uwagę na osobach, które miałem przed sobą. Zmuszałem się, by słuchać ironicznych komentarzy ciotki Julii czy uśmiechać się na widok irytacji matki, gdy popiół z cygaretki lądował na dywanie, a jednak pokój stawał mi przed oczami i choćbym, nie wiem jak bardzo, wysiłał uwagę, i tak słyszałem głos Erica, gdy mówił, że mnie kocha, i widziałem jego obrzękłe ciało tam nad kamieniołomem z pochylonym nad nim, płaczącym doktorem Petinem.

-Mój Boże, ten chłopak płacze - doszedł mnie głos ciotki Julii. Zaraz otoczyła mnie kościstymi ramionami i z niezwykłą dla siebie czułością w chropawym głosie nakazała, bym natychmiast wziął się w garść i przestał wygłupiać.

25

Pozbierałem się. Taka jest kolej rzeczy. Co prawda nigdy nie otrząsnąłem się do końca, lecz teraz widzę, że w znacznym stopniu doszedłem do siebie. Dostrzegam też, ile w tym było zasługi Sary; z jakim talentem i cynizmem wpajała mi umiejętność oszukiwania siebie i otoczenia. Lecz w tamten grudniowy wieczór, gdy stałem w ramionach ciotki Julii, uciekając oczyma przed zmartwionym wzrokiem rodziców, nie wiedziałem, co mnie czeka. Nie podejrzewałem, na jaką trudną drogę wszedłem. Zmartwienia dzieci nigdy nie trwają długo; ich przelotność jest zaletą dzieciństwa. Wtedy, gdy tłumaczyłem rodzicom, by nie zwracali na mnie uwagi, bo jestem zwyczajnie przemęczony, nie przypuszczałem, że przeszedłem inicjację, a dzieciństwo się za mną zamknęło. Nie sądziłem, iż te parę tygodni w Pradze i we Francji na zawsze pozbawiło mnie dawnej umiejętności odczuwania pełnej radości, a poprzez miłość Elli i śmierć Erica wszedłem w inny plan przeżyć - chłodniejszy, bardziej dojrzały. Tutaj cierpienie trwało i nie było urojone. Dotąd nie miałem okazji poczuć smaku rozpacz bezgranicznej. Teraz taka okazja się nada-

rzyła. Miałem dostać lekcję, co to znaczy zмагаć się z przygnębieniem przez lata.

Jednak głęboka rozpacz tych pierwszych tygodni nie mogła trwać w nieskończoność. Każdy ogień w końcu gaśnie. Ja też wypaliłem się w moim bólu. Pozostałe po nim tłące się węgielki odebrały mi nadzieję na osiągnięcie spokoju. Na szczęście rozpoczął się nowy semestr w Guildhall, zostałem więc wciągnięty w wir zajęć - biegałem na ćwiczenia i brałem dodatkowe lekcje. To stępiło w pewnym stopniu moje cierpienie, bo zaangażowanie się w rutynowe zajęcia zadziało kojąco. Praca, a także pobyt wśród bliskich w znanym otoczeniu przynosiły ulgę, więc powoli, stopniowo uczyłem się żyć ze świadomością tego, co uczyniłem.

Mówi się, że życie toczy się dalej, a czas góje rany. Jest trochę prawdy w tym banalnym stwierdzeniu. Rzeczywiście żyłem dalej po śmierci Erica, nie mogło być inaczej, chyba że popełniłbym samobójstwo. Z czasem nauczyłem się śmiać z opowiadanych dowcipów, wysłuchiwać o problemach znajomych i z czymś w rodzaju entuzjazmu podchodzić do ich opowiadań o nowych miłościach i planach na przyszłość. Radziłem sobie z przeżywaniem kolejnych dni, które stopniowo stawały się coraz znośniejsze. Po prostu znośniejsze - nic więcej. Wiem to teraz, kiedy patrzę na siebie z perspektywy czasu. Ale wtedy byłem wdzięczny za najmniejszą nawet poprawę.

Najważniejszym miejscem w moim życiu stał się wówczas ciasnawy pokój do ćwiczeń w Guildhall, pokój, z którym nie wiązały się żadne wspomnienia. Widzę dokładnie tandetnie polakierowane pianino, podłogę pokrytą kanarkowym linoleum, metalowy stojak do nut pod zakurczonym oknem z matowego szkła. Pamiętam zaduch, poprzypalany papierosami blat okrągłego stolika oraz wyblakłe rękopisy nut i partytury wiedeńskich walców - jedyną ozdobę wszystkich czterech brązowych ścian. To pomieszczenie w niczym nie przypominało mieszkania madame Mocsary, lecz mnie odpowiadała jego brzydota i bezosobowy charakter, bo w sali numer 32 czułem się bezpiecznie. Spędziłem w niej wiele godzin, ćwicząc w samotności, której nikt nie zakłócał.

W tamtych trudnych dniach gra na skrzypcach stała się dla mnie ratunkiem. Zdarzało się, że muzyka zagłuszała myśli 0 Ericu. Czasami na godzinę lub dwie zapominałem, co mu zrobiłem. Lecz rzadko kiedy moje poczucie winy opuszczało mnie

na dłużej. Potem wracało wraz z jego śmiechem i nie-widzącym spojrzeniem otwartych oczu, kiedy układano jego ciało na brzegu kamieniołomu. Przez wiele tygodni bez przerwy miałem przed oczyma ten widok, mimo iż usilnie starałem się go od siebie odsunąć. Gdy tylko odkładałem instrument, znowu widziałem poskręcane w pierścionki włosy Erica, jego zamglone oczy i usta ułożone w niemym wyznaniu miłości. Eric ożywał w mych snach, więc nawet sen nie przynosił ulgi, bo dręczyły mnie na zmianę jego śmiech, płacz, krzyk

1 kroki. Czulem jego zapach, widziałem łzy. Coraz częściej leżałem w łóżku i z otwartymi oczyma czekałem na świt, wmawiając sobie, że za dnia wszystko wyda się mniej upiorne, że brzask pokona nawet śmiech Erica. Nie mogłem się nikomu zwierzyć, byłem więc samotny. Poznałem bezwzględną prawdę, że obecność ludzi nie zmniejsza poczucia izolacji. Samotność wszędzie dopadnie człowieka, a jego umysł staje się jej zakładnikiem.

Nie kontaktowałem się z Ellą, niemniej czytałem o niej w gazetach i w czasopiśmie. Jej powrót do Anglii tydzień po moim przyjeździe skupił na sobie uwagę prasy. Z odrazą patrzyłem na krzykliwe tytuły sensacyjnych artykułów o obłędzie i umieszczone pod nimi ujęcia bladej, wymizowanej twarzy Elli, kiedy schodziła ze stopni odrzutowca Air France. Czytałem brednie o „kłątwie Harcourtów” i o tym, jak to ofiarą przekleństwa ciążącego nad rodziną stał się młody i obiecujący francuski pianista, który gościł w „malowniczej willi Harcourtów w północno-zachodniej Francji”.

Właśnie takie bzdury stanowią pożywkę dla wyobraźni większości ludzi.

W pewnym sensie te bzdury działały również na moją wyobraźnię, bo stanowiły jedyną łączność z Ellą. Przez trzy lata studiów w Guildhall, w tym okresie samotności wypełnionym wyłącznie pracą, nie kontaktowałem się z nią. Pisywała do mnie długie listy, z których wyczuwałem, jak bardzo jest przerażona. To przerażenie nasilało się z upływem czasu. Nie odpowiedziałem na żaden z jej listów, niektórych nawet nie otworzyłem. Oczywiście tęskniłem za Ellą, jej brak napełniał mnie dręczącym smutkiem; parę razy o mało do niej nie napisałem. Lecz sumienie nie pozwalało mi spotkać się z nią. A im bardziej pragnąłem ją widzieć, tym silniejsze stawało się moje postanowienie, by wyrzec

się radości, jaką byłaby jej obecność w moim życiu. Nie poniosłem kary za udział w śmierci Erica. Kara nie była możliwa bez wyznania winy - na to jednak nie potrafiłem się zdobyć. Ale pragnąłem zostać ukarany. Brak kary czynił moje poczucie winy jeszcze silniejszym. Bardzo chciałem odpokutować winę, oczyścić się z niej poprzez cierpienie, dlatego Ella stała się moim największym wyrzeczeniem.

Jej listy przestały przychodzić. Moje życie wypełniała muzyka i gra na skrzypcach, nie było w nim spraw, które kojarzyłyby mi się z naszą miłością. Mijały kolejne, podobne do siebie dni, przeżywałem je, odsuwając od siebie wszelkie myśli o Elli. Zmagalem się z głosem, który podszeptował mi, że milcząc, postępuję okrutnie; że ta krucha kobieta, której zdjęcia widywałem w gazetach, nie zasłużyła, bym definitywnie wykreślił ją z życia. Kiedy teraz o tym myślę, widzę, jaki byłem bezwzględny. Mogłem przynajmniej do niej napisać. Przecież w ten sposób nie powiększyłbym ani jej, ani mojej winy. Nie musiałbym wyznawać Elli, że jej obraz, śmiech i dotyk prześladują mnie w snach, wystarczyłoby, gdybym napisał, że cierpię, myśląc o niej.

Łatwo jest spekulować po fakcie, jak należało postąpić, czy też snuć rozważania, co by było, gdyby... Wiem, że wszystko staje się takie jasne i oczywiste, gdy patrzy się z perspektywy, lecz po co mi te rozważania? Nie napisałem do Elli, i to jest fakt. Milczałem uparcie po części dlatego, że za śmierć Erica bardziej obwiniałem ją niż własny bezmyślny postępek. Zachowałem się jak tchórz. Po prostu łatwiej mi było przyjąć, że zostałem namówiony do złego, że w pewnym sensie stałem się ofiarą, chociaż oczywiście nie mogłem udawać, że byłem bez winy. Nie rozumiejąc, iż okrutne zachowanie Elli wynikało z braku poczucia bezpieczeństwa, skupiony na zmaganiach z własnym sumieniem, popadałem w sprzeczności, w jednej chwili gotowy ją potępiać, w drugiej wybaczyć wszystko i wrócić do niej wbrew sobie i sumieniu. Musicie zrozumieć, że potwornie za nią tęskniłem, uważając jednocześnie, że powinienem się jej wyrzec ze względu na Erica. Sądziłem, że przynajmniej tyle jestem mu winien.

Być może śmierć przyniesie mi wiedzę i możliwość obiektywnego osądu. Może ona połączy mnie z ukochanymi osobami, z którymi rozdzieliło mnie życie. Kto wie... Znowu odchodzę od głównego wątku. Nie mogę pozwolić, by tego starego, wątego człowieka, który siedzi samotnie w mrocznym pokoju, rozpraszała

gra wyobraźni. Moje słońce zaszło, zgasło dawno temu. Muszę mówić dalej, aż powiem wszystko do końca. Od śmierci Sary minęła jedna noc, nie mam czasu do stracenia, nie mogę przerywać.

Po śmierci Erica zostałem sam. Pozbawiony wsparcia Elli, gnębiony świadomością mego czynu, stałem się skryty. Podczas studiów w Guildhall nauczyłem się maskować swoje uczucia i ukrywać rozpacz, by nie narażać się na indagowanie znajomych i rodziny. Im lepiej udawał mi się ten kamuflaż, tym skuteczniej oszukiwałem samego siebie. Oczywiście daleko mi było do wprawy, jaką osiągnąłem wiele lat później dzięki Sarze, niemniej starałem się, jak mogłem, i osiągnąłem niezłe rezultaty. Jednej tylko strasznej prawdy nie potrafiłem podważyć, a mianowicie, że człowiek musi ponieść karę za popełnioną zbrodnię. Dręczyłem się więc, że los mnie oszczędza. Każde miłe słowo czy dobre zdarzenie wywoływało wyrzuty sumienia. Separacja z Ellą nie wydawała mi się wystarczającą karą. Pozbawiony możliwości oczyszczenia poprzez spowiedź, nie zganiony, cały czas koncentrowałem się na swojej winie. Jak ranne zwierzę na ślepo szukające ucieczki, początkowo sam sobie narzucałem najróżniejsze ograniczenia - nie jadłem ulubionych potraw, nie grałem ukochanych utworów, nie brałem do rąk skrzypiec, kiedy najbardziej miałem na to ochotę. Ciągle jednak czułem, że to nie wystarcza, że zawsze będzie za mało.

Przygniatany poczuciem winy, doszedłem do przekonania, że za to, co zrobiłem Ericowi, nie wolno mi w pełni czerpać radości ani z życia, ani ze sztuki. Ponieważ on przeze mnie stracił szansę na doświadczenie szczęścia, ja również musiałem z niej zrezygnować. Jeżeli moje życie stawało się czymś więcej niż tylko pańszczyzną, wydawało mi się, że nadal okradam Erica z czegoś, co mu się należało. A przecież i tak pozbawiłem go już tego, co było jego prawem; odebrałem mu (albo przyczyniłem się do tego) najistotniejszą, najkruchszą wartość - życie. Należała mi się ponura egzystencja. W obawie, by nie stracić resztek szacunku dla samego siebie, unikałem wszelkich przyjemności. Z jednej strony przerażała mnie myśl o wyznaniu winy i poniesieniu kary, a z drugiej dręczyła możliwość spędzenia życia w poczuciu winy. Dlatego sam sobie wymyślałem kary. Byłem bezwzględny w nakładaniu na siebie pokuty i znajdowałem w tym ulgę.

Lecz w końcu do głosu doszła natura. Nauczyłem się, iż nie

można uciec od własnego ja, będąc nawet jego najzagorzalszym wrogiem. Kiedyś Ella obudziła mnie do życia, otworzyła przede mną jego możliwości. Takiej wiedzy nie można zapomnieć, choćby się bardzo chciało. Ja naprawdę chciałem, możecie mi wierzyć, a mimo to nie udało mi się zdusić w sobie potrzeby przeżywania namiętności. Podejmowałem kolejne próby i za każdym razem przegrywałem. I powoli, stopniowo dochodziłem do wniosku, że mój postępek wobec Erica wcale nie uczynił mego życia mdłym i pozbawionym sensu, bo mój grzech i przygniatający mnie żal stał się źródłem przemyśleń i odczuć, jakich większość zadowolonych z siebie ludzi nigdy nie dozna.

W tym samym czasie, gdy zmagalem się z konsekwencjami mego czynu, zacząłem pracować z szaleńczą energią, poświęcając się bez reszty muzyce. Moja dusza (pozwolę sobie używać tego słowa, zanim ktoś wymyśli bardziej adekwatne określenie) nie zgadzała się na uwięzienie. Teraz to widzę. Moja dusza rwała się na wolność. A ponieważ gra na skrzypcach była jedyną ucieczką do świata wolnego od smutku, w niej osiągałem brzmienie niedostępne dla szczęśliwszych ludzi. Powoli zaczynałem rozumieć, że najpierw euforia, jaką poznałem dzięki Elli, a potem tragedia w związku z Erikiem wpłynęły na moją grę, nadając memu talentowi znamiona geniuszu. Ta świadomość sprawiała, że czułem odrazę do samego siebie.

Nie traktuję lekko słowa „geniusz”. To nie moja opinia, tylko określenie Michaela Fullertona, pochodzące z tytułu recenzji, którą napisał po moim pierwszym koncercie, gdy ukończyłem Guildhall. Mam ją gdzieś tutaj w całym pakiecie recenzji starannie obwiązany wstążeczką przez pracowite dłonie Sary. Nie ma sensu szukać tych artykułów. Wszystkie mniej więcej tak samo brzmią. Nie muszę odświeżać w pamięci swojej kariery. Pamiętam, jaką niechęcią napawał mnie ten nadmierny podziw, jak bardzo chciałem zapomnieć, z czego płynie siła mojej gry. Przerazało mnie źródło inspiracji. Teraz już się tak nie boję. Wyciszyłem się w miarę upływu czasu. Muszę oddać sprawiedliwość memu nieżyjącemu przyjacielowi i przyznać, że czasem, chociaż nie zawsze, sztukę inspiruje cierpienie. Tak przynajmniej było w moim przypadku.

Aby pogodzić się z pewnymi prawdami, by wypowiedzieć głośno niektóre twierdzenia, należy osiągnąć wewnętrzny spokój, który przychodzi wraz z wiekiem. Teraz nie muszę już niczego

udowodniać (ani sobie, ani nikomu) i mogę przyznać, że osiągnąłem sukces dzięki miłości Elli i śmierci Erica. To miłość rzuciła mnie na głębokie wody, a rola, jaką odegrałem w śmierci przyjaciela, o mało nie ściągnęła mnie na dno. Właśnie dzięki tym dwóm przeżyciom moja muzyka zyskała głębię. Bez nich byłbym zaledwie doskonały technicznie, bo dobrowolnie nie zamieniłbym bezpiecznej mielizny mojej egzystencji na wzburzoną toń, w którą zanurkowałem. To Ella wrzuciła mnie w morze życia, to z nią mógłbym wypłynąć, nawet jeśli znalazłem się blisko dna. Ale ja nie popłynąłem; a kiedy Sara wyciągnęła do mnie dłoń, pochwyliłem ją skwapliwie, aby znowu zobaczyć albo jeszcze lepiej poczuć pod stopami pewny grunt. Niestety, ceną bezpieczeństwa okazała się kariera. Straciłem inspirację, grałem z coraz mniejszym zaangażowaniem. Mój talent, jak moglibyście wyczytać w jednej z recenzji z pakietu, polegał na przekładaniu osobistej pasji na język muzyki. Ja sam miałem do zaoferowania jedynie perfekcję ekspresji. To, co wyrażałem, nie należało do mnie lub mówiąc dokładniej, nie należało wyłącznie do mnie. To wielka ulga móc się wreszcie do tego przyznać.

26

Tamtego lata, kiedy ukończyłem studia w Guildhall, miałem dwadzieścia pięć lat. Jak już wspomniałem, po moim popisie ukazała się w „Timesie” kolejna entuzjastyczna recenzja pióra Michaela Fullertona. Przechowuję ją w szufladzie biurka chyba ze względów sentymentalnych. Nie mogę się oprzeć pokusie, by nie popatrzeć na zdjęcie zamieszczone wraz z nią. Bije z niego powaga i dramatyzm. Stoję na scenie w Albert Hall, a w tle za mną i nade mną widać puste łóżce. Jestem skromnie ubrany, bo zdjęcie zrobiono na próbie. I chociaż trzymam skrzypce tak, jakbym za chwilę miał zacząć grać, moja twarz ma napięty i nieco surowy wyraz.

Twarz na zdjęciu bardziej przypomina mnie takiego, jak wyglądam obecnie, niż tamtego chłopaka z parku, który w słoneczny poranek po raz pierwszy zobaczył Ellę siedzącą samotnie na ławce. To prawda, że zdjęcie zrobiono zaledwie trzy lata później, lecz ludzie mogą się zmienić nawet w tak krótkim czasie. Ja się zmieniłem. Kiedy patrzę na moją podobiznę, odnoszę wrażenie, że wyglądałem na więcej niż na dwadzieścia pięć lat. Na twarzy widać zmarszczki, zaciskam usta, patrzę spod

przymrużonych powiek, wyraźniej zaznaczają mi się kości policzkowe. Oczywiście włosy nadal nosiłem długie. Moja agentka uznała, że to istotne dla wizerunku scenicznego, gdyż dłuższe włosy nadawały mi - jak to ujęła - „romantyczny wygląd”. Gdyby pominąć fakt, iż obecnie noszę starannie przystrzyżone włosy (opadające na ramiona loki w moim wieku nie dodają powagi), to powiedziałbym, że niewiele się różnię od mężczyzny, który patrzy na mnie ze zdjęcia w gazecie rozpostartej na moich kolanach. Niewątpliwie posunąłem się przez te lata, a zmarszczki się pogłębiły, lecz to jedyna różnica, jaka nas dzieli. Obecnie ja i tamten dwudziestopięciolatek mamy takie samo spojrzenie, które mnie - jako dwudziestodwuletniemu chłopakowi - było obce. To jest spojrzenie smutne i zarazem pełne rezerwy. Zarówno dziś, jak i wtedy wyraz moich oczu mięknie, dopiero gdy biorę skrzypce do ręki. Mając dwadzieścia pięć lat, byłem zrezygnowany i przygniatał mnie smutek. Dostrzegam tę rezygnację w moich oczach na zdjęciu.

Kto wie, może Ella także ją widziała, ponieważ w tamtym okresie moje zdjęcia ukazywały się w prasie niemal tak często jak jej, tyle że z innych powodów. Kto wie, czy nie patrzyła na moją podobiznę tak samo jak ja na jej i nie czytała w mych oczach cierpienia, które było równe jej udręce. Być może... Ach, jakich sens mają dzisiaj takie dywagacje? W obsesyjnej potrzebie poniesienia kary wykluczyłem Ellę z mojego życia, chociaż nadal pielęgnowałem wspomnienia o niej. Wciąż z niepokojącą przyjemnością myślałem o sposobie, w jaki zapalała papierosa czy się uśmiechała. Jednocześnie odgrodziłem się od niej trzema latami przeżyтыми w poczuciu dręczącej winy - barierą, której nie byłem zdolny przekroczyć bez pomocy z zewnątrz. Być może Ella z dreszczykiem emocji śledziła rozwój mojej kariery i kto wie, czy nie kupowała płyt z moimi nagraniami, by przywołać tamte popołudnia spędzone razem w małym pokoju na poddaszu owego złotego lata, naszego lata. To całkiem prawdopodobne.

Ja natomiast czytałem o niej w wolnych chwilach pomiędzy koncertami i sesjami nagraniowymi. Czytywałem te artykuły z zainteresowaniem, ale bez emocji (podobnych do tych, jakie, mam nadzieję, wzbudzały w Elli artykuły o mnie), bo wieści dotyczące Harcourtów nie były pomyślnie. Zainteresowanie prasy osobą Elli osłabło po jej powrocie z Francji, lecz ożyło z nową siłą po opublikowaniu książki Sary. Biografia

jej prababki wzbudziła duże zaciekawienie, a także zyskała sporo pozytywnych recenzji. Suplement literacki do „Timesa” określił ją jako „zgrabnie nakreślone studium niezwykłej kobiety o niestabilnej psychice”. Przynajmniej taką recenzję wyczytałem na obwolucie książki. Fotoreporterzy kolejny raz wycelowali obiektywy w rezydencję na Chester Square z nadzieją sfotografowania pięknej i kručzej przyszłej dziedziczki zamku Seton.

Pierwszy tydzień rozczarował dziennikarzy. W drugim reporter szczęściarz sfotografował zapłakaną Ellę, w chwili gdy opuszczała dom psychiatry na Harley Street. Gazety rzuciły się na to zdjęcie, snując najróżniejsze domysły. Artykuły wzbudziły tak wielkie zainteresowanie, że nawet poważne dzienniki zaczęły zamieszczać niewielkie artykuły na temat Harcourtów i ich rodzinnej historii. Natomiast pisacy z po- południówek bez skrępowania puścili wodze fantazji. Przez całe lato tamtego roku, kiedy ukończyłem Guildhall, plotki w gazetach na temat Elli i jej krewnych ustępowały pod względem popularności jedynie rewelacjom z życia rodziny królewskiej. Wszyscy i wszędzie z bezmyślnym wścibstwem dyskutowali o Harcourtach, doprowadzając mnie tym do białej gorączki.

Nawet Camilla Boardman, która prywatnie nie grzeszyła dyskrecją, poza naszym środowiskiem czuła się w obowiązku głośno i otwarcie krytykować te historie jako „wysane z palca”. Podkreślała w ten sposób, przy wszystkich, którzy tylko chcieli jej słuchać, swoje zażyłe stosunki z tak znaną postacią, a jednocześnie pozostawała lojalna wobec przyjaciół. W przeciwieństwie do mnie upływ czasu nie zmienił Camilli. Z perfekcyjnie skręconymi lokami, zjawiskowa jak zawsze, szła przez życie ze swobodną pewnością siebie. Przemawiała z dawną emfazą, jej entuzjazm nie przygasł ani na jotę, a brak interpunkcji stał się niemal legendarny. Camilla pozostała wierna swemu przyrzeczeniu i nie wyszła za Eda Saundersa.

Zamiast tego wykazała wielką odwagę: wyprowadziła się od matki, wzięła pożyczkę z banku i zanim zrobiłem dyplom, ona już zdążyła otworzyć salon mody „Camilla & Co” w bardzo dobrym punkcie Londynu, bo na Fulham Road. Pomyślany z początku jako boutique, salon stopniowo przeistoczył się w ekskluzywną pracownię, gdzie zaprojektowane z polotem przez samą szefową kreacje szyły cztery krawcowe. Klientelę Camilli stanowiły

znajome jej matki oraz krąg własnych znajomych.

Już jako dojrzały mężczyzna przestałem darzyć Camillę nabożnym podziwem i chętnie spotykałem się z nią w tych ciężkich dla mnie czasach. Camilla wymagała całkowitej uwagi, a to pozwalało mi oderwać się od ponurych myśli, więc byłem jej wdzięczny za chwile beztroskiego zapomnienia. Ponieważ sama nigdy nie odczuła ani śladu poczucia winy, a największą udręką, jaką przeżyła, było zbyt długie czekanie w kolejce u dentysty, jej niespożyty entuzjazm kojąco wpływał na moje przygnębienie. Camillę zapewne korciło, aby wypytać mnie o pobyt we Francji (sądzę, iż wiedziała, że byłem tam z Ellą), lecz wykazała zaskakujący takt, powstrzymując się od wszelkich pytań. Taka postawa kazała mi zweryfikować moją opinię na jej temat. Doszedłem do wniosku, że szczerze ją lubię. Oczywiście na obiadach u Boardmanów zdarzało mi się słyszeć najświeższe plotki o Elli, ale ponieważ nie podtrzymywałem tematu, odbierając tym samym Camilli wszelką radość z ich powtarzania, rezygnowała z nich.

Nie zachęcałem Camilli do rozwijania wątku Elli, bo mimo mego dobrego samopoczucia w jej towarzystwie nie o wszystkim miałem ochotę rozmawiać. Gdy przyciszonym głosem donosiła mi, że Ella Harcourt jest bardzo nieszczęśliwa, a w dodatku starannie ukrywa powód swej rozpacz, nie mogłem tego słuchać. W owym czasie potrzebna mi była pozbawiona komplikacji przyjaźń kogoś, komu mogłem zaufać. Szczęśliwym trafem Camilla bardzo dobrze sprawdzała się w roli przyjaciółki. Jej serdeczność zbliżyła mnie do niej (ją zapewne pociągało we mnie to, że byłem jej wdzięcznym słuchaczem). I tak stopniowo nasza dość płytka znajomość przemieniła się w autentyczną przyjaźń, która przetrwała aż do początków mego małżeństwa.

Moje wyjaśnienia dotyczące Camilli nie są kolejną dygresją. Uważam, że to istotne, bym ustalił jej miejsce w kontekście sytuacji i dokładnie przypomniał sobie kolejność wydarzeń do czasu procesu Elli, a także i po nim. Teraz szczegóły nabierają wagi, bo sprawy zaczną toczyć się bardzo szybko. Muszę po raz ostatni wysilić pamięć, by odgrzebać wydarzenia przesłonięte koncertami, konkursami, wywiadami radiowymi i intensywnymi ćwiczeniami, które wypełniały mi tamte parę tygodni do wygranej w konkursie Hibberdsona. Muszę prześledzić zacieśnianie się mojej przyjaźni z Camillą oraz moje układy z Reginald Boardmanem,

na której koncertach charytatywnych regularnie grywałem.

Kiedy ja szykowałem się do dyplomu w Guildhall, ta żelazna dama, nie zrażona trudnościami, radziła sobie coraz lepiej ze zbieraniem funduszy. Chociaż nie uczestniczyłem w „porankach” z powodu wspomnień związanych z Erikiem, nadal darzyłem ją wdzięcznością za życzliwość i talent, z jakim poradziła sobie z władzami Guildhall. Przecież mój staż u Mendla zawdzięczałem po części wpływom Reginy. Również doskonale pamiętałem, że to ona stworzyła mi pierwszą okazję występu przed publicznością. Kiedy więc mnie prosiła, grałem na koncertach charytatywnych, a moja rosnąca sława przyciągała na nie większą publiczność. Odmówiłem jedynie występu w kościele Świętego Piotra na Eaton Square. W tamtym czasie poznałem wiele londyńskich kościołów. Gdyby nie koncerty, pewnie nigdy bym do nich nie zaszedł.

Ale nie zamierzam się rozwodzić nad moim romansiem z architekturą sakralną. Nie mam czasu na snucie opowieści o tym, jak całymi popołudniami odbywałem próby w głównych nawach wyiębionych kościołów i niszczących bocznych kaplicach. Muszę skupić się na tym, co powiedziała Regina po dorocznym zebraniu Towarzystwa Ratowania Zabytków. Chcę przywołać jej obraz, gdy z elegancko skrzyżowanymi nogami i usztywnioną lakierem fryzurą siedziała za biurkiem w salonie swego domu na Cadogan Square. Pragnę usłyszeć władczy ton jej głosu.

Regina wróciła z zebrania podekscytowana nowym pomysłem. Była nim seria koncertów, dla odmiany dawanych po domach, a poprzedzanych małym przyjęciem z szampanem. Jak mnie zapewniła, ten pomysł powinien podwoić wpływy na jej fundację.

- Mój drogi, jaki jest pożytek z przyjaciół posiadających duże domy, jeśli nie można ich wykorzystać? - zapytała z filuternym uśmiechem.

Zawiesiła głos, a mnie pozostało jedynie zapytać: „No właśnie, jaki?” i zaoferować swoje usługi na pierwszym z trzech koncertów, którego datę, jak mnie poinformowała, wyznaczono na dzień po półfinałach konkursu Hibberdsona.

- Organizujemy go w Cheverel House - oznajmiła nie bez dumy i nagrodziła mnie za gotowość zakamuflowanym pochlebstwem, a ja udałem, że go nie słyszę. Na koniec z uśmiechem dodała: - Pomyśl tylko, jak miło będzie ci grać przed

zaprzyjaźnioną publicznością. Naprawdę, James, bierzesz udział w zbyt wielu konkursach.

Korciło mnie, żeby powiedzieć, iż Hibberdson jest moim pierwszym konkursem, lecz zanim zdążyłem otworzyć usta, Regina stwierdziła, że zgarnę nagrodę, zanim się obejrzę, i wtedy stanę się dla niej za wielki.

Skwitowałem komplement grzecznym uśmiechem, myśląc jednocześnie, że nikt ani nic nie może być zbyt wielkie dla Reginy Boardman, po czym obiecałem zajrzeć za tydzień, by uściślić program występu.

- Wspaniale - odparła i podniosła się z fotela, żeby mnie ucałować. - Nie wiem, jaki skutek przyniosłyby moje apele, gdyby nie ty. James, jestem taka szczęśliwa, że dzielisz się z nami swoim geniuszem.

Skrępowany wylewną wdzięcznością, pod byle pretekstem zakończyłem wizytę i wróciłem do domu. Sięgnąłem po skrzypce i grałem całe popołudnie aż do wieczora, bojąc się zostać sam na sam ze swymi myślami, a od pochwalnych słów Reginy paliły mnie uszy.

Lato po zrobieniu dyplomu wypełniała mi praca. Nadal znajdowałem ukojenie w muzyce. Nie przeszkadzały mi wielogodzinne, intensywne próby przed sesjami nagraniowymi i kolejnymi etapami konkursu Hibberdsona. Niezbędna w moim zawodzie katorżnicza praca dawała mi wolność, a skupienie podczas występów ofiarowało zapomnienie pozwalające przetrwać tamten ponury czas.

Nadal nie spotykałem się z Ellą, lecz często o niej myślałem i czytałem w gazetach. Być może nigdy już nie próbowałbym zobaczyć się z nią, gdyby los z właściwym sobie okrucieństwem nie zdecydował inaczej. To on sprawił, że zrujnowałem wysiłek tych kilku lat oraz uwolniłem pragnienia tłumione w ciągu samotnych miesięcy. Los wybrał wieczór koncertu Reginy w Cheverel House i zaatakował, kiedy byłem najbardziej bezbronny i słaby, bo akurat z powodu poczucia winy usiłowałem zdławić radość, jaką sprawiło mi przejście do finału Hibberdsona. Widzicie, sukces nadal stanowił dla mnie dylemat. Jeszcze nie potrafiłem go akceptować bez żadnych ubocznych myśli. Kiedy grałem na zaimprovizowanej scenie w końcu długiego salonu, mając przed sobą bardzo szacowną publiczność, starałem się odpędzić myśli

o Ericu i wspomnienie spojrzenia szeroko otwartych szklanych oczu, gdy jego ciało, wyciągane z kamieniołomu, kołysało się w chłodnym wietrze.

W trakcie występu nie rozróżniałem pojedynczych twarzy; widziałem jedynie zamazane kontury głów, a kiedy na koniec uklonem podziękowałem za uwagę, usłyszałem gorące oklaski. Grałem tamtego wieczoru poprawnie i starannie. Wyczerpany występem, potulnie dałem się zaprowadzić do ciemnego pokoju, gdzie czekał na mnie kieliszek szampana. Oznajmiłem osobie towarzyszącej mi, że chcę na chwilę zostać sam. Pamiętam, siedziałem z głową opartą na rękach, z niechęcią myśląc o tym, że będę musiał przyjmować gratulacje od moich słuchaczy. Wiedziałem, że zanim będę mógł wyjść, czekało mnie rozdawanie uśmiechów i uściski dłoni.

- Kochany, byłeś cudowny!

Skrzypnięcie drzwi oznaczało, że zostałem wytropiony i że za chwilę znajdę się w ramionach obu pań Boardman.

- Chodź do gości napawać się swoim sukcesem - powiedziała Camilla z błyszczącymi oczami. - Wszyscy oszaleli na twoim punkcie. Mama wszem i wobec oznajmiła, że wygrasz w Hibberdsonie. Sądząc po dzisiejszym występie, ani trochę bym się nie dziwiła, gdyby miała rację. - Camilla z uśmiechem czekała, aż schowam skrzypce do futerału. - No, James, nie bądź taki nieśmiały - szepnęła, biorąc mnie pod rękę i otworzyła drzwi na korytarz. - Wiesz, musisz się z tym wszystkim oswoić. Kiedyś będziesz sławny.

- Nie będę sławny - zaprotestowałem. Tym razem szampański humor Camilli działał mi na nerwy.

- Przecież już jesteś - odparła po prostu i wyprowadziła mnie z pokoju. - I nic nie możesz na to poradzić.

Zrozumiałem, że zachowałem się niegrzecznie, wykręcając się od spotkania z gośćmi czekającymi na mnie na schodach. Uśmiechałem się melancholijnie, gdy mężczyźni ściskali mi dłoń i przedstawiali swoim małżonkom. Zręcznie odpowiadałem na komplementy pań, które zależnie od typu osobowości chwaliły mnie za urodę lub za grę. Tego wieczoru miałem do czynienia z doborową publicznością. Regina Boardman zaprosiła swych najbogatszych i najbardziej wpływowych znajomych. Odniosłem wrażenie, że oni wszyscy uważali, iż należy im się bezpośredni

kontakt z artystą, skoro tak dużo zapłacili za występ. Potulnie więc poddałem się ceremonii przedstawiania, bo przecież pani Boardman nie mogła rozczarować swojej publiczności. Prowadzony przez Camillę, schodziłem powoli po schodach wzdłuż szpaleru ludzi i uśmiechałem się ze skrępowaniem, starając się nie słyszeć tych wszystkich przesadnych komplementów. Tak jak człowiek na pustyni marzy o wodzie, tak ja marzyłem, by to wszystko się skończyło i zostawiono mnie w spokoju.

Gdy skręciłem na ostatnie półpiętro, na końcu rzadniejącej kolejki ujrzałem Alexandra i Pamelę Harcourtów. Zauważyłem, że ostatnie trzy lata nie obeszły się z nimi łaskawie. Co prawda fryzura Pameli była nienaganna jak zawsze, a dłonie upierścienione, lecz jej twarz zdradzała znużenie, którego nie mogło zatuszować ani dopracowane uczesanie, ani kosztowny strój. Widziałem, jak zbiegały jej kostki szczupłej dłoni, kiedy stojąc wsparta na ramieniu męża, zaciskała na nim palce. Ramię Alexandra wydało mi się niesamowicie chude, wręcz kruche, mimo że zakrywał je rękaw smokingowej marynarki. W jego sylwetce nie było dawnej sprężystości, a oczy straciły ów wyraz pewności siebie człowieka podziwianego przez otoczenie. Alexander wychudł i postarzał się, a jego dłoń, kiedy mi ją podał, lekko drżała.

-Dobry wieczór - odezwałem się pierwszy. Miałem przed oczami nasze ostatnie spotkanie w holu Grand Hotelu Europa, kiedy kłopoty Elli dopiero się zaczynały.

- Dobry wieczór, panie Farrell. Miło pana znowu widzieć - odpowiedział. Jego głos też zabrzmiał starzej, niż go zapamiętałem. Starzej i smutniej.

- Bardzo nam się podobała pańska gra. - Pamela rozciągnęła uszmiukowane usta w oficjalnym uśmiechu.

Potem nastąpiła cisza. Podziękowałem im, że przyszli na mój koncert, i już miałem ruszyć dalej, gdy Alexander przytrzymał mnie za ramię.

- Czy mógłbym... zamienić z panem parę słów? Na osobności? - Jego niebieskie oczy nieruchomo wpatrywały się we mnie. Nie odpowiedziałem.

- Proszę.

Czułem, że Regina, idąca za mną po schodach, lada chwila zrówna się z nami.

- Myślałem o tym, żeby napisać do pana - rzekł szybko Alexander, odgadując zamiar Reginy. - Proszę mi wierzyć, będę bardzo zobowiązany za chwilę prywatnej rozmowy.

Ujęło mnie dumne opanowanie Alexandra. W wyrazie jego postarzałej twarzy dostrzegłem mimikę Elli.

- Ależ oczywiście - zgodziłem się i zszedłem z ostatnich paru stopni.

Czekał na mnie w pobliżu frontowych drzwi. Kiedy wyszedłem na dwór, w odjeżdżającej taksówce mignęła mi twarz Pameli.

Alexander doszedł do mnie i szliśmy razem w kierunku stacji metra. Przez moment milczał, nie wiedząc, jak zacząć rozmowę, a kiedy się odezwał, zauważyłem, że drży mu głos.

- Z moją córką jest bardzo niedobrze - powiedział powoli.

Czekał na moją reakcję.

- To znaczy? - zapytałem w końcu, chociaż dobrze wiedziałem, o czym mówi.

- Zmieniła się nie do poznania po pobycie we Francji w towarzystwie pana i tego nieszczęsnego chłopaka.

Przeszliśmy kilkanaście metrów w milczeniu.

- Proszę nie myśleć, że obwiniam pana o cokolwiek - kontynuował. - Zachowanie Elli budziło mój niepokój, zanim wyjechała do Francji. Już wtedy nie była sobą. Lecz po powrocie jej stan wyraźnie się pogorszył. Nie chciała rozmawiać ani ze mną, ani z Pamelą. Stroniła od ludzi. Odniosłem wrażenie, że straciła chęć do życia. - Alexander zamyślił się. -

Z początku sądziliśmy, że śmierć tego Francuza... Jak on miał na imię?

- Erie - rzuciłem półgłosem.

- No, tak. Myśleliśmy, że to śmierć Erica tak nią wstrząsnęła. -

Przerwał na chwilę swój monolog. - Więc daliśmy jej czas.

Zostawiliśmy w spokoju. Niestety, jej stan wciąż się pogarszał.

Nie chciała się z nikim widywać. Straciła całą radość życia.

Trudno było nam na to patrzeć, bo Ella zawsze tryskała energią.

Pamiętam, jaka była szczęśliwa w okresie narzeczeństwa.

Alexander wbił wzrok w ziemię, a ja pomyślałem o upojnych dniach i nocach tamtego lata, kiedy razem z Ellą uważaliśmy się za bółbogów.

- Wszyscy próbowaliśmy jej pomóc - Alexander podjął przerwany wątek. - A szczególnie jej kuzynka, Sara, starała się ją wesprzeć. Obecnie Ella nie chce nikogo widzieć. Oczywiście ten

cały rozgłos w prasie też jej nie pomaga. Nie wychodzi ze swego pokoju. Nie rozmawia ze mną. Nie...

Nie mógł wymówić ani słowa więcej.

- James, proszę pana. - Spojrzał mi w twarz i wtedy w jego oczach spostrzegłem łzy. - Boję się o moją córkę, Nie wiem, co robić. Czuję, że ją tracę. Ella mówi, że pan jest jedyną osobą, z którą chce się widzieć.

Doszliśmy na Notting Hill Gate. Zaczynało padać.

- Wielokrotnie zabierałem się do napisania listu. A dzisiaj, kiedy pana zobaczyłem, pomyślałem, że muszę to wszystko powiedzieć. Ella twierdzi, że pan nie odpisuje na jej listy. Nie chciałem się do tego mieszać. Ale bardzo się tym wszystkim gryzę. Może, gdyby się pan z nią zobaczył, sprawy przyjąłby lepszy obrót.

Staliśmy, nic nie mówiąc.

-Przynajmniej warto spróbować, prawda? - odezwał się po chwili.

Było coś tragicznego w tym mężczyźnie w średnim wieku, przemawiającym do mnie błagalnym tonem.

- Co ja mogę zrobić? - powiedziałem z namysłem bardziej do siebie niż do niego.

Chwycił mnie za ramię.

- Niech pan do niej napisze, James. Zadzwoni. Odwiedzi ją.
- Zamilkł. - W przyszłym miesiącu mój brat wydaje przyjęcie w Setonie. Niech pan z nią przyjedzie.

Pokręciłem przecząco głową.

Opuścił wzrok.

- Niech pan coś zrobi. Proszę jej tak nie zostawiać.

Długo milczałem, tysiące myśli wirowały mi w głowie.

- No dobrze - zgodziłem się w końcu. - Napiszę do niej.

Proszę jej powiedzieć, że do niej napiszę.

- Nie wiem, jak panu dziękować.

Alexander wyciągnął rękę. Gdy uścisnęliśmy sobie dłonie, nasze spojrzenia się spotkały.

- Do widzenia - rzekłem, siląc się na uśmiech. A potem odwróciłem się szybko i zszedłem schodami na stację metra.

27

Nie potrafię opisać, co czułem tamtej nocy. Dość, że powiem, iż nie mogłem zasnąć. Ukryłem się w pokoju na poddaszu,

wiedząc, że tam nikt nie zauważy palącego się światła. Usiadłem w kącie, w którym lubiła siadywać Ella. Usiłowałem zebrać myśli, by znaleźć rozwiązanie, które stałoby się dla mnie tratwą pozwalającą przetrwać sztorm.

W końcu je znalazłem. Nie przyszło mi to łatwo, bo musiałem zaakceptować swoją słabość. Po raz pierwszy przyznałem się przed sobą samym, że nie mogę spędzić całego życia, żyjąc tak jak przez ostatnie trzy lata. Obojętnie, jak bardzo skrzywdziłem Erica; nieważne, jak bardzo zasługiwałem na karę; nie mogłem dłużej trwać w oddaleniu od mej ukochanej. Separacja z Ellą - główna kara, jaką sobie wymierzyłem, stawała się nie do zniesienia. Nawet jeżeli nie zasługiwałem na szczęście, nie potrafiłem go odrzucić. Stwierdzenie tej prawdy wiele mnie kosztowało. Tracąc resztki i tak nadszarpniętego szacunku dla samego siebie, musiałem zaakceptować fakt, że nie jestem dostatecznie silny, by dalej znosić należną mi karę. Ja, który myślałem, że na zawsze uspiłem w sobie emocje, obudziłem się na nowo do życia w sposób, który był cudowny i bolesny zarazem.

Prośba Alexandra wywołała niespodziewany skutek. Spędziłem bezsenną noc, nie mogąc dłużej bronić się przed siłą wspomnień, a ciemny pokój wypełniały obrazy i dźwięki, które uważałem za stracone na zawsze.

Och, tak! Słowa Alexandra wywarły na mnie wrażenie. Dopóki nie zobaczyłem jego łez, uważałem, że jestem zdolny poświęcić miłość EUi, by spłacić w ten sposób niespłacalny dług. Ogłuszony bólem i poczuciem winy, postanowiłem zrezygnować z radości płynącej ze związku z Ellą w nadziei, że wyrzeczenie stanie się moją karą i odpokutuję za to, co zrobiłem; co razem zrobiliśmy. Dopóki nie usłyszałem pełnych niepokoju słów Alexandra, byłem zdecydowany wieść życie, w którym nie było miejsca na uczucia. Miałem nadzieję znaleźć pokój duszy, trwając w półmroku, tylko od czasu do czasu rozświetlanym muzyką. Teraz z perspektywy pięćdziesięciu lat widzę, że chciałem przynajmniej duchowo dzielić fizyczną śmierć Erica.

Tamtej nocy zrezygnowałem z moich zmagañ. Po raz pierwszy od powrotu z Francji obudziła się we mnie szalona nadzieja i powróciła słodycz odczuwania miłości. Pierwszy raz od trzech lat niemal ze zdziwieniem odkrywałem na nowo urok nocnego nieba usianego gwiazdami. A stało się tak, ponieważ tym razem ciemności przyniosły mi myśli o Elli zamiast wizji związanych z

Erikiem. Tamtej nocy nie widziałem martwego ciała mego przyjaciela, lecz delikatną sylwetkę Elli. Nie wpatrywały się we mnie nieruchome, zasnutę mgłą oczy Erica, tylko pełne życia oczy Elli. Roztrzęsiony, prawie bojąc się oddychać, czułem jej obecność. Znowu słyszałem jej dźwięczny śmiech i ciepły głos. Znowu całowałem aksamitne wgłębienie pod obojczykiem.

Siedząc sam w ciemnym pokoju, myślałem, że nie ma takiej siły, która utrzymałaby mnie z daleka od Elli, i że naszej miłości należy się jeszcze jedna szansa, bo uchroniła nas od zapomnienia. Zrezygnowałem z dumy, przyznałem się do słabości. Uświadomiłem sobie, że dłużej nie potrafię opierać się magnetyzmowi Elli i że jeżeli mnie potrzebuje, pójdę do niej, a jeśli mnie wezwie, polecę jak na skrzydłach.

Teraz widzę znaczenie tamtego przełomu. Widzę i rozumiem. Zanim zacząłem tę opowieść o moim życiu, nie sądziłem, że dowiem się tyle o sobie, Patrząc na swoje dzieje z perspektywy pięćdziesięciu lat, dochodzę do przekonania, że więź, którą na krótko zerwałem, była bardzo mocna. Nasze uczucie dawało nam siłę - co do tego nie mam wątpliwości. Mogliśmy tę siłę wreszcie dobrze wykorzystać. Mogliśmy dojrzeć światelko w tunelu. Mogliśmy jeszcze być szczęśliwi.

Znowu snuję marzenia o tym, co mogłoby być. Wiem, że to bez sensu. Ważny jest wyłącznie opis tego, co naprawdę się działo. Tamtej nocy pękła tama wstrzymująca moje uczucie do Elli i nie mogłem dłużej walczyć z tęsknotą za nią. Tamtej nocy, siedząc na poddaszu w kręgu światła z małej lampki, napisałem do niej list. Drętwiejącą dłonią zapępniałem macz-kiem sześć kartek z dużego notatnika.

Nie pamiętam tamtych słów płynących strumieniem ani zwrotów, które same przychodziły do głowy, kiedy siedziałem pochylony nad notatnikiem na kolanach. Pamiętam mniej więcej, co napisałem i jaki byłem rozgorączkowany. Ten list był o miłości. O mojej miłości do niej i jej miłości do mnie. Pisałem o smutnej przeszłości i nadziei na przyszłość. Wyznałem Elli to, co wcześniej powinienem był jej powiedzieć - że nigdy nie przestałem myśleć ani marzyć o niej. I że miała rację, twierdząc, iż teraz jeszcze bardziej będziemy sobie potrzebnymi.

Zakończyłem list, gdy wstawał nowy dzień. Wyczerpany, położyłem się spać i po raz pierwszy od trzech lat nic mi się nie przyśniło. Obudziłem się, kiedy słońce stało wysoko, 1 pierwszy raz od śmierci Erica czerpałem przyjemność ze

zwykłego przyglądania się otoczeniu. Słyszałem dźwięki, które dotąd umykały moim uszom, widziałem dawno nie dostrzegane drobiazgi. Cieszyły mnie plamy słoneczne na ścianie, kolorowe grzbiety książek na półce i połyskliwe kałuże po wczorajszym deszczu. W moim życiu zaszła zmiana. Byłem tego pewien. Czulem, że wszystko odmieni się na lepsze.

Bez pośpiechu wstałem i ubrałem się.

Świeciło słońce, gdy wysyłałem list do Elli. Z poczty poszedłem do Guildhall, myśląc po drodze, jak różny od innych jest ten poranek i jak kolejne czekające mnie poranki będą różnić się od tych, które minęły. Zmieniłem się. Czerpałem radość z przyglądania się światu, poruszony myślą, że gdy zejdziemy się z Ellą, stawimy czoło demonom winy i razem je zwyciężymy, jako że osobno żadne z nas nie miało szansy ich pokonać. Pamiętam, tamtego dnia celowo unikałem pośpiechu, delektując się nawet najmniej wyczuwalnym smakiem czy zupełnie nieciekawym widokiem. Odżyłem, na nowo otwarty na możliwości, jakie niesie życie. Kiedy siedzę teraz po ciemku, zapatrzony w księżyc wynurzający się ze spienionych fal, potrafię przywołać tamto uczucie, mimo iż minęło tyle lat. Pamiętam ten przyływ nadziei, tak jak spragniony człowiek musi zapewne pamiętać widok wody. Jeszcze nie ugasilem pragnienia, lecz oaza była już w zasięgu wzroku. Uważałem, że nic nie może stanąć mi na drodze; że moje długo nie zaspokajane pragnienie - jedyna kara, jaką sam sobie mogłem wyznaczyć, wkrótce zostanie ugaszone. Ciesząc się jak dziecko, rozkoszowałem się każdą chwilą i co rusz nachodziła mnie myśl, że życie mimo wszystko potrafi być cudowne.

Ta lekkość duszy i intensywność odczuć znalazły odzwierciedlenie w mojej grze. Przez tydzień ćwiczyłem zawzięcie. Dawno postanowiłem, że jeśli dojdę do finału w konkursie Hibberdsona, zagram Koncert skrzypcowy e-moll Mendelssohna. Już wcześniej podświadomie dedykowałem go El li. Teraz, mając przed oczami źródło mojej inspiracji, grałem z pasją, nie odczuwając najmniejszego znużenia. Ćwiczyłem godzinami, ożywiając w wyobraźni tamte słoneczne popołudnia, kiedy grałem go dla Elli. Widziałem ją, jak zasłuchana siedzi na poduszce w kącie mego pokoju na poddaszu.

Nie liczyłem mijających dni. Zanadto pochłaniały mnie myśli o przyszłości, by przejmować się terażniejszością. Co prawda odpowiedź na mój list nie nadchodziła, ale przecież nie mogłem stracić nadziei z powodu kilkudniowej zwłoki po tyłu miesiącach

trwania w podświadomym oczekiwaniu. Przynajmniej jednej rzeczy nauczyło mnie cierpienie, a mianowicie cierpliwości. Powtarzałem sobie (całkiem słusznie, jak się potem okazało), że tysiąc najróżniejszych okoliczności może się składać na brak natychmiastowej odpowiedzi i że Ella na pewno odpisze. Byłem jej do tego stopnia pewny, że ze stoickim spokojem patrzyłem na pustą skrzynkę do listów.

Oczywiście w tym samym czasie działo się wiele rzeczy - spotykałem się z ludźmi, prowadziłem najróżniejsze rozmowy. Wtedy nie przykładałem do tych spraw zbyt wielkiej wagi, teraz jednak muszę je odtworzyć, jeżeli chcę ułożyć wydarzenia w kolejności, w jakiej rzeczywiście następowały. Wiem, że precyzja jest bardzo istotna. Spróbuję więc wszystko sobie przypomnieć. Dźwięczy mi w uszach modulowany głos Camilli Boardman. Tym razem mówi na wyższych tonach niż zazwyczaj. Camilla prowadzi mnie za rękę przez salę pełną ludzi. Słyszę głośnie rozmowy, ostry śmiech i szcęk sztućców o porcelanę. Jesteśmy w restauracji w małej uliczce odchodzącej od King's Road. Umówiliśmy się na lunch, moją przyjaciółkę roznosi podniecenie. Ledwo usiedliśmy przy stoliku przy oknie, który dostaliśmy dzięki memu nazwisku, a już Camilla ściska mnie za ramię i oznajmia, że ma wspaniałe wiadomości. Trafia jej się świetna okazja, ma szansę zaistnieć.

Odtwarzam w pamięci tamten dzień. Przypominam sobie ożywienie Camilli i jej zaraźliwy entuzjazm. Zapytała mnie, czy kiedykolwiek byłem w Setonie.

- Bo wiesz, to niesamowite miejsce. Ogromny zamek na wysepce u wybrzeża Komwalii - opowiadała z przejęciem. - Wiąza się z nim niewiarygodne historie i pełno tam pięknych przedmiotów. - W tym miejscu Camilla zrobiła przerwę, bo wyczerpał jej się zapas przymiotników.

Czekałem na dalszy ciąg. Skrzętnie ukrywałem podniecenie, słuchając opowiadania o wyspie Elli i o domu, w którym, być może, kiedyś zamieszkać razem z nią.

- Wiesz, to rodzinne gniazdo Harcourtów - odzyskała głos Camilla. - I oni wydają tam wielkie przyjęcie, żeby zebrać pieniądze na jakiś tam cel. Moja mama jest w to zaangażowana. Nie mogę sobie przypomnieć, jak nazywa się ta fundacja, zdaje się, Towarzystwo Ratowania Zabytków. Zresztą mniejsza o to. Istotne, że to najbardziej liczące się przyjęcie tego lata. A tak między nami mówiąc, obie z mamą praktycznie znamy każdego z

zaproszonych gości. I mogę się z tobą założyć, że to właśnie ja zaprojektuję suknie dla wszystkich pań. - Camilla przerwała dla złapania oddechu. - Oczywiście, one jeszcze o tym nawet nie wiedzą - dodała z nie zamierzoną ironią. - Ale już pracuję nad kreacją dla Elli Harcourt. Zobaczysz, że reszta pań pójdzie w jej ślady - mówiąc to, Camilla uśmiechnęła się promiennie i zamówiła szampana, a ja roześmiałem się w duchu, bo przecież słyszałem o tym przyjęciu od Alexandra o wiele wcześniej. Tym razem byłem lepiej poinformowany od wszystkowiedzącej panny Boardman.

Minęło dziesięć dni, a ja nadal nie miałem wiadomości od Elli. Zaczynałem się niepokoić. Może postąpiła z moim listem tak, jak ja z kilkoma jej listami - po prostu go nie otworzyła? Mimo dręczących mnie obaw pracowałem bez wytchnienia, bo finał konkursu Hibberdsona był tuż, tuż. Moje dni wypełniały próby, rozmowy z dyrygentami i uzgadnianie tysięcy szczegółów, typowych dla takich konkursów.

Jej list znalazłem, gdy wróciłem z ciągnącej się bez końca próby. Wystawał ze sterty korespondencji na wycieraczkę. Tym razem koperta była niebieska, lecz rozpoznałem nierówne litery i rdzawy atrament.

Pamiętam tamtą falę podniecenia. Z wrażenia zaschło mi w gardle. Chwyciłem list i pobiegłem do małego pokoju na poddaszu; tego pokoju, który od trzech lat nieodłącznie mi się z nią kojarzył. Rozdarłem kopertę - jeszcze pamiętam jej fakturę, grubość arkusza, który wypadł ze środka, i wytłoczony nagłówek z adresem Setonu. Ella nie zwróciła się do mnie po imieniu, a list nie był długi.

Kochany mój! Najdroższy!

Aż nie chce mi się wierzyć, że w końcu napisałeś i ż.e wracasz. Sądziłam, że utraciłam Cię na zawsze.

Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo mi Ciebie brakowało, jak strasznie chciałam Cię zobaczyć. Te lata były potworne, ale pewnie nie muszę Ci tego mówić. Przepraszam, że przedziej nie odpisałam. Nie było mnie w Londynie. Siedzę w Setonie i pomagam wujowi Cyrylowi w przygotowaniach do przyjęcia. Panuje tu wielkie zamieszanie, całe młodsze pokolenie zapędzono do roboty. Dlatego nie ma mnie w domu, no a Pamela zapomina o przesyłaniu poczty. Przeczytałam Twój list dzisiaj rano i od tej chwili nie potrafię znaleźć sobie miejsca. Kochany, nie mogę się

doczekać, kiedy Cię zobaczę i dotknę. Tak bardzo za Tobą tęsknię!

Niestety, nie wyjadę stąd wcześniej niż w przyszłym, tygodniu, czyli jut po przyjęciu, bo muszę dopilnować firmy, która je organizuje. Oczywiście mógłbyś przyjechać na bal, chociaż na dobrą sprawę to okropne, byśmy mieli się spotkać na oczach tylu ludzi. To ten rodzaj przyjęcia, jakie uwielbia Regina Boardman, a ja chcę Cię tylko dla siebie... Czy więc zgodzisz się poczekać na mnie jeszcze trochę? W tym, czcisie mógłbyś zająć się wygranem Hibberdsona. Śledziłam Twoje osiągnięcia aż do wejścia do finału. Ciekawe, co będziesz grał. Marzę o tym, by móc Cię znowu posłuchać.

Tyle chcę Ci powiedzieć, tak wiele mam. do opowiadania. List się do tego nie nadaje.

Z niecierpliwością czekam na nasze spotkanie.

Ella

To jej dokładne słowa. Kiedy je przytaczałem, miałem wrażenie, że to ona je wypowiada. Siedzę sam w ciemnościach i słyszę jej głos wołający do mnie z przeszłości. Widzę jej oczy szukające moich.

Od dnia, w którym przyszedł list, wydarzenia potoczyły się niby lawina.

Teraz wspominam finał konkursu Hibberdsona. Widzę jury, światła, kamery telewizyjne, siebie spoconego z nerwów i niespokojne twarze przyjaciół. To był wieczór mego sukcesu. Nigdy przedtem nie grałem z taką pasją. A miłość Elli jeszcze dodała mojej grze niewiarygodnej lekkości i niepowtarzalnej delikatności. Pamiętam wszystko bardzo dokładnie. Pamiętam, co czułem, kiedy zwyciężyłem, pamiętam przyływ ulgi, w chwili gdy odłożyłem skrzypce i ukloniłem się publiczności. Widzę wyraźnie, jak rozsyłam uśmiechy, dziękuję członkom jury i opowiadam dziennikarzom, jaki jestem szczęśliwy. Rzeczywiście byłem szczęśliwy, bo chyba nic nie może równać się z satysfakcją, jaką daje idealne wykonanie, gdy artysta wznosi się na szczyty możliwości. Wiedziałem, że zwycięstwo nie było wyłącznie moją zasługą, ponieważ nie zagrałbym z taką brawurą, gdyby nie prześladowały mnie wspomnienia skrzekliwego śmiechu Erica oraz spojrzenia jego pustych oczu, i czułem, że Erie chciały, abym wygrał. Poza tym wierzyłem, iż odtąd już na zawsze miłość Elli będzie chronić mnie przed upiorami.

Stałem na podium z brązowym laurem w dłoni i przesuwalem

wzrokiem po rzędach rozentuzjasmowanych twarzy i dłoni migających w oklaskach. Przy kolejnym ukłonie zaparło mi dech w piersiach, bo dostrzegłem uśmiech i znajome wygięcie smukłej szyi. Spojrzałem ponownie, aby się upewnić. Z szumem w głowie, nie przestając się uśmiechać, ruszyłem wzdłuż sceny. Ścisnąłem dłonie finalistów, odpowiadałem na ich gratulacje, myśląc tylko o jednym - jak wydostać się z sali koncertowej i uciec w noc z jedyną osobą, którą pragnąłem oglądać. Za kulisami czekali na mnie kamerzyści i reporterzy, a także mój agent, który nalegał, bym wrócił i jeszcze raz się uklonił. Posłusznie poszedłem na scenę. W mojej głowie galopował oszalały puls, a dłonie spocily mi się ze strachu, że zgubię Ellę w tłumie i już jej nie odnajdę.

Nie czekałem, by po raz trzeci wyjść na scenę. Skierowałem się prosto do szatni, gdzie moi koledzy pakowali instrumenty i zdejmowali krawaty. Gorączkowo pożegnałem się z nimi i wrzuciwszy skrzypce do futerału, pobiegłem labiryntem korytarzy do wyjścia dla artystów z nadzieją, że wymknę się, zanim zrobi się przy nim tłoczno. Lecz ku memu rozczarowaniu, kiedy otworzyłem drzwi, usłyszałem piskliwy okrzyk: „Tutaj jest!”. Otoczyła mnie grupa podekscytowanych wielbicieli i reporterów. Zarzucano mnie pytaniami, podsuwano albumy na autografy. Pomyślałem, że jeśli Ella ma mnie odnaleźć, najlepiej, bym stał w widocznym miejscu. Wzięłem głęboki oddech i stawiałem czoło żywej zaporze. Wyjąłem pióro i nakazując spokój swemu rozszalałemu tętnu, rozdawałem autografy.

- Czy mogę dołączyć do grona twych admiratorów, James?

Spostrzegłem ją, zanim jeszcze się odezwała, i poblądłem z rozczarowania, słysząc zaokrąglone samogłoski bardzo brytyjskiej wymowy.

- Mój Boże... Sara.

Obdarzyła mnie uśmiechem, a ja starałem się zapanować nad emocjami. Kiedy automatycznie składałem autograf na kolejnym programie, doszedłem do siebie na tyle, by zapytać ją, co tu robi.

- Przyszłam cię zobaczyć - odparła, nadal się uśmiechając.

Wydała mi się sympatyczniejsza, niż ją zapamiętałem. - Pomyślałam, że może nadarzy się sposobność pochwalenia się znajomością z laureatem.

- Co mówisz?! - Hałas zagłuszał jej słowa.

- Gratulacje! - powiedziała głośniej, by przekrzyknąć tłum, i przechylając się do przodu, pocałowała mnie w policzek.

Błysnął flesz i reporter zapytał, kim jest ta piękna dziewczyna.

- Zdradz nam jej imię! - zawołał.

Sara oblała się rumieńcem, a ja z tęsknotą pomyślałem, że kuzynka Sary to dopiero skończona piękność.

- Dawno się na ciebie nigdzie nie natknęłam - rzekła Sara, gdy torowałem drogę w tłumie, idąc do samochodu.

~ - Tak.

- A co u ciebie słyhać?

- Och... wiesz. Dużo pracowałem.

- Zdobywałeś nagrody.

- Tylko jedną.

- Ale za to jaką! - Podniosła głowę i spojrzała mi w oczy tak, jakbyśmy od niepamiętnych czasów byli w świetnej komitywie.

- To ładnie, że przyszedłeś, by się ze mną zobaczyć - powiedziałem. - Jak ci się udało wyrwać z Setonu?

- Przyjechałam po suknię.

- Aha.

Znowu się uśmiechnęła. Staliśmy chwilę, milcząc.

- No to do widzenia - odezwała się. - I gratuluję. Życzę ci wielu takich nagród.

- Dziękuję.

- Skoro już się na siebie natknęliśmy, dobrze byłoby pozostać w kontakcie.

- Oczywiście - odparłem już z kluczykiem w drzwiach.

- Do widzenia, James.

- Do widzenia, Saro. - Nachyliłem się i pocałowałem ją w policzek. I wtedy owionął mnie jej zapach - kombinacja woni obcych papierosów, nie znanego mi mydła i innych perfum.

Wczoraj czułem ten sam zapach, tyle że pomieszany ze słodką wonią świeżej krwi. Poczulem go, gdy pochylałem się nad jej zakrwawionym ciałem.

Dni, które pozostały do rautu u Harcourtów po finale Hibberdsona, upłynęły mi bardzo pracowicie. Byłem zajęty udzielaniem wywiadów i przyjmowaniem gratulacji, niewiele więc miałem czasu dla siebie. Wolne chwile spędzałem z rodziną, chwalać mnie niezbyt wylewnie, ale za to szczerze, no i w towarzystwie Camilli Boardman, której fantastyczne proroctwa dotyczące mojej kariery praktycznie nie miały granic. Oczywiście, nie muszę mówić, że jedyną osobą, jaką pragnąłem widzieć, była Ella i że z niecierpliwością liczyłem dni do końca naszej rozłąki.

Podobnie jak ona, nie chciałem, by nasze spotkanie po tak długim czasie odbyło się na oczach jej rodziny i naszych wspólnych znajomych. Skoro wytrzymałem tyle czasu, jeden tydzień dłużej nie miał znaczenia.

W każdym razie żyłem w euforii, jakiej później już nigdy me zaznałem.

Nawet teraz po pięćdziesięciu latach nadal jestem przekonany, że wtedy, pierwszy raz od trzech lat, czułem, że żyję naprawdę. Nabrały dla mnie znaczenia drobne sprawy, w których dotąd uczestniczyłem z udawanym zainteresowaniem. Pisząc do Elli, uznałem swoją przegraną. Zaakceptowałem fakt, że pokuta, którą narzuciłem sam sobie za udział w śmierci Erica, nie może trwać bez końca. To z kolei uczyniło mnie wolnym. Miłość Elli, a raczej świadomość, że ona nadal mnie kocha, przyniosła wyzwolenie od przeszłości. Dalszy opór nie miał sensu. Choćbym nie wiem jak się starał, nie potrafiłem zagłuszyć cichego, uporczywego głosu w mojej głowie, który podpowiadał, że życie mimo wszystko może być cudowne i że na pewno są inne sposoby zadośćuczynienia za krzywdę wyrządzoną Ericowi niż psychiczne unicestwienie. Na sześć nocy Erie zniknął z moich snów. Śmiech Elli zastąpił jego martwe oczy, a wspomnienie dotyku jej ciepłego policzka wyparło widok jego nasiąkniętego wodą ciała.

Mało brakowało, a w przyływie chęci podzielenia się moim szczęściem opowiedziałbym o wszystkim Camilli Boardman, lecz ona tyle mówiła o swoich działaniach i planach, że nie udało mi się dojść do słowa. Zbyt długo odgrywałem rolę wdzięcznego słuchacza, by teraz, gdy zbliżał się wieczór jej triumfu, można było nasze role odwrócić.

- Kochany, mam strasznie dużo pracy - skarżyła się przez telefon któregoś wieczoru. - Klientki przychodzą z poprawkami na ostatnią chwilę. No i w życiu bym nie sądziła, że można tyle rozmawiać o butach. Ortodoksyjni purytanie muszą się przekręcać w grobie.

Z biegiem czasu skłonność Camilli do przybierania męczeńskich tonów, czy to z powodów towarzyskich, czy w związku z interesami, zdecydowanie się nasiliła.

- Nie masz pojęcia, jak mnie to wykańcza.

- Nie, na pewno nie.

- Masz szczęście, muzykancie. Założę się, że łatwiej grać na skrzypkach te stare kawałki niż wybrać torebkę dla lady Markham.

- Och, zapewne.

- Nie bądź taki przemądrzały, młody człowieku. Wiadomo, że wszyscy nie możemy zostać laureatami Hibberdsona.

- Hmmm - mruknąłem w słuchawkę, myśląc o tym, jak Ella będzie mi gratulować.

- A skoro już o tym mowa - ciągnęła moja przyjaciółka - w środę zabieram cię na kolację. Uczymy twój sukces. Przyjeżdżam po ciebie punktualnie o ósmej trzydzieści - oznajmiła i rozłączyła się.

Tak więc na trzy dni przed bale, przy kolacji, co rusz zakłócanej terkotem telefonu komórkowego Camilli („to męczące, ale klientki muszą mieć możliwość kontaktu w każdej chwili”), dowiedziałem się od niej o wielu istotnych i nieistotnych sprawach. Muszę teraz przywołać w pamięci i uporządkować te szczegóły, bo im także należy się miejsce w mojej opowieści.

Przypominam sobie, jak Camilla opisywała swoje klientki. („Wiem, że jestem okropnie niedyskretna, ale to takie zabawne. Poza tym tobie mogę zaufać”). Pamiętam, jak przyciszonym głosem zdradziła, że Ella nie wystąpi w sukni, tylko w dwuczęściowym stroju wzorowanym na smokingu, a Sara Harcourt („Pamiętasz ją, Jamie?”) przysłała do niej na wstępne przymiarki, a potem zdecydowała się na koszmarną, wręcz prostacką czerwoną suknię od konkurencji.

- Wielka szkoda, kochany. Przecież to niebrzydka dziewczyna i mogłaby naprawdę efektownie wyglądać - szeptała Camilla z wyraźnie wyczuwalną pretensją w głosie. - Ale cóż, gust nie podlega dyskusji, prawda?

Dzięki matce Camilla знаła szczegóły związane z organizacją balu, więc ochoczo się nimi podzieliła, gdy wjechały na stół nasze dania. Słuchałem nad talerzem z parującymi szparagami o planowanym ognisku (wiatr od Atlantyku nawet we wrześniu potrafi być lodowaty), fajerwerkach, szklarniowych różach i ogromnej markizie.

- Goście będą mogli wchodzić tylko do wydzielonej części domu - poinformowała mnie konfidencjonalnym tonem. - Oczywiście to w pełni zrozumiałe, tyle tam cennych przedmiotów. Sądzę, że markiza jest idealnym rozwiązaniem.

Przytaknąłem kiwnięciem głowy i spytałem, czy to prawda, co piszą w gazetach, że amerykańska gwiazda filmowa specjalnie na ten wieczór ściąga ze Stanów swoją fryzjerkę.

- Prawdopodobnie. Kochany, już lepszego numeru moja matka nie mogłaby sobie wymarzyć. Znasz ją przecież.

Och, tak, znałem Reginę. Oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

Pamiętam podniecenie Camilli, pamiętam, z jakim przejęciem relacjonowała skandaliki poprzedzające raut. Zapamiętałem też pobrzmiwające w głosie Camilli poczucie dumy kobiety interesu, nadające jej wypowiedziom nowy ton, który nie pojawiał się we wcześniejszych okresach naszej przyjaźni.

- Możesz mi wierzyć, wszystkie panie w sukniach mojego projektu będą wyglądać fantastycznie - oświadczyła, płacąc rachunek kartą kredytową (bo przecież to ona mnie zaprosiła, to ona postawiła kolację z okazji mojego sukcesu).

- Jak wrócę, będziemy oglądać zdjęcia i wszystko ci opowiem - obiecała i pocałowała mnie na pożegnanie.

Gdy otoczywszy Camillę ramieniem, odprowadziłem ją do taksówki, pomyślałem z żalem, że nie zobaczę, jak ślicznie moja ukochana będzie wyglądać. Szkoda, że wcześniej do niej nie napisałem. Moglibyśmy razem bawić się na przyjęciu.

- Pa! - Camilla pomachała mi zza tylnej szyby. - Przywiozę ci mnóstwo wiadomości!

- Do widzenia! - odkrzyknąłem, żegnając ją tym samym gestem.

Ale to nie Camilla dostarczyła mi informacji o przyjęciu, chociaż to dzięki niej poznałem szczegóły parę dni później, gdy przebieg wydarzeń stał się własnością publiczną. To nie z jej ust dowiedziałem się o tym, co zaszło. Los nie bawił się w takie subtelności. Cztery dni po kolacji z Camillą, gdy jechałem dusznym, zatłoczonym metrem, przeczytałem o wszystkim na pierwszej stronie gazety w rękach współpasażera. PAR ANGLII ZAMORDOWANY NA DOBROCZYNNYM RAUCIE! - krzyczał nagłówek. Poczulem suchość w ustach i strach chwycił mnie za gardło, bo spod tytułu patrzyły na mnie oczy ojca Elli. Uśmiechał się, obejmując ramieniem córkę w smokingowej marynarce.

Nie wierząc własnym oczom, wysiadłem na najbliższym przystanku. Z początku w miarę spokojnie przeciskałem się przez tłum, lecz już po chwili biegłem niecierpliwie po ruchomych

schodach, ocierając się o stojących na nich ludzi. Na koniec, miotając przekleństwa, pokonałem zacinającą się bramkę i z szumem w uszach dobiegłem do kiosku przed wejściem na stację.

Camilla zadzwoniła do mnie, kiedy zmartwiały siedziałem w domu.

- O Boże, James! Słyszałeś już? - zapytała, tłumiąc szloch.

Oczywiście, że słyszałem. Jak mogło być inaczej, skoro wszystkie gazety o tym pisały, komentowały wszystkie stacje telewizyjne, a przechodnie rozprawiali na ulicy? W przerwie na lunch ludzie przystawali przed wystawami sklepów z telewizorami, żeby obejrzeć najnowsze wiadomości.

- Wszyscy to widzieli, wiesz - powiedziała Camilla. - Setki ludzi patrzyło na nią, kiedy to zrobiła.

Słuchając Camilli, myślałem - jak to się czasem, nie wiadomo czemu, zdarza w ekstremalnych sytuacjach - że jej głos jest dziwnie pozbawiony wyrazu jak na kogoś, kto potrafi tak barwnie opowiadać. Że brzmi inaczej, jakoś obco, zupełnie jak nie jej. Słuchałem tej historii tak, jakbym nie znał jej bohaterów, jak gdyby nie wkroczyli w moje życie ani teraz, ani w przeszłości. Słuchałem o nich, jak ludzie potrafią słuchać o zdarzeniach z życia sławnych osób, których losy są odległe od ich własnych doświadczeń. Dopiero później, w samotności, z pewnym opóźnieniem dotarł do mojej świadomości fakt, że Ella jest morderczynią. Ta dziewczyna, w której byłem zakochany i dla której dwukrotnie zrezygnowałem z szacunku dla samego siebie; ta dziewczyna ze śpiewnym głosem i z poobgryzаныmi paznokciami była główną bohaterką opowieści Camilli. To ona z zimną krwią zabiła własnego ojca na oczach co najmniej dwustu osób.

- Jamie, trudno w to uwierzyć - mówiła Camilla przez łzy. - W życiu bym nie uwierzyła - zająknęła się, - Ale ja widziałam - wydusiła. - Widziałam, jak to zrobiła. Tam było tyle ludzi. Nie wywinie się od odpowiedzialności.

Milczałem.

- Musiała sobie zdawać z tego sprawę.

- Powiedz, co widziałas - poprosiłem ją, powoli wymawiając słowa.

I Camilla opowiedziała mi. To właśnie dzięki jej relacji i późniejszym szczegółowym zeznaniom na procesie poznałem przebieg wypadków z tamtej nocy. Kiedy teraz przywołuję je po pięćdziesięciu latach, nadal zadziwia mnie premedytacja i

arogancja, z jaką to wszystko zostało przeprowadzone. Tak, nawet dzisiaj arogancja, bardziej nawet niż bezwzględność, wywołuje zdumienie i gorycz.

Niestety, moja uśpiona pamięć pracuje powoli. Mam trudności z przywołaniem dokładnych słów Camilli, nie potrafię odtworzyć szczegółów z tamtych potwornych tygodni po śmierci Alexandra. Przez pięćdziesiąt lat bardzo dbałem, by wszystkie sprawy związane z procesem Elli i śmiercią Erica pozostawały uśpione w zakamarkach pamięci. Nie chciałem o nich myśleć. Muszę przyznać, że moje wysiłki w zapominaniu zostały uwieńczone sukcesem. W tej chwili widzę to bardzo wyraźnie i bardziej niż kiedykolwiek, widzę również, ile pod tym względem zawdzięczam Sarze. To ona nauczyła mnie sztuki oszukiwania samego siebie i pokazała, jak izolować się od wszystkiego, co mogłoby zaburzyć wewnętrzny spokój.

Teraz muszę wysilić pamięć i uporać się z historią Elli oraz śmiercią jej ojca, tak jak uporałem się z historią śmierci Erica. Jeszcze raz przyjdzie mi uchylić tamte zamknięte drzwi i wypuścić upiory. To trudne dla takiego starego człowieka jak ja, ponieważ rozgoryczenie jest najsmutniejszą z życiowych blizn. Teraz mój gniew miesza się z ubolewaniem nad samym sobą, a to dlatego, że dopiero co ofiarowane mi po raz drugi życie zostało brutalnie zabrane, zanim nawet zdążyłem go posmakować. Płacę nad losem tamtego młodego człowieka (już nie chłopca, o nie), który siedział oniemiały, gdy Camilla Boardman opowiadała mu, co Ella zrobiła; jakiego czynu Elli była naocznym świadkiem. Tak bardzo pragnę pocieszyć tamtego młodego człowieka! Ale nie mogę. A nawet gdyby była taka możliwość, co bym mu powiedział? On nie mógł niczego zrobić. Nie było żadnych kroków, które mógłby przedsięwziąć. I chociaż jeszcze o tym nie wiedział, już był przegrany.

Świadomość, że Ella jest morderczynią, odmieniła wszystko. To, co było między nami, zmieniła w kłamstwo, z którego nikomu nie mogłem się zwierzyć.

Po rozmowie z Camillą poszedłem wieczorem na moje poddasze i przy świetle księżycy usiadłem w miejscu, w którym Ella siadywała. Słyszałem jej głos i widziałem, jak pali jednego papierosa za drugim. Wspominałem nasze spotkanie w parku, ogłoszenie zaręczyn z Charliem na urodzinowym przyjęciu Camilli, podróż do Setonu. Przywołałem jej obraz, gdy siedząc

skulona na kamiennym parapecie wysoko nad morzem, szybkim ruchem odgarniała włosy z oczu. Słyszałem, jak opowiada historię rodziny, mówiła o Blanche i o Sarze. Ten dom kryje mnóstwo ponurych tajemnic - powiedziała wtedy. Widziałem jej przestraszone oczy, gdy stojąc ze mną i z Erikiem nad kamieniołomem, domagała się, bym powiedział mu prawdę. Widziałem i słyszałem to wszystko. Poczułem się tak, jakby przestało działać zaklęcie, i osoba, którą kochałem, zniknęła, o ile w ogóle kiedykolwiek istniała.

Gdy w dusznej, zatłoczzonej hali na stacji metra czytałem o zabójstwie Alexandra, czepiałem się jeszcze złudnej nadziei w tym samym zaślepieniu, które nie pozwoliło mi potępić Elli po śmierci Erica. Lecz kiedy słuchałem, jak Camilla cichym, nieswoim głosem relacjonuje, co widziała, doszedłem do wniosku, że się pomyliłem. A potem, siedząc samotnie w tym samym pokoju, gdzie grałem dla niej i gdzie niedawno w liście wyznawałem jej miłość oraz pisałem o tęsknocie słowami pełnymi naiwnego uwielbienia, poczułem ogarniającą mnie odrazę. W ciemnościach powrócił obraz ciała Erica, ciężkiego od wody. Znowu widziałem, jak chwiejąc się, przesuwając się ku górze wzdłuż ściany kamieniołomu, by w końcu znaleźć się u mych stóp. Zobaczyłem łzy w oczach doktora Petina. I z uczuciem podobnym do złości pomyślałem, że dwukrotnie poświęciłem się dla dziewczyny, która zabiła rodzzonego ojca. Zdradziłem przyjaźń, by zyskać jej zaufanie; aby się z nią zobaczyć, obróciłem w niwecz trzy lata ciężkiej pokuty. Pocięły mi z oczu łzy. Lecz tym razem płakałem nie nad Ellą ani nawet nad Erikiem, lecz nad sobą.

29

Sądzę, że nawet tamtym potwornym wydarzeniom z przeszłości należy się chwila uwagi, bo przeszkody na drodze do pomyślnego przeprowadzenia intrygi były ogromne. Teraz nawet lepiej to rozumiem niż kiedyś. Przed wszystkim goście mogli wchodzić jedynie do kilku pomieszczeń, a sama Wielka Sala została zamknięta na klucz (zdeponowano w niej najbardziej wartościowe przedmioty z komnat dostępnych dla uczestników przyjęcia). Tylko z tej sali można było wyjść na balkon, natomiast jedyny klucz do niej miał Cyryl Harcourt. Później policja zabezpieczyła ten klucz. Leżał na swoim miejscu w jego biurku. Kiedy rozegrał się dramat, na tarasie pod balkonem musiało

przebywać ponad dwieście osób. Goście stali przy ognisku, rozmawiali, śmiali się. Mimo chłodu najwyraźniej woleli przebywać na powietrzu niż w dusznych pomieszczeniach. Kiedy więc ona to zrobiła, patrzyło na nią ponad dwieście osób, z których wiele dobrze ją znało.

Ze smutkiem odtwarzam wydarzenia tamtej nocy, ponieważ bardzo dobrze poznałem dom, w którym się rozegrały. Wszystko jest takie rzeczywiste. Kiedy słuchałem relacji Camilli, mogłem sobie jedynie wyobrazić, jak to wszystko wyglądało. Wtedy obce mi były emocje, jakie to miejsce wzbudza we mnie teraz, po pięćdziesięciu spędzonych tam latach. Teraz znam dokładnie ten taras; wiem, pod jakim kątem trzeba zadrzeć głowę, by zobaczyć, co dzieje się na balkonie wiszącym wysoko nad nim. Wiem, jak pachnie morze we wrześniu i jakiego odcienia nabierają mury zamkowe w świetle ogniska. Wydaje mi się nawet, że czuję na karku chłodny powiew wiatru od Atlantyku. Odtwarzając wydarzenia przed lat, wszystko widzę i czuję. Wypatruję jakiegoś ostrzegawczego znaku, który można było wtedy zauważyć, czy szczegółu, który być może przeoczono. Ale nic takiego nie ma. Widzę jedynie podekscytowany tłum, słyszę tu i ówdzie radosne okrzyki, gdy pojawia się Ella z Alexandrem.

Ale wyprzedzam wypadki, pomijam kolejność wydarzeń. Choćby nie wiem jak bolało, muszę je ten jeden raz skrupulatnie prześledzić. Skoro doszedłem tak daleko w mojej historii, nie wolno mi teraz zawrócić. Powoli, bez emocji muszę odtworzyć przekaz Camilli i uzupełnić go o szczegóły ustalone później przez policję. Przy tylu świadkach zdarzenia śledztwo nie nastęczało trudności, właściwie w ogóle nie stanowiło wyzwania. Ale policjanci przeprowadzili je bardzo starannie. Być może nie byli zbyt lotni, lecz na pewno uczciwie przyłożyli się do pracy. Trudno ich obwiniać o niedopatrzenie. Ja, podobnie jak oni, również nie wykazałem się zbyt głębokim myśleniem. Teraz więc muszę zdobyć się na spokojną, wyważoną relację. I zdobędę się. Przynajmniej tyle jej się należy.

Goście przyjechali do Setonu pomiędzy dziewiętnastą a dziewiętnastą trzydzieści. W sali balowej roznoszono koktajle z szampanem. Tak jak już wspomniałem, wiele osób wyszło na taras. Pół godziny, może czterdzieści pięć minut później, na chwilę przed rozpoczęciem kolacji, Ella wraz z ojcem pojawiła się na balkonie nad nimi, dokąd można się dostać wyłącznie przez oszklone drzwi

w Wielkiej Sali. Według zeznań większości obecnych oboje wydawali się pogodni, chociaż ostatnie lata odcisnęły swe piętno na Alexandrze, bo w opinii wielu ludzi, którzy jakiś czas go nie widzieli, znacznie się posunął. Goście zaczęli uciszać się nawzajem, tu i ówdzie rozległy się okrzyki: „Prosimy o mowę!” oraz wiwaty. Ella ubrana w smokingową marynarkę stanęła za ojcem i czułym gestem położyła mu ręce na ramionach. Zza przewyższającego ją wzrostem mężczyzny widać było jedynie jej jasne włosy rozdzielone równiutkim przedziałkiem. Lord Markham zawołał: „Ello, pokaż się! Nie bądź taka nieśmiała”. Ktoś w tłumie wybuchnął śmiechem.

Alexander zaczął przekładać notatki.

I wtoczyła Ella uniosła z gracją ramiona i gwałtownie opuściła je na szyję Alexandra. On krzyknął zaskoczony, notatki wyleciały mu z rąk. Kartki poszybowały na taras, parę wpadło w ognisko. Ludzie rzucili się je łapać. Niektórzy goście, stojący na skraju tarasu, gdzie widoczność była ograniczona, zaczęli się śmiać. Lecz ci, co stali w centralnej części, patrzyli w osłupieniu, jak zdumiony Alexander odwrócił się do córki, a ona pochyliła się i błyskawicznym, idealnie odmierzonego ruchem złapała go za nogi w kostkach i wypchnęła za balustradę. Alexander zdołał uchwycić się barierki i na jedną przerażającą chwilę zawisł w powietrzu. Śmiech zamarł ludziom na ustach. Ella przechyliła się nad balustradą, jakby chciała wciągnąć go za tę rękę z powrotem na balkon. Jakaś kobieta krzyknęła przeraźliwie. I wtedy Alexander spadł. Leciał w dół i krzyczał. Jego krzyk ucichł, gdy ciało grzmotnęło o taras. Ella zniknęła z balkonu.

Znaleziono ją w sypialni Alexandra, szukała go tam, jakby nigdy nic. Wydawała się zaskoczona widokiem policjantów, a kiedy oznajmili jej, że jest aresztowana, „wpadła w szal i zachowywała się jak wariatka”, jak to określił jeden z oficerów na rozprawie. Krzycząc histerycznie, nie pozwalała zakuć się w kajdanki. Wołała ojca i Pamelę, miotała przekleństwami pod adresem Sary, która stała zapłakana w holu. Wreszcie siłą sprowadzono ją na dół i wywleczono z domu, a wszystkiemu przyglądał się tłum zmartwiałych gości.

- Nie wyobrażasz sobie, jakie to było okropne - powiedziała Camilla. - Wyraz jej oczu i to, jak krzyczała. Gdy Sara zwróciła się do policjantów, by traktowali Ellę delikatnie, rzuciła się na nią.

Camilla zaszlochotała w słuchawkę.

- Znam ją tyle lat - mówiła, łkając. - Odkąd wróciła z Ameryki.

Nie potrafię opisać, jak strasznie było patrzeć na nią. Te jej wrzaski i okropne rzeczy, które wykrzykiwała o Sarze. Włącznie z oskarżaniem jej o zabójstwo. - Camilla wydmuchała nos. - Wtedy zrobiło mi się żal Elli, o ile w ogóle można mówić o żałowaniu kogoś, kto zrobił coś tak ohydneho. Poczułam litość, gdy spychała winę na Sarę w obecności tych wszystkich ludzi, którzy widzieli całe zdarzenie. Jamie, to było żalosne, naprawdę żalosne, Słuchałem Camilli z ciężkim sercem.

-Może jednak w gazetach pisali prawdę - zastanawiała się Camilla. - Słyszałeś o obłądzie w jej rodzinie, prawda?

Nie odpowiedziałem.

- Słyszałeś o tym?

- Tak - odparłem po dłuższym milczeniu. - Tak, słyszałem.

Camilla powiedziała jeszcze, że jej matka dowiedziała się od Pameli, iż w komisariacie w Penzance trzeba było zaaplikować Elli środki uspokajające, bo „kopała i wrzeszczała jak opętana”.

W trakcie przeszukiwania policjanci znaleźli klucz w kieszeni smokingowej marynarki Elli. Jak się okazało, był to klucz do drzwi Wielkiej Sali, dokładnie taki sam, jak ten, który leżał na swoim miejscu w biurku Cyryla Harcourta. Wezwany na świadka ślusarz z Londynu zeznał, że przed terminem przyjęcia dorobił dla niej dwa takie klucze. Ponieważ drugiego nigdy nie odnaleziono, przyjąłem, że Ella musiała go ukryć albo wyrzucić do morza.

- To było potworne. Słyszeć, jak Alexander krzyczy - mówiła Camilla. - Patrzeć, jak go spycha.

Gdy tej nocy kładłem się spać, cały czas dudniły mi w głowie słowa Camilli: *gospycha-gospycha-spycha...*

Następnego ranka cała prasa rozpisywała się o aresztowaniu Elli. Przez dwa miesiące, z wyjątkiem może trzech dni, jej sprawa nie schodziła z pierwszych stron gazet. Taki proces jak Elli nie mógł odbyć się bez rozgłosu. Dziennikarze na podobieństwo stada hien weszli w poszukiwaniu sensacyjnych szczegółów, bo sprawa Elli doskonale nadawała się do popularnych popołudniówek. Było w niej wszystko, co trzeba - znana osoba, uroda, brutalne zabójstwo. Żadna gazeta nie zrezygnuje z takiej historii.

Oczywiście uwagi dziennikarzy nie umknął fakt, że życie dopisało kolejny, efektowny rozdział do - dopiero co opublikowanej przez Sarę - monografii rodziny. Wątek obłądu, mimo swego tragizmu, dodawał całemu wydarzeniu posmaku sensacji, więc wałkowano go jak kraj długi i szeroki. Przez wiele tygodni wizerunek fili-

granowej postaci Elli atakował mnie z billboardów i okładek czasopism. Z czasem moje serce stwardniało, a oczy uodporniły się na widok drobnej twarzy o delikatnych rysach i bladej cerze.

Rozgoryczenie uczyniło mnie bezbronnym wobec dawnych upiórów. Podczas bezsennych nocy znowu słyszałem skrzekliwy śmiech Erica. Ten śmiech dręczył mnie ze wzmożoną siłą, jakby karząc za chęć ucieczki przed konsekwencjami mego czynu. Z niecierpliwością czekałem świtu, bo wtedy śmiech cichł. Niestety, dzień nie przynosił ulgi; przytłaczały mnie kolejne doniesienia z procesu Elli i szkice jej zapadniętej twarzy o zaciśniętych ustach, wykonane podczas rozpraw. Przygarbiony nad kubkiem porannej kawy, czytałem

o procesie z czymś w rodzaju chorobliwej fascynacji, współczując jednocześnie rodzinie, do której, niewiele brakowało, bym należał. Znowu samotny, podwójnie odczuwałem izolację. Ponosiłem karę za swoją arogancję. Tym razem już nic nie mogło mnie uratować. Byłem rozbity i osamotniony, ponieważ nie miałem do kogo się zwrócić ani komu się zwierzyć. Jak na ironię, moim smutkiem mogłem podzielić się tylko z Ellą lub Erikiem, lecz oni oboje byli dla mnie straceni na zawsze. Nie miałem nikogo na świecie. Mój gniew - a byłem wściekły na Ellę za to, że mnie oszukała, że nigdy nie była wobec mnie szczerą - stopniowo przeradzał się w rozgoryczenie. W miarę jak śledziłem doniesienia z procesu i wina Elli nie pozostawiała śladu wątpliwości, rosła moja pogarda dla samego siebie. To uczucie miało mi towarzyszyć przez całe życie. O ile w ogóle mogę uznać, że kiedykolwiek wierzyłem w siebie, to śmierć Erica znacznie zachwiała moją wiarą, a tamta jesień i zima, kiedy toczył się proces Elli, zniszczyły ją na zawsze. A miałem wtedy zaledwie dwadzieścia pięć lat.

Oczywiście Ella nie przyznała się do winy.

Z powodu ciężaru zbrodni odmówiono jej wyjścia z więzienia za kaucją, więc jak przeczytałem w gazetach, oskarżona opuszczała celę wyłącznie na czas rozpraw. Ella nie widywała się z nikim prócz swego adwokata. Nie odwiedzała jej ani rodzina, ani znajomi. Co prawda napisała do mnie chaotyczny list, w którym usiłowała się bronić, oskarżając innych. Zaledwie rzuciłem na niego okiem i nie odpisałem. Zdecydowałem, że nie dam się zwieść kolejny raz. Ponieważ nie odpisałem, ona też więcej nie napisała.

Ella niezmiennie zaprzeczała oskarżeniom, a wzrastająca histeria, z jaką wypierała się mimo niezachwianych dowodów

winy, nie budziła sympatii ani sędziego, ani ławy przysięgłych. Twierdziła, że o śmierci ojca dowiedziała się od policjantów. I chociaż prokurator powołał na świadków wiele osób, które widziały ją na balkonie, z uporem trwała przy swojej historii, nie zgadzając się na wersję o chwilowej niepoczytalności, o której coraz częściej przebąkiwali komentatorzy sądowi, w miarę jak proces się posuwał.

Camilla słyszała od swojej matki, że Ella zupełnie załamała się w więzieniu i opowiadała brednie o Sarze; o tym, że to ona musiała zabić Alexandra. Lecz Sara w swej czerwonej sukni była cały czas na oczach ludzi. Z wieloma osobami rozmawiała. Gdy schodziła z tarasu, zjawiała się w holu lub sali balowej, doglądała kelnerów i witała gości w imieniu wuja. Mimo że Sara pojawiała się i znikwała, jej alibi było niepodważalne. Policja przestała je sprawdzać zaledwie po kilku godzinach zadawania uprzejmych pytań, na które padały udzielane przez łży odpowiedzi.

Ella twierdziła, że kiedy ubierała się na przyjęcie, dostała karteczkę od Alexandra z prośbą, by nie mówiąc nic nikomu, przyszła o ósmej do jego pokoju i zaczekała na niego, gdyby go nie było. Wypytywana przez sędziego, wyjaśniła, iż przypuszczała, że ojciec chce przejrzeć z nią mowę powitalną. Ella nie miała dowodu w postaci owej kartki od Alexandra, a zapytana, co mogło się z nią stać, odparła, że ktoś musiał zabrać ją z jej pokoju. Po Elli zeznawał psychiatra sądowy. Jego opinia przesądziła sprawę. Byłem nieco zdumiony, że Ella opowiedziała mu o swojej obsesji dotyczącej Sary. Najwyraźniej usłyszał od niej to samo, czego ja dowiedziałem się dawno temu w okrągłym pokoju w baszcie. Lecz tym razem jej tak zwana szczerość jeszcze pogorszyła sprawę, a oskarżenia ciskane pod adresem Sary podczas aresztowania oraz, niestety, na jednej z rozpraw cytowano jako dowód nieuleczalnej paranoi, która według orzeczenia lekarza była „tragicznym, aczkolwiek nieuniknionym następstwem wcześniejszych zaburzeń emocjonalnych”. Żaden z powołanych biegłych psychiatrów nie uznał wyjaśnień Elli, iż udawała załamanie nerwowe, aby zerwać niechciane zaręczyny. To, co mówiła mi w Pradze, w sądzie brzmiało naiwnie i nie- przekonywająco. Przeklinałem siebie za łatwowierność; za to, że dałem się nabrać na jej szalone wynurzenia.

Ława przysięgłych najwyraźniej nie miała zamiaru powtórzyć mego błędu.

Upór Elli nie budził sympatii ławników, a adwokat, który w połowie procesu doradzał jej, by przyjęła linię obrony 0 chwilowej niepoczytalności, pod koniec bronił jej bez większego przekonania. Po czternastu dniach rozpraw widać było wyraźnie, że czeka ją maksymalny wyrok. W mowie końcowej sędzia stwierdził, że w swej karierze nie orzekał dotąd w tak potwornej sprawie.

Poszedłem na ogłoszenie wyroku. Tego dnia nie potrafiłem trzymać się z daleka od sądu. Wysłuchałem wyroku i patrzyłem, jak wyprowadzają Ellę z powrotem do więzienia. W przegrzanej sali pełnej widzów widziałem jej bladą twarz

1 oczy w czerwonych obwódkach. Ella wyraźnie wychudła. Nagle odkryłem zaskoczony, że się postarzała. Że nie jest już tamtą dziewczyną z moich marzeń ani nawet tą ze zdjęć w gazetach, tylko przedwcześnie dojrzałą kobietą o twarzy pokrytej zmarszczkami. Kiedy szła chwiejnie pomiędzy dwoma potężnie zbudowanymi policjantami, nie patrzyła na nikogo. Wydawała się nieświadoma obecności rodziny w pierwszym rzędzie ław dla publiczności. Jej znajomi nie przyszli na rozprawę. Cały Londyn z wyjątkiem dziennikarzy umywał ręce, jak gdyby bojąc się splamić znajomością z nią. A ja pomyślałem, kiedy patrzyłem, jak ją wyprowadzają, że dla mnie obraz Elli morderczyni, chociaż bardzo przygnębiający, czyni pewne sprawy łatwiejszymi. W obawie przed dręczącymi mnie wyrzutami sumienia w związku z Erikiem wma- wiałem sobie, że skazanie Elli zdjęło ze mnie odpowiedzialność za jego śmierć; że ja także stałem się ofiarą. Mówiłem sobie w duchu, że sam niewinny, zbłądziłem pod wpływem tej umysłowo chorej młodej kobiety. Uznałem, że jej szaleństwo oczyszcza mnie z zarzutów; że mam prawo przerzucić na nią moją część winy. Lecz, niestety, wtedy nie byłem jeszcze tak wprawiony w obłudzie, I choćbym nie wiem, co sobie wma wiał, wiedziałem, że czekają mnie bezsenne noce i ponure dni, a ulgę znajdę wyłącznie w ciężkiej pracy, bo na więcej sobie nie zasłużyłem.

Przed drzwiami prowadzącymi do aresztu Ella zatrzymała się i rozejrzała po sali. W spojrzeniu jej zaczerwienionych i zamglonych od łez oczu pozostały resztki dawnego magnetyzmu.

Obserwowałem, jak powoli przesuwają wzrokiem po twarzach swoich krewnych, jak gdyby chciała nauczyć się ich na pamięć. Zauważyłem, że Pamela odwróciła głowę. Ella powiodła spojrzeniem po dziennikarzach, po publiczności, popatrzyła na Sarę siedzącą pośrodku rodziny, z kasztanowymi włosami opadającymi

na klapy płaszcza, i na koniec zatrzymała wzrok na mnie. Wiedziałem, że mnie wypatrywała. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Nie uciekłem od spojrzenia, tego zrobić nie mogłem. Ale nie zdobyłem się również na żaden gest. Nie uśmiechnąłem się ani nie wyszeptalem żadnego serdecznego czy niosącego otuchę słowa. Po prostu ona patrzyła na mnie, a ja na nią.

A potem Ella zdecydowanym ruchem odwróciła się, pozwalając się wyprowadzić.

30

W strumieniu ludzi opuszczających sąd dostrzegłem Char-lesa Stanhope'a. Stał zagubiony w ciżbie z twarzą ściągniętą i nieruchomą jak maska i sprawiał wrażenie, jak gdyby nie wiedział, co ma robić czy dokąd pójść. Ogarnęło mnie współczucie dla niego, gdy dziennikarze potrącali go, przepychając się do Pameli. Współczułem mu, ale nie mogłem pomóc, nie potrafiłem nawet spojrzeć mu w twarz. Lawirując więc między mikrofonami i kamerami oraz omijając grupki zmarzniętych turystów kulących się pod parasolami, zbiegłem ze schodów i w nasilającym się deszczu szedłem szybkim krokiem do domu, by jak najprędzej wziąć do rąk skrzypce i szukać ucieczki w muzyce. Uświadomiłem sobie, że jestem samotny jak palec i im prędzej przyjmę to do wiadomości, tym lepiej dla mnie. Owinąłem ciasno szyję szalikiem, bo wiał zimny wiatr, i idąc, walczyłem ze łzami.

Chyba spotkałem ją przy zejściu do metra. Tak, to było tam. Widzę ją, jak stoi przy barierce, długie włosy spływają jej na ramiona, jest blada, trzęsie się z zimna. Zdaje się, odpowiedziałem na jej pozdrowienie. Może uściśnąłem jej rękę, a może pocałowałem ją w policzek. Nie wiem. Nie pamiętam... Mam bardzo mglisty obraz tamtego spotkania, bo przysłoniły je ważniejsze wydarzenia. Nawet wiele lat później rzadko wracaliśmy w rozmowach do naszych pierwszych wspólnych dni. Ja odczytywałem jej milczenie jako oznakę taktownego przyjęcia do wiadomości, że kochałem kogoś innego; jako wyrozumiałość, za którą przecież tak bardzo ją ceniłem. To właśnie powściągliwość pociągała mnie w Sarze i akceptacja faktu, że o pewnych sprawach, oczywistych i wiadomych, po prostu się nie mówi. Ten pogląd uważałem za idiotyczny, kiedy byłem do szaleństwa zakochany w Elli. Teraz jednak, po pięciu ciężkich latach, doszedłem do wniosku, że byłem powierzchowny w moich sądach. Już

pierwszego popołudnia intuicyjnie wyczułem, że mogę polegać na rezerwie Sary; że ona oddzieli mnie od świata skuteczniej od wszelkich barier, jakie sam sobie dotąd wymyślałem.

Moja żona, jak miałem się przekonać, potrafiła zachować krzepiące milczenie na temat wszystkich bolesnych spraw. Taktownie nabierając wody w usta, najpierw sprawiła mi ulgę i uwiodła, a potem stopniowo uczyła, jak uspić własny umysł i ciągle podsycać stan błogiej śpiączki.

Lecz znowu wtrącam dygresje, odchodzę od tematu. Zapewne pragnę usprawiedliwić się, zanim przejdę do sedna. Powinienem już wiedzieć, że prawdę można wyjawić jedynie słowami. Muszę wreszcie przerwać milczenie Sary. Wiem

o tym i postanowiłem podjąć się tego zadania. Powraca mi pamięć. Najmniej istotne szczegóły powracają pierwsze. Pamiętam, że kiedy przytuliła mnie na deszczu, jej włosy pachniały szamponem, a na obiad, na który siłą mnie zaciągnęła, jedliśmy żabie udka i steki.

- Nie chcę dzisiaj być sama - oznajmiła, obejmując mnie,

Nie potrafiłem odmówić, a jej podobieństwo do Elli sprawiło, że lzy dusiły mnie w gardle.

Dałem się więc zaprowadzić do małej francuskiej restauracji, gdzie nadskakujący kelnerzy szeptali między sobą po kątach. Sara opowiadała o tym, co przeżyła w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Jej ogromne, jasne oczy szukały moich, a drżące dłonie zachęcały, by je przytrzymać, kiedy zapalała kolejne papierosy. Ze zdumieniem stwierdziłem, że to już nie jest ta nieprzystępna osóbka z parku ani chłodna dama z przyjęcia zaręczynowego. W jakimś sensie proces Elli obudził ją. Patrząc na jej lzy, pomyślałem, że stać ją na uczucia.

Moja żona znała wiele forteli. Jako osoba wyrafinowana działała dyskretnie i osiągała zamierzony efekt. Ja, mężczyzna, w tej dziedzinie nie byłem dla niej partnerem. Teraz otwarcie się do tego przyznaję. Być może wiedziałem o tym już wtedy. Możliwe, że nawet tego pierwszego dnia dzięki jej mistrzowskim zagraniom odnalazłem poczucie bezpieczeństwa. Tego rodzaju poczucie bezpieczeństwa, jakiego tak długo brakowało mi w życiu. Rzeczywiście z miejsca uległem jej urokowi. Zwiódł mnie jej spokojny głos i poruszyły lzy, których nie potrafiła powstrzymać, kiedy opowiadała mi o rozpaczliwej Pameli i o swoim smutku. Rozgrzani winem, sie-

dzieliśmy przy narożnym stoliku, a deszcz spływał po obu szybach. Być może podniecało mnie wrażenie (dopiero teraz mogę to wyznać), że dzięki jej osobie odzyskałem Ellę. Przyciąganie się dwojga ludzi jest bardzo zagadkową sprawą; życia nie starcza, by zrozumieć złożoność i siłę tego zjawiska. W wieku siedemdziesięciu lat powinienem mieć pewną mądrość życiową, a tymczasem okazuje się, że dopiero zaczynam odkrywać siłę i kapryśną/naturę przyciągania się płci. W wieku lat dwudziestu pięciu byłem na to za młody. Widzę, że uroda pociąga nas w sposób nie do końca zrozumiały. Kiedy przypatruję się memu życiu, dochodzę do wniosku, że zakochałem się w Elli z powodu jej fizycznej atrakcyjności; że u podstaw mojej miłości leżała fascynacja jej ciałem i typem urody.

To samo zafascynowanie przyciągało mnie ku Sarze, a ona o tym wiedziała.

Wiedziała i bez wahania wykorzystała tę wiedzę. To nie jej słowa, lecz ciało przemawiało do mnie. Teraz po tych wszystkich latach intryguje mnie jej wyrachowanie. Ze zdumieniem myślę, jak niby to dzieląc się ze mną smutnymi wspomnieniami, niepostrzeżenie okręciła mnie sobie wokół małego palca.

Kochaliśmy się tego popołudnia, oczywiście Sara z góry wiedziała, że do tego dojdzie,

Jak gdyby przyciągani ku sobie jakąś nieodpartą siłą, wyszliśmy z restauracji, w strugach deszczu złapaliśmy taksówkę i pojechaliśmy do mnie. Weszliśmy na poddasze, które kiedyś zaanektowała Ella. Myślę, że wybierając to miejsce, chciałem wypłoszyć duchy przeszłości. To Sara przejęła inicjatywę, to ona pierwsza mnie pocałowała, gdy staliśmy na stopniach przed domem, a ja szukałem kluczy po kieszeniach. A ja dawałem się prowadzić. Nasze zbliżenie, tak inne od miłości z Ellą, przyniosło mi ukojenie, bo to, co było w nim obce, przedziwnie mieszało się z tym, co znajome. Seks z Sarą uspokajał mnie i zarazem podniecał. I wtedy pomyślałem, że może znalazłem ratunek, że nie wszystko zostało stracone.

W tygodniach, które nastąpiły po tamtym popołudniu, mimo niewysłowionej tęsknoty za Ellą, nauczyłem się czerpać radość z widoku smukłego ciała jej kuzynki, z dotyku jej gładkiej, bladej skóry i z jej pocałunków. Przyglądałem się, jak Sara, podobnie jak kiedyś Ella, zapala papierosa pełnym gracji ruchem, patrząc przy tym na mnie swymi wielkimi niebieskimi oczami. Znajdowałem urok w jej braku żywiołowości, cieszyłem się, że niepostrzeżenie przejęła kontrolę nad moim życiem. Potwierdziło się moje

przypuszczenie z pierwszego popołudnia: obecność Sary rzeczywiście dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Byłem jej wdzięczny, że uratowała mnie przed samym sobą. Wspólnie spędzane chwile upływały w harmonii i spokoju, a tego przecież od dawna brakowało mi w życiu. Z bezmyślnym uczuciem ulgi zdałem się na jej opanowanie, licząc, że w nim odnajdę upragniony spokój. Uwierzyłem, że w sile jej charakteru znajdę azyl. Chociaż trudno dokładnie odtworzyć tamten czas, a jeszcze trudniej przyznać, że złudzenia przesłoniły rzeczywistość, nie wątpię, iż równowaga Sary uspokoiła mnie. Że ochroniła mnie jej powściągliwość oraz pierwsza lekcja w samooszu-kiwaniu, jakiej mi nieświadomie udzieliła. To ona pokazała mi drogę do zapomnienia i wciągnęła z powrotem na bezpieczną mieliznę. I za to byłem jej wdzięczny.

W naszą pierwszą noc rozmawiała ze mną o Elli. Widzę ją, jak oparta o ścianę, siedzi na łóżku z kołdrą naciągniętą na piersi i paląc papierosa, mówi cicho, stonowanym głosem, który później tak dobrze poznałem.

- Pewnie wiesz, jak bardzo Ella mnie nienawdziła - zaczęła. W jej spokojnym, beznamiętnym stwierdzeniu nie było pretensji. - Zdaje się, mówiłam ci już o tym, wtedy, w parku.

Obojgu nam stanęło przed oczyma tamto słoneczne popołudnie, kiedy kupiłem jej lody.

- Tak - odparłem, zastanawiając się, ile Sara wie o mnie i o Elli. - Tak, przypominam sobie.

- I na pewno powiedziała ci, że ja też jej nie znoszę.

Nie odpowiedziałem, pochłonięty studiowaniem zarysu jej piersi i drobnego nadgarstka ręki, w której trzymała papierosa. A może raczej ostatni raz zawahałem się przed zdradą zaufania Elli.

- W porządku - rzekła Sara, wyczuwając moją rozterkę. - Nie musisz mówić. Przecież zarzuciła mi prosto w twarz, że zabiłam jej ojca. Nic gorszego nie mogłeś usłyszeć.

- Nie.

Nie drażyła dalej tego tematu. W milczeniu przyglądałem się zarysowi jej nosa, gdy wydmuchnęła dym. Na tle białej ściany jej cera wydawała się bardzo blada.

- Biedna Ella.

- Tak - powiedziałem.

Kiedy pomyślę o współczuciu Sary dla Elli tamtej nocy, trzęsę się z gniewu i płoną mi skronie. Wspomnienie wyrazu jej twarzy i

smutnych oczu wpatrzonych we mnie rozwiewa wszelkie wątpliwości. Sara zasłużyła na śmierć. Słusznie postąpiłem, pozbawiając ją życia. Biurokratyczna machina ziemskiej sprawiedliwości nie ukarałaby jej dostatecznie, wtrącając do więzienia. Bóg ją osądzi. On tego dokona. A mnie, staremu, samotnemu człowiekowi, który nie może cofnąć czasu, również pozostało jedynie czekać na Jego sąd. Czekać i rozpamiętywać.

Tamtej nocy, kiedy znalazłem się w łóżku z Sarą, byłem stracony.

Ta świadomość powinna ostudzić emocje, bo już wtedy tkwiłem w pułapce. Wpadłem w sidła Sary tak samo jak Ella, tyle że skutek nie był taki okrutny. Nic nie mogłem zrobić, bo nie byłem godnym Sary przeciwnikiem. Nikt nim nie był. Prowadziła swą grę według zasad, które, w przeciwieństwie do mnie, dobrze znała. Czy zmieniłoby się coś, gdybym z większą ostrożnością podszedł do jej wyrachowanej serdeczności? Czy to samo mogłoby uratować Ellę? Jakie szanse miało którekolwiek z nas w konfrontacji z Sarą? Szczerze mówiąc, żadne. Wstyd mi, lecz muszę to powiedzieć. Moja żona była urodzoną manipulatką. Teraz kiedy leży martwa i czeka na pochówek, a ja wreszcie wyrwałem się spod jej wpływu, wyraźnie to dostrzegam. W dodatku widzę, że z wielką ostrożnością posługiwała się swoją władzą. Zaatakowała kuzynkę dopiero wtedy, gdy była gotowa. Wykonanie jej planu poprzedziły cztery lata dyskretnych obserwacji. Widzicie, Sara dobrze znała ludzką naturę, mało kto potrafił ją zaskoczyć. Od dawna manipulowała ludźmi. Teraz o tym wiem. Chociaż ta prawda późno do mnie dotarła, wreszcie przejrzałem na oczy. Jeszcze wczoraj nawet nie podejrzewałem, co mi zrobiła. A dzisiaj już to wiem.

Jakie to dziwne, że w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin całe życie może legnąć w gruzach. Aż trudno uwierzyć, że w tak krótkim czasie zawaliły się fundamenty małżeństwa, które trwało czterdzieści pięć lat. Poznanie prawdy może wywołać destrukcję. Rozpamiętując przeszłość, zburzyłem dzieło Sary. I chociaż nie mam ani czego, ani z kim odbudowywać, to przynajmniej uświadomiłem sobie, jaką władzę miała moja żona. Nigdy nie zapominała krzywdy, rzadko wybaczała wrogom, ale za to lojalność nagradzała tak hojnie, że osoba nią obdarowana czuła się dłużnikiem do śmierci. Właśnie takimi metodami posługiwała się Sara. Kiedy tamtej pierwszej nocy słuchałem jej słów, nie

byłem świadomy (przysięgam, że nie byłem), jak subtelnie i niezauważalnie, krok po kroku uzależnia mnie od siebie.

- Tak bardzo starałam się pomóc Elli - zwierzała się. - Widziałam, co się z nią dzieje. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo chciałam zapobiec tragedii... Ja... ja... w pewnym sensie czuję się odpowiedzialna za to, co stało się w Setonie. - Kiedy to mówiła, zdaje się, popłynęły jej łzy z oczu.

Pamiętam płacz Sary. Umiała płakać z dużym wdziękiem. Jej łzy sprawiały, że miało się ochotę dotknąć delikatnej skóry pod jej oczyma. Pamiętam, jak ostrożnie ścierałem z policzków te łzy, a ona całowała moje palce.

- Dziękuję - powiedziała, głaszcząc mnie po włosach. - Usiłowałam ostrzec rodzinę - podjęła przerwane opowiadanie, - Ale nikt nie chciał mnie słuchać z wyjątkiem wujka Alexa. On jeden prawidłowo ocenił stan Elli. Wiesz, on wcześniej widział podobne objawy u swojej matki i siostry. Z ciężkim sercem pokiwałem głową.

- On też chciał pomóc Elli. To właśnie wujek znajdował tych wszystkich lekarzy. Może dlatego ona... - Sarę na moment zawiódł głos. - Lecz Ella nie chciała jego pomocy. Szczerze mówiąc, nie chciała niczyjej pomocy. Zawsze była taka uparta. A kiedy próbowałam zbliżyć się do niej... Nie, nie powtórzę ci, co powiedziała. To zbyt okropne.

- Powiedz - poprosiłem szeptem. I rzeczywiście, jakaś częśćka mojej osoby chciała usłyszeć to najgorsze.

- Nie mogę.

- Powiedz.

Podniosła na mnie niebieskie oczy, w których znowu zakręciły się łzy.

- No, cóż. Jeżeli musisz wiedzieć...

- Powiedz mi - przekonywałem ją łagodnie.

- Zagroziła, że mnie zabije

Zawiesiła głos, by jej słowa wywarły lepszy efekt.

- Oczywiście, nie potraktowałam tego poważnie - kontynuowała, widząc, że osiągnęła zamierzony cel. - Gdyby mi wtedy przyszło na myśl, że ona mówiła poważnie... może mogłabym jakoś zapobiec... może...

- To nie twoja wina - odparłem jak na zawołanie.

- Ale czuję się odpowiedzialna.

- Nie powinnaś - powiedziałem i w odruchu współczucia

przytuliłem ją mocno do siebie,

- Chyba masz rację - odezwała się po chwili. - Nie powinnam.

- Wdzięcznym gestem otarła oczy. - W końcu to Ella nigdy nie przyjęła do wiadomości, że ma problem. Wszyscy lekarze po kolei tłumaczyli jej, że zanim można ją będzie wyleczyć, musi zaakceptować swoją chorobę. Nie chciała słuchać. Była taka uparta. I co w takim wypadku mógł zrobić Alexander, Pamela, ja czy ktokolwiek inny?

- Nic - wymruczałem. Staralem się odsunąć od siebie dźwięczące mi w uszach słowa Elli sprzed paru lat, z kawiarni w Pradze. Staralem się zagłuszyć tamto jej pytanie zadane z gorzkim humorem, czy wiem, jak bardzo trzeba być odpornym psychicznie, by przetrwać sesję z wytrawnym psychiatrą.

- Zrobiłaś, co mogłaś - uspokoilem Sarę, w tej samej chwili postanawiając odciąć się od przeszłości. Nie chciałem żadnych wspomnień.

- Wiem - odparła z namysłem. - Wiem, że nie powinnam się obwiniać. - Oparła głowę o moją pierś. - Jamie, ona była taka zazdrosna o mnie. Tak okropnie zazdrosna.

- Wiem.

- Powiedziała ci?

- Tak.

- A co mówiła?

- Głównie opowiadała o waszej babce.

- A o Setonie?

- Też.

- Nie mogła znieść, że ja lepiej pasuję do tego miejsca. Wiesz, Ella nienawidziła mnie za moją angielskość. Za to, czego jej brakowało, mimo że się tutaj urodziła.

Pominałem jej słowa milczeniem.

- Nie mogła znieść, że ja rozumiem życie na wyspie. Cały czas starała się udowodnić, że potrafi zadbać o nią lepiej ode mnie. A przecież prawie jej nie znała.

- Naprawdę?

- Przyjeżdżała wyłącznie na urodziny i c/asami na Boże Narodzenie.

Spojrzałem na Sarę i wtedy z jej oczu popłynęła kolejna porcja łez.

- Odpowiedzialność za Seton bardzo jej ciążyła - opowiadała, zmieniwszy nieco ton. - Przygniatała ją. Wiesz, ona bała się, że

sobie nie poradzi.

- Biedna Ella. - Przypomniały mi się ciepłe łzy Elli spływające po mojej szyi, kiedy dawno temu popłakała się w pokoju w wieży, wysoko nad morzem.

- Tak, mnie też było jej żal. - Sara zawahała się. - Może właśnie dlatego na oczach wszystkich zabiła wujka Alexa. Może chciała, by ją złapano. Przynajmniej tak sobie to tłumaczę.

- Dlaczego miałyby tego chcieć?

- Bo w ten sposób uniknęła odpowiedzialności za Seton.

- Nie rozumiem. - Mówiąc to, usłyszałem głos Elli, kiedy wyjaśniała mi, że ani katoliczka, ani rozwódka, ani skazaniec nie ma prawa odziedziczyć zamku.

- W tych okolicznościach nigdy go nie dostanie - odparła cicho kuzynka mojej ukochanej.

- A co będzie, kiedy umrze wuj? Teraz gdy nie ma Alexandra?

Sara uniosła głowę, przybierając odpowiednio posępną minę. Jednak w wyrazie jej dużych niebieskich oczu było coś niepokojącego.

- Przypadnie mnie - rzekła powoli. Teraz przypominam sobie, że wypowiedziała te słowa niemal pieśczośliwie. - Wyspa, zamek, tytuł. Wszystko będzie moje,

- A Ella?

- Ella nic nie dostanie.

Leżeliśmy milcząc. Sara gładziła mnie po plecach.

- Trudno mi uwierzyć, że się tu znalazłam - odezwała się po jakimś czasie.

- Mnie również.

- Cieszysz się, że jestem z tobą?

- Czy się cieszę? - powtórzyłem z namysłem.

Pokiwała głową.

- Bardzo - odpowiedziałem.

- Mówisz to serio?

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak serio - odparłem po dłuższym milczeniu.

Przez jakiś czas leżeliśmy w ciszy. Włosy Sary załaskotały mnie w podbródek, więc przesunąłem głowę, a wtedy ona przetoczyła się na bok i popatrzyła na mnie z powagą.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście.

Zamyśliła się, jakby szukała odpowiednich słów. A kiedy się odezwała, jej głos był rozbrajająco delikatny.

- Czy przeraża cię myśl, że Ella była szalona?

- Dlaczego tak sądzisz?

- Przeraża cię to, prawda? - powtórzyła jakby z naciskiem, ignorując moje pytanie.

Nie odpowiedziałem wprost. Poczulem natomiast, jak do oczu napływają mi łzy, i czerwieniąc się, zawstydzony, pokiwałem głową, mrugając, by powstrzymać płacz.

- W takim razie nigdy więcej nie będziemy o niej myśleć. -

Mówiła wolno, a w jej nadal łagodnym tonie zabrzmiała zdecydowana nutka. - Nigdy więcej o niej nie pomyślimy.

A ja, patrząc w twarz Elli, tyle że o oczach niebieskich, a nie zielonych, i być może o nieco wyższym czole, pochyliłem się, by pocałować te usta, których prawie wcale nie znałem, a w których zakochałem się tak dawno temu.

- Nigdy więcej - powiedziałem.

Pół roku później byliśmy małżeństwem.

31

Wiecie, to dziwne. Naprawdę dziwne, że prawie doszedłem do końca opowieści, a ponad czterdzieści lat z mego życia pozostało nietknięte. Dokładnie czterdzieści pięć lat, bo tyle właśnie trwało nasze małżeństwo. Jak się nad tym zastanowić, to szmat czasu, przynajmniej takie się ma wrażenie. Kawał życia. Przedział wieku, uważany przez wielu ludzi za najlepszy. To niesamowite, lecz jeszcze tydzień, rok, dziesięć lat temu ja też bym tak sądził. I odczuwałbym wdzięczność wobec Sary za szczęśliwe życie. I w pewnym sensie ta wdzięczność jej się należała. Nadal tak uważam, nawet teraz, gdy wiem, czego się dopuściła.

Jeszcze nie wyzbyłem się poczucia wdzięczności dla niej; trudno pozbyć się starych przyzwyczajeń. Według utartych kanonów nasze małżeństwo uchodziło za szczęśliwe, a Sara była idealną i kochającą żoną. Myślę, że bez problemu zapłaczę na jej pogrzebie. Łzy same popłyną, gdy w przyszłym tygodniu zajmę moje miejsce w kaplicy, na specjalnym podwyższeniu dla rodziny Harcourtów, ustawionym na prawo od ławek dla wiernych, pod zbutwiałymi sztandarami i pajęczynami rozsnutymi między łukami sklepienia. Tak jak należy, będę płakał na oczach całej kongregacji

z żalu za moją żoną i matką mego dziecka. A w duchu będę ronić łzy nad nami wszystkimi: nad Ellą, Erikiem, Sarą i samym sobą. Przede wszystkim nad sobą. Nie wiem, czy w moim podeszłym wieku wypada przyznawać się do takiego egoizmu, ale zrozumcie, ja jeden z nas wszystkich zostałem i muszę żyć dalej samotny i nie osądzony. Spodziewałem się, że prawda mnie wyzwoli lub przynajmniej odmieni moje życie, tymczasem nic się takiego nie stało. To całe opowiadanie, rozpamiętywanie, wyzwalanie się spod wpływu Sary... jedynie mnie zmęczyło, nic więcej. To był bardzo długi dzień. Z jednej strony chcę do końca prześledzić knowania Sary, by zniszczyć to, co przez lata konsekwentnie budowała, z drugiej odzywa się we mnie tęsknota za bezpieczeństwem, jakie zapewniała mi jej obłuda. Lecz fundamenty jej dzieła zostały wzruszone, ściany drżą, wzbiera woda. Za daleko doszedłem, żeby teraz zawrócić. Nie mogę jeszcze raz szukać ratunku na bezpiecznej mieliźnie, na której utrzymała mnie dzięki subtelnie i dyskretnie sprawowanej władzy. Muszę przyjrzeć się naszemu małżeństwu. Wiem, że muszę to zrobić. Muszę zobaczyć je na nowo w świetle nowo zdobytej wiedzy. Nie mogę dłużej tkwić w komforcie niepamiętania, jak tego nauczyła mnie Sara.

Lecz co tu jest do wspomniania? Te długie lata wydają się dziwnie pozbawione dramatycznych wydarzeń. Przynajmniej tak je widzę, porównując z okresem sprzed naszego małżeństwa. Sara potrafiła nadawać sprawom pozory, zmniejszać ich ciężar gatunkowy. Myślę, że przerażały ją głębsze doznania, mnie także nauczyła się ich bać. Pracowała nad tym, by usunąć emocje i niepotrzebne wstrząsy z naszego życia. I dopiero teraz widzę, że robiła to po mistrzowsku.

Nie wszystkich jednak uczuć się bała.

Pamiętam moją pierwszą podróż tutaj już jako właściciela. Kiedy, jadąc pociągiem, mijaliśmy wyspę, słońce odbijało się w miedzianych kurkach na dachu zamku. Wtedy Sara z satysfakcją szepnęła do mnie: „Jest nasza wyspa”. Wiem, jak bardzo kochała to miejsce.

Była też zdolna do zaborczej, wręcz obsesyjnej miłości. Swoje uczucie dla domu przerzuciła później na nasze dziecko. Sara miała duszę dziedzicki - potrzebowała następcy. Kiedy urodziła się Maggie, cieszyłem się po cichu, że ma rysy Farrellów. Praprawnuczka Blanche w przeciwieństwie do Elli i Sary w ogóle nie była podobna do swej antenatki. Cieszyło mnie to symboliczne

zerwanie z przeszłością.

Sara zasugerowała, by dać córce na imię Margaret na pamiątkę pierwszej hrabiny Seton. Teraz Maggie jest dorosła i ma dzieci. Przyjedzie jutro, pewnie z całą rodziną. Dom znowu będzie pełen życia. Życia wśród śmierci. Będę musiał opowiedzieć Maggie, w jaki sposób zabiła się jej matka. Że strzeliła sobie w skroń w swoim saloniku. Ciekawe, co Maggie powie dzieciom. Ale to już jej sprawa. Kto wie, może śmierć Sary nas zbliży. Mam teraz na świecie tylko ją i jej męża, za którym nie przepadam. Rozdzieliła mnie z Maggie ta obsesyjna miłość Sary do każdego z nas. Teraz widzę, jaka zaborcza była miłość mojej żony. Chciała być wszystkim zarówno dla Maggie, jak i dla mnie, w rezultacie zabrakło miejsca na nasze wzajemne uczucia. Sara zrobiła ze mnie ojca tolerancyjnego, a jednocześnie trzymającego się na uboczu. Już wtedy byłem niezłe przeszkolony przez moją żonę i nawet przez myśl mi nie przeszło kwestionować jej zdania.

Dziwne, jak bardzo dałem się jej podporządkować. Dopiero teraz mnie to zdumiewa. Chociaż nigdy nie miałem ambicji przywódcy, nie byłem uległy z natury. Uległość nie stanowiła podstawy naszego związku. I na tym właśnie polegała przebiegłość Sary. Potrafiła tak zręcznie mną sterować, że uważałem, iż postępując zgodnie z jej życzeniami, robię to, co sam chcę. Pod tym względem, a może i pod paroma innymi, Sara przypominała Reginę Boardman. Tak jak na początku Regina sterowała moją karierą, tak później Sara pokierowała moim życiem emocjonalnym. Wzięła na siebie odpowiedzialność za moje uczucia, a ja radośnie na to przystałem.

Pod umiejętym przewodnictwem Sary uczyłem się sztuki zapominania. Blokada wspomnień - to było to, czego nie udało mi się osiągnąć parę lat wcześniej, po śmierci Erica. Dopiero przy Sarze, idąc za jej przykładem, z powodzeniem potrafiłem pogrzebać przeszłość. Ponieważ nie byłem pewny, ile Sara wie, omijałem w rozmowach temat Elli. Właściwie przez czterdzieści pięć lat prawie w ogóle o niej nie mówiłem, a Sara również o niej nie wspominała. Postępowała zgodnie z tym, co powiedziała w łóżku w naszą pierwszą noc, a ja brałem jej milczenie za wyraz ogromnego taktu. Nigdy nie analizowałem jej równowagi duchowej, a jedynie ją podziwiałem. Nigdy nie przyszło mi na myśl - i na tym polegał jej geniusz - że pod władczą pozą i spokojem moja żona ukrywa ciemne sekrety.

Kiedy zmarł Cyryl, miałem trzydzieści lat. Byliśmy wtedy z Sarą pięć lat po ślubie. Kiedy przyjechałem z nią do Setonu, domu, który przecież mogłem dzielić z Ellą, miałem dziwne poczucie naturalnej kolei rzeczy. Już wtedy musiała omotać mnie za pomocą swych sztuczek i odpowiednio przygotować do tego dnia, bo nie dręczyły mnie wspomnienia pierwszej wizyty w tym miejscu w towarzystwie innej dziewczyny. W owym czasie miłość do Sary była dla mnie zdrową wersją wcześniejszego, niewłaściwie ulokowanego uczucia do jej kuzynki. Sara małymi kroczkami, umiejętnie wypchnęła Ellę z mego serca, zostawiając tamtej zaledwie maleńki kącik. I chociaż nigdy nie wszedłem do pokoju w baszcie, muszę przyznać, że niezbyt często o nim myślałem.

Małżeństwo zmieniło mnie. Przeszedłem ewolucję pod wpływem silnego charakteru Sary. Widzę to dopiero teraz, gdy staram się przywołać obraz człowieka, jakim byłem, kiedy brałem ślub. Wreszcie uczciwie przyjrzałem się sobie i zrozumiałem, co naprawdę odwiódło mnie od muzyki. Zobaczyłem, jak bardzo Sara jej nie lubiła i jakich wybiegów używała, by odciągnąć mnie od niej. Teraz rozumiem tę jej tak subtelnie demonstrowaną niechęć. Moja muzyka była poza zasięgiem jej wpływów. Grając, dawałem upust uczuciom, których Sara nie mogła kontrolować. I to się jej nie podobało. Widziała w skrzypcach swego rywala, ponieważ muzykę traktowałem z oddaniem, na jakie żadna istota ludzka nie mogła liczyć. Dlatego nie znosiła mojej gry i zdecydowanie zwalczała ją z zimnym wyrachowaniem. Nawet jeżeli zdawałem sobie sprawę, że tak jest, nie miałem ochoty przyznać się do tego przed samym sobą, a w końcu poddałem się jej woli.

Nie kłóciliśmy się, Sara nie uciekała się do gwałtownych metod i nie demonstrowała swych autokratycznych skłonności. W naszym małżeństwie nie było burz, tak charakterystycznych dla innych par. Zamiast tego krok po kroku Sara wciągała mnie w swój świat, pilnując, bym stopniowo poddał się rytmowi życia w Setonie wraz z jego feudalnym rytuałem i odwiecznym poczuciem obowiązku wobec zamku. Świat poza wyspą, który rozgorączkowaną Camilla podczas wizyty u nas nazwała prawdziwym światem, stopniowo przestawał się liczyć. Dlatego w miarę upływu czasu rezygnowałem z coraz większej liczby nagrań i koncertów, aż zarzuciłem je całkowicie.

Rezygnowałem z publicznych występów także z innego powodu. Powodu, który doskonale ilustruje władzę, jaką Sara miała

nade mną. Pod jej wpływem przestałem sobie cenić uprawianie muzyki i w końcu straciłem ochotę do grania. Nie można grać, nie czując. A Sara wypreparowała mnie ^z-uczu4^wiara w siłę muzyki, która długo stanowiła dla mnie ostoję, rozwiła się w trakcie małżeństwa. Inaczej być nie mogło. Po grze na konkursie Hibberdsona, kiedy miłość do Elli ponownie dodała mi skrzydeł, przeciętność nie mogła być moim przeznaczeniem.

Siedzę tu samotny, mając za całe towarzystwo stertę po- żółkłych recenzji, i zaskakuje mnie własna arogancja. Jakim prawem wygłaszam takie sądy? Kimże jestem, by spekulować, kim mogłem się stać? Jestem nikim, taka jest prawda. I muszę to sobie powiedzieć, chociaż wcale niełatwo się do tego przyznać. Udawanie na nic się nie zda. Dobrze, że przynajmniej wiem, kim byłem. Kiedy teraz analizuję moje życie, odzyskuję szacunek dla swojej gry. Do dzisiaj nie mogłem nawet o tym pomarzyć. Bez fałszywej skromności powiem, że moje nagranie Koncertu skrzypcowego e-moll Mendelssohna dorównywało najlepszym wykonaniom. Z takim osiągnięciem łączyła się pewna odpowiedzialność. Nie wolno mi było się uwstecznić, pozostawało jedynie piąć się w górę. Nie mogłem pozwolić sobie na wątpliwy luksus zostania zaledwie przeciętnym muzykiem. Mam szczęście, że zawsze w głębi duszy byłem obiektywnym sędzią własnych osiągnięć. Dzięki temu uniknąłem przed laty okrycia się niesławą po jedynym niekwestionowanym sukcesie.

To naprawdę wielkie szczęście, że moja muzyka - nawet po praniu mózgu przez Sarę - pozostała odporna na zakłamanie. Wiedziałem, kiedy zgasł we mnie zapał do grania. Wiedziałem i było mi żal, ale nie walczyłem. Przestałem grać, gdy jedyną rzeczą, jaką mogłem zaoferować, była techniczna biegłość; kiedy z artysty przemieniłem się w rzemieślnika. Słusznie postąpiłem. Uważam, że technikę można osiągnąć dzięki nauce i ćwiczeniom, lecz prawdziwa gra - tak jak prawdziwe życie - czerpie natchnienie z emocji. A tych we mnie nie było.

Nie cierpiałem z powodu mojej straty. Trochę tylko było mi żal. Teraz wiem, ale wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że to Sara była jej przyczyną. Być może podejrzewałem, możliwe, iż podświadomie czułem, że w przeciwieństwie do więzi łączącej mnie z Ellą czy z Erikiem, związek z Sarą nie jest w stanie podsycać inspiracji. Ale nie miałem tej świadomości. A nawet gdybym ją miał, to Sara ofiarowała mi spokój, za który byłem

gotowy oddać wszystko. Ten spokój Sary, jak przypuszczam, wynikał z jej potrzeby stabilizacji. To właśnie stabilizacja i pozorny spokój stanowiły jej kredo życiowe. Owo wyciszenie sprawiało, że lata zlewały się ze sobą, ważne wydarzenia mieszały się z błahymi, czyniąc życie emocjonalne płytkim i wręcz niepożądanym.

Gra na skrzypcach nie była jedyną ceną, jaką zapłaciłem za miejsce w sanktuarium Sary. Zerwałem kontakty z przyjaciółmi z kawalerskich czasów. Nie miałem ich wielu, ale za to byli lojalni. Utrata przyjaźni dotknęła mnie boleśniej niż rezygnacja z kariery. Moja żona nie lubiła się dzielić, a już na pewno nie miała ochoty dzielić się z nikim moją osobą, więc znajomi, podobnie jak i krewni z coraz mniejszym entuzjazmem odwiedzali nas, zmrożeni chłodną gościnnością Sary. Zamiast tego zapraszali mnie na przyjęcia do Londynu, lecz na uczestnictwo w nich nie pozwalały liczne obowiązki związane z domem.

Camilla Boardman, która przyjęła wiadomość o moich zaręczynach z Sarą znacznie mniej entuzjastycznie, niż się spodziewałem, wytrzymała najdłużej. Zdaje się, chciała zaprzyjaźnić się z Sarą, co oczywiście było niemożliwe. Na początku naszego małżeństwa często u nas gościła i nawet została matką chrzestną Margaret, bo moja żona była skłonna do ustępstw w sprawach mniejszej wagi. W niezmienności Camilli odnajdowałem coś krzepiącego - jej włosy były skręcone jak kiedyś, biust pozostał wydatny (choć może nieco się obniżył), a emfaza wypowiedzi w wieku średnim i późniejszym nie ustępowała egzaltacji z młodości.

Przypominam sobie, jak na kolacji podczas ostatniego pobytu u nas opowiadała o swoich klientkach (sukcesy uczyniły ją jeszcze mniej dyskretną), a potem usiłowała namówić Sarę na udział w jakiejś dobroczynnej imprezie.

- Teraz, gdy zabrakło mamy, ktoś musi dalej ciągnąć ten wóz - westchnęła, wciskając Sarze kopertę z zaproszeniami. - Te przyjęcia po koncertach są takie wyczerpujące. Musicie mi pomóc.

Taka wylewność czyniła Sarę jeszcze mniej przystępną; nawet pełną życia Camillę ogarniało zniechęcenie pod wpływem jej chłodnego spojrzenia. Dlatego coraz częściej wymawiała się od przyjazdów nawałem obowiązków, chociaż nadal z typową dla siebie serdecznością zapraszała mnie i Sarę, a potem również i Margaret na najrozmaitsze imprezy.

- Wiem, że Sara mnie nie lubi - zauważyła przy jakiejś okazji.

Prawdopodobnie było to na jej urodzinach, na które akurat udało mi się wyrwać. - I szczerze ci powiem, że ja też za nią nie przepadam. - I ściskając mnie serdecznie za rękę, dodała: - Ale dlaczego z tego powodu miałabym tak rzadko widywać się z tobą, Jamie? A poza tym jest jeszcze moja cudowna córka chrzestna. I kto, jak nie ja, nauczy ją obracać się w Londynie?

- Rzeczywiście, kto?

Jednak mówiąc to, wiedziałem, tak samo chyba jak i Ca-milla, że prawdziwa przyjaźń między nami skończyła się nieodwołalnie, w chwili kiedy się ożeniłem. Sara żądała pełnej lojalności. A mnie z kolei za bardzo na niej zależało, by złamać tę niepisaną umowę.

Wspominam to wszystko, gdy zerwana została moja więź z Sarą i widzę moje małżeństwo takim, jakim naprawdę było. Zabijając ją, przerwałem coś w rodzaju czaru i wyzwoliłem się spod jej wpływu. Widzę, w jakiej głębokiej izolacji przeżyłem ostatnie czterdzieści pięć lat. Straciłem nie tylko muzykę i przyjaciół, ale także osobowość. Poprzez dochodzenie do prawdy udało mi się powrócić do swego dawnego ja i chociaż poznanie faktów z przeszłości było bolesne, przyjmując je do wiadomości, odzyskałem wolność, której utraty nawet nie byłem świadomy.

Moja żona była mistrzynią w subtelnych działaniach. Niech o jej perfekcji zaświadczy fakt, że wiadomość o śmierci Elli prawie mnie nie poruszyła.

To było w ogrodzie, chyba zimą. Nadzorowałem pracujących robotników. Dzień był szary, mowy z piskiem wzbijały się nad wodę, a ja stałem na klifie w zimnym powietrzu pachnącym solą i przekrzykując wiatr, wydawałem polecenia. Pamiętam tamtą scenkę. Zapamiętałem ciemną, surową sylwetkę Sary na tle burego nieba. Szła do mnie stromą ścieżką prowadzącą z zamku. Włosy spięła w kok i miała bardzo poważną minę (może w końcu ruszyło ją sumienie, kto wie?).

- Muszę porozmawiać z mężem - powiedziała.

Robotnicy z szacunkiem uchylili czapki i odeszli, zostawiając nas samych.

- Tak, kochanie?

Spokojnym, równym głosem powiedziała mi szybko, co się stało. Ella nie żyje. W nocy powiesiła się w swojej celi.

- Wiadomość przekazał mi rano strażnik z więzienia.

Właśnie dochodziło południe.

- Przysłał też jej osobiste rzeczy.

Milczałem. Być może pokiwałem głową.

Sara stała chwilę, jakby się nad czymś zastanawiając.

- I dwa listy do nas - dodała w końcu. - Zajrzałam do mojego. Te same brednie co na procesie.

- Aha.

- Kochanie, tylko zdenerwujesz się, czytając to.

Nadal nic nie mówiłem. Moja żona podeszła do mnie, na brzeg klifu. Zobaczyłem w jej dłoni kopertę z moim imieniem napisanym rdzawym atramentem.

- Oczywiście decyzja należy do ciebie. Chcesz rzucić okiem? Wiem, że wtedy wykazała szczyt swej władzy nade mną, zagrywając brawurowo.

Wciąż się nie odzywałem.

- Myślę, że nie powinienes - mówiła łagodnie. - Uwierz mi.

Nie była przy zdrowych zmysłach, kiedy umarła. Nie ma sensu o niej pamiętać. - W tym momencie spojrzała na mnie; pod wpływem tego spojrzenia prośba zamarła mi na ustach.

- Właściwie można z tym zrobić tylko jedną rzecz - zdecydowała.

Stojąc parę metrów ode mnie, na moich oczach powoli podarła list na małe kawałki. Patrzyłem, jak skrawki papieru spadają w dół prosto do morza.

- Chodźmy do domu - odezwała się, biorąc mnie pod ramię.

Niewiele już mam do powiedzenia. Wczoraj Sara z zaskakującym cynizmem powiązała pozostałe luźne wątki. Cieszę się, że dochodzę do końca mojej opowieści. Czas ją zamknąć. Kiedy w obecności płaczącej rodziny powoli opuszczą jej trumnę w podziemia, będzie po wszystkim. Jest w tym pewien paradoks, że kiedy umrę, wszyscy troje będziemy spoczywać obok siebie, nareszcie pogodzeni. Ella, Sara i ja, ramię przy ramieniu, trumna przy trumnie, będziemy murszeć w idealnej harmonii.

W moim wieku cieszy taka symetria.

Nie pozostaną żadne ślady po naszej tragedii ani pogłoski o tym, co spłotło ze sobą nasze losy. I tak powinno zostać. Margaret nie ma prawa dowiedzieć się, jak naprawdę umarła jej matka. I nigdy się tego nie dowie. Chociaż będzie jej ciężko, lepiej, by myślała, że Sara popełniła samobójstwo, że jednak nie była tak zrównoważona, jak wszyscy sądziliśmy. Prawda załamałaby Margaret, a wspólna tragedia - moja, Elli

1 Sary - odcisnęłaby się piętnem na pokoleniach.

Stwarzanie pozorów, podstawa wszelkich działań Sary, stanie się teraz również moją metodą.

Nie przesadzę, twierdząc, że moja wczorajsza mistyfikacja była arcydziełem. Policja na pewno nie nabierze podejrzeń, a koroner orzeczy samobójstwo, bo wskazują na nie wszelkie dowody. Na broni, od której zginęła Sara, były jej odciski palców, a pistolet nadal tkwił w jej zaciśniętej i stężałej pośmiertnie dłoni. Ziemską sprawiedliwość i jej egzekutorzy mnie nie osiągną. Skoro nie potrafili dojść prawdy dawno temu, teraz nie mają szansy. W samotności więc, bez przeszkód doczekam wielkiej sprawiedliwości, która przyjdzie wraz ze śmiercią.

Ale znowu wybiegam myślami w przód.

Zostały mi już tylko wydarzenia z wczorajszego dnia, no, może z ostatniego tygodnia. Kiedy o nich myślę, uderza mnie dziwna ironia losu, bo przecież mógłbym się o niczym nie dowiedzieć i nigdy nie poznać prawdy, gdyby Sara nie włożyła tyle starań w przygotowania do mego przyjęcia urodzinowego. Zgubiła ją jej gorliwość. Gorliwość i drobne znaki, poprzez które dawała mi do zrozumienia, że bardzo się stara, aby wszystko było tak, jak należy. Bo musicie wiedzieć, że Sara lubiła demonstrować, jak dobrą jest żoną. Chciała, żeby jej wysiłki były dostrzegane i doceniane. Już od dłuższego czasu wiedziałem, że coś się święci. Lecz ja mam dość konkretne wymagania, jeśli chodzi o przyjęcia. Nie lubię, gdy zaprasza się mieszkańców wyspy, niechętnie widzę niektórych nadmiernie układnych znajomych Sary. Moja żona nie przepadała za towarzystwem ludzi o takiej samej pozycji społecznej, wołała obracać się wśród pochlebców, a ja oczywiście me miałem ochoty podejmować ich na moim przyjęciu. Zrozumiałe więc, że chciałem rzucić okiem na listę gości, aby przynajmniej poprzez delikatne sugestie dać jej znać o moich życzeniach. Takie działania zazwyczaj przynosiły pozytywny skutek, bo część geniuszu Sary to była duża ustępliwość w błahych sprawach.

Zajrzałem do jej biurka w poniedziałkowe popołudnie, kiedy wyszła z domu, żeby nadzorować rozbudowę pomieszczenia do sprzedaży biletów. Przez przypadek odkryłem szufladkę, w której

trzymała tę rzecz przez te wszystkie lata - małą rzeźbioną szufladkę, otwieraną za pomocą ukrytej sprężynki.

Ten klucz wyglądał bardzo dziwnie: ciężki i duży jak przy starych zamkach, a przy tym wykonany z błyszczącego metalu, z jakich obecnie robi się klucze. Przez chwilę obracałem go w dłoni, zastanawiając się, dlaczego tu leży i do jakich drzwi może pasować. Wydało mi się nieco dziwne, że moja żona trzyma go w takim sekretnym miejscu, poza tym nie mógł mieć więcej niż jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt lat. W dodatku zauważyłem na nim znak firmy londyńskiej, a przecież wszystkie nasze klucze od pokoleń były wykonywane w warsztacie ślusarskim w Penzance. Nieco tym wszystkim zaintrygowany, wrzuciłem go do kieszeni marynarki z postanowieniem, że kiedy już będzie po przyjęciu i nadarzy się odpowiedni moment, przyznam się Sarze, że szukałem w jej biurku listy gości, i przy okazji zapytam o niego. Klucz przeleżał w kieszeni prawie tydzień i szczerze mówiąc, zapomniałem o nim, bo kieszenie mojej ulubionej marynarki, którą najczęściej noszę, są zazwyczaj pełne różnych drobiazgów.

Prawdę poznałem przez czysty przypadek. Ale zrzędzenia losu mają większy wpływ na nasze życie, niżbyśmy chcieli to przyznać. Trudno nie doceniać ich roli w mojej historii. To przez przypadek poznałem Ellę, traf chciał, że Erie przywiózł mi skrzypce z Vaugirard tamtej potwornej nocy, wczoraj zbieg okoliczności sprawił, że na rozmowę kwalifikacyjną połączoną z oprowadzaniem po zamku wybrałem akurat tamtą marynarkę. Oboje z Sarą mamy bardzo wysokie wymagania, jeśli chodzi o przewodników. Zanim zdecydujemy się zatrudnić kogoś na stałe, prosimy, by w towarzystwie jednego z nas oprowadził grupę po zamku.

Wczoraj dołączyłem do wycieczki panny Reid i chociaż moja uwagę rozpraszały myśli o różnych sprawach do załatwienia związanych z zamkiem, z przyjemnością wmieszałem się między turystów. Z przyjemnością, lecz bez poufałości, bo taka była zasada.

Idąc galerią z chińską porcelaną, minęliśmy - obecnie zamknięte na klucz - drzwi na klatkę schodową prowadzącą na wieżę z pokojem Elli, przeszliśmy przez Królewską Sypialnię z dziewiętnastowiecznym łóżem z baldachimem oraz chińskimi parawanami i w końcu dotarliśmy pod Wielką Salę. Błądząc

myślami gdzie indziej, nie bardzo wsłuchiwałem się w monolog przewodniczki. O swych obowiązkach słuchacza i obserwatora przypominałem sobie akurat, gdy zwiedzający zebrali się przy drzwiach, a przewodniczka ze swadą i znajomością przedmiotu opowiadała o zamku w drzwiach, który podobno miał być najstarszym sprawnym zamkiem w całym hrabstwie. Dopiero gdy skończyła i przeszliśmy dalej, machinalnie pomacałem się po kieszeni. Klucz zadzwonił o monety.

To panna Reid przypomniała mi, że najmasywniejszy zamek w całym domu znajdował się właśnie w drzwiach Wielkiej Sali. Nie myśląc wiele, zupełnie nieświadomy wagi tego, co robię, wsunąłem klucz w otwór i z zadowoleniem stwierdziłem, że pasuje. Byłem szczerze zadowolony, bo zawsze lubiłem, gdy rozwiązania przychodzą bez większych kłopotów. Próba obrócenia klucza w zamku kosztowała mnie sporo wysiłku (czas było naoliwić zawiasy i zamki), lecz powoli, ze zgrzytem zapadka puściła.

I wtedy dopiero coś zaczęło świtać mi w głowie. Moja pamięć jakby lekko drgnęła. Proces Elli, podobnie jak śmierć Erica, należały do epoki sprzed mego małżeństwa. Dzięki finezyjnym działaniom Sary nauczyłem się konsekwentnie unikać wszelkich wspomnień związanych z obu wydarzeniami. Pragnąc zapomnieć, ze znacznym powodzeniem wyparłem je z pamięci. Jednak przez całe życie zwracałem uwagę na szczegóły. I dlatego coś mnie tknęło, kiedy wyjąłem klucz z zamka; jakaś myśl, ukryta gdzieś głęboko, poruszyła mnie i nie dawała spokoju. Wycieczka poszła dalej, a ja stałem, wysilając pamięć, by odszukać w jej zakamarkach nurtujące mnie wspomnienie, którego ciągle nie potrafiłem do końca odtworzyć. Powoli, stopniowo powracały do mnie słowa z raportu sądowego. Kiedy usiłowałem je pozbierać, zadźwięczał mi w uszach głos świadka oskarżenia. Podał imię, nazwisko, miejsce pracy i zeznał, że ten klucz akurat pamięta, bo różnił się od wszelkich innych, które dotąd dorabiał.

Teraz już wiedziałem.

Trudno opisać, co czułem, gdy dotarło do mnie znaczenie tego odkrycia, a fakty błyskawicznie ułożyły się w przerażającą całość. To skojarzenie spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. W jednej chwili wszystko legło w gruzach - moja przeszłość, moje małżeństwo i niezachwiane zaufanie do żony. Nie wpadłem we wściekłość. Gniew nie był moją pierwszą reakcją. Myślę, że z

początku zamarłem. Byłem jak ogłuszony, jeszcze nie dowierzałem. Trudno mi było to wszystko zrozumieć. Odrętwienie pozwoliło mi zachować pozory - uśmiechnąłem się z aprobatą do panny Reid, czekałem, aż turyści opuszczą komnatę, i siląc się na spokój, wyszedłem na korytarz, pozdrawiając po drodze strażnika. Gniew ogarnął mnie później, gdy wracałem do mego gabinetu, przemierzając przepastne korytarze domu, który miałem dzielić z Ellą. Dopiero w zaciszu mego zastawionego książkami pokoju wybuchnąłem płaczem. Zanosilem się głośnym, podobnym do czkawki szlochem człowieka nienawykłego do łez.

W tej chwili wczorajsze wydarzenia wydają mi się bardzo odległe. Bardziej nawet odległe niż proces Elli czy śmierć Erica. Mam wrażenie, że wszystko wydarzyło się wiele lat temu, a przecież to wczoraj siedziałem przy biurku, płacząc nad dowodami naszego wspólnego życia z Sarą, oprawionymi w srebrne ramki. To wczoraj zrozumiałem, co muszę zrobić.

Minęło wiele godzin, zanim poszedłem do jej pokoju.

Byłem już nieco spokojniejszy, czas pozwolił mi odzyskać równowagę. Moje opanowanie pogłębiała świadomość, że wszystko jest na swoim miejscu, że mam to, co trzeba. Bo widzicie, nawet znając całą prawdę, bałem się, że zawiodą mnie nerwy i Sara zdobędzie nade mną przewagę. Przeczuałem, że po nocy łzawych wyjaśnień nie wytrzymałbym przy swym zamiarze. Jeżeli miałem działać, nie mogłem zwlekać. By obronić się przed wpływem Sary, przywołałem w myślach jej spokojny głos, gdy oznajmiła mi, że Ella powiesiła się w swojej celi i że tylko się zdenerwuję, czytając jej list.

Czekałem na Sarę w jej pokoju, otoczony przez należące do niej przedmioty. Przesuwałem spojrzeniem po książkach, zapiskach i porozstawianych wszędzie zdjęciach. Na biurku spostrzegłem fotografię Margaret z chrztu oraz moje zdjęcie, kiedy kłaniam się publiczności na finale Hibberdsona. Aż trudno mi było uwierzyć, że właścicielka tych wszystkich niewinnych drobiazgów, kobieta, z którą przeżyłem tyle lat i dla której tak wiele poświęciłem, mogła zrobić coś takiego. Chyba nawet wtedy miałem cichą nadzieję, że się mylę. Pragnąłem, żeby mnie o tym przekonała. Zdawałem sobie sprawę, jakie konsekwencje pociągnie za sobą wyjawienie winy Sary, i byłem nimi przerażony. Nie chciałem słyszeć o tym, co zrobiła, ani wiedzieć na pewno, co zaszło. Gdyby się opanowała, i tym

razem udałoby się jej mnie omamić, bo nadal nie mogłem się z nią równać. Przy odrobinie samokontroli, nawet wbrew niezbitym dowodom, przekonałaby mnie, że się straszliwie pomyliłem i że to ja, a nie ona, zasługuję na karę.

Siedziałem w jej pokoju, słysząc jedynie monotony, miarowy huk fal rozbijających się o skały. Odczułem ulgę, gdy doszedł mnie stukot obcasów Sary na kamiennej posadzce i zaskrzyptały zawiasy otwieranych drzwi. Uśmiechnęła się, zapewne zdumiona moją punktualnością, bo zazwyczaj to ona pierwsza zjawiała się na posiłkach.

Zdradził ją wyraz twarzy i pobladłe policzki; a także drżenie rąk. Wprowadzie niezbyt mocno się trzęsły i zaraz nad nimi zapanowała, ale to mi wystarczyło, żeby zyskać pewność. A teraz, kiedy to wspominam, gdy nie mam już wątpliwości, bo szczerze mówiąc, ona sama mnie ich pozbawiła, odczuwam coś w rodzaju... niedowierzania? Nie, raczej zaintrygowania, bo mimo całej ohydy tego czynu zaskoczyła mnie jej odwaga. Ta źle ulokowana odwaga, z której była taka dumna. Nie ma słów, które oddałyby, co czuję. Tak pragnąłem znaleźć spokój na koniec tego długiego dnia, a jestem poruszony. Wiem już, że zrozumienie nie zawsze przynosi pokój duszy, a wiedza - klarowność.

Pod koniec zachowywała się jak w gorączce: chodziła po pokoju i mówiła szybko, dużo i chętnie, prawie z podnieceniem. Było w jej zachowaniu coś hipnotycznego. Myślę, iż odczuła ulgę, że znalazła publiczność i wreszcie miała okazję wyjawić to, co jak sądziła, na zawsze pozostanie tajemnicą. Najbardziej zszokowało mnie jej zdecydowanie i duma, z jaką mi wszystko opowiedziała. Na co liczyła? Na uznanie za to, co zrobiła? Spodziewałem się, że będzie zaprzeczać lub przynajmniej da pokaz wyrzutów sumienia. Tymczasem okazała się harda do końca. Nie przyszło jej do głowy, że znajdę w sobie dość siły, aby ukarać ją za ten czyn.

Znowu te moje dywagacje... Usiłuję znaleźć w tym wszystkim jakieś głębsze znaczenie. Nasze cierpienie - moje i Elli, a nawet Sary, musi mieć jakiś sens. Wiem, że ma. Ale jaki, tego nie potrafię powiedzieć.

Zaczęła agresywnie, lecz atak nie trwał długo.

- Co to za obyczaje, by mąż grzebał żonie w biurku?! - rzuciła ostro.

Ponieważ nie odpowiedziałem, wzruszyła lekko ramionami,

jakby dochodząc do wniosku, że oburzenie jest słabą linią obrony, niegodną kogoś takiego jak ona. Poprawiając pasmo włosów, które wysunęło się z koka, podeszła do sofy i jak gdyby nigdy nic, usiadła spokojnie przy stoliku z zastawą do

herbaty. Widzicie, Sara miała dar bagatelizowania ważnych wydarzeń i wielokrotnie wykorzystywała go w trakcie czterdziestu pięciu lat naszego małżeństwa. Być może sądziła, że i tym razem zbije mnie z tropu, bo zaczęła najzwyczajniej na świecie nalewać herbatę. O tym, że jest poruszona, świadczył jedynie głośniejszy niż zwykle brzęk rozstawianych filiżanek.

- Co to jest - powiedziałem, a nie zapytałem, bo przecież znałem odpowiedź.

- Słucham, kochanie?

Moja żona nie podniosła wzroku, bardzo skupiona na swej czynności. Widzę ją teraz. Mam przed oczyma ciemne włosy przetykane siwizną oraz smukłą i niezmiennie pełną gracji sylwetkę, pochyloną nad imbryczkiem. Zdradziło ją wahanie. Niespodziewana, prawdziwa bezradność, tak różna od udawanych łez z przeszłości. Długo noszona maska zaczynała pękać. Przedziurawiłem ją. Nie miałem co do tego wątpliwości. Siła Sary, zdawałoby się, niewyczerpana, ulatniała się przez ową szczelinę w masce na moich oczach.

W milczeniu nalewała herbatę.

Patrząc, jak herbata spływa do filiżanek, pomyślałem, nie wiedzieć czemu, że Sara z wiekiem jeszcze wypiękniała. Zmarszczki nie zniszczyły jej zwodniczo delikatnej urody, takiej samej jak u kuzynki. Sara miała na sobie długą, staromodną suknię w kolorze szafirowym, o ton ciemniejszym od oczu. A jej ramiona, gdy unosiła ciężki dzbanek, wydawały się takie szczupłe.

- Powiedz mi, co to jest - powtórzyłem mniej napastliwie tym razem, bo poznałem, że mam przewagę, choć nie wiedziałem jeszcze, jak ją wykorzystam. Tyle czasu żyłem podporządkowany, pozwalając, by jej życzenia stawały się moimi, iż poczułem się nieswojo, gdy zachwiał się układ między nami. Gdzieś w głębi duszy czaił się lęk, że poddam się i nie wytrwam w postanowieniu wymierzenia kary. Dlatego byłem zadowolony, że wcześniej przygotowałem scenariusz. Muszę przyznać, iż mimo gniewu było

mi jej żal. Wyczuła współczucie w moim głosie i podniósłszy oczy, bez słowa wpatrywała się we mnie po swojemu. Nawet w takiej chwili była mistrzynią w udawaniu. Widzę to teraz bardzo wyraźnie. Z całej siły broniłem się przed jej niemą prośbą.

Nie odezwałem się. Ona, też milcząc, podała mi herbatę.

- To klucz do Wielkiej Sali - odezwała się niespodziewanie jakiś czas później. Powiedziała to łagodnym, uprzejmym tonem. Sara знаła moje słabości. Wiedziała, że rozbija mnie jej kruchość. Siedziała z dłońmi złożonymi na kolanach, przechylając lekko głowę osadzoną na smukłej szyi.

- Powiedz, skąd go wzięłaś - wydusiłem wreszcie, niemal pragnąc, by nie powiedziała, bo bałem się tego, co mogę usłyszeć.

- Nie mam nic do ukrycia, James - odparło powoli to uosobienie skrzywdzonej niewinności. Lecz właśnie wtedy przez jej twarz przemknął cień dumy. Przez ułamek sekundy była dumna i harda. I chociaż natychmiast odwróciła głowę, niby to ocierając łzy, było już za późno. I Sara o tym wiedziała.

- Czy na pewno chcemy o tym rozmawiać? - zapytała zupełnie innym tonem.

- Tak - odparłem bez wahania. Czerpałem siłę z mojej niechęci, pozwoliłem, by jej źle maskowana duma podsyciła moją wściekłość, a jednocześnie walczyłem z atakiem mdłości. Moja żona dalej wpatrywała się we mnie ze swego miejsca na kanapie, lecz ja byłem już poza zasięgiem jej wpływów i ona o tym wiedziała. Pierwszy raz w ciągu naszego wspólnego życia pozostałem nieczuły na spojrzenie jej jasnoniebieskich oczu. Te oczy straciły władzę nade mną; od tej chwili byłem wolny.

- W takim razie, pytaj, o co chcesz - rzuciła niemal butnie. - Widzę, że przeszukałeś moje biurko i trafiłeś na coś, czego nie powinieneś był znaleźć.

Wstała i podeszła do okna. Manifestując dumną obojętność, odwróciła się do mnie plecami i patrzyła na wodę, a może na skały pod zamkiem. Widziałem, że zrezygnowała z dalszych prób udobruchania mnie, bo Sara nie marnowała energii na darmo ani nie rzucała powłóczystych spojrzeń byle komu. Klamka zapadła. Dlatego jej ostatnia próba zatajenia prawdy zabrzmiała jak poważne ostrzeżenie,

- Lepiej się dobrze zastanów, zanim mnie o cokolwiek zapytasz - ostrzegła. - Bo odpowiem ci zgodnie z prawdą. A to może być nieprzyjemne. Więc na twoim miejscu zwróciłabym to,

co wzięłam, i więcej bym o tym nie myślała.

Słuchając jej, nie miałem wątpliwości, że nie będzie więcej puszczania spraw w niepamięć. Zaszliśmy za daleko; nie było odwrotu. Jej dar roztaczania iluzji przepadł. Zadałem więc pierwsze pytanie, już chyba wtedy wiedząc, że zbliżamy się do końca.

- Zabiłaś Alexandra? - zapytałem cicho.

Ponieważ zrazu milczała, pomyślałem, że zapewne nie spodziewała się tak bezpośredniego pytania i że wpadnie w panikę. Lecz gdy wreszcie zaczęła się odezwać, w jej odpowiedzi była jedynie irytacja - zniecierpliwienie moim brakiem subordynacji. Sara nie nawykła, by odbierać jej kontrolę nad sytuacją, więc moja nowa śmiałość ją rozłościła.

- Widzę, że postanowiłeś zignorować moje ostrzeżenie - rzekła lodowatym tonem.

- Tak. - Mówiąc to, odczułem coś w rodzaju satysfakcji z mego nieposłuszeństwa.

- W takim razie musisz dostać odpowiedź.

- Tak.

- A więc moja odpowiedź również brzmi: tak. - Dopiero teraz odwróciła się do mnie. Na tle zachodzącego słońca widziałem jedynie jej sylwetkę, twarz pozostawała w cieniu. Natomiast jej włosy zdawały się płonąć. - Zabiłam go - powiedziała powoli. A potem dodała: - I wyprzedzając twoje następne pytanie, po raz drugi odpowiem: tak. To nie był przypadek, że Ella wylądowała w więzieniu za zabójstwo ojca.

Sprawa zakończona, wszystko zostało dopowiedziane. Znałem prawdę, nie było miejsca na wątpliwości jak parę godzin temu, gdy w oszołomieniu patrzyłem na plecy oddalających się turystów, myśląc tylko o tym, by jak najprędzej znaleźć się w samotności. Teraz wiedziałem. Miałem pewność. Lecz szczerze mówiąc, w pierwszej chwili, gdy usłyszałem wyznanie Sary, nic nie poczułem. Zapewne już wtedy tonąłem. Leciałem na dno, nie zdając sobie z tego sprawy. I to właśnie Sara ze swym anielskim spokojem, który dotąd utrzymywał mnie przy życiu - wciągała mnie w odmęt.

I nagle przestałem widzieć cokolwiek, bo rzęsiste i gorące jak u dziecka łzy popłynęły mi z oczu. Pozostało jedynie zapytać: dlaczego? Dlaczego to zrobiła?

Milczała, jakby zastanawiając się nad moim pytaniem.

A potem odpowiedziała dobierając słowa z druzgoczącą precyzją.

-Ella miała wszystko, a ja nic - odparła powoli. - I jeszcze zabrała mi kogoś, na kim mi bardzo zależało.

Mówiąc to, odeszła od okna i wyprostowana przeszła przez pokój. Parę pasemek włosów wysunęło się ze starannie upiętego koka. Kiedy usiadła obok na kanapie, owionął mnie świeży, znajomy zapach. Pachniała pudrem i wodą różaną. Jakiś czas temu rzuciła palenie. Ale to nie jej zapach, lecz wyraz oczu i słowa zostaną ze mną na zawsze. Nawet teraz, kiedy wspominam, jestem pod wrażeniem jej bezwzględnej spójności i tego, jak poprzez fizyczną bliskość tylko podkreśliła otchłań między nami. Tam na tej kanapie zrozumiałem - i dopiero zaczynam akceptować tę myśl - jak mało dla niej znaczyłem. Jak niewiele ją obchodziłem, pomijając czysto materialną stronę naszego związku. Myślę, że to wyrachowanie mojej żony sprawiło, iż nie potrafiła nawiązywać kontaktów. Nie potrafiła obcować z ludźmi, choćby nawet usilnie próbowała, ponosząc stratę, została zraniona. Chyba trafnie rozumię. Kiedy Sara wyszła za mnie, nie była już zdolna do uczuć, mimo że z taką łatwością je udawała. Byłem dla niej jedynie ukoronowaniem sukcesu. Tak to w tej chwili widzę. A intuicja podpowiada, że nie mogło być inaczej.

Myślę, że najbardziej boli mnie jej obłuda. W miarę jak posuwała się rozmowa, coraz wyraźniej uzmysławiałem sobie, że nigdy nie była szczerą. Ta świadomość zburzyła całą naszą wspólną przeszłość, czyniąc z naszego życia jedno wielkie oszustwo. Słuchając jej, nabierałem przekonania, że znałem, a nawet kochałem jedynie maskę stworzoną przez Sarę po to, by mnie uzależnić, a potem w tym uzależnieniu utrzymać. Kuzynka Elli nigdy nie wyzbyła się lęku przed zdradą. Tam, w tym pokoju wypełnionym poświatą zachodzącego słońca, ożyła prawdziwa Sara - Sara promieniująca triumfem. Przerażający był kontrast między jej urodą a słowami, które padły. Wyraźnie wyczuwalna duma, z jaką mówiła o stracie, zazdrości, żalu i zemście, przyprawiała o dreszcz.

-Nie muszę ci mówić, ile dobrego Ella zaznała w życiu - mówiła Sara, siedząc sztywno, nadąsana prawie jak dziecko. Sposób, w jaki mówiła, przywodził na myśl małą dziewczynkę. - Miała kochającego ojca, wolność, przyjaciół, ten dom. Wszystko, co można mieć na świecie. A mimo to zabrała mi go. Mnie, która nie miałam nic.

-Kogo ci zabrała? - Musiałem o to zapytać mimo zamętu w

głowie. Musiałem wiedzieć.

- Charliego Stanhope'a - odpowiedziała cicho.

Po raz pierwszy od wielu lat przyszedł mi na myśl Charlie Stanhope - wysoki, niezgrabny, poczciwy Charlie.

- Charliego?

- Tak. - Moja żona spojrzała na mnie, wstała i nerwowym krokiem podeszła do okna. Słońce schowało się za horyzont, w pokoju panował półmrok. - Ella mi go zabrała - mówiła dalej Sara. - Odebrała po to tylko, żeby udowodnić, że potrafi to zrobić, a potem go porzuciła. I najbardziej zabolęło innie to, że ona go wcale nie chciała.

Przed oczami zamajaczył mi pewien obraz sprzed lat - zobaczyłem Ellę przy innym oknie, kiedy patrząc na to samo morze, opowiadała ze łzami w oczach o tym, co zrobiła.

- A tego dnia, kiedy zerwała zaręczyny, uczyniłam pewne przyrzeczenie - mówiła Sara. - Postanowiłam odebrać jej wszystko, na czym najbardziej jej zależy. Żeby się przekonała, co to znaczy ponieść stratę.

Nie odezwałem się; nie mogłem.

- I chyba dotrzymałam słowa - zakończyła z cichym triumfem. Nadal nie potrafiłem wydobyć słowa.

- Nie przyszło mi to łatwo, możesz mi wierzyć. Nawet osądzając mnie, powinieneś to dostrzec.

- Dostrzegam. - Widziałem również, że Sara właśnie ma swoje pięć minut. Wreszcie miała okazję domagać się uznania.

Widzicie, ona dotąd nikomu o tym nie powiedziała. Milczała tyle lat, trzymając wszystko w tajemnicy. Lecz podejrzewam, że przez cały ten czas nurtowała ją potrzeba wyjawienia sekretu, bo jej dumna natura domagała się uznania. Sądzę, że wczorajszego popołudnia, kiedy wina wyszła na jaw, poniosła ją brawura. W każdym razie, przynajmniej w tej chwili, tak oceniam jej zachowanie. Uważała, że jest nietykalna; mówiła o swym czynie bardzo chętnie, zupełnie pozbawiona wstydu. Widziałem, jak promienieje z dumy, stojąc w słońcu na tle okna. Widzę ją tam jeszcze teraz, chociaż jest ciemno i zimno, a ona leży martwa i czeka na pogrzeb. Widzę ją i słyszę, mam w uszach jej słowa.

Zaczęła chęłpic się z cyniczną, wyzywającą satysfakcją.

- Nie wyobrażasz sobie, jak trudno było odebrać Elli to, co do niej należało. Pozbawić ją ojca, przyjaciół, domu

i wszystkiego, co się nim wiąże. Zadanie było niełatwe i możesz mi wierzyć, wymagało odwagi i determinacji. - Zamilkła, zapatrzona w morze. - I wszystko trzeba było bardzo starannie zaplanować - dokończyła po przerwie. - Warunkiem powodzenia był dobry plan, nie miałam co do tego wątpliwości. Wiedziałam, że liczą się najdrobniejsze szczegóły. Cała sprawa niosła ze sobą ryzyko, nie można go było uniknąć, ale zgodzisz się chyba, że zrobiłam wszystko, by maksymalnie je wyeliminować.

- Ale...

- Nie przerywaj. To wszystko działo się tak dawno. Nie myślałam o tamtej sprawie od wielu lat. Dlatego me rozpraszaaj mnie.

I opowiadała dalej z niesłychaną obojętnością. Mówiąc w takim samym stopniu do mnie jak i do siebie, odsłaniała misterność całej intrygi.

- Oczywiście zrządzeniem losu było przyjęcie wuja Cyryla - mówiła cicho, jakby snuła wspomnienia. - No i nasze podobieństwo z Ellą. Wiedziałam, że na nim właśnie muszę oprzeć mój plan. Co dziwniejsze, właśnie dzięki tobie uwierzyłam, że mi się uda.

- Dzięki mnie? - zapytałem ochryple.

- Pamiętasz dawno temu tamto popołudnie w Hyde Parku? Wziąłeś mnie za Ellę. A twoje zachowanie na rozdaniu nagród Hibberdsona dodatkowo mnie utwierdziło. Widziałam twoje rozczarowanie, gdy odkryłeś pomyłkę. Miałam pewność. - Uśmiechnęła się. - Nabrałam przekonania, że skoro ty nas nie odróżnisz z większej odległości, to inni też mnie nie poznają, o ile będą zgadzać się takie szczegóły jak włosy, ubranie, sylwetka. Rozumiesz...

Doskonale rozumiałem.

- Ponieważ wypytyując Ellę o strój, mogłabym wzbudzić podejrzenia, musiałam jakoś inaczej dowiedzieć się, w co się ubierze. To był pierwszy krok. I wtedy bardzo przydała mi się ta twoja głupawa przyjaciółka.

- Kto taki?

- Nazywała się Camilla Boardman, o ile dobrze pamiętam. Przytaknąłem skinieniem głowy; suchość w gardle nie pozwalała mi wydobyć głosu.

- Chodziłam do niej na przymiarki, licząc na jej długi język. 1

tak jak przewidziałam, bez żadnych pytań z mojej strony, podczas drugiej wizyty wyznała mi w największej tajemnicy - oczy Sary rozbłyły, gdy przedrzeźniała Camillę - że Ella wystąpi w smokingowej marynarce. Idealny strój, biorąc pod uwagę mój plan, bo nietypowy, a co za tym idzie, odcinający się od innych, no i łatwy do załatwienia.

- No tak.

- Camilla była bardzo nieszczęśliwa, gdy zrezygnowałam z jej usług i kupiłam suknię gdzie indziej. Musiałam tak zrobić. Potrzebowałam czegoś, co byłoby łatwo zauważalne w tłumie. Czegoś tak rzucającego się w oczy, by ludzie zapamiętali moją obecność w różnych miejscach i nie zauważyli, że zniknęłam na jakieś pięć, no, może sześć minut. Sądziłam, że planując wszystko bardzo precyzyjnie, właśnie tyle czasu będę potrzebować. W rzeczywistości nie było mnie na dole przez siedem minut. To niewiele czasu, zwłaszcza jeśli najpierw dopilnuje się, by zamienić parę słów, z kim trzeba.

- Co niewątpliwie zrobiłaś...

- Oczywiście. Wszystko zostało z góry zaplanowane. - Sara mówiła teraz bardzo szybko, niemal połykając słowa. - Miałam przygotowane ubranie, blond perukę z naturalnych włosów, identyczną jak fryzura Elli, i dwa klucze do Wielkiej Sali, z których jeden wsunęłam jej do kieszeni jeszcze przed przyjęciem.

- A to jest ten drugi klucz?

- Tak. Zatrzymałam go tak sobie.

- Ummm.

- Nierozsądne, wiem. Błąd, przed którym nie potrafiłam się powstrzymać.

Moje łzy już obeschły. Z odrazą obserwowałam moją żonę, która, zaabsorbowana, krążyła nerwowo po pokoju od kanapy do okna, od okna z powrotem do kominka. Podwieczorek stał nietknięty, herbata stygła w filiżankach. Sara nawet nie zauważyła, jak mijając stolik, zawadziła o ucho dzbanka i o mało go nie przewróciła. Cały czas słowa płynęły z jej ust oszalałym potokiem. Słuchałam jej, myśląc z przerażeniem o tym, co zrobiła, i o tym, co mnie pozostało zrobić. Bo musicie zrozumieć, że z natury nie jestem człowiekiem brutalnym.

Sara nie przestawała mówić, obojętna na moją obecność i nieświadoma myśli kłębiących mi się w głowie. Chełpliwie wyrzucała z siebie słowa. Zniknęło gdzieś jej umiarkowanie.

- Nie miałam problemu z zabranieniem na jeden wieczór oryginalnego klucza z biurka wuja Cyryla. Duplikaty musiałam zrobić w Londynie. Do warsztatu poszłam w peruce. Wiesz, dbałość o detale w takich sytuacjach jest bardzo istotna. Uznałam, że powinnam wyglądać i mówić jak Ella, bo ślusarz mógł przypadkiem rozpoznać później Ellę na zdjęciach i zgłosić się na świadka.

- I rzeczywiście tak się stało.

- Tak.

- Musiałam się również przygotować fizycznie.

- To znaczy?

- No cóż, Alexander był potężnym mężczyzną, a ja nie jestem zbyt silna, więc musiałam ćwiczyć podnoszenie ciężarów, by na pewno dobrze to zrobić. Ale tym zajęłam się wiele tygodni wcześniej. W wieczór przyjęcia miałam do załatwienia dużo spraw. Mnóstwo drobniaków i bardzo mało czasu. Najważniejsze było, by zrobić wszystko w odpowiednim czasie,

- Więc co zrobiłaś?

Zamilkła na moment, tracąc wątek. Moje pytanie wyraźnie ją rozproszyło.

- Kiedy wszyscy przebierali się na przyjęcie - zaczęła z namysłem, jakby starając się przypomnieć wszystko dokładnie i nie pomijając żadnego szczegółu - położyłam kartkę pod drzwiami Elli z prośbą, by dyskretnie spotkała się z ojcem w jego pokoju i poczekała na niego, w razie gdyby się spóźnił. Wiesz, nie mogłam dopuścić, by Ella pojawiła się na dole, gdy będę na balkonie z wujkiem Alexem. - Sara obdarzyła mnie uśmiechem. - Natomiast Alexandra namówiłam, by wszedł na balkon. Zasugerowałam, aby powitał gości z balkonu, a nie pod markizą. Uznał to za całkiem dobry pomysł. A potem zaczął, aż się przebiorę. Zdaje się, rozbił go mój strój. Wyjaśniłam, że dla żartu postanowiłyśmy z Ellą wyglądać identycznie.

- A dalej?

- Jak dotąd wszystko poszło gładko. Ale najbardziej ryzykowny moment dopiero mnie czekał. - Sara skierowała spojrzenie na mnie, a ja zastanawiałam się, jak to możliwe, że przeżyłam tyle lat z tą kobietą, w ogóle nie zdając sobie sprawy, z kim mam do czynienia. Nagle nasze małżeństwo wraz z jego poukładanym życiem wydało mi się snem. Snem, który przysł, gdy patrzyłem w płonące oczy Sary.

-Nie mogłam pozwolić, by zbyt długo mnie widziano - opowiadała Sara. - Chwila była idealna, ale ryzyko ogromne. Dlatego na balkonie stanęłam za Alexandrem. Nie wyobrażasz sobie, jak się zdenerwowałam, kiedy lord Markham krzyknął, bym się pokazała. Musiałam szybko działać.

-Więc go zepchnęłaś.

-Uniosłam, a potem zepchnęłam. To był trudny manewr. Ale działałam przez zaskoczenie, no i balustrada jest dość nisko. W sumie okazało się to całkiem łatwe. Omal nie umarłam z przerażenia, gdy zdołał chwycić się barierki. Mógł przecież wykrzyknąć moje imię lub coś takiego. Musiałam więc pomóc mu ją puścić.

-I to właśnie wtedy wszyscy pomyśleli, że chciałaś go wciągnąć.

-Tak. Chociaż nie wiem dlaczego. Przecież było wyraźnie widać, co się dzieje i o to mi chodziło. Gdy spadł, pobiegłam do mego pokoju, zdjęłam perukę i marynarkę, wsadziłam je do torby i ukryłam w szufladzie wystawowej gabloty, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy szukać czegokolwiek. Potem włożyłam suknię i czym prędzej zeszałam na dół. Wszystko trwało nie więcej niż siedem minut. Ach, jeszcze jedno; po drodze zajrzałam do pokoju Elli i zabrałam list. Na szczęście leżał na toalecie. Był napisany na maszynie, więc nic złego by się nie stało, gdyby go znaleziono. Policjanci uznaliby, że Ella sama go napisała. Ale byłam zadowolona, że go mam. Nazajutrz, gdy zrobiło się nieco spokojniej, poszłam z torbą na klif, włożyłam do środka kilka kamieni i spuściłam ją do morza. I to wszystko.

- Ella ciebie oskarżała. - Byłem wstrząśnięty gorliwością, z jaką relacjonowała przebieg wydarzeń. Sara poderwała się na moją uwagę z nieukrywaną radością.

-Ależ oczywiście! Wiedziałam, że będzie próbować. Bogu ducha winna, ona jedna знаła prawdę.

-Jednak ty byłaś na to przygotowana - wycedziłem, widząc wyraźnie całą ohydę planu Sary.

-Sprytnie to wymyśliłam, prawda?

Nie odpowiedziałem.

-Ta monografia, którą napisałam, bardzo się przysłużyła. A kiedy Ella okazała się na tyle słaba i głupia, by użyć choroby umysłowej jako pretekstu do zerwania z Charliem, miałam wygraną w kieszeni. Nie wolno nie doceniać wpływu prasy.

Wyrok zapadł, zanim członkowie ławy przysięgłych weszli na salę rozpraw, a ponieważ Ella tak długo oszukiwała rodzinę, nikt nie był zdziwiony, że mogła coś takiego zrobić. Owszem, byli zdruzgotani, ale nie zdziwieni. Zanim zabiłam Alexandra, Ella od kilku lat chodziła do psychiatrów. A jej histeryczne zachowanie na rozprawach, które ty i ja oczywiście możemy zrozumieć, nie przysporzyło jej sympatii sądu. Nawet kiedy usiłowała wyznać całą prawdę, opowiadając lekarzom sądowym o związku, jaki istniał między nią a mną, nikt jej nie wierzył. Wpadła w pułapkę, nie było nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić.

Sara zamilkła.

- Nie wierzę w to wszystko - powiedziałem schrypniętym głosem.

- Wierzysz.

Rzeczywiście czułem coś w rodzaju niedowierzania, patrząc na sylwetkę Sary rysującą się na tle czerwonej poświaty zachodzącego słońca. W mojej głowie narodziła się myśl, że ja byłem ostatnim trofeum, jakie Sara odebrała Elli.

- Utrata Charliego czegoś mnie nauczyła - rzekła cicho Sara, znacznie teraz spokojniejsza. - Nauczyłam się obserwować ludzi i rozumieć ich. Pierwszy raz w życiu starałam się zdobyć sympatię.

Wpatrywidem się w nią nieruchomym wzrokiem.

- Wiesz, Ella miała dużo wdzięku - mówiła dalej. - Nie mogłam z nią konkurować - zawiesiła głos - lecz kiedy zabrała mi Charliego, postanowiłam ją naśladować. I spostrzegłam, jak łatwo jest kobietom wodzić mężczyzn za nos... - urwała, chyba zdając sobie sprawę z tego, co powiedziała.

A mnie stanęło przed oczami tamto popołudnie po ogłoszeniu wyroku i łatwość, z jaką uległem.

Wyszedłem z pokoju, nawet na nią nie spojrzawszy.

34

W półmroku korytarz sprawiał ponure wrażenie. Usiadłem w jego końcu na krześle przy oknie i patrzyłem, jak ostatni wycieczkowicze wsiadają do ostatnich tego dnia łodzi. Wiele lat temu, podczas mojej pierwszej wizyty w tym miejscu, ja z Ellą też złapaliśmy ostatnią łódź, tyle że w przeciwnym kierunku. Być może liczyłem, że Sara wyjdzie za mną, zdobędzie się na jakiś gest, okaże żal. W ostatniej chwili o mało nie opuściła mnie odwaga. Byłem o krok od zrezygnowania z mego zamiaru w

przyplynie nadziei, że potrafię wybaczyć.

Lecz tak jak się spodziewałem, nie padła prośba o wybaczenie. Zaskuchany w huk fali, siedziałem ze wzrokiem wbitym w drzwi do saloniku mojej żony, zastanawiając się, jakie miałem prawo liczyć na cokolwiek. Żadne, wiedziałem o tym. Przed moimi oczami przesuwały się obrazy z przeszłości. Ella z obgryzionymi paznokciami w parku - początek wszystkiego. Jej skulona sylwetka w pełnym słońca pokoju na poddaszu. Czerwone oczy Elli w zatłoczonej sali sądowej, kiedy była już dla mnie stracona. Wtedy wierzyłem, że jest obłąkana.

Odsunąłem od siebie obraz Elli, kiedy powiesiła się w więzieniu. Starąłem się nie analizować, dlaczego żaloby po jej śmierci nie odczuwałem zbyt mocno.

Powoli podniosłem się z krzesła i w ciemnościach poszedłem korytarzem w kierunku smugi światła sączącego się przez szczelinę pod drzwiami pokoju Sary. Kiedy je otworzyłem, czytała książkę, a może tylko trzymała ją na kolanach, zamyślona i nieobecna. Nie odezwała się, odniosłem wrażenie, że mnie nie widzi. Siedziała nieporuszona, kiedy otworzyłem szufladę biurka, włożyłem rękawiczki i sięgnąłem po pistolet.

Dopiero gdy szedłem przez pokój, na jej twarzy pojawił się strach. Strach i zaskoczenie. W ostatniej chwili straciła panowanie nad sobą i zwątpiła w swoje zwycięstwo. Nie miała czasu walczyć. Strzeliłem z bliska, mierząc w okolicę tuż nad prawym uchem.

Powoli, niemal flegmatycznie przeszedłem nad ciałem i zacisnąłem jej bezwładną prawą dłoń na kolbie pistoletu. Następnie opuściłem pokój i poszedłem do siebie. Pomału, bez pośpiechu umyłem się i przebrałem. Robiłem wszystko z namysłem, starannie. To Sara nauczyła mnie szacunku dla szczegółów.

Kiedy wyszedłem na dwór, dom był pogrążony w ciemnościach. Tylko w pokoju ,Sary paliło się światło. Wziąłem torbę z ubraniami oraz rękawiczkami i prowadzony poświatą z okna, skierowałem się na klif, tam gdzie Sara powiedziała mi o śmierci Elli w tamto wietrzne popołudnie. Nadal jestem sentymentalny.

Wczoraj w nocy nie było wiatru i świecił księżyc w pełni. Jestem pewny, że trafiłem dokładnie na to samo miejsce.